

ELIZABETH  
**LOWELL**

Szantaż

Przekład  
Anna Krawczyk-Łaskarzewska

**3)**  
ANBER

## Prolog

Na północ od Ensenady, Meksyk  
Sierpień, sobota, rano

Lane Franklin powtarzał sobie, żeby nie wpadać w panikę. Większość piętnastolatków szalałaby, gdyby miała okazję spędzić lato w Ensenadzie. Plaża, laski, piwo. Czego chcieć więcej?

Nie żeby szkoła Ali Saints w Ensenadzie była szczególnie postępową czy liberalną. Mimo dokuczliwego upału po należącej do szkoły ustronnej plaży nie przechadzały się żadne dziewczęta w skąpych bikini. Ale domek Lane'a był pierwsza klasa, boisko do gry w piłkę fantastyczne, a za oknem szumiąły fale, które rozbijały się o brzeg na zachodnim krańcu kampusu.

Porozrzucane po kampusie czteroosobowe domki, apartamenty dla wykładowców, bursy dla mniej zamożnych uczniów i mały ośrodek rekreacyjny połączony z biblioteką sprawiały, że Ali Saints wyglądał jak luksusowy kurort.

Ale nim nie był.

Był kościelną szkołą, gdzie rozpieszczone dzieciaki uczyły się wykonywać polecenia, siedzieć prosto, zdobywać wiedzę i okazywać szacunek.

Nuda!

Dobrze mi tak. Popełniłem przestępstwo.

Nawet jeśli tak mu się nie wydawało w chwili, gdy je popełniał.

Wystarczyło kilka uderzeń w klawiaturę nowiutkiego komputera i wszystkie złe oceny zamieniły się na czwórki w centralnym systemie komputerowym szkoły. Szkoda tylko, że dał się przytapać, i że ojciec nagle postanowił poświęcić dziecku trochę czasu i dopilnować, żeby syn podjął naukę w międzynarodowej szkole z internatem, gdzie panuje większa dyscyplina.

Przynajmniej nie złapali go, kiedy włamywał się do komputera wojskowego albo tego banku, i pięciu czy sześciu innych ważnych systemów. Kiedy już

złamał zabezpieczenia, nie robił niczego, tylko rozkoszował się poczuciem bezkarności.

Potem przyszedł mu do głowy genialny pomysł, żeby zmienić swoje oceny. Nie chciał denerwować matki kiepskim świadectwem.

Wszystko w porządku.

Wytrzymałem sześć miesięcy. Wytrzymam jeszcze dwa.

I co z tego, że koledzy z pokoju wyprowadzili się prawie miesiąc temu? Podobała mu się cisza i nie musiał chować komputera.

I co z tego, że niedawno szkoła przyjęła kilku zbirów do drużyny piłki nożnej? I co z tego, że wyglądali na dwudziestosześcioletków, a nie szesnastolatków? I co z tego, że ciągle polowali na niego na boisku? Był od nich szybszy i o wiele sprytniejszy.

Lane spojrzął na zegarek - trening piłki nożnej za kilka godzin. Do tego czasu odrobi lekcje. Potem pogra na komputerze, który matka przemyciła do szkoły mimo zakazu dyrektora.

Wciąż nie wiedział, dlaczego miał szlaban na komputer. Nie zrobił nic złego, ale nagle zabroniono mu korzystać z telefonu i komputera w bibliotece. Mógł tylko pisać listy.

Tyle że zwykła poczta jest do bani.

Przynajmniej nie musiał się martwić, że ktoś odkryje zakazany komputer. Każdy uczeń sam sprzątał w swoim pokoju i prał ubrania, a niektórzy nawet zmywali naczynia dla całej szkoły.

Świetnie byłoby mieć dostęp do Internetu, ale bez włamania do szkolnego sekretariatu...

Nic z tych rzeczy.

Nie mogę dawać tacie kolejnego pretekstu, żeby mnie tu trzymał. Przez ostatnie cztery miesiące nie miałem żadnej uwagi.

Kiedy koledzy z pokoju się wynieśli, nie miał z kim porozmawiać, ale to mu nie przeszkadzało. Na początku pobytu w Ali Saints znał kilka słów po hiszpańsku, a i tak dostawał uwagi za gadanie na lekcjach. Niektóre dzieciaki mówiły po angielsku, niektóre po chińsku, japońsku albo francusku, ale większość posługiwała się hiszpańszczyzną w różnych regionalnych odmianach, które powoli zaczynał rozróżniać. Zawsze miał talent do języków obcych, ale go nudziły.

Teraz miał dobry powód, żeby się nauczyć języka obcego, ale nie przyznawał się przed nikim, jak biegle go opanował. A to, co zwykle zdołał podsłuchać, nie poprawiało mu samopoczucia.

Ostatnie trzy tygodnie były fatalne. Jego telefon nie działał. Lane prosił o naprawienie aparatu, ale bez skutku. Kiedy zapytał nauczycielkę, czy mógł-

łby zadzwonić z jej telefonu do domu, wzdrgnęła się, jakby zaproponował seks na biurku.

Tego samego dnia dwóch zbirów gapiło się na niego na boisku takim wzrokiem, jakby był pierwszy na ich liście do odstrzału.

Co się stało trzy tygodnie temu.

Lane nie wiedział co i nie miał pojęcia, jakie mogą być tego przyczyny. Wiedział tylko, że z ucznia przeistoczył się w kogoś innego.

Czuł się więźniem.

I co z tego? Daję sobie radę z tymi dwoma *pendejos* od dwudziestu jeden dni. Dobrze mi idzie na zajęciach. Mój pokój jest zawsze czysty i porządkny. Nauczyciele mnie lubią.

A przynajmniej lubili jeszcze trzy tygodnie temu.

Kiedy mama mnie odwiedzi, zapytam od niechcienia, czy tata zmienił zdanie i czy mogę przyjechać do domu na tydzień. Albo na kilka dni.

Chociaż na jeden dzień.

Nawet na godzinę.

Bo kiedy tylko przekroczę granicę, za nic w świecie tu nie wrócę. Już wolę wylądować na ulicy...

Lane słuchał szumu fal i wmawiał sobie, że nie szepczą: „więzień, więzień, więzień”.

Ale nawet to syczące skandowanie było lepsze niż wspomnienie głosów dwóch drabów, którzy go przewracali, szturchali i kopali: „Mamy cię, *pato*. Już nie żyjesz. Dostaniemy się do twojego pokoju, obetniemy ci jaja i zmusimy, żebyś je zżarł”.

Lane próbował nie słyszeć szumu fal i głosów, które go prześladowały.

Nie jestem więźniem.

Nie boję się.

# Rozdział 1

Południowa Kalifornia, La Jolla  
Sobota, rano

**T**elefon zadzwonił cztery razy, zanim sędzia Grace Silva oderwała się od dokumentów.

Może to Ted.

Wreszcie.

Od wielu lat z mężem - od niedawna eksmężem - nie łączyło jej nic oprócz faktu, że był ojcem ich dziecka. I nawet jeśli czuła smutek z powodu nieudanego małżeństwa, zdawała sobie sprawę, że musi z tym żyć. Bardzo się starała, żeby rozwód i wszelkie związane z nim formalności przeprowadzić w sposób cywilizowany i dojrzały.

Ze względu na Lane'a.

Ale miała już serdecznie dość, że dzwoniło do niej o każdej porze dnia i nocy i proszono Theodore'a Franklina. To, że nadal podawał adres domku na plaży, w którym kiedyś razem mieszkali, wcale nie oznaczało, że rzeczywiście z nią tam mieszkał.

- Halo - rzuciła do słuchawki.

- A, senora - odezwał się jakiś mężczyzna. - Mówi Carlos Calderon. Chciałbym rozmawiać z pani mężem.

Grace nawet nie wspomniała, że Franklin już nie jest jej mężem. Skoro Calderon nie utrzymywał zażyłych stosunków z Tedem, nie miała powodu, żeby rozgłaszać wieści o rozwodzie.

- Teda tutaj nie ma - odparła ostro. I to od trzech tygodni, o czym powinien wiedzieć, do jasnej cholery, ponieważ albo ty, albo któryś z twoich współpracowników wydzwaniasz tu codziennie. - Próbował pan dzwonić do jego biura w Wilshire albo na komórkę, albo do biura w Malibu? - Albo do jego kochanki?

- *Si*, tak, wielokrotnie.
- Czy mogę panu jakoś pomóc?

Spodziewała się takiej samej odpowiedzi, jak w ciągu ostatnich trzech tygodni - grzecznego podziękowania i odmowy.

Ale Calderon westchnął i powiedział:

- Obawiam się, że musi pani natychmiast przyjechać do Ensenady.

Zacisnęła palce na słuchawce. Jako sędzia przywykła do wydawania dyspozycji, a nie do ich wykonywania.

- Słucham?

- Chodzi o pani syna, Lane'a.

- Co się stało? - zapytała szybko. - Ma kłopoty? Zachowywał się bez zarzutu przez...

- To nie jest temat na rozmowę przez telefon. Zobaczymy się za dwie godziny.

- Co się stało? - nalegała.

- Do widzenia, pani sędzio.

- Zaraz, zaraz. Proszę mi dać cztery godziny. Nie wiem, czy nie będzie kolejek na granicy.

- Trzy godziny.

Głos w słuchawce umilkł.

## Rozdział 2

Granica meksykańsko-amerykańska

Sobota, rano

Ruch na granicy był większy niż zwykle; na sześciu pasach dróg międzystanowych prowadzących na południe samochody jechały bardzo wolno i ciągle się zatrzymywały. Dobrze chociaż, że meksykańscy celnicy przepuszczali kierowców tak szybko, jak się dało. Może i nienawidzili Amerykanów, ale uwielbiali dolary. Zatrzymywali tylko te samochody, w których siedziały atrakcyjne kobiety.

Celnik w okularach przeciwsłonecznych za dwieście dolarów, który stał na pasie Grace, sprawiał wrażenie bardzo zaspanego. Wyćwiczonym, apatycznym machnięciem ponaglił jej ciemnozielonego mercedesa SUV-a do przejazdu, ale zobaczył Grace przez opuszczoną szybę. Pochylił się i podniósł dłoń, żeby się zatrzymała.

To samo przytrafiło się kabrioletowi na sąsiednim pasie, o trzy samochody dalej. W tamtym wozie siedziały dwie kalifornijskie blondynki, które szukały na południe od granicy szczypty grzechu i podniety.

- Dzień dobry, seniorita. - Celnik uśmiechnął się niemal lubieżnie. Używał grzecznych słów, ale nawet na chwilę nie oderwał wzroku od piersi Grace. -I dokąd to się pani wybiera w naszym pięknym Meksyku?

Grace czuła narastający gniew. Pozwalała jej choć trochę rozładować lęk o Lane'a, przez który miała sztywne plecy i zaciśnięte zęby. Już jako nastolatka musiała znosić tyle dumnych zachowań macho, że miała dość na całe życie. Naprawdę z ochotą nauczyłaby tego przygranicznego kowboja dobrych manier, ale nie warto było marnować czasu.

Babcia Marta nauczyła ją, kiedy walczyć, a kiedy robić unik.

„Musi pani natychmiast przyjechać do Ensenady”.

- Do Ensenady - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Dała celnikowi paszport. W okładce była laminowana karta identyfikacyjna Meksykańskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Rząd Meksyku wydawał takie karty, żeby ułatwić życie amerykańskim sędziom i urzędnikom.

Celnik uniósł gęste, czarne brwi, tak że były wyraźnie widoczne nad okularami przeciwsłonecznymi. Oddał Grace paszport i pomachał ręką.

- Proszę wybaczyć niedogodność, *licenciada* - powiedział szybko. - *Bienvenido*.

Grace wcisnęła guzik podnoszący szybę i przejechała granicę. Czasami nie wiedziała, co drażni ją bardziej: Meksyk, gdzie mężczyźni uważali się za lepszych od kobiet i nie bali się tego okazywać, czy Stany Zjednoczone, gdzie mężczyźni uważali tak samo, tyle że ci bardziej rozgarnięci nie obnosili się z tym.

Problemy latynoskiego *machismo* dobrze znała. Jej babka ze strony matki była Meksykanką - a to za sprawą zakończonej klęską rebelii magonistów w Baja Kalifornia w 1911 roku - tak jak pradziadek i dziadek ze strony ojca. W jej żyłach płynęło trochę indiańskiej krwi, a rodzinne drzewo genealogiczne obejmowało kilku przodków ze Szkocji, a nawet jednego Norwega. Jej ojciec miał irlandzko-meksykańskie korzenie, a matka kazachsko-meksykańskie. Babka była czystej krwi Kazaszka. Uciekła z nieudanej rewolty plemiennej, która wybuchła, gdy na azjatyckie stepy wdarł się komunizm.

Biurokraci przypisywali Grace latynoskie pochodzenie, ale ona sama uważała się za typowego, „wszechamerykańskiego” mieszańca.

Chociaż od trzynastego roku życia była wychowywana przez kazachską babkę w barrio w Santa Ana, nigdy nie czuła się dobrze w Tijuanie. A może nie lubiła Tijuany właśnie dlatego, że spędziła tam swoje nastoletnie życie. Zresztą to bez znaczenia. Starła się nie wracać pamięcią do dawnych czasów.

Tego też nauczyła ją Marta.

La Revo - tradycyjny wjazd do Tijuany, był pełen sex-shopów na wolnym powietrzu i hoteli, które odgrywały tu rolę burdeli albo noclegowni dla przebywających nielegalnie cudzoziemców, podążających na północ, do swojej Ziemi Obiecanej. Samotna kobieta w La Revo musiała ściągać na siebie uwagę; właśnie dlatego Grace unikała tego miejsca i wybrała nowe przejście graniczne w Otay Mesa.

Ominięcie La Revo wydłużyło podróż. Nie miała czasu, ale trudno - kolejny raz płaciła cenę za bycie kobietą w Meksyku, w świecie macho.

Na przejście w Otay wjechała aleją Szesnastego Września, przez Zona Rio. Mijała jeden międzynarodowy bank za drugim, luksusowe centra rozrywkowe, kolejne banki i bardzo ekskluzywne sklepy, w których mógłby zbankrutować nawet saudyjski książę.

Grace ignorowała te szykowne przybytki handlu jeszcze bardziej niż celników na granicy. W uszach ciągle dźwięczała jej rozmowa telefoniczna sprzed kilku godzin.

„Chodzi o pani syna, Lane'a”.

Skręciła na płatną drogę, która prowadziła na południe do Ensenady, i dodała gazu. Potężny silnik zaryczał radośnie. Dzięki klimatyzacji parne monsunowe powietrze nie było dokuczliwe.

Musiała jakoś sobie radzić z niepokojącymi myślami.

Ktoś zadzwonił na komórkę. Grace chwyciła ją, spojrzała na wyświetlacz i zatrzymała wóz na poboczu. Nie chciała jechać i jednocześnie prowadzić trudną rozmowę z amerykańskim senatorem.

Odebrała połączenie i usiłowała przybrać pogodny ton.

- Dzień dobry, Chad. A może w twojej strefie czasowej jest wieczór?

Senator Chadwick Chandler wydawał się zaskoczony.

- Ach tak, ta nowa tożsamość. Ciągłe zapominam, że masz telefon, który omija blokady. Przez chwilę myślałem, że jesteś jasnowiedzem.

- Jestem - starała się mówić bardzo spokojnie. - Właśnie tak odkryłam, że przez ostatni tydzień nie odebrałaś żadnego z moich telefonów.

Chandler się zaśmiał. W rzeczywistości był to śmiech ujmujący, przez telefon brzmiał, jakby Chandler dusił się oliwką w drugim kieliszku martini.

- Nie unikam mojej ulubionej sędzi federalnej - powiedziała. - W przeciwieństwie do was, kalifornijskich dzieciaków z ranczami koni i złocistą opalenizną zdobytą na desce surfingowej, my, wyrobnicy w stolicy, musimy pracować na dwie zmiany, żeby wyjść na swoje.

- Moja opalenizna to kwestia genów. Nie pływałam na desce od dwudziestu lat. A co do rancza i koni, to był pomysł Teda. Uznał, że to dobre miejsce dla imprez dobroczynnych, które urząda z myślą o takich ludziach, jak ty.



Skrzywiła się; czuła, że z jej tonu przebija zniecierpliwienie. Może właśnie dlatego Calderon wolał z nią rozmawiać osobiście. Nie umiała beztrzesko gawędzić przez telefon. Nie miała na to czasu.

- Poparcie, twoje i Teda, dużo znaczy - powiedział senator. - Zawsze podkreślam, jak bardzo was cenię, nawet jeśli nie od razu oddzwaniam. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Możesz mi powiedzieć, czy nominacja jest zagrożona.

- Te rzeczy wymagają cierpliwości.

- Rozumiem - odparła Grace, starannie dobierając słowa. - Ale nie zabiegałam o posadę w federalnym sądzie apelacyjnym. Złożono mi taką propozycję. Od dwóch miesięcy wazą się moje losy. Jeśli nominacja nie przejdzie, muszę to wiedzieć, żeby się zabrać do zaległych spraw, a nie grać na zwłokę i czekać, aż będę mogła prowadzić rozprawy okręgowe.

Senator westchnął cicho i spojrzął na tłuste denko kieliszka z martini. Już wolałby mieć do czynienia z Tedem niż z jego żoną tygrysią, która nie dawała się poskromić.

- Załatwianie twojej nominacji do sądu okręgowego trwało trzy miesiące - zauważył. - Awans do sądu apelacyjnego będzie bardzo uważnie rozpatrywany.

Grace zwracała uwagę na ton głosu senatora, a nie na jego słowa. Zerknęła na zegarek. Mogła przeznaczyć na tę rozmowę nie więcej niż trzy minuty.

- Darujmy sobie szczegóły. Owijasz w bawełnę, a to znaczy, że coś jest nie tak.

- Wcale nie. Po prostu na tym szczeblu sprawdzanie trwa o wiele dłużej, a układy stają się o wiele bardziej skomplikowane. Wciąż jestem przekonany, że zostaniesz nominowana przez Biały Dom i zatwierdzona przez Senat jako najmłodsza kobieta w federalnym sądzie apelacyjnym. Już nie wspomnę, że najładniejsza.

- Przestań.

Chandler wydawał się zaskoczony.

- Co?

- Przestań mówić do mnie protekcyjnym tonem. Właśnie miałam do czynienia z lubieżnym meksykańskim celnikiem. Jeszcze jedno takie pochlebstwo i dostanę szału. - Znowu się skrzywiła, słysząc własny ton. Znała Chada Chandlera od dziesięciu lat. Jak na polityka, zawsze zachowywał się dżentelmeńsko. - Przepraszam - dodała szybko. - Wywiera się na mnie presja z wielu stron i usiłuję zrozumieć, co się dzieje z tą nominacją. Czy opóźnienie ma związek z rozwodem?

- Do diabła, nie, nic podobnego. Mamy przecież XXI wiek.

Zapadło dłuższe milczenie.

Senator wypił kolejny łyk martini. Grace znów spojrzała na zegarek.

- No to co stoi na przeszkodzie? Przecież już zostałam sprawdzona aż do moich pradziadków. Niczego nowego nie uda się przeciwko mnie wyciągnąć. Znowu cisza.

Senatorskie westchnienie.

- No cóż - powiedział niechętnie. - Jest coś, co kilka osób na drugim końcu Pennsylvania Avenue chce zbadać.

- Mianowicie?

- Chodzi o twojego syna. Jak się ma Lane?

Grace przeszył wstrząs, jakby się otarła o niez izolowany drut pod napięciem.

- Dobrze. - Próbowwała zdusić panikę, która mogła w każdej chwili wybuchnąć i zniszczyć fasadę profesjonalnego opanowania. - Dlaczego pytasz? Co Lane ma z tym wszystkim wspólnego?

- Kiedy usłyszałem o jego kłopotach z narkotykami, zaniepokoiłem się, jak niektórzy ludzie w Białym Domu. Wiesz, jakie mogą być z tego problemy.

Grace słyszała jakby słowa były przepuszczane przez zniekształczacz dźwięku. Odbierała drżący ton i dudnienie, ale do jej uszu w ogóle nie dochodziło znaczenie słów.

Kłopoty z narkotykami. Kłopoty z narkotykami.

- Ja... -wydusiła.

- To powód do niepokoju - przerwał jej Chandler. - Na ostatnim posiedzeniu była podobna sytuacja. Córka nominowanego prawnika brała kokainę i opozycja wykorzystała to, twierdząc, że kandydat będzie tolerował zażywanie miękkich narkotyków. Niewiele brakowało, żeby nominacja została zablokowana.

Grace z trudem przełknęła ślinę.

- Nikt nie chce takich komplikacji na szczeblu sądu apelacyjnego - ciągnął senator. - W dzisiejszych czasach mamy niewielką przewagę, a w dodatku sytuacja zmienia się z godziny na godzinę. Z pewnością rozumiesz, dlaczego jesteśmy tacy ostrożni.

Osiemnastokółowa ciężarówka przemknęła obok Grace. Pęd powietrza lekko zepchnął SUV-a.

- Lane nie ma problemów z narkotykami - oświadczyła Grace.

Senator zawahał się, westchnął, wypił następny łyk.

- Słuchaj, to nic wielkiego. Zdarza się w każdej rodzinie i nikt nie twierdzi, że to zaważy na twojej nominacji. Biały Dom po prostu chce mieć pewność, że nie będzie niemiłych niespodzianek.

- Hm, ja właśnie doświadczyłam niemiłej niespodzianki - odparowała Grace. - Kto ci nakładł do głowy, że Lane zażywa narkotyki?

- Nikt nie musiał tego robić. To w pewnym sensie oczywiste.

- Bo jest nastolatkiem z La Jolla?  
- Bo przebywa w ośrodku odwykowym w Ensenadzie - odparł senator.  
- Ali Saints School jest prywatną szkołą na plaży na północ od Ensenady. To jedna z najlepszych szkół średnich na całym świecie. Prowadzi ją Kościół rzymskokatolicki, a dzieci są tu przysyłane przez najznamienitsze rodziny Tijuany, bogate rody z Ameryki Południowej, Europy i Azji. To nie odwykówka.

- Grace, przykro mi, jeśli cię uraziłem. Nie miałem takiego zamiaru.

- W porządku, pod warunkiem, że wszyscy rozumieją, że nie wysłaliśmy Lane'a do All Saints po to, żeby znalazł się w środowisku wolnym od narkotyków. Proszę, powiedz swoim informatorom, kimkolwiek są, prawdę o szkole Lane'a.

Kolejna chwila milczenia. Ciche siorbnięcie, potem westchnienie. Wreszcie Chandler burknął:

- Dziwne. Trudno mi powiedzieć, kto poruszył ten temat. Zdaje się, że po prostu odniosłem takie wrażenie.

Chociaż Grace umierała ze strachu, postarała się, żeby jej głos zabrzmiał spokojnie:

- No cóż, skoro od miesiący nie rozmawiasz ze mną o Lanie i nikt w D.C. nie zna dobrze mojego syna, tylko i wyłącznie Ted mógł ci podsunąć tę kłamliwą opinię.

- Hm, to może być bliskie prawdy...

- Kiedy rozmawiałeś z Tedem?

- Dwa tygodnie temu.

- Widziałeś się z nim? - Grace wiedziała, że mówi zbyt ostrym tonem, ale nie mogła się powstrzymać.

- Był w D.C. przez kilka godzin. Na jakimś tajnym spotkaniu. Zatrzymał się przy Wzgórzu, żeby się przywitać.

Cicho odetchnęła. A więc ktoś widział Teda w ciągu ostatnich dwóch tygodni. To już coś.

- Mówił, dokąd się wybiera? - zagadnęła.

- Nie.

- Wiesz, gdzie jest teraz?

- Nie. Martwisz się?

- Nie miałam żadnych wieści od Teda od przeszło trzech tygodni - wyjaśniła. - Liczyłam, że skontaktuję się z nim za twoim pośrednictwem.

- Coś się stało? Między wami? Myślałam, że wasz rozwód przebiegł bardzo spokojnie.

- Tak, ale... Po prostu miałam pecha, myślałam, że Ted przejawia inicjatywę, okaże się ojcem, jakiego Lane zawsze chciał mieć.....

Kolejna ciężarówka przetoczyła się obok mercedesa Grace: w bardzo parnym powietrzu odgłos olbrzymiego silnika przypominał bekanie.

- Nieważne - powiedziała w końcu. - Ale jeśli Ted do ciebie się odezwie, przekaż mu, żeby skontaktował się ze mną. Mam dość odbierania telefonów do niego. Wiele osób złości się na mnie, bo nie może do niego dotrzeć.

Senator zakaszłał.

- Jasne. Trzymaj się, Grace. Potrzebujemy w sądzie apelacyjnym takich kobiet, jak ty.

- Mężczyzn też - odparowała, ale ze śmiechem. - Do widzenia, Chad. I dzięki.

Szybko wjechała z powrotem na płatną drogę, zostawiając za sobą strugę błota i zastanawiając się, czy Calderon miał na myśli właśnie narkotyki.

## Rozdział 3

Tijuana, Meksyk

Sierpień, sobota, 12.12

Joe Faroe wyszedł przez frontowe drzwi Tijuana Tuck & Roli, niosąc półmetrowy kawałek abstrakcyjnie rzeźbionego dębu. Sklep, w którym wykonano dębową rzeźbę, znajdował się w tym samym miejscu od przeszło czterdziestu lat. Kiedyś była to mekka dla gringo, którzy uwielbiali surfing i podrasowywanie starych bryk. Przekraczali granicę, żeby skorzystać z tanich warsztatów samochodowych.

Kiedy dziergane na drutach angorowe zawieszki w kształcie kości do gry i ręcznie zszywane skórzane siedzenia wyszły z mody, sklep przestawił się na inną branżę.

Nic dziwnego, że w miasteczku, które żyło z przemytu, produkowano znakomite skrytki.

Wyroby Tijuana Tuck & Roli były powszechnie znaną tajemnicą, dzięki której Meksyk świetnie prosperował. Sklep otaczało solidne ogrodzenie z siatki, zwieńczone nieregularnymi, śmiertelnie niebezpiecznymi pętlami z drutu ostrzowego, które mogłyby pociąć człowieka na strzępy.

Joe Faroe dobrze to wiedział. Jak i to, w czym naprawdę specjalizuje się sklep, który handluje tapicerką samochodową.

Znał się na tym. Sam to kiedyś robił.

Nigdy więcej.

Zerknął na drugą stronę ulicy. Facet ciągle tam stał w cieniu drzwi, oparty o ścianę. Odwrócił wzrok, kiedy zauważył spojrzenie Faroeo, ale nie ruszył się z miejsca.

Faroe doszedł do wniosku, że to gliniarz.

Nieznajomego zdradzała skórzana kurtka i wydatny brzuch. Niektórym gliniarzom nieźle się powodziło.

No dobra, czy to meksykański gliniarz, czy Amerykanin pracujący na południe od granicy, który próbuje przetestować nową przemytniczą sztuczkę?

Chce kogoś zaaresztować czy tylko przetrzepać?

Faroe zamknął za sobą siatkową furtkę i patrzył na gliniarza. Skórzana kurtka funkcjonariusza była prawie tak samo droga, jak kurtka Faroeo.

Gliniarz udawał, że nie istnieje.

Faroe wciąż na niego patrzył.

W końcu policjant spojrział na niego niedbale i pokiwał głową. Był starym wygą. Wiedział, że jest spalony.

- Miłego dnia! - zawołał Faroe.

Gliniarz wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby zapalić papierosa.

Faroe ruszył krzywym, zdradzieckim chodnikiem w kierunku La Revo. Samochód miał zaparkowany w Chula Vista, a przez granicę - La Linea - przedostał się na piechotę. Teraz potrzebował taksówki, żeby wrócić do amerykańskiego przejścia. Przy pomalowanym pasami *burro* na rogu La Revo i Calle Cinco zawsze stały taksówki.

Gliniarz już dawno skończył palić i rozmawiał przez telefon komórkowy albo radio. Faroe nie umiał z dużej odległości ocenić, jaki to był aparat, ale nie zależało mu na tym. Po raz pierwszy od wielu lat miał idealnie czyste sumienie.

Powietrze zalatywało ściekami i *tacos* nadziewanymi mięsem skorupiaków. Chodniki były brudne i popękane, pełne przygarbionych żebraków *indio* i sprzedawców pamiątek. Jak zawsze, dominowała tu zbieranina alfonsów, złodziejasków i zwykłych ludzi, którzy usiłowali jakoś przeżyć. Sprzedawali skórzane pudła, drewniane zabawki w jaskrawych kolorach i T-shirty sławiące uroki rozmaitych rzeczy, od narkotyków po seks analny. Sklepy były prymitywne i kiepsko zaopatrzone. Bary reklamowały występy tancerek *lap dance*, a obok podejrzani farmaceuci w białych fartuchach oferowali viagrę po promocyjnych cenach i niezawodne lekarstwa na raka.

Turystyczna dzielnica Avenida Constitución próbowała wyglądać godnie, ale zalatywała nielegalnymi transakcjami, szemranymi rozkoszami i łatwym występkiem. Tania trawka, tani alkohol, tani seks; to, co purytanie wykurzyli z San Diego, przeniosło się kilka kilometrów dalej na południe, do Tijuany.

Faroe kroczył po dzielnicy, w której kiedyś mieścił się niesławny Blue Fox. Co kilka kroków zaczepiali go barowi naganiacze.

- Hej, facet, chcesz jakąś dupę? Może się trochę zabawisz? Mamy tu ładne dziewczyny, wejdź.

Chudy mężczyzna z cieniutkim czarnym wąsem dołączył do tekstu efekty dźwiękowe - ściskając palcami policzki, wydawał mlaszczący odgłos, który miał się kojarzyć z seksem.

Odkąd Faroe skończył piętnaście lat, nasłuchiwał się tyłu rozmaitych zaczepek, że już nic go nie dziwiło. Kiedyś śmiał się z tanich sztuczek. Potem zobojętniał. Teraz czuł obrzydzenie.

Nie miał pojęcia, czy to oznacza poprawę.

Machnął na przejeżdżającą żółtą taksówkę i wsiadł na tylne siedzenie ze swoją paczką. Kierowca spojrzał na niego w lusterku wstecznym i obdarzył go wywiczonym uśmiechem od ucha do ucha.

- Mogę znaleźć panu wszystko, senior. Dziewczyny? Znam miejsce, gdzie pracują czyste.

- La Linea - rzucił Faroe. - Wracaj przez Zona Rio.

Kierowca spojrzał na oczy Faroe, zamknął się i skręcił na północ.

Po trzech minutach taksówka opuściła zatłoczone, ohydne ulice Starego Miasta. Teraz Faroe rozglądała się po szerokich, zadbanych bulwarach. Kiedy przyjechał do Tijuany pierwszy raz, nadrzeczna dzielnica była jak otwarty rynsztok na bagnistym terenie. Ludzie pozbywali się nieczystości poprzez ujście rzeki Tia Juana do oceanu na Imperial Beach, w Stanach Zjednoczonych.

Rzeką nadal płynęły ścieki, ale teraz podziemnym kanałem. Na górze były ulice, takie jak Paseo de los Heroes, gdzie można było znaleźć międzynarodowe centra handlowe na światowym poziomie.

Sklepy. Dyskoteki. Kluby nocne. Restauracje.

Banki.

Mnóstwo banków.

Wyglądały skromnie w porównaniu do tych w San Diego, ale w sąsiedztwie jedno- i dwupiętrowych budynków w pozostałej części Tijuany wydawały się gigantyczne, błyszczące, nowe. Prawdziwe świątynie pieniędzy.

Widać, jak może się zmienić miasto, kiedy wpakuje się w nie trzydzieści miliardów dolarów, pomyślał Faroe. Szkoda tylko, że te miliardy pochodzą głównie od narkomanów i dilerów z getta i z *barrio* na północ od granicy.

Ale to nie był już jego problem. Do diabła ze Steele'em i St. Kilda Consulting. Miał serdecznie dość życia w czarno-białym świecie zagmatwanych powiązań, w którym spędził całe swoje dorosłe życie.

Niech inny głupek naraża tyłek, żeby ratować świat, który nie chce być uratowany. Walcie się i serdeczne dzięki.

Mimo wszystko Faroe nadal współczuł biednym obywatelom w TJ, którzy nie brali udziału w toczącej się wokół nich grze o pieniądze. Z trudem wiązali koniec z końcem, podczas gdy cała reszta pławiła się w przemytniczym dostatku jak paczek w maśle.

Szkoda, ale guzik mogę zrobić. Odłożyłem złamaną lancę i wypuściłem biednego starego Rozynanta na pastwisko.

A jeśli Steele tego nie rozumie, to niech wsadzi sobie to wszystko tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Taksówkarz wysadził Faroeo w pasie przygranicznym. Faroe poszedł kolejną ulicą zapełnioną aptekami i stoiskami z pamiątkami. Przeczną dalej na południe od granicy sklepy ustępowały miejsca biurom podróży reklamującym na wystawowych oknach przejazdy do Los Angeles i Central Valley, Wenatchee i Burlington, i Spokane, trzy tysiące kilometrów dalej. Kansas, Chicago, Nowy Jork, Kolorado, pola bawełny na Południu; wszystkie te spragnione taniej siły roboczej miejsca były reprezentowane przez naganiaczy, którzy rywalizowali między sobą o zapełnienie swoich limitów świeżym mięsem.

Faroe minął długi wężyk chętnych, którzy czekali na wizę przed biurami Urzędu Ochrony Granicy. Jak przystało na kogoś z dużym doświadczeniem, przepchnął się przez obrotowe drzwi, które prowadziły do wielkiej jak audytorium sali operacyjnej.

Ostatni etap przed wkroczeniem na amerykańską ziemię.

Inspektor celny w niebieskiej koszuli i z bronią u boku zauważył paczkę Faroeo i wskazał aparat rentgenowski.

Faroe położył pudełko na pasie transmisyjnym i czekał. Drugi celnik wpatrywał się w ekran skanera, przeglądając zawartość paczek i toreb.

Faroe swobodnie przeszedł przez wykrywacz metali. Był ciekaw, co się stanie. Nie pracował już w tej branży, ale chciał sprawdzić, jak spisze się jego sekretny sejf podróży.

Operator skanera zatrzymał pas - długo i uważnie przyglądał się starannie spiłowanemu drewnu dębu. W upiornym, niebieskim świetle rentgena było wyraźnie widać zarys szuflady.

Inspektor z nazwiskiem Davison na plakietce cofnął pas i znów skontrolował drewnianą skrzynkę. Spojrzył jeszcze raz, potem dotknął klawisza przy swoim łokciu.

Kątem oka Faroe dostrzegł dwóch następnych celników przy skanerze.

- To pana? - zapytał spokojnie Davison.

- Tak.

Czyjaś ręka dotknęła łokcia Faroego i ktoś powiedział neutralnym tonem:

- Proszę ze mną.

Jeden z inspektorów zablokował Faroemu odwrót do Meksyku. Drugi zagroził mu przejście do Stanów Zjednoczonych. Obaj mężczyźni trzymali ręce na kolbach pistoletów.

- Jasne - powiedział Faroe do stojącego przy nim inspektora. - Mam zabrać skrzynkę?

- Nie trzeba. My się tym zajmujemy.

Inspektor nadzorujący zdjął skrzynkę z pasa i poszedł pierwszy. Faroe ustawił się za nim; cały czas trzymał ręce na widoku. Najwyraźniej rentgen wykrył jedną z szufladek. Najważniejsze było pytanie, czy wykrył też drugą.

Tabliczka na drzwiach głosiła: POWTÓRNA KONTROLA. W środku: biurko i dwa zniszczone krzesła z prostym oparciem. Dwóch strażników odeskortaowało Faroego do drzwi. Potem wrócili na stanowiska.

Inspektor nadzorujący, Jervis, postawił skrzynkę na stole i spojrzał chłodno na Faroego.

- Jak na kogoś, kto ma duże kłopoty, wydajesz się całkiem spokojny.

W trakcie swojej kariery Faroe poświęcał wiele uwagi punktom granicznym: dobrze znał całą tę grę. Inspektorzy celni świetnie potrafili czytać mowę ciała. Wyraz twarzy Faroego, postawa nie mogły budzić najmniejszych podejrzeń.

- Jestem czysty - oznajmił. - Dlatego się nie denerwuję. Sam pan widział, że w skrzynce nic nie ma.

Jervis pokazał paczkę, spojrzał na paszport Faroego i powiedział:

- Chce pan o tym pomyśleć, zanim wpakuje się pan w jeszcze większe kłopoty, Faroe?

- O czym tu myśleć? Jestem czysty.

- Proszę wyjąć zawartość kieszeni na stół. Potem oprzeć się o ścianę, z rękami w górę, z rozstawionymi nogami. Zrozumiano?

Faroe mógłby się spierać, ale mu się nie chciało. Jervisowi płacono za ośmiogodzinną zmianę. Mógł wydać te pieniądze na Faroego albo podzielić się bogactwem z następną setką ludzi czekających w kolejce.

- Tak, zrozumiałem. - Faroe opróżnił kieszenie, przyjął wymaganą pozycję i poddał się dokładnej, profesjonalnie przeprowadzonej rewizji. - Spokojnie. Nie mam przy sobie broni.

- Panie Faroe, dożyłem swojego wieku dzięki temu, że jestem ostrożny. - Jervis obmacał zatrzymanemu łydki i kostki, potem się wyprostował. - Proszę wrócić do stołu i zabrać swoje rzeczy.

Faroe zgarnął swoje klucze, drobniaki, paszport i banknoty. Kiedy włożył rzeczy do kieszeni, Jervis rozdarł opakowanie, aż odsłonił całą, długą na



sześćdziesiąt centymetrów skrzynkę. Drewno było piękne. Jervis mocno potrząsnął skrzynką.

Nie było słychać żadnego grzechotania.

Jervis chrząknął.

- Na skanerze wyglądało jak wydrążone drewno. My tu takich sztuczek nie lubimy. Ma pan duże kłopoty.

- Nie mam, chyba że od czasu, gdy nosiłem niebieską koszulę i byłem celnikiem, zmieniły się przepisy - odparł Faroe. - Skrzynka jest pusta.

- A więc to schowek. Sam pan przyznaje.

- To jest dokładnie to, co podałem w deklaracji celnej: szkatułka na biżuterię. Ładny kawałek drewna, do którego żona będzie mogła wkładać pierścionki.

Jervis popatrzył na niego uważnie.

- Naprawdę był pan celnikiem? Gdzie? Tutaj?

- Tak. - Faroe wzruszył ramionami. - Dawno temu.

Jervis dokładnie obejrzał wyrób. Prawie po minucie pokazał jeden z rogów.

- Tam - oświadczył. - Widzę brzeg pokrywki. Ledwo, ledwo. Niezła robota.

Faroe nie przejmował się, że inspektor odkrył zarys części skrzynki. Całość miała być zainstalowana w zębie łodzi, w której akurat brakowało sześćdziesięciu centymetrów drewnianego wypełnienia. Po wykonanej przez Faroego obróbce drewna, nawet ktoś, kto wiedział, że skrytka jest w zębie, musiałby nieźle się namęczyć, żeby ją znaleźć.

- Szkatułka na biżuterię, co? - Inspektor jeszcze raz uważnie obejrzał przedmiot, szukając zatrzasku opuszkami palców. - Chyba tylko tu mógłby się znajdować zatrzask.

- Tak?

Jervis poszturczał okrągły, jednocalowy sęk, jedyne wybrzuszenie na drobnoziarnistej powierzchni dębu. Nic się nie poruszyło.

- Hm.

- To nie ma znaczenia - powiedział Faroe. - Prześwietlił ją pan. Jest pusta.

Jervis wciągnął powietrze przez przednie zęby.

- Powinienem skonfiskować i spalić skrzynkę.

- To byłby bezprawny zabór mienia.

Milczenie przeciągało się. Inspektor celny kołysał się na obcasach swoich skórzanych butów i obserwował zachowanie Faroego.

- Wyoś się pan - warknął w końcu i kiwnął gwałtownie w kierunku przejścia do Ameryki. - Ale może pan zwolnić swojego proktologa, bo jak włączyć pańską cwana dupę do danych komputerowych, będzie miał pan bardzo osobistą rewizję za każdym razem, na każdej granicy.

Faroe skinał głową.

- Miłego dnia.

Podniósł skrzynkę i poszedł do drzwi. Zamaszystymi krokami udał się do swojego samochodu, żeby pojechać do banku Oceanside Federal, gdzie miał skrytkę. Jeśli dopisze mu szczęście, zanim Steele znowu zacznie go kusić jakimś zadaniem niemożliwym do wykonania przez nikogo innego, będzie już nad morzem, z idealnie oszlifowanymi brylantami w zębie, wartymi kilkanaście milionów dolarów.

Faroe ciężko zapracował na swoją emeryturę. I zamierzał dobrze się bawić. I dość już ratowania ludzi przed ich własną głupotą.

## Rozdział 4

Szkoła Ali Saints

Sobota, 12.20

Nieoczekiwany zator na płatnej autostradzie kosztował Grace dziesięć minut niepokoju. Spoceni *federales* ściskali karabiny maszynowe i zaglądali do samochodów. Teraz znajdowała się przed kolejnym posterunkiem na zadbanej, nieutwardzonej drodze, która prowadziła do Ali Saints.

Na środku drogi stał starannie wygolony mężczyzna w lewisach i luźnej, bawełnianej guayaberze. Z długiego, skórzanego paska na jego ramieniu zwisał czarny karabin maszynowy. Mężczyzna oparł łokcie na swojej broni i patrzył na nadjeżdżającego SUV-a. Z wyjątkiem przewiewnej koszuli, wyglądał dokładnie tak, jak śniadzi, spoceni funkcjonariusze na płatnej autostradzie.

Karabin był z pewnością tego samego typu.

Grace nienawidziła broni. Miała pistolet, potrafiła go użyć, ale i tak go nie znosiła; nie cierpiała tego, co posiadanie broni sugerowało: że prawo nie jest w stanie ochronić wszystkich, wszędzie i o każdej porze.

Oprócz uzbrojonego mężczyzny na środku drogi zauważyła jeszcze czarnego suburbana z mocno przyciemnionymi szybami, zaparkowanego na poboczu. Drzwi od strony kierowcy i pasażerów były otwarte. W samochodzie siedziało dwóch strażników. Jeden miał na sobie levisy i T-shirt, a drugi czarny garnitur, białą koszulę i krawat.

Obaj trzymali na kolanach karabiny szturmowe.

Grace niechętnie zatrzymała wóz i wyciągnęła paszport.

- Przyjechałam zobaczyć się ze swoim synem.

Strażnik wytrzeszczył oczy, kiedy przeczytał jej dane. Jego prawa ręka opadła do karabinu. Palec wskazujący powędrował na spust. Mężczyzna odwrócił się i gwizdnął do facetów z suburbana. Człowiek w garniturze podniósł mikrofon radioodbiornika i zaczął mówić.

Grace czekała, siłąc się na obojętność. Nie tylko karciarze mieli twarze pokerzystów. Sędziowie też. Doskonale potrafiła przybierać nieodgadnione miny.

Ale w głębi duszy cholernie się bała.

„Ta sprawa nie nadaje się na rozmowę przez telefon”.

- Proszę otworzyć okna, *por favor* - powiedział strażnik stojący na drodze.

Mówił grzecznym tonem, ale to nie była prośba.

Grace wcisnęła guziki i do pojazdu wdarło się ciepłe, wilgotne powietrze. Słońce schowało się za metaliczną mgiełką monsunowej wilgoci, a temperatura utrzymywała się w granicach trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza.

Dlatego tak się pocę. Jest gorąco.

Ale to był zimny pot.

Młody strażnik okrążył mercedesa. Ostrożnie zaglądał w otwarte okna, upewniając się, że miejsce na bagaż jest puste.

Mężczyzna w garniturze ciągle coś nadawał. Grace nie słyszała go, ale po tym, jak na nią spoglądał, domyśliła się, że mówił o niej.

Strażnik z karabinem maszynowym zakończył inspekcję i zerknął przez ramię. Mężczyzna w suburbanie przełączył się na odbiór. Chwilę słuchał, potem skinął głową.

- Droga wolna, senora, ale proszę jechać prosto na boisko - zarządził strażnik.

- Dlaczego? Czy coś...?

- Boisko futbolowe - przerwał jej i niecierpliwie machnął ręką, żeby jechała naprzód. Palec nadal trzymał na spuście.

Niepokój Grace ustąpił miejsca wściekłości. Już miała powiedzieć strażnikowi, jaki z niego arogancki kretyń, ale zwróciła uwagę na dół jego luźnej koszuli. Materiał zaczepił się o pasek, odstaniając błyszczącą odznakę w skórzanym uchwycie.

Rozpoznała tę odznakę. Wydawał ją ten sam urząd, który wydał jej meksykański dowód osobisty - Ministerstwo Sprawiedliwości.

- Czy jest pan policjantem federalnym? - zapytała szybko.

Strażnik powiódł wzrokiem za jej spojrzaniem. Szarpnął połą koszuli, żeby zasłonić odznakę.

- Jazda - rozkazał. *-Andale. Ahora.* Już, szybko!

Kiedy Grace zawahała się, strażnik przesunął broń. Lufa zatoczyła łuk i znalazła się przy twarzy Grace. Tak blisko, że pani sędzia mogła zajrzeć w czarne oko wylotu.

Wcisnęła pedał gazu.

Wielkie opony SUV-a zabuksowały, rozpryskując żwir i piasek. Strażnik odskoczył do tyłu i krzyknął coś, czego Grace wolała nie zrozumieć.

Pragnęła tylko zobaczyć Lane'a, przytulić go, dowiedzieć się, co się dzieje.

Dojechała do boiska w niespełna minutę. Znajdowało się na terenie szkoły, na parceli między budynkiem administracyjnym i piaszczystymi klifami, które opadały ku oceanowi. Po obu stronach starannie przystrzyżonej trawy stały tłumy widzów, pokrzykujących i gwizdzących.

Grace wjechała na wolne miejsce za linią mety i zgasiła silnik. Rozejrzała się niespokojnie po boisku. Tak bardzo chciała zobaczyć syna.

Tam! Dzięki Bogu.

Miała wrażenie, że Lane płonie jak pochodnia na środku boiska. Poruszał się szybko i z gracją. Wyglądał bardziej na dwadzieścia niż na piętnaście lat. Spokojnie dryblował między dwoma osaczającymi go obrońcami. W ostatniej chwili skoczył nad ich nogami, potem ruszył z piłką na bramkę.

Może to przez zapach powietrza, gorącego i parnego od nadciągającej burzy. Może sprawił to sam Lane, szczupły i zwinny. W każdym razie Grace przypomniała sobie nagle coś, o czym tak bardzo starała się nie pamiętać: dzień sprzed szesnastu lat, kiedy zrezygnowała z narzuconej sobie dyscypliny i spędziła długi weekend z Joem Faroem, jedynym mężczyzną, który wydawał się wart ryzyka.

Rytmiczne uderzenia monsunowego deszczu, szczupłe ciało Faroego, tak cudownie dopasowane do jej kształtów, wzajemne uniesienia, uwolniona kobiecość, która domagała się coraz więcej, dawała i brała coraz więcej...

Grace energicznie potrząsnęła głową, wypierając te wspomnienia. Kiedy poślubiła Teda, naprawdę nie wiedziała, kto jest ojcem dziecka rosnącego w jej łonie - Ted czy Faro. Więcej okoliczności przemawiało za Tedem.

A kiedy trzymała dziecko w ramionach, nie dbała o to, kto jest jego ojcem. Po raz pierwszy w życiu była bezgranicznie zakochana. Malutkie rączki Lane'a, idealne paznokcie i śliczne, błogie, leszczynowe oczy były jej światem.

Urósł tak szybko.

Zbyt szybko.

Nie chciała, żeby grał w piłkę nożną, ale w końcu ustąpiła. Doszła do wniosku, że to bezpieczniejszy sport niż amerykański futbol. Teraz była zadowolona

na, że pozwoliła synowi rywalizować z innymi zdrowymi, młodymi mężczyznami. Podobnie jak jego biologiczny ojciec, był typem sportowca.

Lane zmierzał slalomem do strefy ataku, grając tak, jakby piłka była przedłużeniem jego ciała. Nagle ze wszystkich stron zbiegli się obrońcy.

Mój Boże. Są o wiele więksi od Lane'a. Starsi, silniejsi.

Lane parł do przodu, chociaż zawodnicy z jego drużyny zostali w tyle. Obrońca w czerwonej bandanie zwiniętej w opaskę rzucił się na niego; widać było, że chce kopnąć przeciwnika, a nie piłkę. Lane podskoczył, ale podcięty w locie stracił równowagę i runął na ziemię.

Grace wyciągała rękę do drzwi auta, kiedy powietrze przeszył gwizdek sędziego. Podczas gdy koledzy z drużyny Lane'a zbierali się wokół niego, sędzia wyciągnął z kieszeni szortów żółtą kartkę i pomachał nią w stronę faulującego. Gracz spokojnie się podniósł i spojrzął na Lane'a tak, jakby chciał go wzrokiem zniechęcić do wstawania.

Lane pokręcił głową i dźwignął się na nogi. Okrążył sędziego, próbując dojść do atakującego go zawodnika. Kiedy ten stanął twarzą w twarz z Lane'em, było widać, że jest o wiele starszy od swojej ofiary i szerszy w barach. Czerwona bandana nie pozwalała czarnym, długim do ramion włosom zakryć jego przystojnej twarzy, z rysami *mestizo*. Mógł być równie dobrze żołnierzem, nie tylko sportowcem. Uśmiechał się spokojnie, zimno.

Sędzia wkroczył między dwóch zawodników, machając rękami i szybko mówiąc.

Po chwili Lane odwrócił się i pobiegł do swoich kolegów, w oczekiwaniu na zarządzone przez sędziego rzuty.

Grace poczuła, że znowu jest w stanie oddychać. Jej syn miał temperament. Był odważny, ale nie zawsze ostrożny.

Zupełnie jak Joe Faroe.

Kiedy gra została wznowiona, Grace usłyszała lekkie pukanie w szybę po stronie pasażera. Podniosła oczy i zobaczyła dobrotliwą, śniadą twarz Carlosa Calderona. Szczerzył zęby w uśmiechu, trzymając w ustach czarne hawańskie cygaro. Dał znak, żeby otworzyła drzwi.

Obok Calderona pojawiło się więcej mężczyzn uzbrojonych w długie strzelby przewieszane przez ramię albo niedbale trzymających karabiny maszynowe. Mieli taki sam zaczepny wzrok i bezczelne manery, jak strażnik przy bramie.

Czy oni też posiadają odznaki policji federalnej?

Grace w milczeniu odblokowała drzwi i zabrała torebkę z fotela pasażera. Najpierw pomyślała, że poprosi Calderona, żeby nie wsiadał z cygarem. Potem postanowiła trzymać buzię na kłódkę i być uniżoną kobietą, jakiej Calderon

oczekiwał w Meksyku. Irytowało ją to, ale nie tak bardzo jak widok Lane'a, który był traktowany niezgodnie z regułami gry, popychany, tratowany i przewracany na ziemię.

Wyciągnęła rękę, żeby uniknąć kordialnego meksykańskiego powitania.

- Witam, panie Calderon.

- Bardzo mi miło panią widzieć - powiedział Carlos nienaganną angielszczyzną.

Skinieciem głowy, które przypominało ukłon, wziął jej dłoń we własną, miękką i wymanikiowaną. trzymał jej palce odrobinę dłużej, niż trzeba. Może przypadkowo. Ale być może przypominał w ten sposób, że to on ma władzę.

To on narzuca standardy grzeczności, nie ona.

- Jestem bardzo rozczarowany, że nie zdołała pani przekonać pana Teda do przyjazdu - powiedział Calderon.

Grace cofnęła rękę.

- Mówiłam już, że Ted wyjechał.

Calderon z gracją wzruszył ramionami. Mieszkał po obu stronach granicy, ale urodził się w Ameryce. On i Grace chodzili nawet do tego samego prywatnego liceum w Santa Ana. Ale tutaj był *todo mexicano* i zachowywał się oficjalnie, jak meksykański biznesmen.

Grace wolała amerykańską wersję Calderona.

- Byłam zajęta - odparła spokojnie. - Nie rozmawiałam z Tedem od dawna. Nie miałam okazji, żeby przekazać pana wiadomość.

Calderon wypuścił dym z papierosa.

- Wielka szkoda.

- Jest pan bardzo ważnym klientem Edge City Investments - powiedziała Grace. - Dlaczego po prostu nie zadzwoni pan do firmy i nie poprosi Teda?

Dlaczego się mną wyręczasz i sprawiasz, że boję się o mojego syna?

Ale nie powiedziała tego na głos. Kazachska babka zawsze kładła jej do głowy: nigdy nie okazuj strachu.

- O, próbowałem wiele razy - odparł Calderon z ubolewaniem w głosie.

Wnętrze samochodu wypełnił gęsty błękitny dym.

Grace zrobiła minę, jaką przybierała na sali sądowej: minę człowieka, który nie zauważa smrodu ścieków, nawet jeśli wlewa mu sieje do nosa.

Calderon zerknął na mężczyzn, którzy stali za jego ochroną. Znów zaciągnął się dymem z cygara. Czubek rozgrzał się do czerwoności.

Grace uświadomiła sobie, że Calderon jest zdenerwowany.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Nie chciała się domyślać, co mogło przerazić tak bogatego i wpływowego człowieka, jak Calderon.

- Wezwał mnie pan tutaj, żeby porozmawiać o Lanie - powiedziała. - Ted nie jest do tego niezbędny.

Włączyła zapłon i opuściła wszystkie szyby w SUV-ie. Dym papierosowy działał na nią fatalnie, kiedy była w ciąży. Teraz też ją dusiło i mdliło.

Calderon mocno zaciągnął się cygarem i wydmuchał dym w stronę przedniej szyby.

- Przepraszam. Nie wyraziłem się jasno. Są pewne aspekty życia twojego syna, do których może się odnieść tylko Ted.

Serce Grace waliło jak młotem.

- Więc proszę się wyrazić jasno teraz. Dlaczego grozi mi jeden z najdawniejszych przyjaciół i najważniejszych współników Teda?

Calderon spojrział na nią zaskoczony.

- Grozi?

Pokazała uzbrojonych mężczyzn.

- Przedtem ich tu nie było.

- Chodzi o strażników? To tylko środek ostrożności. Niektórzy bardzo bogaci ludzie posyłają swoich synów do Ali Saints. Niestety w Meksyku zdarzają się porwania i inne problemy, nieznanne amerykańskim rodzicom.

- Bardzo ciekawe - odparła spokojnie. - Ale co to ma wspólnego z Tedem?

I Lane'em.

- Ponieważ to ojciec zapisał Lane'a do Ali Saints, dyrektor szkoły poprosił, żebym skontaktował się z Tedem.

- Jestem opiekunem prawnym Lane'a tak samo, jak Ted. Każde z nas ma prawo decydować o jego życiu.

- Opiekunem. Takie przyjemne słowo, prawniczy termin, który dobrze brzmi w amerykańskich sądach. Ale w Meksyku system prawny jest inny. Tu obowiązują bardziej realistyczne prawa.

- Twierdzi pan, że nie mogę dbać o interesy syna w Meksyku?

Calderon wydmuchnął dym.

- W tej chwili nie. Tylko Ted może.

- W takim razie natychmiast zabieram Lane'a z Ali Saints. Kiedy odszuka pan Teda, może pan przeprowadzić z nim długą pogawędkę o opiekunach.

- Nie wolno pani zabrać Lane'a - odparł Calderon, nie patrząc jej w oczy.

- Ponieważ to Ted podpisał dokumenty dotyczące przyjęcia syna, tylko on ma prawo go zabrać ze szkoły. - Calderon posłał Grace szybki, nerwowy uśmiech.

- Więc teraz pani rozumie, dlaczego sprowadzenie Teda tutaj jest ważne.

Grace poczuła strużkę potu spływającą jej po plecach. Widziała już kiedyś taki uśmiech. W *barrio*, gdzie młodzi *vatos* starali się przypodobać przywódcom

gangów. A więc Carlos Calderon, bardzo ważny człowiek w Baja California i całym Meksyku, działał jako posłaniec kogoś innego.

I ten ktoś był tak gwałtowny, że nawet Calderon robił się nerwowy.

Boże święty. Czy ja nigdy nie wyrwę się z rysztołka? - pytała w myślach samą siebie.

W dorosłym życiu starała się zapomnieć o rysztołku, nie patrzyła za siebie. Pięta się wysoko i szybko do miejsca, gdzie powietrze było czyste, noce bezpieczne, a kobiety nie musiały się do nikogo kleić, żeby dojść do władzy.

- Panie Calderon. - Głos Grace był spokojny i cichy, jak u sędzi, która przewodniczy rozprawie sądowej. - To znaczy, że Lane jest tutaj więźniem i tylko Ted może go uwolnić?

Calderon spojrział na boisko, gdzie arbiter właśnie gwizdnął, żeby wstrzymać grę. Potem zerknął na Grace, chociaż unikał jej spojrzenia.

- Przykro mi - powiedział.

Wysiadł z wozu i wyciągnął rękę w kierunku linii bocznych. Dwaj mężczyźni oddzielili się od tłumu i pomaszzerowali do mercedesa.

- Proszę - powiedział Carlos nagłym głosem - stań ze mną, żeby go powitać. Chodzi o zwyczajne okazanie szacunku. Sędzia potrafi to zrozumieć, prawda?

Grace niechętnie wysiadła z samochodu i stanęła nieopodal Carlosa. Jednym z nadchodzących mężczyzn był czarnowłosek Meksykanin w czystych, pogniecionych, niebieskich dżinsach, butach ze strusiej skóry i wykrochmalonej, białej koszuli z perłowymi guzikami. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch z wielkim, wysadzonym diamentem medalionem.

Trudno było odgadnąć wiek mężczyzny, ale na pewno facet przekroczył czterdziestkę. Miał w sobie dużo typowej dla macho pewności siebie. Szedł, lekko utykając, jak emerytowany kowboj rodeo ze starymi bliznami. Jego ciemna twarz miała zdecydowane, kanciaste rysy, charakterystyczne dla ludzi, którzy zamieszkiwali Meksyk na długo przed tym, jak Cortes zaczął płądrować te ziemie. Mężczyzna zmrużył oczy w połyskującym, zamglonym świetle. Jego lewe oko było zasnutę bielmem. Był mniej więcej wzrostu Grace.

To, co sobie uświadomiła, przeszło ją jak lodowa włócznia. Ja go znam.

Hector Rivas Osuna był głową najpotężniejszego i najbardziej zbrodniczego rodu w Tijuanie. Grace widywała jego twarz w gazetach i amerykańskich instytucjach, na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców.

Nic dziwnego, że Carlos się poci.



# Rozdział 5

Szkoła All Saints  
Sobota, 12.25

**M**ężczyzna kroczący obok Hectora wyglądał jak młodsza i bardziej elegancka wersja nieokrzesanego lorda przestępczości. Był w jedwabnej koszuli, włoskich spodniach i mokasynach za tysiąc dolarów, i bez skarpetek. Włosy miał starannie ułożone. Na jaśniejszej niż u Hectora skórze nie widniały ślady walk. Oczy ukrywał za ciemnymi okularami lotniczymi.

Jednak rodzinne podobieństwo było wyraźne, łącznie z wąskimi biodrami i charakterystycznym, zamaszystym krokiem. Ojciec i syn albo wuj i kuzyn.

- Który jest młodszy? - zapytała cicho Grace.

- Jaime Rivas Montemayor - odparł jeszcze ciszej Calderon. - Kiedyś przejmie władzę nad gangiem Rivas-Osuna, czyli ROG. I gwałtowny. Bardzo niebezpieczny.

Grace nic nie powiedziała, ale teraz już rozumiała, dlaczego policjant służb federalnych zakrywał odznakę. I on, i jego kumple tańczyli tak, jak im zagrał Calderon albo najbardziej skorumpowany szef gangu w Meksyku. Widząc nerwowość Calderona, przypuszczała, że to Hector Rivas Osuna jest panem sytuacji.

Hector zatrzymał się w odpowiedniej odległości i pochylił głowę na powitanie.

- Pani sędzio. - W jego tonie wyczuwało się tylko odrobinę szyderstwa.

Grace skinęła głową w odpowiedzi i milczała.

- Ty powiedz jej o synu? - zwrócił się Hector do Calderona.

Angielszczyzna Hectora przypominała Spanglish, typowy dla granicy kreoalski dialekt, prymitywny, ale przydatny. Kiedy mówił, obserwował bankiera zdrowym okiem, przechylając głowę tak, że odchyłała się powieka oka z bielmem. Było oczywiste, że kiedyś odniósł poważne obrażenia. Biała, wyrzucona blizna ciągnęła się nieregularną linią aż do gęstych włosów. Większość mężczyzn zasłaniałaby niewidzące oko opaską.

Ale Hector nie postępował jak większość mężczyzn.

• - Nie wszystko, *Carnicero* - odparł Calderon. - Pomyślałem, że niektóre szczegóły zabrzmiały bardziej przekonująco, jeśli ty je przekażesz.

*Carnicero.*

Rzeźnik.

Grace była zaskoczona, że Calderon otwarcie nazwał tak Hectora. Zerknęła spod półprzymkniętych powiek na młodszego Montemayora. Obserwował

swojego wuja z wyraźnym niesmakiem. Albo Hector tego nie zauważał, albo miał to gdzieś.

Hector znowu spojrzął na Grace. Patrzył na nią tak, jak wcześniej meksykański celnik, ale jego wyraz twarzy zdradzał bardziej skomplikowane uczucia. Niektórzy tradycyjnie usposobieni Meksykanie byli zafascynowani kobietami posiadającymi władzę, pod warunkiem że nie obejmowała terenów na południe od rzeki Tia Juana. Hector najwyraźniej zaliczał się do takich mężczyzn.

Grace nie potrafiła zdecydować, czy to dobrze, czy źle.

- Słyszałem, że jesteś bardzo ważną kobietą - powiedział. - To znaczy, że ty bystra, więc wybac mi, że mówię w prosty sposób. Jestem prosty człowiek. Znasz mnie?

Grace kiwnęła głową.

- *Bueno*. Tijuana jest moim światem - ciągnął cicho. - Ja tworzę prawo. Egzekwuję prawo. *Claro?*

Znów kiwnęła głową.

- Twój mąż ukradł mi pieniądze. *Mucho dinero*.

Grace otworzyła szeroko oczy i poczuła skurcz żołądka.

- Nie da tych pieniędzy mnie - ciągnął Hector. - Ja zabiję *el niño*, syna. Prosta sprawa.

Gorzka ślina stanęła jej w gardle. Przełknęła z trudem.

Hector, który dotąd stał trochę przygarbiony, teraz wyprostował się i rozciągnął zeszywniałe mięśnie.

Grace gdzieś czytała, że był poważnie ranny w strzelaninie na ulicach Tijuany. Mimo to wciąż miał w sobie prymitywną fizyczną moc, dziką charyzmę, która charakteryzowała niektórych przywódców świata przestępczego. Bardzo niewielu ludzi takich jak Hector przewinęło się przez jej salę sądową - żyli gwałtownie i często tak też umierali.

Ale wcześniej zawsze zdążyli zabić jakąś niewinną osobę.

Hector odwrócił się i wskazał boisko, na którym kończyła się gra.

- Widziałeś?

Grace nie ufała swojemu głosowi, więc tylko skinęła głową. Czuła się jak marionetka.

- *El niño* ma małego guza - powiedział Hector. - Takie ostrzeżenie, żebyś zrozumiała.

Żołądek ścisnął się jeszcze bardziej. Zaniemówiła. Nie byłaby w stanie powiedzieć nic, choćby od tego miało zależeć jej życie.

Ale to bez znaczenia. Hector mówił dalej:

- Ten duży *hombre*, co uderzył Lane'a to mój kuzyn. Lubi sprawiać ból.  
- Uśmiechnął się, obnażając kilka białych i kilka stalowych zębów. Wskazał

Jaime'a Rivasa. - Ten tutaj, on myśli, że jak my uderzyć twojego syna mocniej, to będzie lepsze zrozumienie. - Uśmiech Hectora zmienił się, był lekki i złowieszczy. - Jaime nie jest szczęśliwy. Namówił mnie na *el banco grande* z Calderonem i Franklinem. Jaime woli zabić *el niño*, ale ja chcę *solamente* moich pieniędzy. *Claro?*

Grace zerknęła na Carlosa Calderona. Odwrócił się plecami, pokazując wyraźnie, że w ogóle nie jest zaangażowany w tę transakcję.

- Tak - powiedziała.
- *Bueno*. Dwa dni.
- Dwa dni? Na co?
- Żeby znaleźć *el cabrón*, twój mąż.
- To niemożliwe!
- *Lo siento*. - Hector wzruszył ramionami. - Śmierć syna *es muy triste*. Bardzo smutna sprawa.

Grace nie dowierzała własnym uszom.

To niemożliwe.

A jednak.

- Jedna prośba - mówiła szybko, cicho, ze spokojem wynikającym z głębokiego przeświadczenia, że prędzej umrze, niż pozwoli temu rzeźnikowi zamordować jej syna. Jeśli to oznaczało proszenie o przysługę jednego z najokrutniejszych mężczyzn na całej planecie, trudno. - Chcę mieć pozwolenie na widzenie się z Lane'em o każdej porze. Na pewno pan rozumie dlaczego.

- *Seguro que si* - odparł z uśmiechem Hector. - Matka musi się widzieć z synem. Ale dzisiaj *solamente* kilka minut. Na pewno pani rozumie dlaczego.

Grace nie przeoczyła szyderczej nuty w jego głosie. Kwestia władzy. Facet mi pokazuje, że dostaję to, czego chcę, tylko dlatego, że on ma taki kaprys.

Rzeźnik.

Jak do tego doszło?

- Tak, rozumiem - odparła z napięciem.

Jaime nadal miał minę, jakby gardził nie tylko wujem, ale i całym światem. Zwłaszcza Lane'em Franklinem, białym synalkiem białego złodzieja.

- Dziękuję - dodała Grace, przewyciężając strach.
- Niech się pani nie smuci. - Hector uśmiechnął się do niej niemal słodko. - Ja już dawno się nauczyłem, że trzeba dawać wybór. *Plata oplomo*. Srebro albo ołów. Inteligentni ludzie wybierają srebro.

Grace wciągnęła powietrze i przysięgła sobie nie okazywać żadnych słabości.

- Ja i Ted jesteśmy rozwiedzeni. Nie miałam nad nim kontroli, kiedy byłam jego żoną. To co ja mogę teraz?

- Moi ludzie mówią, że ma pani władzę. Pani ją wykorzysta, żeby mnie zadowolić.

- Władzę? Gdyby tak było, martwiłby się pan, że ją wykorzystam przeciwko panu.

Hector się zaśmiał.

- Jestem poszukiwany w El Norte i w Meksyku za morderstwo i tysiąc innych przestępstw. *Si*, strasznie się boję prawa. - Zaśmiał się głośniej. - Ty inteligentna, ty pracuj dla mnie.

Grace kiwnęła głową. Miała nadzieję, że jej twarz nie zdradza strachu. Albo nienawiści.

- Pani to zachowa między nami - dodał Hector. - Bo zabiję chłopaka. *Claro?*

- Bardzo jasne.

Hector się odwrócił.

- Czy mój mąż wiedział, że do tego dojdzie? - zapytała.

Hector przystanął i przechylił głowę, przez chwilę zastanawiając się nad pytaniem. Potem przemówił z szacunkiem i typowym dla siebie szyderstwem:

- Ja mówię pani prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tego pani żąda, sędzio?

Skinęła głową.

- Franklin wiedział - odparł po prostu. - To być część naszego układu, żeby mieć *el nino* w Meksyku.

Grace nie umiała ukryć wściekłości. Nawet nie próbowała.

- Czy Lane się orientuje, że jest zakładnikiem?

Hector zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Ja dzieci nie straszyc. Dwa dni, senora.

Grace zaczęła prosić o więcej czasu, ale jedno spojrzenie na niewidzące oko Hectora i już zrezygnowała. Miał na sobie czyste, świeżo uprasowane ubranie, ale jego martwe oko było zwierciadłem diabelskiej duszy.

- *Si* - powiedział Hector z uśmiechem. - Ty jesteś inteligentna kobieta.

*Adiós.*

Starzejący się król przestępców odwrócił się i odszedł, a tuż za nim powlókł się jego wiecznie skwaszony kuzyn.

Gdy tylko odeszli dość daleko, żeby nie mogli niczego podsłuchać, Grace zwróciła się do Calderona. Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby go widziała pierwszy raz w życiu.

- Pana syn jest tutaj zapisany? - zapytała.

Calderon przytaknął.

- Wystawił go pan na zakładnika? - zapytała z niedowierzaniem.

Calderon patrzył na nią przez chwilę nieobecny wzrokiem, potem pokręcił głową.

- To nie było konieczne, nie na południe od granicy. Byłby zagrożony na ulicy przed naszym domem tak samo, jak jest zagrożony w Ali Saints. Poza tym mój syn i ja nie jesteśmy w grupie ryzyka. Hector wie, że do puli inwestycyjnej, którą ukradł Ted, włożyłem dużo własnych pieniędzy.

- O jakiej kwocie mówimy?

Calderon zawahał się, potem wzruszył ramionami.

- Mój własny wkład wynosił pięć milionów.

- A Hectora?

- Co najmniej dziesięć razy tyle. Może nawet dwadzieścia. - Calderon pokręcił głową. - Jaime nigdy mi nie podał całej sumy, ale próbował sprzedać tę inwestycję politykom i *narcotraficantes* na obu półkulach.

Grace wykonała w myślach kilka obliczeń i poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Pięćdziesiąt do stu milionów dolarów.

Sędzia na boisku gwizdnął głośno, przeciągle. Grace miała wrażenie, że ten dźwięk jest echem krzyku, który narasta jej w gardle.

Lane oderwał się od świętującej zwycięstwo drużyny i przybiegł do matki.

Calderon spozryzał na zegarek.

- Przykro mi, ale... - Wzruszył ramionami.

- Tylko kilka minut. - Grace wzięła głęboki oddech i zdobyła się na pogodny uśmiech. - Ty draniu.

Calderon oddalił się, więc nie usłyszała jego reakcji. Lane podbiegł, chwycił matkę w ramiona i podniósł. Był od niej wyższy. Silniejszy.

Jego zielone oczy i zawadiacki uśmiech bardzo przypominały jej Faroego.

Kiedy Lane zdążył tak urosnąć?

Kiedy zleciał ten czas?

Jak mam go wydostać z tego aksamitnego piekła?

- Skopaliśmy im tyłki - powiedział Lane grubym głosem, który również ożywiał wspomnienia z przeszłości. - Widziałas?

- Widziałam, jak skopali tyłek tobie. - Głaskała go po spoconej głowie i ramionach. Zdziwiła się, że szczupłe ręce syna są takie umięśnione. Najwidoczniej podnosił ciężary w chwilach wolnych od nauki. - Dobrze się czujesz?

Wzruszył ramionami.

- To tylko guz.

Przypomniała sobie wywód Hectora. Poczwała zimny pot na plecach.

- Trener, ojciec Rafael, uprzedził mnie, że będziesz mogła zostać tylko kilka minut - powiedział Lane. - Podobno musisz szybko wracać do domu. Chodzi o tatę?

- Właśnie to powiedział ci ojciec Rafael? - zagadnęła ostrożnie.

Lane odgarnął z czoła spocone, brązowe włosy. Zupełnie jak Faroe.

Joe przynajmniej nie dopuściłby, żeby Lane stał się zakładnikiem.

Znałam Joego tylko kilka dni, ale wiem to na pewno.

Obwiniła Teda za jego niewiarygodny egoizm, za to, że nie umiał dostrzec cudownego chłopaka, który rósł u jego boku i nazywał go tatą. Ale czuła, że sama też jest winna. Była zajęta swoją karierą, nie dbała o małżeństwo.

Nie żeby Tedowi szczególnie zależało na utrzymaniu tego związku. Podobało mu się, że żona odnosi sukcesy, ma władzę. Cieszył się, bo nie miała czasu zauważać jego ciągłej nieobecności w domu.

Niech cię diabli, Ted. Nawet jeśli ja zasługuję na karę, to Lane na pewno nie. Jest jedyną niewinną osobą w tym zamieszaniu.

- Gdzie tata? - spytał Lane.

Grace wyciągnęła rękę i odgarnęła spocone włosy syna, żeby lepiej widzieć jego oczy.

- W trasie - skłamała. - Dlaczego pytasz?

Lane odwrócił twarz, żeby matka nie zauważyła, jak bardzo jest rozczarowany. Wiedział, że nie powinien się dziwić. Ilekroć potrzebował ojca, on zawsze był gdzie indziej. Raz, dosłownie jeden raz, Lane pragnął, żeby tata znalazł się przy nim.

Oczywiście to się nigdy nie zdarzy.

- Nie ma sprawy. - Lane znów odwrócił się do matki z uśmiechem. - Pytał mnie o coś związanego z komputerami, a ja znam już odpowiedź. Ale to może poczekać. Jestem pewien, że ma na głowie kupę rzeczy.

Grace zdusiła gorzki śmiech.

Przez jakiś czas ciszę przerywał tylko odległy szmer męskich głosów, kiedy tłum kibiców zaczął się rozchodzić.

- Mamo, chcę jechać z tobą do domu - oznajmił śmiało Lane.

- Ja też tego chcę. - Grace przytuliła syna bardzo mocno, żeby nie mógł spojrzeć jej w oczy. Nie chciała, żeby zauważył, jak bardzo jest przerażona.

- Ale w Meksyku rządzą mężczyźni.

- No i?

- All Saints wypuści cię tylko w towarzystwie Teda. A Ted... - Walczyła ze łzami i krzykiem, który narastał jej w gardle. Delikatnie wypuściła syna z objęć i się cofnęła. - Nie wiem, gdzie on jest. Przykro mi, Lane. Boże, tak mi przykro.

Wierzył jej, widząc cienie w ciemnych oczach i napięte mięśnie wokół ust. Słyszał też, że matka mówi niemal przez łzy.

- Hej - zawołał. - Nie ma sprawy. Kiedy ojciec się zamelduje, powiedz mu tylko, że...

- Pani sędzio - przerwał im Calderon.

- Wiem - warknęła. - Wiem!
- Calderon czekał.
- Gwałtownie przytuliła syna.
- Kocham cię, Lane.
- Otoczył ją ramionami.
- Ja ciebie też.
- Pamiętaj o tym.
- Ty też. - Puścił matkę i cofnął się o krok, baczenie się jej przyglądając.
- Dobrze się czujesz?
- Uśmiech Grace błyszczał bardziej niż łzy w oczach.
- Pracuję nad tym.

## Rozdział 6

La folia  
Sobota, wieczór

**C**zy to takie ważne, że nie może poczekać? - zapytał Stuart Sturgis. - Akurat urządzamy przyjęcie i...

- Miałeś jakąś wiadomość od Teda? - przerwała mu niecierpliwie.
- Mówiłem ci, jeśli Ted skontaktuje się ze mną, to zadzwonię do ciebie.
- Nie mogę tak długo czekać. - Grace ścisnęła słuchawkę, aż zabołały ją palce. - Muszę natychmiast porozmawiać z Tedem.
- Przykro mi. Jestem jego prawnikiem, nie opiekunem. Nie mogę ci pomóc.
- Stu, to awaryjna sytuacja.
- Posłuchaj, wypij kilka kieliszków wina i się odpręż. Ted pewnie niedługo zadzwoni. Po prostu jest typem wolnego ptaka.

Grace chciała wrzasnąć, że nie ma czasu czekać, aż pokaże się wolny ptak. Ale powiedziała tylko:

- Oczywiście. Jasne. Przepraszam, że przerwałam wam imprezę.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na swojego Rolodexa. Wykonała trzydzieści telefonów, nagrała się na dwanaście automatycznych sekretarek, porozmawiała z ośmioma małżonkami i dziesiątką przyjaciół i współpracowników Teda, którzy nie mieli od niego wiadomości od dłuższego czasu, ale obiecali, że oczywiście przekażą jej wiadomość, jeśli poczywiwy stary Franklin raczy się odezwać.

Została jej jeszcze jedna rozmowa.

Dwa dni.

Otworzyła sejf i wyciągnęła kartotekę, którą przetrzymywała niezgodnie z prawem. Ale miała ją u siebie i dokonywała uaktualnień tak często, jak pozwalały jej na to kontakty z informatorem w CIA.

Do jasnej cholery, Ted. Dlaczego nawet nie ma cię pod ręką kiedy Lane i ja ciebie potrzebujemy. I niech mnie diabli porwą, że wybrałam nieodpowiedniego mężczyznę.

Nie zwracając uwagi na pieczęcie, których treść sugerowała, że lepiej paść trupem, niż przeczytać te dokumenty, Grace szybko przewracała strony, prawie nie dostrzegając nazw - Filipiny, Belize, Wenezuela, Brazylia, Paragwaj, Gwatemala, Kolumbia, Boliwia, Peru, a przede wszystkim północny Meksyk. St. Kilda Consulting nie była agencją rządową, ale miała swoich ludzi w najgorszych punktach zapalnych.

Nie byli wyjęci spod prawa. Po prostu działali bez oficjalnego zezwolenia.

Aż się gotowała na myśl, że zostanie złapana w miejscu, gdzie ukochane przez nią prawo było całkowicie bezradne. Sala sądowa przypominała szpital - czasami działy się tu okropne rzeczy, ale cel uswięcał krew i ból. A pod koniec dnia wszystko dezynfekowano i przywracano do dalszego funkcjonowania. Nie tak jak w rysztołu, gdzie rozlewano krew i zadawano ból bez żadnej racji, i niczego nie można było oczyścić.

St. Kilda Consulting działała w rysztołach na całym świecie.

Grace zapamiętała numer telefonu, zamknęła kartotekę i poszła rozejrzeć się za sklepikiem, gdzie sprzedawano karty telefoniczne. Nie chciała, żeby akurat ta rozmowa została zarejestrowana w miesięcznym billingu.

## Rozdział 7

Centrum Manhattanu  
Sobota, noc

**D**wayne Taylor wyciągnął rękę do jednego z trzech stacjonarnych telefonów na biurku, zagraconym, ale dobrze zagospodarowanym.

- Biuro Steele'a.

- Tu Mandy z działu selekcji - odezwał się lekko schrypnięty głos. - Mam na czwartej linii sędzię Grace Silvę. Chce rozmawiać wyłącznie z ambasadorem Steele'em. Przesłałam ci wszystko na jej temat. Plik SK1/17. SPR.



Dwayne postukał szerokimi palcami w klawiaturę, znalazł i otworzył plik.

- O co chodzi?

- Porwanie, okup. Ale o szczegółach chce rozmawiać tylko ze Steele'em.

Dwayne przejrzał informacje na temat sędzi Silvy i podjął decyzję. Zwykle intuicja go nie myliła i za to Steele tak dobrze mu płacił.

- Przełącz. - Podniósł słuchawkę i nastawił zestaw głośnomówiący. - Sędzio Silva, tu osobisty asystent pana Steele'a, Dwayne Taylor. Co St. Kilda Consulting może dla pani zrobić?

Grace z trudem zachowywała cierpliwość.

- Wyraźnie powiedziałam czterem poprzednim osobom, które marnowały mój czas, że nie będę rozmawiać z nikim oprócz ambasadora Steele'a.

- Rozumiem. Czy pani linia jest bezpieczna?

Grace się zawahała. Jeszcze dziś rano wybuchnęłyby śmiechem. Teraz była zadowolona, że wyszła z domu, żeby przeprowadzić tę rozmowę.

Pani to zachowa między nami, bo zabiję chłopaka.

- Myślę, że tak - odparła. - Jestem w budce telefonicznej w multipleksie. Na tej karcie zostały mi jeszcze ze dwie minuty. Potem będę musiała pójść kupić nową.

Dwayne prawie się uśmiechnął. Niegłupia babka.

- Czy ktoś panią śledził?

- Ja... - Nawet o tym nie pomyślała. Boże, co za koszmar. - Wydaje mi się, że nie.

- Czy to sprawa bardzo pilna?

- A jak pan definiuje...

- Terrorysta przystawiający lufę do głowy zakładnika - wyjaśnił spokojnie Dwayne.

- Hm... Boże... nie. Jeszcze nie.

- Ile mamy czasu?

- Dwa dni. Nie, dwa dni licząc od dwunastej trzydzieści dziś po południu.

Dwayne westchnął cicho. W porównaniu z większością sytuacji, w których brano zakładników dla okupu, tu ilość czasu była całkiem przyzwoita. Zano-tował: *CZERWONY-2*.

- Jak niezbędna jest dyskrecja? - zapytał.

- To kwestia życia i śmierci.

Pióro zastygło mu w palcach. Wziął w kółko cyfrę „2”.

- Czy przebywa pani pod swoim adresem w La Jolla?

Grace nawet nie pytała, skąd Dwayne znał jej adres zamieszkania. Kartoteka CIA, którą zdobyła z pogwałceniem prawa, utwierdziła ją w przekonaniu, że St. Kilda Consulting była najlepsza jeśli chodziło o rozwiązanie prywatnych problemów, które nie mogły ujrzeć światła dziennego.

I właśnie tego potrzebowała.

Najlepszej firmy.

- Jestem dwadzieścia minut drogi od domu - powiedziała.

- Proszę wrócić do siebie. Za godzinę przyjedzie po panią kobieta, i zabierze w bezpieczne miejsce. O dwudziestej trzeciej odbędzie pani wideokonferencję z ambasadorem Steele'em. Czyli o jedenastej czasu strefy Pacific Daylight. Czy to panią satysfakcjonuje?

Grace zerknęła na zegarek i odruchowo spytała:

- A nie mogę po prostu zadzwonić do niego z domu?

- Czy zamierza pani powiedzieć cokolwiek, czego nie chciałaby obejrzeć w wieczornych wiadomościach?

- Och. Oczywiście. - Grace poczuła się jak głupiec. - Przepraszam, nie jestem do tego przyzwyczajona. -I nienawidzę tego.

- Właśnie dlatego zadzwoniła pani do St. Kildy - wtrącił łagodnie Dwayne.

- Lubi pani czytać, oglądać telewizję, uprawiać jogę?

- Co takiego?

- Następne dni będą dla pani bardzo trudne. Proszę spróbować się odprężyć tak, żeby zachować jasność umysłu.

Dwayne przerwał połączenie, zadzwonił do San Diego i wziął komórkę. Potem zaczął pracować na komputerze. Czuł, że skoro ma zwalić swojemu szefowi na głowę nieoczekiwanego gościa, to musi zdobyć więcej informacji o tej osobie. Uruchomił program, przez chwilę patrzył na ekran, potem odpechnął krzesło od biurka.

Do apartamentu Steele'a było tylko kilka kroków. Olbrzymie, mahoniowe drzwi obracały się i otwierały na sześcioboczny pokój z dwiema szklanymi ścianami, które wychodziły na Manhattan. Szyba miała specyficzny połysk, bo była kuloodporna, dźwiękoszczelna i jednostronna. Tego rodzaju szyby montowano w pokojach przesłuchań na całym świecie.

Jak zwykle, Steele siedział zwrócony twarzą do trzech ścian z ekranami wideo, korzystał z zestawu głośnomówiącego i przeglądał rozmaite dokumenty na swoim biurku. Od czasu do czasu coś pisał na jednym ze stojących w pobliżu komputerów. Na szóstej ścianie znajdowały się urządzenia elektroniczne i wielki, kolorowy zegar z podziałem świata na strefy czasowe, pokazujący dzień i noc. Strefy czasowe zostały stworzone przez człowieka; były zawsze takie same. Natomiast obszary występowania dnia i nocy na całym globie ulegały zmianie.

Nie podnosząc głowy, Steele przykrył ręką mikrofon swojego zestawu.

- Co?

- Masz wideokonferencję o drugiej czasu lokalnego - oznajmił Dwayne.

- Dlaczego?

- Sędzia federalna Grace Silva, Południowy Okręg Kalifornii, San Diego. Upiera się, że chce rozmawiać tylko z tobą - powiedział Dwayne.

- Jak wiele osób.

- Numer, na który zadzwoniła, był kiedyś numerem komórki Joego Faroe-go. Najwyraźniej sędzia Silva nie miała nowego kodu, bo jej rozmowa została przekierowana na stacjonarny numer St. Kildy.

Steele obrócił się na fotelu i popatrzył na Dwayne'a.

- Interesujące. Co o niej wiemy?

- Właśnie nad tym pracuję.

- Pracuj więcej. Weź pomocników. Chcę znać każdą osobę, która posługuje się numerem komórki Joego Faroe-go.

- Tak jest.

Steele nic mu nie odpowiedział. Już mówił coś do zestawu.

Dwayne bezszelestnie zamknął za sobą drzwi i zabrał się do zbierania informacji o Grace Silvie.

## Rozdział 8

Oceanside, Kalifornia

Sobota, 22.55

Grace patrzyła na kobietę wiozącą ją w tajemnicze miejsce. Nieznajoma miała wojskowy sposób bycia, ale uśmiech i długie paznokcie przeczyły temu wizerunkowi. Błyszczący, mandarynkowy lakier bardzo kontrastował z ciemną skórą. Zegarek miała ze szczerego złota. Grace widziała dokładnie taki sam egzemplarz na wystawie jednego z ekskluzywnych jubilerów w La Jolla.

Kobieta co chwilę zerkała w lusterka. Czasami nagle skręcała, przystawała i wyłączała światła, a potem zmieniała kierunek jazdy. Prowadziła bardzo sprawnie. Samochód też był całkiem niezły, a na dodatek ciemny i zrywny.

Grace odnosiła niepokojące wrażenie, że wpadła w jakąś dziurę w rzeczywistości i znajduje się w zupełnie innym świecie.

Bo jestem w innym świecie, mówiła sobie. To świat bezprawia. Jak nazwał go Faroe? Świat cienia.

Tu Lane jest więźniem.

Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Ale się dzieje. Trzeba to przyjąć do wiadomości i działać.

Nocny strażnik na parkingu pomachał ręką i samochód przejechał, nie zatrzymując się.

Trzy minuty później, po otwarciu sześciu drzwi, Grace znalazła się w pomieszczeniu, które przypominało zwykłą salę wideokonferencyjną. Jeden z trzech dużych, płaskich monitorów był włączony. Pokazywał przystojnego, ciemnoskórego mężczyznę w drogim, trzyczęściowym garniturze, z dwukaratowym rubinem w prawym uchu. Mężczyzna patrzył na kierowcę Grace.

- Byłaś śledzona? - zapytał.

- Możliwe, ale niezbyt długo.

- Tylko możliwe?

- Kazałeś mi zachowywać dyskrecję. Gubienie ogona na zatłoczonych ulicach to niezbyt dyskretna zabawa.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Steele nie lubi braku pewności.

- No, to wybrał sobie złą branżę.

Kobieta wyszła, zatrzaszkując za sobą drzwi.

- Sędzia Grace Silva? - zagadnął mężczyzna na monitorze. - Nazywam się Dwayne Taylor.

- Wygląda pan świetnie, jak na drugą w nocy - stwierdziła Grace. Sama miała na sobie wygniecione ubranie.

Uśmiechnął się.

- Świat żyje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pan Steele oczekuje od nas tego samego.

- Jak panu się to udaje?

- W szafie trzymam dwa dobrze ubrane klony.

Pomimo napięcia Grace się uśmiechnęła.

- Pan Steele zaraz tu będzie, tylko skończy odprawę - poinformował Dwayne.

Monitor pokazywał teraz pokój za Dwayne'em. Grace zobaczyła duże wiązane ekrany wideo, szklane ściany z widokiem na Manhattan, mapę świata i zegar ze strefami czasowymi. Sterowana komputerowo linia pokazywała wyraźną granicę między nocą i dniem, w miarę jak kula ziemską przesuwała się na zachód. Na rozmaitych stanowiskach roboczych w dużym pomieszczeniu czekały komputery i sprzęt elektroniczny, którego nawet nie potrafiła nazwać. Drewniana, wyfroterowana podłoga wyglądała na drogi luksus.

Pieniądze i przelewanie krwi.

To miało też związek z jej własną profesją. Grace niemal całe życie studiowała prawo i jego niuanse, próbując znaleźć właściwe proporcje między władzą społeczeństwa a prawami jednostki.

St. Kilda stanowiła zaprzeczenie wszystkiego, o co Grace walczyła.

Prawo nie jest w stanie pomóc Lane'owi, powtarzała sobie brutalną prawdę. Nie oglądaj się za siebie. Nie żałuj przeszłości.

Zawarłabym pakt z samym diabłem, byle tylko uwolnić Lane'a.

Siwy mężczyzna na wózku inwalidzkim mówił do jednego z ekranów. Sześć z osiemnastu telewizorów pokazywało wyciszone gadające głowy na kanałach informacyjnych i biznesowych. Na innych ekranach królowały przekazy satelitarne. Na plazmowym ekranie komputerowym pośrodku jakiś spocony mężczyzna z trzydniowym zarostem i rudowłosa kobieta z bandaną na czole prowadzili ożywioną rozmowę. Na pasku w dolnej części ekranu pojawiały się kolejne depesze agencyjne.

Grace popatrzyła na pulpit konferencyjny przed sobą. Nacisnęła klawisz zoom. Zobaczyła wyraźnie napis Ciudad del Este. Zwiększyła głośność, ale to nic nie pomogło. Tylko mężczyzna na wózku słyszał to, co było mówione. Ściszyła dźwięk i znowu zaczęła się przyglądać dwóm spoconym, wyczerpanym osobom na ekranie.

Pracownicy St. Kildy? - zastanawiała się.

Międzynarodowi tajniacy?

Amatorzy ekstremalnych podróży?

Nie potrafiła odgadnąć. Z tego, co wiedziała o St. Kilda Consulting, w grę wchodziła każda możliwość.

Wcisnęła klawisz zoom out i na środkowym ekranie znowu pojawił się Dwayne.

- Co się dzieje w Ciudad del Este? - zapytała.

- Sporo rzeczy.

Jasne. Przejdźmy do nowego tematu.

Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Dwayne wstał i usunął się z ekranu. Grace siedziała i obserwowała ścianę z globalnym zegarem, zahipnotyzowana błyszczącą granicą świtu, przesuwającą się przez Atlantyk w kierunku Nowego Jorku.

Czas stawał się namacalny.

A czas Lane'a stale upływał.

Steele zakończył konferencję i obrócił się w wózku na parkiecie, żeby spojrzeć gościowi w twarz.

- Bardzo panią przepraszam, sędzio Silva. - Obiema rękami przyciągnął się do biurka, przy którym wcześniej siedział Dwayne. - Jedną z niewielu pewnych rzeczy, jakie da się powiedzieć o mojej pracy, jest to, że umówione spotkania są warte tyle, ile papier, na którym odnotowuje je Dwayne.

- Nie ma problemu, ambasadorze. Biorąc pod uwagę porę, jestem wdzięczna, że w ogóle uwzględnił mnie pan w swoim terminarzu.

- Osoby, które się do nas zgłaszają, przeważnie już wyczerpały wszelkie, że się tak wyrażę, społecznie akceptowane środki. Kiedy ludzie mówią o pani, wspominają w pierwszym rzędzie umiłowanie i szacunek dla prawa.

- Więc dlaczego tutaj przyszłam? O to pan pyta?
- Nie jesteśmy przestępcami - odparł łagodnie Steele.
- Z pewnością zatruliście życie wielu legalnym agencjom.
- Działamy tam, gdzie one nie mogą albo nie chcą. Czy nie dlatego przyszła pani do nas? Ma pani problem, z którym nie poradzi sobie legalnie ukonstytuowana amerykańska agencja rządowa.

Grace spojrzała w przejrzyste, stalowe oczy Steele'a. Dostrzegła w nich ogromną inteligencję i coś jeszcze - absolutną, nieugiętą bezwzględność. Jego naturalną bledość podkreślały gęste, srebrzyste włosy. Był przystojny, miał twarz z arystokratycznymi rysami, wydatny nos, który mniej dystygowaną osobę mógłby szpecić.

- Mówiła pani, że to pilna sprawa - zagadnął Steele, głosem nadal cichym i łagodnym, ale zdecydowanie ponaglącym.

Grace przeciwzyła swoje wystąpienie, kiedy czekała, aż przyjedzie po nią bezimienny kierowca. Przybliżenie szefowi St. Kilda Consulting sytuacji Lane'a zajęło jej niespełna trzy minuty.

- Godna podziwu zwięzłość, jakiej na pewno nie spodziewałbym się po prawniku - stwierdził Steele. - Czego pani chce od St. Kildy?
- Mojego syna. Całego i zdrowego, i w Stanach Zjednoczonych.
- Znowu zwięzłość. Ile pieniędzy znikło?
- Calderon nie był pewny. Powiedział, że Hector ma w funduszu od pięćdziesięciu do stu milionów, z czego część to jego własne pieniądze, a część zainwestował dla innych osób.

Steele notował wszystko w pamięci.

- Część z tych pieniędzy raczej pochodziła od ludzi spoza rodziny, chyba że przestępczy klan Rivas-Osuna miał wyjątkowo zyskowy rok.
- Jaime, siostrzeniec Hectora, pewnie sprzedaje fundusz poza rodziną. To on wciągnął Calderona.

Grace uświadomiła sobie, co znaczą słowa Steele'a.

- Wygląda na to, że sporo pan wie o ROG.
- Pieniądze za narkotyki stanowią pokaźną część nielegalnych miliardów, które ciągle przepływają po świecie. Kolejna pozycja to nielegalny handel bronią. Za większość tych transakcji są odpowiedzialne skorumpowane, legalne rządy.

Steele nie zaakcentował słowa „legalne”, ale Grace i tak zrozumiała aluzję.

- Wiem - powiedziała. - Legalne nie zawsze znaczy sprawiedliwe. Ale lepiej to niż przemoc i anarchia.

Steele kiwnął głową.

- Co do tego się zgadzamy. Przedstawiła pani sytuację syna i swoje oczekiwania. A co z pani mężem?

- Byłem mężem. Rozwód został orzeczony kilka tygodni temu.

- Czy Hector o tym wie?

- Powiedziałam mu. Ale on sądzi, że wiem albo mogę się dowiedzieć, gdzie jest Ted.

- A może pani?

- Wtedy nie byłoby mnie tutaj. Mamy wspólny adres w La Jolla, ale Ted od lat nie spędzał tam więcej niż trzech dni z rzędu. Jeśli nie liczyć kilku maili i nagrania na pocztę głosową, nie miałam od Teda wiadomości od trzech tygodni.

- Czy którykolwiek z tych maili sugerował, że Ted ma kłopoty?

- Nie.

- Czy rozwód był z orzekaniem winy?

- Nie. Jesteśmy dorośli i zachowaliśmy się jak dorośli.

Steele uniósł brwi.

- Czy jest możliwe, że Hector śledzi panią w ramach usług dla pani byłego męża?

Grace zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

- Twierdzi pani, że rozwód był polubowny...

- Był.

Steele nie zareagował na jej wtrącenie.

- ...lecz jest pani piękną kobietą w najlepszym okresie życia, odnosi wielkie sukcesy zawodowe i ma przed sobą wspaniałą przyszłość jako prawnik. Niezła z pani partia, i to pod każdym względem: fizycznym, intelektualnym, społecznym.

Zamrugła, zaskoczona tym podsumowaniem.

- Nie postrzegam siebie w taki sposób.

Uśmiech Steele'a był bardzo młodzieńczy.

- Wiem. To część pani uroku. Faceci są natury zaborczymi istotami. Utracenie pani musiało zboleć. Ted nie byłby pierwszym mężczyzną, który próbuje wyrównać rachunki z żoną poprzez dziecko. Mściwość nie jest miłym bodźcem, ale potężnym.

Grace spojrzała na swoje ręce. Miała krótkie, zadbane, niepomalowane paznokcie kobiety pracującej. Z pewnością nie były to ręce femme fatale. I nawet jeśli Ted boleśnie przeżył rozwód, nigdy tego nie okazywał.

Z perspektywy czasu stało się dla niej jasne, że ich małżeństwo skończyło się na długo przed rozwodem.

- Czy ma znaczenie, dlaczego Ted zrobił, co zrobił? - zapytała w końcu.
- Może mieć. Zemsta często stanowi potężniejszą motywację niż strach.
- W takim razie będzie pan musiał zapytać Teda, kiedy go pan odnajdzie.
- Właśnie tego pani chce? - zagadnął Steele. - Żebyśmy go znaleźli?
- Jeśli okaże się to konieczne, żeby bezpiecznie sprowadzić Lane'a do domu, to tak. Ale chodziło mi bardziej o to, żeby jeden z pana, hm, pracowników pojechał do Ensenady i przywiózł Lane'a. Powiem bez ogródek: chcę waszego najlepszego specja od porwań na terenie Ameryki Łacińskiej: Joego Faroego.

## Rozdział 9

Manhattan  
Niedziela, 2.15

Potajemne wywiezienie Lane'a z Meksyku to dla pani najniebezpieczniejsza opcja - powiedział obojętnym tonem Steele.

- A która jest najbezpieczniejsza? - natychmiast zapytała Grace.
  - Znaleźć Teda i zwrócić pieniądze. - Steele nie zwracał uwagi na telefon dzwoniący na jego biurku. - Proszę mi opowiedzieć o Hectorze Rivasi Osunie i Carlosie Calderonie.
  - Obaj są bogaci i dobrze znani, ale z różnych powodów. Podejrzewam, że wie pan o nich więcej ode mnie.
  - Z moich akt nie dowiem się niczego nowego. Od pani tak, sędzio Silva. Grace wpatrywała się w twarz Steele'a i porządkowała fakty w głowie.
  - Carlos Calderon to jedna z najważniejszych osobistości w Tijuanie i północno-zachodnim Meksyku. Jest najstarszym synem ważnego meksykańskiego polityka, byłego ministra spraw wewnętrznych. Higoberto Calderon był szarą eminencją, człowiekiem bardzo zamożnym i wpływowym. Wszystkie te cechy przekazał Carlosowi.
- Steele kiwnął głową.
- Władza dziedziczna. Czy tak Ted poznał Carlosa? Wspólne interesy finansowe?
- Grace popatrzyła na swoje krótkie paznokcie.



- Carlos i Ted byli przyjaciółmi i wspólnikami od wielu lat. Carlos jest właścicielem banku i innych firm. Mój mąż posiada i prowadzi fundusz inwestycyjny z holdingami na całym świecie. Ich interesy siłą rzeczy są ze sobą powiązane.

- Z pani opisu wynika, że Carlos i Ted są jak lustrzane odbicia. Obaj bogaci. Powiązania z politykami. Obaj znają panią od dłuższego czasu.

Grace w milczeniu analizowała fakt, że Steele wiedział, że chodziła do liceum z Carlosem Calderonem.

- Miał gorsze oceny niż ja.

Steele się uśmiechnął.

- Tak, szło pani świetnie w prywatnym liceum, które było i jest wymagające. Czy Calderon wciąż mieszka w Stanach Zjednoczonych?

- Nie, ale mieszkają tu przynajmniej dwie z jego sióstr. I chyba jeszcze matka.

- Zostaje Hector Rivas Osuna - stwierdził Steele. - Od jak dawna go pani zna?

- Skoro wie pan, gdzie chodziłam do liceum, to pewnie też orientuje się, że pierwszy raz spotkałam Hectora dzisiaj. Przepraszam, wczoraj według wazszego czasu. Na Manhattanie jest już po północy. - Zerknęła na zegar ścienny.

- Nie przykładam do globalnego czasu takiej wagi, jak wy.

- Globalne podejście to podstawa działania St. Kilda Consulting. Co pani wie o Hectorze?

- Jak na bandytę, ma niemal dworskie maniery; brzydki, bezlitosny, inteligentny; ubiera się starannie, w kowbojskim stylu, ale dość oryginalnie. Ma brutalną charyzmę, jaką udaje się osiągnąć niektórym przywódcom przestępców. Podejrzewam, że miał ją jeszcze, zanim zszedł na przestępczą drogę. Potrójny testosteron. Nieważne. On nie respektuje niczyjego prawa z wyjątkiem własnego. Przerażające jest to, że dobrze zna słabe strony innych rzeczy. W moim przypadku, są to słabości Lane'a.

- A co z firmą Hectora?

- Proszę wpisać ROG w Google i zobaczyć wyniki - odparła szorstko.

- Bardziej interesuje mnie to, co pani wie.

Wzruszyła ramionami. Nienawidziła każdej sekundy tej rozmowy, każdego słowa, która wciągało ją z powrotem do rynsztoka *barrio*, skąd starała się wy dostać całe życie, jak jej dziadkowie, rodzice.

W tym rynsztoku był teraz uwięziony Lane.

Dwa dni.

A jeden został już w połowie stracony.

- Od dawna mówiło się, że klan Rivasów kontroluje handel przemysłowy w Tijuanie. - Grace nie mogła się pozbyć napięcia w głosie i mięśniach.

- To oskarżenie nigdy nie wyszło poza fazę plotek, zarówno w Meksyku, jak i w Stanach.

- Plotki, cienie migoczące na ścianie jaskini - mruknął Steele. - Lekceważy je pani. Czy dlatego, że te pogłoski nigdy nie zostały wsparte prawnie ważnymi dowodami w żadnym z tych krajów?

- To, w co wierzę osobiście, i to, w co wierzę ubrana w togę sędziowską, to dwie różne sprawy. Usłyszał już pan, co myślę na temat Hectora.

Przestępca.

- Co pani sądzi o relacjach między Calderonem i Hectorem? - spytał Steele.

- Jakich relacjach? Nie ma żadnych relacji. Carlos jest biznesmenem, a... - gwałtownie umilkła.

Przez chwilę patrzyła na szklane ściany za Steele'em. Daleko na północ, przez wyrwę w palisadzie podświetlonych wieżowców, widać było miejsce, gdzie kiedyś stały bliźniacze wieże World Trade Center. Ich brak zaświadczał o tym, że świat mógł się zmieniać dosłownie w sekundę.

Jej świat zmienił się w mgnieniu oka.

- Przepraszam - odezwała się wreszcie. - To był dawny odruch, bardzo silny. Jeśli się zaprzecza, że w szafie jest trup, to on nie istnieje, prawda?

Steele czekał cierpliwie, jak przystało na dawnego dyplomata.

- Jeśli chodzi o St. Kilda Consulting, wszyscy zgadzają się co do jednego - powiedziała Grace. - Nic stąd nie wydostaje się na zewnątrz.

Steele kiwnął głową.

Grace się skrzywiła.

- W każdym razie wątpię, żeby mój były klient zdołał zaprotestować, kiedy powiem coś niesłusznego. Dziesięć lat temu, zanim dostałam nominację na sędzię federalną, Ted namówił mnie, żebym popracowała dla Carlosa Calderona. - Jesteś mi to winna, Gracie, dźwięczały jej w głowie słowa Teda. Gdyby nie ja, nie wzięto by pod uwagę twojej kandydatury. Wychowuję twojego bękartą. Jeśli nie chcesz, żeby Lane się dowiedział, to spuścisz z tonu i w końcu zrobisz coś dla mnie. - Carlos chciał pozwać dwóch dziennikarzy z San Diego za to, że napisali o powiązaniach jego biznesowego imperium z handlarzami narkotyków, takimi jak kartel Rivas-Osuna - powiedziała cicho.

- Ludzie pokroju Calderona często obawiają się prasy bardziej niż policji.

Uśmiech Grace przypominał raczej grymas.

- Kiedy zbadałam sprawę, okazało się, że jedynym źródłem tych doniesień był raport wywiadowczy funkcjonariuszy jednostki federalnej, który nigdy nie został upubliczniony. Próbując udowodnić, że materiał źródłowy nie został zweryfikowany, moja kancelaria zażądała raportu do wglądu. Argumentowaliśmy, że cała historia była niesprawiedliwą próbą zdyskredytowania dobrze

znanego meksykańskiego biznesmena na podstawie insynuacji. Coś w rodzaju rasizmu. Właśnie taką kartą graliśmy.

- Nie wy pierwsi. I nie ostatni.
- To nie sprawia, że łatwiej mi z tym teraz żyć.

Zaprzeczenie, że w szafie jest trup, było dziecinną zabawą, w którą Grace bawiła się zbyt długo. A jednak robiła to instynktownie.

Dotychczas odruch dobrze działał.

- Mów dalej - zachęcał Steele.

- Rząd twierdził, że pozew Calderona był tylko pretekstem do wyciągnięcia informacji - powiedziała zmęczonym głosem. - Argumentował, że przekazanie raportu doprowadziłoby do ujawnienia nazwisk kilkudziesięciu informatorów. Jako obrońca, obaliłam ten argument. Wygraliśmy. Raport został przekazany. Carlos stwierdził, że zyskał satysfakcję i że nie ma sensu kontynuować rozprawy.

- Informatorzy zginęli - przypomniał Steele, obserwując Grace.

Zamknęła oczy. Zawsze się obawiała, że do tego dojdzie. Teraz miała pewność.

Poczuła gorycz w ustach. Kolejny raz z trudem przełknęła ślinę.

- Kiedy zorientowałam się, że Carlos stoi beczynnie, podczas gdy narkotykowy baron grozi mojemu synowi - mówiła dalej ochryplym głosem - zrozumiałam, że wykorzystano moją głupotę.

Steele przez chwilę milczał. Potem popatrzył na swoje bezwładne nogi, które wyglądały jak patyki.

- Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale nie jest tu pani jedyną ofiarą Carlosa Calderona.

Ścisnęła ręce.

- Całe życie wydostawałam się z miejsc, gdzie przestępcy chodzą dumnie, a gliny na paluszkach. Nie dam się z powrotem tam wciągnąć. Nie pozwolę im zabić mojego syna. Dobro jest dobrem, a zło złem. Zwykli obywatele nie powinni żyć w strachu. Właśnie dlatego poświęciłam się prawu.

Długą ciszę przerwało westchnienie Steele'a.

- Myślałem, że immunitet dyplomatyczny pozwoli mi uniknąć kuli małego kalibru, którą mój zaufany tłumacz wystrzelił mi w plecy. Mój błąd. Drogo za niego zapłaciłem.

Grace czuła wibrujące napięcie.

- Ted to mój błąd. Ale płaci za niego Lane.

- Właśnie dlatego pani tu jest, prawda? Żeby naprawić krzywdę wyrządzoną Lane'owi? Nie obchodzi pani, czy Ted jest przestępcą współpracującym z przestępcami, czy uczciwym biznesmenem popełniającym uczciwe błędy.

- Liczy się tylko Lane. Nawet gdybym miała wejść w układ z samym diabłem... - Grace znowu umilkła. - Przepraszam. Nie chciałam sugerować, że Joe Faroe jest diabłem. - Nawet jeśli nim jest.

Telefon znowu zaczął dzwonić. Potem jeszcze jeden.

Steele nie odebrał żadnego.

- Przyjęła pani postawę obywatela działającego w granicach prawa. Właśnie dlatego pracownicy St. Kilda Consulting nie noszą mundurów i nie rozmawiają z reporterami. To także jeden z powodów, dla których antyterrorysty ukrywają tożsamość pod czarnymi kominiarkami. Nie wstydzą się swojej pracy, ale stanowią potencjalny cel i męczą ich próby tłumaczenia ludziom żyjącym w czarno-białym świecie, że rzeczywistość to tysiąc odcieni szarości, ale dla niektórych rzeczy wciąż warto zabijać i ginąć.

- Ja...

Steele nie przestał mówić.

- Pracownicy St. Kildy działają w świecie szarości. Cienia. We wszystkich tych miejscach, do których porządni obywatele nie chcą zaglądać, o których nawet nie chcą myśleć.

- Wiem.

- Ale zdaje sobie pani sprawę, że kiedy rzeczywistość pokazuje swoje skomplikowane oblicze, a tak się dzieje zawsze, obywatele, politycy i dziennikarze prześcigają się w obwinianiu posłańca złych wieści. Pan Faroe zdążył już poczuć na własnej skórze takie ćwiczenie z zakresu obywatelskiej pobożności.

Ze smutkiem pokiwała głową.

- Pierwszy raz spotkałam Joego szesnaście lat temu, na krótko przed tym, jak został aresztowany i osadzony w więzieniu federalnym.

Ścisłej rzecz biorąc, kilka dni przed aresztowaniem. Wystarczająco dużo czasu, by się zakochać, a potem patrzeć, jak on zwraca się przeciwko mnie i wyrzaskuje oskarżenie wulgarną hiszpańszczyzną, podczas gdy ja chowam się przed telewizyjnymi kamerami i reporterami w zacienionym korytarzu.

Wciąż nie potrafiła zapomnieć błysku stalowych kajdanek i metalowych odznak. Ani dzięki nienawiści na twarzy Faroego.

Zrobiła to, czego chciał - wzięła nogi za pas i nawet się nie obejrzała. Od tamtej pory zawsze trzymała się z dala od jego życia.

Aż do teraz.

Grace bezlitośnie zepchnęła wspomnienia w najgłębsze zakamarki świadomości. Minęło szesnaście lat. Potrzebowała Faroego. Jeśli nadal jej nienawidził, będzie musiała zacisnąć zęby i to znieść. Liczył się tylko Lane.

Zapatrzyła się w niewidoczny punkt, a Steele czekał. Niczego się nie dowie, jeśli sam ciągle będzie mówił.

- Śledziłam Joego przez tych samych ludzi, którzy załatwili mi egzemplarz dossier CIA na temat St. Kilda Consulting - powiedziała z napięciem w głosie.
- Kiedy Joe wyszedł z więzienia, zaczął pracować dla pana. W południowej Europie, Azji, Iranie, a najczęściej w Ameryce Południowej. Niektóre z jego poczynań nazywano „moralnie dwuznacznymi”.
- To panią niepokoiło?
- Do wczoraj tak. Dzisiaj już mnie to nie obchodzi. Teraz liczy się tylko mój syn. Joe Faroe jest jedynym człowiekiem, któremu mogę powierzyć życie Lane'a.
- Przykro mi to słyszeć.
- Dlaczego? - zagadnęła spłoszona. - Nie ufa pan Joemu?
- Ufam mu bardziej, niż pani czy on możecie sobie wyobrazić.
- Więc w czym problem?
- Tydzień temu Joe Faroe rzeczywiście był najlepszym pracownikiem operacyjnym St. Kildy, zwłaszcza jeśli chodzi o porwania na terenie Ameryki Łacińskiej.
- A teraz?
- Przeszedł na emeryturę.
- Och, wolne żarty - pasknęła Grace. - Jest o wiele za młody na emeryturę. Steele uśmiechną się smutno.
- Tam, gdzie Joseph spędził wiele lat, czas nie jest najlepszym miernikiem wieku. Jego ostatnie zlecenie było szczególnie trudne. Zdarzyło się mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Musiał w obronie własnej zabić dobrego przyjaciela. Grace aż jęknęła.
- Mimo rozlewu krwi sama operacja zakończyła się sukcesem - ciągnął Steele. Czterdzieści procent odzyskanych pieniędzy wróciło do St. Kildy, w ramach kontraktu. Joe wziął swoje pięć procent, posłał mnie do wszystkich diabłów i wyszedł. Od tamtej pory nie miałem od niego żadnych wiadomości. Znając go, może być gdziekolwiek na kuli ziemskiej.
- Znając St. Kilda Consulting, założę się, że dobrze pan wie, gdzie Joe się teraz podziewa.
- I co z tego? - odparł Steele. - Pieniądze nigdy nie były dla niego motywacją. Idealizm, który skłonił Joego do pracy w agencji do zwalczania narkotyków, został z niego wypłeniony w więzieniu federalnym. A zatem jakiej innej karty przetargowej pani użyje?
- Duma. Mogę oczyścić jego nazwisko. I dawno powinnam to zrobić. Powinnam w niego wierzyć, szukać i... Ale wtedy miała już męża i małe dziecko. Teraz była rozwiedziona i walczyła o życie dziecka.
- Jak? - zapytał Steele.

- Znam resztę historii: tę, która nie przedostała się do mediów. Joe został wystawiony i odesłany do więzienia, ponieważ nie chciał wydać swoich dwóch podwładnych jako wygodnych politycznie kozłów ofiarnych. Mam dowody, a także polityczne możliwości, żeby załatwić akt łaski. Czy to wystarczająco dobra karta przetargowa?

Steele uniósł brwi.

- Warto się o tym przekonać. Dostanie pani komórkę jednorazowego użytku. Telefon zadzwoni, jak tylko się upewnię co do kilku rzeczy.

Grace się zawahała.

- Proszę, żeby pan nie podawał Joemu mojego nazwiska zbyt wcześnie.

Steele nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Dlaczego?

- On mnie nienawidzi.

- Interesujące - mruknął Steele.

- Co?

- Joe Faroe nie zdradza emocji. Nauczyło go tego więzienie. Co pani do niego czuje?

- Był najgorszym facetem, jakiego poznałam w życiu.

I najlepszym.

Ale o tym Steele nie musiał wiedzieć.

## Rozdział 10

Oceanside, Kalifornia

Niedziela, 9.55

Joe Faroe pracował w zęcie TAZ-a, mieszając epoksyd i patrząc, jak żywica powoli zmienia kolor. Dębowe drewno kadłuba w miejscu, gdzie skrytka miała być umieszczona, liczyło sobie pięćdziesiąt lat. Było wystawione na działanie wody w dwóch oceanach i niezliczonej liczby fal. Dopasowanie przemysłowej skrytki do nadżartego słoną wodą, poplamionego olejem drewna w zęcie było raczej sztuką niż technicznym zabiegiem.

Faroe pracował nad tym niemal całą noc i jeszcze rano.

W blasku halogenowego światła drewno było brązowe, potem szare, i znowu brązowe. Nacięcia, które zrobił, żeby wsunąć skrytkę, odsłoniły świeże, jasne drewno. Pomalował wręgę z Tijuany kilkoma odcieniami barwnika. Te-

raz musiał uzyskać dokładnie taki sam kolor epoksydu, bo inaczej trzeba by zaczynać wszystko od nowa.

Kolejny raz.

Oczywiście akurat w chwili, gdy epoksyd był gotowy, zadzwonił telefon satelitarny.

Faroe tylko zaklął pod nosem. Pędzlem piankowym posmarował klejem końce i dno skrytki.

Nad jego głową, w kabinie, telefon zadzwonił trzeci raz, potem czwarty. W końcu włączyła się sekretarka, odtwarzając nową formułkę powitalną Faroego.

Jeśli dodzwoniłeś się na ten numer przez pomyłkę, rozłącz się. Jeśli nie dodzwoniłeś się na ten numer przez pomyłkę, rozłącz się.

Dzwoniący włączył kod cyfrowy, dzięki któremu połączenie nie zostało przerwane. Tylko trzy osoby znały ten kod. Faroe nie miał ochoty rozmawiać z żadną z nich.

Skończył nakładanie epoksydu i wsunął skrzynkę w belkę.

- Joseph, muszę z tobą pomówić. Natychmiast.

Steele potrafił nadać swojemu arystokratycznemu głosowi władczy ton, jeśli miał na to ochotę.

Faroe się zawahał.

Potem wrócił do roboty. Wziął arkusz stalowej wełny i zaczął ścierać nadmiar epoksydu ze spojenia.

- Jeśli nie podniesiesz słuchawki - powiedział Steele - przyślę glinę z Oceanside, żeby zrobił rozpoznanie. Wiesz, byłeś chory, a ja bardzo się niepokoję, że może leżysz bezradny i nawet nie jesteś w stanie odebrać telefonu.

Faroe znowu zaklął, tym razem głośniej. Usiłował zetrzeć resztki epoksydu, ale żywica już zastygła. Teraz będzie potrzebował szlifierki, żeby dokończyć robotę.

Usiadł i wcisnął klawisz na aparacie komórkowym.

- Nie.

Steele w ogóle nie zwrócił uwagi na to przeczenie, czegokolwiek dotyczyło.

- Mam wiadomość od starej przyjaciółki. Amerykańskiej sędzi okręgowej, Grace Silvy.

Faroe przypisywał nieprzyjemny ucisk w żołądku zaskoczeniu. Ten skurcz z pewnością nie miał nic wspólnego z dławiacą falą wspomnień. Niektóre z nich należały do najlepszych w jego życiu. Inne - do najgorszych.

Nie był pewien, które sprawiały mu większy ból.

- Joseph?

- Znałem Grace Silvę, jeszcze kiedy służyłem w DEA. Była wtedy adwokatem federalnym. Dobrym. Cholernie dobrym.

I kiedyś, dawno temu, uwierzył, że go wystawiła, żeby był wleczony razem z pospolicymi kryminalistami na użytek telewizyjnych kamer.

- To ta sama kobieta - powiedział Steele. - Chce skorzystać z usług St Kildy.  
- Dlaczego wpływowa pani sędzia federalna potrzebuje zgrai prywatnych, a więc niewygodnych konsultantów?

- Sama ci wytłumaczy. Właśnie dobija do twojego doku.

Teraz żołądek Joego wykonał skomplikowane salto.

- Steele, dlaczego zadajesz się z zatwardziałą feministką i budzącą respekt, pozbawioną skrupułów kobietę, która została nagrodzona posadą na federalnej ławie?

- Tak o niej myślisz?

- Wiem to z gazet.

Tak, Faroe był głupcem: czytał artykuły o Grace, patrzył na zdjęcia, próbując odnaleźć ducha najbardziej namiętnej kobiety, jaką zdarzyło mu się poznać.

- St. Kilda od czasu do czasu potrzebuje usług wpływowych polityków - zauważył Steele.

- To ją obsłuż.

- Niestety, twierdzi, że chce być obsłużona tylko przez ciebie.

Faroe wiedział, że rzuca mu się przynętę. Steele był mistrzem w takich zagrywkach. Ale nigdy wcześniej nie próbował go zwabić osobą kalibru Grace Silva.

- Odnoszę wrażenie, że byliście kiedyś bardzo blisko ze sobą - ciągnął Steele.

- Wąż też jest blisko swojej skóry. Ale i tak ją zrzuca.

- Dobrze. Sędzia powiedziała wyraźnie, że chodzi jej wyłącznie o załatwienie interesu. Przelała już dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów na konta St. Kildy.

Faroe podszedł do lodówki wbudowanej w przegrodę kabiny. Spojrzał na zimne piwo, ale wybrał butelkę wody.

- Milczenie nie jest dobrą odpowiedzią- odezwał się po chwili Steele.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Sędzia Silva oferuje prezydencki akt amnestii.

Faroe wypił pół butelki, potem powiedział:

- Nie obchodzi mnie, czy mogę głosować czy nie, i już nie muszę się martwić się o noszenie broni palnej. A zatem mój status skazanego przestępcy wcale mi nie przeszkadza.

- Na pewno wolałbyś, żeby twoje nazwisko zostało oczyszczone.

- Prawdę mówiąc, moja barwna przeszłość przydaje się przy podryw. Kobieta pyta, czym się zajmuję, a ja mówię, że jestem przestępcą z wyrokiem. Te nudne uciekają. Inne zbliżają się do mnie.



Steele westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Sędzia Silva musiała sobie zadać dużo trudu, żeby odgrzebać historię twojego niesprawiedliwego aresztowania i pobytu w więzieniu.

- Grace zawsze przejmowała się niesprawiedliwym traktowaniem. Przed sądem potrafiła się rozpłakać na użytek najbardziej brutalnych handlarzy narkotyków i ludzi na całej meksykańskiej granicy.

- W takim razie jestem zaskoczony, że w ogóle miałeś z nią do czynienia.

- Zrozumiałbyś, gdybyś tam był - odparł szorstko Faroe.

Wokół monsunowe pioruny, błyskawice. Strugi gorącego deszczu wyzwały w nim uczucia, jakich nigdy wcześniej nie zaznał.

Próbował zapomnieć, ale nie upłynęło dość czasu. W ciszy między błyskawicą i grzmotem ona wciąż nawiedzała jego myśli.

- Czego Grace potrzebuje ode mnie, a raczej od St. Kildy? - zapytał w końcu Faroe.

- Jej syn chodzi do bardzo ekskluzywnej, prywatnej szkoły na północ od Ensenady. Chce go sprowadzić do domu.

- Wyślij kogoś ze swoich nowicjuszy - odparł Faroe. - Zdobędzie doświadczenie w pięknej, starej sztuce przekupstwa.

- Niestety, sprawa nie jest taka prosta. Meksykański biznesmen, Carlos Calderon, i Hector Rivas Osuna sprzeciwiają się wyjazdowi chłopca.

Faroe gwizdnał przez zęby.

- To naprawdę interesująca para.

- Ty zawsze wszystko chwytasz w lot, Joseph. W ten sposób prawie rekompensujesz brak innych zalet. Proszę, wysłuchaj uprzejmie tego, co pani sędzia ma do powiedzenia. Już omówiłem z nią sprawy finansowe. Twoja działka wyniesie sto tysięcy dolarów.

- Spokojnie. Nie przyjmuję zleceń. Wycofałem się, pamiętasz?

Faroe mówił już tylko do siebie. Steele przerwał połączenie.

Z doku dobiegł niski, charakterystyczny głos.

- Pozwolenie wejścia na pokład?

Przeszłość i teraźniejszość się zderzyły.

O nie, nic z tego.

Ale jakaś jego część z pewnością chciała spotkania. Ta najbardziej tępa. Która na pewno wpędzi go w cholerne kłopoty.

W zeszłym roku skończyłem czterdzieści lat. Już mnie nic nie wzruszy.

Jego mniej rozgarnięta część wciąż wywierała presję.

- Za sekundę, pani sędzio.

# Rozdział I 1

Oceanside  
Niedziela, 10.00

Kiedy Faroe wyszedł na główny pokład TAZ-a, poranne słońce już ogrzewało bardzo wilgotne powietrze. Woda w szczelnie osłoniętej zatoce kołysała się niespokojnie jak echo huraganu Baja nadciągającego od południa. Pogoda *chubasco*.

Zupełnie jak ostatnim razem.

Grace Silva stała na doku. Patrzyła, przesłaniając oczy ręką, mimo że założyła okulary przeciwsłoneczne. Miała na sobie białą koszulkę i niebieskie džinsy. Nie była ani gruba, ani chuda. W sam raz. Z typowo kobiecymi kształtami.

Mimo upływu szesnastu lat nie zmieniła się prawie wcale.

A niech cię, Steele. Wiedziałeś, czy po prostu zgadłeś?

- Witaj, Joe. Co u ciebie?

Przez chwilę Faroe nie odpowiadał. Bał się, że przemówi nie dość szorstkim głosem, że nie okaże dostatecznie dużego gniewu. Grace zawsze powodowała u niego taką reakcję: mimo że się bronił, docierała w zakamarki jego duszy.

Niech to jasna cholera.

Wepchnął ręce do kieszeni džinsów i popatrzył na ocean za falochronem. Powierzchnia wody była szara, błyszcząca, niemal oleista. Fale rozbijały się ze zwodniczo leniwą gracją, aż falochron dygotał.

To nie była odpowiednia pora, żeby wypływać na morze.

Ani żeby przybijać do brzegu.

Witaj, życie z Grace Silva.

Kiedy Faroe znowu spojrzął na Grace, zdążyła już zdjąć okulary. Wokół jej oczu było widać ślady kilku z tych szesnastu lat. Wyglądała na zmęczoną, spiętą, kruchą. Wydawała się mądrzejsza, dojrzalsza, mniej pewna siebie, a już na pewno bardzo niepewna tego, jak zostanie przywitana.

- U mnie w porządku, ogólnie rzecz biorąc - odparł Faroe. - A u ciebie?

- Rozmawiałeś z ambasadorem?

Faroe skinął głową.

- Więc wiesz, że jestem zdesperowana. Inaczej nie miałabym odwagi, żeby się tu pokazać.

- Odwagi?

- Tak. Trudno spojrzeć w twarz komuś takiemu jak ty.

- A ja myślałem, że sędziowie są przyzwyczajeni do patrzenia w twarz przestępcom.

Grace odwróciła wzrok od przenikliwych, zielonych oczu Faroego. Kształtem przypominały oczy Lane'a tak bardzo, że odnosiła wrażenie, iż ktoś usuwa jej grunt spod nóg, a ona sama tańczy w powietrzu. Miała ochotę krzyknąć, biec, rzucić się Faroemu w ramiona i odnaleźć szalone zapomnienie, którego zaznała kiedyś tylko z nim.

„A ja myślałem, że sędziowie są przyzwyczajeni do patrzenia w twarz przestępcom”.

- Przeważnie nie uprawiali z nimi seksu - odparowała bezceremonialnie.

Faroe prawie się uśmiechnął; mało brakowało, żeby zaklął. Wtedy ona wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Pod jedwabną koszulką wyraźnie zarysowały się piersi. Faroe chciał odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Kiedy zobaczył Grace pierwszy raz szesnaście lat temu, od razu poczuł do niej prymitywny, fizyczny pociąg. I to nigdy nie uległo zmianie.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się zmieni.

- Myślisz, że jest mi łatwo? - zapytała schrypniętym głosem.

Faroe wpatrywał się w chorągiewkę na wysokim maszcie żaglówki.

- Mój syn... - Głos Grace się załamał. - Potrzebuję cię. Lane potrzebuje. Pomóż nam. Proszę.

Faroe odwrócił się i popatrzył na Grace. Nie miała makijażu ani wysokich obcasów, ani rozpiętej bluzki albo obcisłych spodni. Niczego, co przykułoby uwagę mężczyzny. Jej czarne, krótkie włosy przetykała siwizna, którą bardziej próżna kobieta starałaby się ukryć.

- Steele wymienił dwa nazwiska - powiedział Faroe. - Tacy faceci z pewnością mogą wpędzić w desperację. Steele doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Zwykle nie prosi o ćwierć miliona, chyba że masz świetne ubezpieczenie.

- Mógł zażądać dwa razy więcej - odparła Grace. - I nie jestem ubezpieczona. Lane też nie.

Faroe po cichu odetchnął, próbując nie pamiętać o przeszłości. Bez względu na to, co zaszło między nim i Grace, dziecko było niewinne.

I teraz znajdowało się w rękach rzeźników.

- Wejź na pokład - zaprosił Faroe. - Możemy porozmawiać na dole.

Grace poczuła taką ulgę, że aż zakręciło jej się w głowie.

Nie odwróci się ode mnie.

Od Lane'a.

Od pokładu dzieliło ją prawie pół metra, a statek mocno kołysał się na wodzie. Grace popatrzyła z niepokojem na odległość między dokiem i pokładem.

Niewiele myśląc, Faroe wyciągnął rękę.

Zignorowała jego gest. Chwyciła jeden ze słupów i samodzielnie dostała się na pokład.

Chcesz mnie, pomyślał Faroe. Ale mi nie ufasz. To też się nie zmieniło.

## Rozdział 12

Oceanside  
Niedziela, 10.03

Faroe poprowadził Grace przez luk do kabiny. W zębie poniżej otworzył się kolejny właz. Światło robocze było skierowane na niedokończoną belkę. Brzegi przemytniczej skrytki pokrywała chropowata warstwa epoksydu. Nie dbale podniósł kawałek podłogi i zamknął zębę. Luk pozostawał otwarty.

- Wygląda na przemytniczą skrytkę, o których mi opowiadałeś - zauważyła Grace.

- Niech to diabli - mruknął Faroe. Znowu podniósł fragment podłogi i odłożył go na bok. - Śmiało, dobrze się przyjrzyj. To będzie najmniej strzeżony sekret na granicy.

Grace przez chwilę patrzyła na skrzynkę.

- Widzę, że nie będziesz przemycił słoni.

Mimo poważnej sytuacji się uśmiechnął. Słowa Grace były cytatem z celniczego żartu o inspektorach na indyjskiej granicy i o wędrującym kornaku. Faroe kiedyś jej opowiedział ten dowcip. Codziennie kornak pojawiał się na posterunku granicznym ze swoim słoniem. Przeszukiwano i kornaka, i słonia. Potem pozwalano im przejść. Działo się tak przez kilka tygodni, aż w końcu jakiś rozgarnięty inspektor zorientował się, że to słonie były kontrabandą.

- Opowiedziałam tę historię rok temu. Podczas skazywania meksykańskiego przemytника. - Zajrzała do zęby i dodała: - Być może docenisz fakt, że dostał dziesięć lat.

- A więc dowiedziałaś się, że przemytnicy rzeczywiście istnieją. Dobrze, że sędzia wie takie rzeczy.

Grace przestała się uśmiechać.

- O, dowiedziałam się o wiele więcej o ludzkiej naturze i świecie cienia, jak go dawniej określałeś. -A od wczoraj wiem znacznie więcej, niżbym chciała.

- Nadal tak go nazywam. Nic się nie zmieniło, oprócz tego, że jesteśmy starsi, a przestępcy młodszy. - Faroe wyszarpnął przewód z gniazdka i rzucił na

zęzę. Potem opuścił klapę podłogi. - Przynieść ci coś? - zapytał, siłąc się na grzeczny ton. - Wody? Piwa? Zostało jeszcze trochę kawy.

- Poproszę kawę - odparła Grace. - Czarną.

Ten zwyczaj też się nie zmienił.

Kiedy Faroe szukał czystej filiżanki, Grace obejrzała resztę salonu. TAZ miał co najmniej jeden komputer, ekrany wideo, telefony takie, jak u Steele'a w biurze, i mniejszą wersję globalnego zegara ambasadora.

- Drewniana łódka. - Grace nie wiedziała, czy się śmiać czy płakać: Faroe z takim uporem dążył do tego, żeby robić wszystko po swojemu.

- Zbudowano ją w Inverness, w Szkocji, w 1956 roku - oznajmił Faroe. Podał Grace letnią kawę w stosunkowo czystej filiżance. - Najpierw służyła jako kuter do połowu śledzi na Morzu Północnym. Między deskami kadłuba wciąż można znaleźć rybie łuski.

- Nigdy nie widziałam w tobie poławiacza śledzi.

- Szykuję ją do rejsów morskich. Osiąga tylko dziesięć węzłów, ale potrafi zachować takie tempo miesiącami.

- Sam sterujesz? - zapytała Grace i uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, czekając na odpowiedź. Głupia, głupia, głupia.

Faroe skinął głową.

Wmawiała sobie, że nie czuje ulgi. Ale czuła.

- Steele mówił, że przeszedłeś na emeryturę.

- Tak - potwierdził Faroe; wyraźnie nie chciał rozwijać tematu.

Nie ułatwiła mu zadania.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł spędzić beczynn timer następane czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

Faroe też sobie tego nie wyobrażał, ale nie chciał o tym rozmawiać z nikim, nawet z samym sobą.

Zapadło milczenie.

- Rozmowy o drobiazgach nigdy dobrze nam nie wychodziły. - Faroe wskazał stolik na mapy na środku salonu. - Masz list od kidnaperów?

Grace usiadła przy stoliku.

- Nie. Carlos i Hector powiedzieli mi bezpośrednio, że Lane nie może wyjechać, jeśli Ted, mój były mąż, nie podpisze formularza. Niestety, Teda gdzieś wywiało. Zresztą nie tylko przede mną się ukrywa. Odbieram telefony od wielu wkurzonych ludzi o różnych porach dnia.

Faroe pokiwał głową.

- Opowiedz mi o Carlosie, Hectorze i twojej ostatniej wizycie u syna.

Grace pociągnęła kilka łyków, uporządkowała myśli i powiedziała Faroemu to samo, co wcześniej Steele'owi. Faroe słuchał uważnie, wpatrzony w filiżankę, jak wróżbita czytający z fusów.

Nauczył się słuchać, zauważyła Grace. Szesnaście lat temu mówił więcej. Przynajmniej w rozmowach ze mną.

Nie żeby spędzali dużo czasu na dyskusjach.

- ...a potem, tak szybko, jak tylko się dało, pojechałam z powrotem do granicy - zakończyła. Wtedy całą drogę płakała, ale Faroe nie musiał o tym wiedzieć. - Zmarnowałam kilka godzin, wydzwaniając do przeróżnych osób. Potem zadzwoniłam do ciebie na komórkę. Telefon odebrano w St. Kildzie.

Faroe obrócił filiżankę, wysączył kawę do końca i popatrzył na Grace.

Znieruchomiła. Jego oczy wciąż miały zdumiewający, chłodny odcień zieleni, niemal taki sam, jak kolor jej nefrytowego wisiorka, który założyła na ich pierwszą randkę. Gdy tylko zobaczyła Joego, wiedziała, że będzie z nim spała, chociaż czuła, że nie powinna. Całe życie była obowiązkową grzeczną dziewczynką.

Ale nie z Joem Faroem.

On był najgorszym facetem, jakiego poznałam.

I najlepszym.

- To mi wygląda na Kolumbię, a nie Meksyk - zawyrokował Faroe.  
- Co masz na myśli?  
- Daj spokój, Grace. Nie jesteś aż tak naiwna.  
- Nigdy nie byłam w Kolumbii, a do Meksyku jeździłam bardzo rzadko  
- odparła.

Faroe wzruszył ramionami.

- Porwania i wymuszenia to normalka w Kolumbii.

Z trudem przełknęła ślinę.

- W twoich ustach brzmi to tak...  
- Pospolicie?  
- Właśnie.  
- To bardziej powszechne, niż ci się zdaje - wyjaśnił Faroe. - Na świecie jest wiele miejsc, gdzie porywanie zakładników to sposób na życie. Steele nie mówił ci o zjawisku, które elegancko określa „krwawą wymianą”?  
- Pewnie wrodzona dyplomacja nie pozwoliła mu użyć tego sformułowania w rozmowie ze mną.

- A szkoda. Wy, prawnicy, moglibyście nazwać to zjawisko wyjątkową formą biznesu.

- To znaczy? - spytała szorstko. On nadal nienawidzi prawników. I nic dziwnego.

- Kiedy biznesmen nie może polegać na kontraktach i zwyczajnych zabezpieczeniach, znajduje inne sposoby. Jeżeli płaci przemytnikowi, powiedzmy, za tonę kokainy, to oczekuje, że przemytnik w zamian ugości jego syna albo córkę, albo żonę.

Grace się skrzywiła.

- No dobrze. Tak. Oczywiście, słyszałam o takich rzeczach, ale nie tutaj: to nie jest część amerykańskiego życia.

- I ty nie chcesz o niej wiedzieć.

- Nie wszystkim podoba się życie w rynsztoku. Ludzie przeważnie chcą czegoś więcej.

Czy my już nie rozmawialiśmy na ten temat szesnaście lat temu?

Oboje o tym pomyśleli.

Ani on, ani ona nie wypowiedzieli tej myśli na głos.

- To wszystko odbywa się w bardzo cywilizowany sposób - stwierdził Faroe. Głos miał obojętny, a oczy zimne. - Zakładnik udaje się w wakacyjną podróż do Bogoty, Medellin albo Cartageny. Zatrzymuje się w miłym hotelu, ma dostęp do wszelkich wygód. Nikt nie podcina go do akumulatora ani nie przypala ciała papierosami. Po miesiącu, dwóch, tacy ludzie przylatują z powrotem do domu, ładnie opaleni... pod warunkiem że dostawa odbyła się bez zakłóceń. Jeśli coś pójdzie nie tak... cóż, szkoda, ale jesteś trupem.

Grace odstawiła filiżankę na stół z taką siłą, aż rozlała kawę.

- Nie owijasz w bawełnę. Jak zawsze.

- Ładne słowa nie upraszczają sytuacji. Meksykanie taszcżą towar dla Kolumbijczyków od lat. - Faroe też odstawił filiżankę. - Zdaje mi się, że Meksykanie przejęli z tej formy biznesu część dotyczącą porwań. Ale ty przecież w pewnym sensie o tym wiedziałaś, prawda? Jesteś bardzo bystra. Zazwyczaj lepiej niż ja orientowałaś się w świecie, w którym nie obowiązuje szacunek dla prawa.

Czekał na odpowiedź, mierząc Grace zimnym wzrokiem.

- Naprawdę wierzysz, że jestem zamieszana w tak podejrzane akcje, jak przemyt narkotyków i branie zakładników? - zapytała.

- Nie mam żadnych wątpliwości. Jesteś zwykle zamieszana. Pytanie tylko, ile wiesz.

- A ty ciągle jesteś twardym sukinsynem, co? - odparowała zupełnie spokojnie, jakby właśnie odkryła, że Faroe nadal zamawia krwiste steki.

- Świat też jest twardy. A poza tym, czy właśnie nie na kogoś takiego wydajesz ówierać bańki? Na twardego sukinsyna, który potrafi skutecznie, bez skrupułów i zbędnych pytań uporać się z twoim problemem?

Grace wpatrywała się w zimne, nieodgadnione oczy Faroego, człowieka, który przez całe dorosłe życie jako tajny agent zwalczał przemytników i morderców.

- No tak - mruknęła. - Mam to, o co prosiłam. - Naprawdę szczęściara ze mnie.

- A więc jesteś zamieszana... - ciągnął Faroe, dolewając sobie kawy.

Wytrzeszczyła oczy. Były wyraziste, ale aż pociemniały.

- Zawsze potrafiłeś określić moje cechy lepiej, niż ja sama. Intrygowało mnie to, ale i przerażało.

- A ty umiałas przejrzeć mnie. I to cholernie mnie przerażało. Przynajmniej pod tym względem się nie różnimy. Cóż, było, minęło.

- Masz rację. -I całkowicie się mylisz. - Pojechałam z Tedem, żeby obejrzeć szkołę All Saints. Robiła, i nadal robi, ogromne wrażenie. Piękny kampus na plaży na północ od Ensenady, prowadzony przez Kościół katolicki. Nauczyciele są świetni. Aż do wczoraj mogłam tam przyjeżdżać, kiedy chciałam, widywać syna przynajmniej raz w tygodniu, do woli rozmawiać przez telefon. Lane korzystał ze szkolnego komputera i regularnie wysyłał mi maile. Ale to się skończyło trzy tygodnie temu.

- Co się stało?

- Jakiś problem techniczny. - Wzruszyła ramionami. - Używam komputerów, ale nie znam się na nich.

Faroe wstał, wyjął z szuflady lornetkę i podszedł do iluminatora.

- Gdzie jest teraz Ted?

- Nie widziałam go od trzech tygodni.

Faroe zerknął na nią przez ramię.

- Czy to coś niezwykłego?

- Nie. Nie jesteśmy ze sobą od lat.

- Zawsze tak dobrze wyglądaliście w rubrykach towarzyskich: szczęśliwa, nierozłączna para.

- Tylko mi nie mów, że wierzysz we wszystko, co wypisują w gazetach - odparła zimnym tonem.

- Święta racja. A więc ostatnio nie bzykałaś się z Tedem?

Grace wstała rozwścieczona.

- Moje życie seksualne to nie twoja sprawa - rzuciła Faroemu prosto w twarz.

- Wyluzuj. Chciałem tylko się zorientować, czy Ted to typ zazdrośnika.

- Dlaczego?

Faroe odszedł od iluminatora. Starał się nie czuć jej kobiecego zapachu. Ale jego ciało reagowało niezawodnie.

- Gdyby Ted był zazdrośny, od razu bym wiedział, co robi ten gość na doku. - Podał Grace lornetkę. - Od dziesięciu minut usiłuje zobaczyć, co tutaj robimy.

- Szpieguje nas? - Szybko cofnęła się spod iluminatora.

- Tak. Teraz musimy tylko się upewnić, że chodzi mu o ciebie, nie o mnie.



# Rozdział 13

Oceanside  
Niedziela, 10.15

Grace wlepiła oczy w Faroego.  
G - Poznajesz go? - spytał niecierpliwie.

Niechętnie podeszła jeszcze raz do iluminatora. Odstąpił od niej, żeby miała więcej miejsca. To nie wystarczało. Czowała ciepło jego ciała, zapach kawy w oddechu. Zamierzała mu powiedzieć, żeby się cofnął, nie naruszał jej przestrzeni, ale nie chciała, żeby wiedział, jak duży wpływ na nią wywiera jego bliskość.

W milczeniu patrzyła przez iluminator na pomost, który prowadził aż na parking mariny.

- Nikogo nie widzę - stwierdziła po kilku chwilach.
- Jest sprytniejszy od przeciętnego palanta - odparł Faroe tuż nad jej uchem.
- Chowa się w budce telefonicznej.

Tak, teraz gołym okiem dostrzegła postać w budce telefonicznej przy wejściu na pomost. Kiedy przyłożyła do oczu lornetkę, spojrzała w twarz ciemnowłosemu mężczyźnie, który wpatrywał się w nią przez własną lornetkę.

Przeżaszona gwałtownie odsunęła się od iluminatora i uderzyła plecami w klatkę piersiową Faroego. Poczowała znajomy, lekko kwaśny zapach jego ciepłej skóry.

To się nie zmieniło.

- Spokojnie - mruknął Faroe. - Nie zobaczy cię za szybą iluminatora.

Grace wzięła głęboki oddech i lekko się wychyliła, żeby znowu spojrzeć na pomost. Kiedy podniosła lornetkę, odniosła wrażenie, że dźwiga pięciokilogramowy ciężar. Miała spocone dłonie. Z ponurą miną poprawiła ostrość, żeby dokładnie przyjrzeć się mężczyźnie w budce.

- Nie znam go - oznajmiła. - I nie masz pewności, że za mnajechał. Biorąc pod uwagę twoją profesję, na pewno narobiłeś sobie wielu wrogów.

- To nie sala sądowa, wysoki sędzie, tylko prawdziwy świat. Tu na samym początku uczysz się, że trzeba iść za instynktem.

- Myślisz, że jemu chodzi o mnie?

- Jedyną osobą, którą mam teraz na karku, jest Steele. Więc tak, myślę, że temu facetowi chodzi o ciebie. - Faroe lekko się nachylił, wystarczająco blisko, żeby czuć zapach włosów. Pachniały czystością, luksusem, były seksowne. - A to znaczy, że jesteś obserwowana od nie wiadomo jak dawna. Niedobrze, *amada*.

Kochanie.

Grace na moment wstrzymała oddech. Może mówił *amada* do wszystkich swoich kobiet. Ale oprócz niego nikt tak czule się do niej nie zwracał.

No i był za blisko.

Kiedy mówił, czuła jego oddech we włosach. Opuściła lornetkę i próbowała odwrócić się do Joego, zmusić go do wycofania się z jej przestrzeni.

Nawet nie drgnął. Stał z lekkim, irytującym półuśmieszkiem.

Przesunęła się w bok, trzymając lornetkę niemal jak tarczę.

- Dlaczego to źle, że jestem śledzona?

- Bo teraz on wie, że coś nas łączy.

- Myli się - odparła natychmiast.

Faroe wybuchnął śmiechem.

- Wie, że jesteś tu, na dole, ze mną. To znaczy, że się znamy. On potrzebuje właśnie takiej informacji. Sprawdza rejestrację na mojej łodzi. To go zaprowadzi do zamorskiej korporacji na Arubie.

Grace stała zupełnie nieruchomo.

- Potem, jeśli facet jest choć trochę dobry - ciągnął Faroe - znajdzie na Arubie kogoś, kogo zdoła przekupić. Zasięgnie informacji i dotrze do prawnika, którego wykorzystałem do stworzenia zapory między mną i światem. Jeśli ten prawnik jest tak nieuczciwy, jak myślę, sprzeda moje nazwisko, gdy wynegocjuje odpowiednią cenę.

- Ale...

Faroe nie dał sobie przerwać:

- Ani się obejrzysz, jak ten gość z doku się dowie, że kręcisz i wynajmujesz drogiego międzynarodowego likwidatora kłopotów, żeby wydostać swojego syna z przytulnego więzienia.

Grace patrzyła na Faroe'go z przerażeniem. Chciała się kłócić, udowadniać, że to niemożliwe.

Nie, nie podpisała wyroku śmierci na syna.

Ale oczy Faroe'go mówiły prawdę, oczy Lane'a ją oskarżały. Serce biło Grace bardzo mocno, w uszach czuła dudnienie. Rzeczywistość przypominała tunel, który zamykał się tuż przed nią, a dookoła panoszyła się ciemność.

Mrucząc coś pod nosem, Faroe popchnął Grace na ławę pod ścianą i zmusił, żeby włożyła głowę między kolana.

- Nigdy nie myślałem, że mogłabyś zemdleć - powiedział szorstko. - Od-dychaj, do cholery. Bez tlenu potrafią żyć tylko święci i hinduscy mędrcy.

Zadygotała. Wzięła kilka głębokich oddechów. Dudnienie w uszach ustało, świat już nie przypominał karuzeli, a światło wróciło. Poczowała na sobie duże dłonie Faroe'go. Jedną ręką przytrzymał jej głowę między kolanami, a dru-

gą gładził po plecach z czułością, która całkowicie przeczyła ostremu tonowi jego głosu.

- Nic mi nie jest - wymamrotała. - Umiem o siebie zadbać.

- Tak? Już prawie bym uwierzył. Kiedy ostatni raz spałaś dłużej niż dwie godziny?

Wzruszyła ramionami.

- O jedzeniu też zapomniałaś?

Obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie jestem głodna.

- Adrenalina likwiduje apetyt, ale nie zapotrzebowanie na kalorie. Musisz podtrzymać ogień.

Podszedł do lodówki i wrócił z puszką coli. Wręczył Grace słodki napój.

Popatrzyła na puszkę.

- Wiem, wiem - uprzedził jej reakcję. - Ty pijasz tylko dietetyczną. Tak czy inaczej, wypij to. Cukier ma swoje zalety.

Wzięła puszkę i pociągnęła łyk. Ciało zareagowało natychmiast. Wzięła jeszcze jeden haust i zadrżała, zdziwiona doznaniem, jakie wywołało dostarczeniem organizmowi cukru.

- Ja chyba... nie jadłam nic od wczorajszego śniadania - powiedziała po namyśle.

- Grzanka i kawa?

- Kawa bez grzanki. Pracowałam do późna.

Faroe poszedł do spiżarni. Wrócił z bochenkiem chleba na zakwasie, słoczkim masła orzechowego, nożem do krojenia pieczywa i nożem stołowym. Przekroił chleb na pół, potem odkroił drugą kromkę i posmarował grubą warstwą masła orzechowego. Podał kanapkę Grace.

- Masło orzechowe i cola na śniadanie - zauważyła. - Dołóż do tego kawałek zimnej pizzy i masz raj Lane'a.

- Twój dzieciak wie, co dobre. Jedz.

- Tak, mam. - Grace odgryzła wielki kęs. Zamknęła usta i starannie go przeżuwała.

Faroe wrócił do iluminatora. Facet wciąż stał w budce. Po chwili Faroe odwrócił się, wyciągnął taboret spod stolika na mapy i ustawił go przed Grace.

- Jeśli chcesz wyciągnąć syna, musisz się uczyć, i to szybko - stwierdził.

- Po pierwsze, żyjesz tak, jakbyś była na scenie w dniu premiery. Ktoś cały czas cię obserwuje. Musisz tylko ustalić, kto i na czyje zlecenie.

Grace sięgnęła po colę, żeby łatwiej uporać się z masłem orzechowym, które zalepiało jej usta.

- Po drugie, chroń siebie, bo nikt tego za ciebie nie zrobi - ciągnął Faroe.
- Z tej samej przyczyny dbaj o siebie. Jesteś kobietą wysokooktanową i przeżywasz ogromny stres. Musisz normalnie jeść. To bardzo ważne.
- Tak, mam - wymamrotała Grace, ale masło orzechowe złagodziło sarkazm.
- Posłuchaj, to nie jest dobra pora, żeby nie jeść. Ludzie podejmują głupie decyzje, bo są pijani albo nawaleni, albo w ogóle coś mają rozregulowane. Bycie głodnym to taki sam problem.
- Ale palnąłeś mówkę.
- Jeszcze jedna zasada. Nie daj się niczym zaskoczyć. Oczekuj najgorszego, nie doznasz przykrych rozczarowań.
- Najgorszego.
- Śmierci Lane'a.
- Grace znieruchomiła.
- Oddychaj - burknął Faroe.
- Zmusiła się do regularnego oddychania.
- Gdybym pozwoliła sobie na oczekiwanie najgorszego... - Nie była w stanie dokończyć.
- Tak - odparł. - Gdybyś pozwoliła sobie na oczekiwanie najgorszego, zaczęłabyś wariować i robić strasznie głupie rzeczy zamiast tylko trochę niemądrych.
- Oprócz tego, że przyjechałam do ciebie, co takiego niemądrego zrobiłam?
- Już samo to wystarczyło. Poproś Steele'a o innego konsultanta z St. Kildy. Za dużo nas łączyło w przeszłości.
- W jej oczach pojawiło się zaskoczenie.
- Ale tylko ciebie znam na tyle dobrze, żeby ci zaufać. Myślisz, że inaczej bym tu przyszła? Sądziś, że jest mi łatwo?
- Łatwo czy trudno, postąpiłaś niewłaściwie. I to jeszcze zanim zdałem sobie sprawę, że zostaliśmy spaleni przez tego gościa na doku.
- Widział nas razem. I co z tego?
- Straciłem przewagę, jaką musi mieć operator: dyskrecję. On będzie grzebał mi w tyłku i nie odpuści, dopóki Się nie dowie, kim jestem.
- Musisz się wyrażać tak dosadnie?
- Cholernie panią przepraszam, pani sędzio. - Gniew w głosie Faroego aż wibrował we wnętrzu TAZ-a. - Lepiej się przyzwyczaj do braku delikatności w życiu, bo właśnie siedzisz po uszy w gównie i czeka cię niedelikatne zanurzenie.
- Mówisz prawie z taką samą wściekłością jak szesnaście lat temu. - Grace popatrzyła na masło orzechowe i chleb bez najmniejszego zainteresowania.

- Wtedy powiedziałaś mi, żebym zesłała ci z oczu i wyniosła się w cholere z twojego życia. Właśnie tego chcesz? Znowu?

- Jesteś prawnikiem. Wiesz, jak uczucia utrudniają profesjonalną ocenę.

- Nie jestem pewna, czy jeszcze w to wierzę. - Wzięła głęboki oddech. - Wierzę w więzy krwi. Mojemu dziecku grozi olbrzymie niebezpieczeństwo, i gdy tylko sobie to uświadomiłam, wiedziałam, że tylko jedna osoba może mi pomóc. Ty, Joe. Więc schowałam dumę do kieszeni i przyjechałam do ciebie. Dla Lane'a.

Przez dłuższą chwilę Faroe w milczeniu patrzył na Grace. Nie wątpił, że mówiła prawdę.

Ale instynkt mu podpowiadał, że nie mówiła całej prawdy.

- Szesnaście lat temu może to by zadziało - powiedział. - Ale ja się zmieniłem i ty się zmieniłaś. I dlatego potrzebujesz kogoś innego. My mamy za dużo emocjonalnego bagażu, który może bardzo przeszkodzić.

Grace uważnie go obserwowała. Oczy miała szeroko otwarte, lśniące od łez, ale nie zamierzała pozwolić łzom popłynąć.

- Sam zadzwonię do Steele'a - oznajmił Faroe. Głos miał ochrypy od emocji wywołanych wspomnieniami, które powinien wyrzucić z pamięci. - Są dwie osoby tak samo dobre, jak ja. Jedna z nich dałaby radę przyjechać tu o świcie. Ty i St. Kilda możecie zacząć od nowa, bez bagażu i bez spalonych pracowników.

Grace zerknęła na skórzaną torbę, którą wniosła na pokład.

Mój Boże, czy będę musiała mu powiedzieć?

- Mam już nauczkę - powiedziała cicho. - Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie sprawdzę, czy ktoś mnie nie śledzi.

Faroe wypuścił powietrze z płuc.

- Dobra. Zadzwonię do Steele'a.

- Nie.

- Co?

- Powiedziałeś, że w świecie cienia trzeba ufać instynktowi. Ty albo nikt. Nikomu nie będzie łatwo wytropić twojej przeszłości. Jeśli jesteś taki dobry, na pewno pozacierałeś ślady.

- Naprawdę dobry agent z odpowiednimi znajomościami dokopałby się do mojej prawdziwej tożsamości w ciągu kilku dni. Maksymalnie w tydzień.

Popatrzyła na zegarek.

- Lane ma dwadzieścia sześć godzin.

- Cholera.

- Rozumiem, że jesteś wściekły - powiedziała Grace. - Nie wiem, dlaczego porzuciłeś St. Kildę, ale pewnie miałaś ważny powód. A ja ciągnę cię z powrotem do miejsca, w którym nie chcesz być.

Ważny powód.

Faroe usiłował nie pamiętać, co czuł, kiedy przyjaciel, który okazał się wrogiem, umierał na jego rękach.

Faroe otarł się wtedy o śmierć. Dla Bernarda to był koniec.

Grace patrzyła na Faroeo i zastanawiała się, co on myśli, że jego twarz przypomina trupią czaszkę. Joe uśmiechnął się w końcu, ale tak zimno, że aż dostała gęziej skórki.

- Steele ci powiedział? - zapytał.

- Wspominał coś o tym, że musiałeś zabić dobrego człowieka, który przeszedł na stronę złą.

Faroe gwałtownie wstał i sięgnął do metrowego sznura, przewieszzonego na haku nad stołem map. Wyciągnął ręce nad głową i złapał oba końce sznura. Powoli wykręcał ramiona. Spięte mięśnie najpierw zaprotestowały, ale w końcu powoli rozciągnęły się, uwalniając nagromadzone w nich napięcie.

Grace obserwowała to z fascynacją, której nawet nie starała się ukryć. Joe Faroe, którego poznała dawno temu, był chudy jak rzemień i skoczny jak sprężyna, zawsze gotowy do akcji. Nowy Joe Faroe miał więcej mięśni, a mimo to był bardziej elastyczny.

Nauczył się panować nad swoim destruktywnym napięciem.

Po raz pierwszy pozwoliła sobie mieć nadzieję. Odrobinę nadziei. Tyle, żeby choć trochę uwolnić gardło od narastającego krzyku rozpacz i bezradności.

Cisnął sznur na stół i popatrzył na Grace wzrokiem, który świadczył o tym, że decyzja została już podjęta.

- Jesteś pewna, że tylko ja mogę mu pomóc? - zapytał.

- Tak.

- Dwoje na linie to niebezpieczne, zwłaszcza jeśli jedna z tych osób to amator.

Grace kolejny raz spojrzała na torebkę, w której miała wszystkie zdjęcia Lane'a. Czowała ulgę, ale też dziwny smutek, że nie musiała ich użyć.

- Co chcesz, żebym robiła? - spytała.

- Wszystko, co ci każe.

Wmawiała sobie, że te słowa miały tylko jedno znaczenie. Sztywno skinęła głową.

Faroe się uśmiechnął.

- Daj mi swoją komórkę.

Bez słowa wyjęła z torby telefon i podała go Faroemu.

Jeśli to był jakiś dziwny test, nie zamierzała go oblać.

# Rozdział 14

Oceanside  
Niedziela, 10.29

Faroe wystukał trzy cyfry, potem wcisnął klawisz połącz i wręczył Grace telefon.

Słuchała sygnału.

- Do kogo dzwonię?
- Są tylko dwa trzycyfrowe numery. Nie zadzwoniłem na informację.
- Zadzwoń na policję? Co ja mam powiedzieć?
- Zgłoś, że ktoś tu grasuje - odparł Faroe. - Ktoś próbował się włamać do twojej łodzi przy wyciągarce F-39.1 teraz jest na doku.

Trzeci sygnał.

- I sprawiaj wrażenie przerażonej - dorzucił Faroe.
- 911, słucham?
- Dzwonię z przystani Oceanside - powiedziała szybko Grace. - Jakiś mężczyzna właśnie próbował się włamać na moją łódź, a ja jestem tu sama. Proszę, pomóżcie mi!
- Intruz? Gdzie to jest?
- Przy wyciągarce F-39 na przystani. On cofnął się na pomoście. Teraz stoi na parking, w budce telefonicznej i... obserwuje mnie!
- Proszę go opisać.
- Ciemne włosy, niebieska koszula, albo kurtka. Ma lornetkę. Myślę, że obserwował łodzie, żeby się zorientować, czy ktoś jest na pokładzie któreś z nich.
- Zaraz kogoś przyślemy.

Grace zakryła mikrofon i zwróciła się do Faroego:

- Wysyłają wóz.
- Ile to potrwa?

Grace kiwnęła głową i odsłoniła słuchawkę.

- Za ile będziecie? Jestem sama i strasznie się boję.

Dyspozytorka zaczęła coś sprawdzać.

- Za trzy minuty. Może pani kontynuować połączenie.

Grace wyszeptała:

- Trzy minuty.

Faroe rozłączył rozmowę.

- Jeżeli nagle milknie telefon, naprawdę zaczynają działać - wyjaśnił.
- Sprytne, ale co ze mną? Dyspozytorce nie wyświetlił się numer?

- Nie - odparł Faroe. - Telefony komórkowe rzadko można namierzyć. Poza tym nie zrobiłaś niczego złego. Na parkingu stoi podejrzany facet, więc się zdenerwowałaś.

- Jesteś adwokatem?

- Nie, sam z siebie umiem kłamać.

Chwył swoją skórzaną torbę i zajrzał do środka. Zanim zamknął jąprzede nosem Grace, zdążyła zauważyć satelitarną komórkę, taką samą, jak na biurku Steele'a.

- Masz tam broń? - zapytała.

- Martwisz się przekraczaniem granicy, kiedy pojedziemy sprawdzić szkołę?

- O to i o blokady na drogach.

- Gdzie?

- Na płatnej autostradzie do Ensenady i przy wjeździe do szkoły.

- Szukali broni?

- Nie mówili, że szukają, ale gdyby chcieli, mogliby sprawdzić cały samochód i mnie.

- Nie martw się. - Faroe uśmiechnął się lekko. - Jestem przestępcą z wyrokiem. Posiadanie przeze mnie broni tu czy w Meksyku byłoby niezgodne z prawem. Dlatego nie noszę giwery przy sobie.

- Przygraniczny kowboj bez spluwy? Dlaczego mam wrażenie, że przestrzeganie prawa to dla ciebie najmniejszy problem? - mruknęła Grace.

- Bo dobrze mnie znasz.

Wyprowadził Grace przez luk na pokład TAZ-a. Kiedy zamknął za nimi drzwi kabiny, odpiął linkę bezpieczeństwa i zszedł na pokład. Zarzucił sobie torbę na ramię. Grace szła za nim wolno, więc odwrócił się i podał jej rękę, żeby nie straciła równowagi.

Skorzystała z jego uprzejmości i lekko zeskoczyła na pokład. Spłoszyła się, kiedy wykorzystał pęd i przyciągnął ją do siebie. Spojrzał Grace w oczy, nie zważając, że aż zeszywniała z przerażenia.

Masz robić wszystko, co ci każę.

- Są tylko dwa powody, dla których kobieta taka, jak ty mogłaby być z takim mężczyzną, jak ja - powiedział Faroe blisko ust Grace. - My chcemy, żeby tamten facet myślał, że chodzi o ten drugi powód. Ostry numerek, a nie wynaęty pomocnik, dobrze?

- Joe...

- Tak, wiem - przerwał jej - nie chcesz mnie i nie jesteś przyzwyczajona do oszukiwania ludzi. Ucz się szybko, pani sędzio. Albo będziesz mnie słuchała, albo w tej chwili wycofujesz swój śliczny tyłek z gry. Co wybierasz?

Ton głosu sugerował, że Faroe mówi bardzo poważnie. Opierała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu dała za wygraną i przysunęła się do niego.



- Dobrze - mruknął. - Teraz obejmij mnie za szyję i zachowuj się tak, żeby nasz gość myślał, że cię namiętnie całuję.

- Co?

- Spokojnie - wyszeptał jej w usta. - To nie musi być prawdziwy pocałunek. Powinien tylko przekonująco wyglądać dla kogoś, kto patrzy przez lornetkę.

- Taki udawany? Tylko na pokaz, i nic naprawdę?

Uśmiechnął się.

- Tak, ale postaraj się dobrze to odegrać. Musimy przekonać faceta, że jestem twoim nowym kochasiem.

Faroe zaczął ją całować powoli i nie od razu w usta.

Grace lekko wtuliła się w niego.

To nie było dobre posunięcie.

Ciało zareagowało pod wpływem impulsu. Z początku pocałunek był niezdamy, ale Grace szybko w nim zasmakowała i wszystko się zmieniło - przeszłość i terażniejszość połączyły się jak kochankowie, w ponadczasowym uścisku. Przytuliła się do Faroeo jeszcze mocniej. Poczwała jego erekcję.

Powoli, ciężko dysząc, Faroe zmusił się do powrotu do rzeczywistości, w której czas sunął tylko w jednym kierunku. Nadal byli obserwowani przez gościa z lornetką.

- Właśnie dlatego wzięcie przeze mnie tej roboty nie jest najlepszym pomysłem. - Niechętnie wypuścił ją z objęć.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiem, co się stało.

Zerknął na nią z ukosa.

- Ja wiem.

- To... to się więcej nie powtórzy.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego całkiem pewny. - Niedbale objął ją ramieniem i zaczął iść po doku. - Takiej potrzebie trudno się oprzeć.

Nadal szli, kiedy na parking mariny wtoczył się pierwszy radiowóz, jak wiewloryb zabójca ze świecącymi czerwonymi oczami. Latynos z lornetką pewnie poczuł się nieswojo, bo wyszedł z budki i szybko pomaszerował do zaparkowanego w pobliżu czarnego suburbana.

Wóz policyjny skręcił w stronę jego samochodu.

Zanim Grace i Faroe dotarli na koniec pomostu, oficer w mundurze już zmusił mężczyznę, żeby rozpostarł ręce na masce. Policjanci ze wsparcia zajęli pozycje.

- Pamiętaj, jesteśmy zwykłą parą, która idzie na parking po szybkim numerku na łódce - przypomniał cicho Faroe, lekko ciągnąc ją za krótkie włosy. - Zachowuj się naturalnie. Popatrz przez chwilę na glipiarzy i na faceta, który obejmuje maskę samochodu i próbuje się tłumaczyć. A przy okazji, zerknij na rejestrację suburbana.

Grace obróciła się i spojrzała na tablice. Były z Frontera Baja California, ale miały nietypowy kolor.

Lekko odchyliła głowę.

- Widziałam te same kolory na samochodach przy drugiej barykadzie w sobotę, tej przed szkołą.

- To rejestracja wozów meksykańskiego rządu - wyjaśnił, lekko gryząc ją w policzek. - Przy odrobinie szczęścia gliniarze z Oceanside rozszyfrują napis VIN na tej ciężarówce.

- O Boże - szepnęła Grace. - Policjanci przeprowadzają obserwację dla handlarzy narkotyków.

- Witaj w moim świecie, pełnym pięknych odcieni szarości. Wejście do tego świata mieści się na południowym krańcu międzystanowej autostrady numer 5. Ja poprowadzę.

- Jestem dużą dziewczynką. Umiem prowadzić samochód.

- Dasz radę zostawić w tyle partnera tego faceta? - zapytał Faroe.

- Partnera? Gdzie? I przestań mnie skubać. Przez ciebie nie mogę się skoncentrować.

- Będę miał pewność co do tego drugiego gościa, jak tylko wyjadę z parkingu.

Niezadowolona Grace oddała kluczyki. Przyzwyczała się, że sama kontroluje sytuację. Potrzebowała tego. Ted to akceptował i dawał jej niezależność, której chciała. Z początku myślała, że robił to z szacunku. Potem uświadomiła sobie, że po prostu machnął ręką, bo mu na niej nie zależało.

Z jednej strony machismo Joego z hasłem „zaopiekuję się kobietką”, z drugiej - obojętność Teda „niech sobie suka robi, co chce”. Grace westchnęła ciężko. Czy dla genu Y nie ma pośrednich rozwiązań?

Faroe wcisnął Grace na fotel pasażera jej mercedesa i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik, posłuchał zdrowego buczenia i mocno wcisnął pedał gazu, aż obroty przekroczyły pięć tysięcy.

- Cudownie. - Uśmiechną się. - Kiedy zaczęłaś gustować w macho koni mechanicznych? A może to Ted wybrał ten wóz?

- Ted? - Grace wybuchnęła śmiechem. - On dopiero w połowie drogi do San Francisco zorientowałyby się, że cały czas jechał na dwójce. Sama wybrałam tę przystojną bestię.

- Ted dużo stracił.

Grace wzruszyła ramionami.

- Może ja też wiele rzeczy w nim nie zauważyłam.

Faroe wątpił w to, ale powiedział tylko:

- Gdzie jest biuro Teda?

- Ma dwa. Jedno w La Jolla, przy autostradzie Pacific Coast, drugie w Malibu. Ale teraz nie ma go w żadnym i nie wiadomo, kiedy tam zawita.
- Joe uśmiechnął się na tę parodię szczebiotu recepcjonistek.
- Po drodze na granicę zajadę do biura w La Jolla - poinformował.
- Co spodziewasz się znaleźć?
- Nic specjalnego. - Mam nadzieję. - Jak tam dojechać?
- Grace chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język i podała wskazówki.

## Rozdział 15

La Jolla  
Niedziela. I 1.05

Jak wszystko w życiu Grace, La Jolla zmieniła się przez ostatnie szesnaście lat. Dawna snobistyczna miejscowość wypoczynkowa w Kalifornii stała się centrum handlowym i finansowym, które śmiało mogło rywalizować z Zona Rio w Tijuanie.

Faroe jechał wolno boczną uliczką, która kończyła się ślepym zaułkiem na parkingu Edge City Investments. Przy wjeździe na parking stała budka wartownicza. Faroe skręcił za rogiem i podjechał do krawężnika, przyglądając się pięciopiętrowemu budynkowi z nierdzewnej stali i szkła.

W milczeniu przeczytał treść wyrzeźbioną na marmurowym wsporniku. Oprócz Edge City budynek mieścił firmę importową, międzynarodową agencję marketingową, filie dwóch domów maklerskich z Wall Street oraz biura czterech doradców finansowych, z czego trzech miało hiszpańskie nazwiska.

- Przy granicy pierze się mnóstwo nielegalnych pieniędzy - powiedział Faroe.
- Myślisz stereotypami. To że na budynku jest kilka hiszpańskich nazwisk, jeszcze nie znaczy, że dzieje się tu coś niezgodnego z prawem.
- Ja tylko spekuluję. Przecież właśnie dzięki temu robi się wielkie pieniądze, prawda? Dzięki spekulacji.

Nie wydawała się przekonana.

- Przyzwyczaj się do tego - poradził. - Widziałem podłe numery zbyt wielu wieprzy, żeby zachowywać polityczną poprawność. Nie wszyscy faceci z Bliższego Wschodu wysadzają samoloty, ale rewidowanie każdej białej babci w imię politycznej poprawności jest skrajnym idiotyzmem.

- Prawo mówi...

- Prawo jest tworzone przez polityków - przerwał jej Faroe. - Do diabła, wiem, że nie wszyscy Rosjanie należą do mafii albo pracują dla skorumpowanego rządu, ale prawdopodobieństwo, że jakiś Iwan Kurna Niewinny uczciwie zbił majątek w Matce Rosji, jest takie samo, jak to że Juan Kurna Niewinny doszedł do dużego szmalu w Ojcu Meksyku bez brudzenia sobie rąk.

Miała ochotę polemizować, ale przewyciężyła impuls. Nie podobało się jej to, co mówił Faroe, ale gdyby szczegółowo analizowała obywatelskie prawa w momencie, gdy typy pokroju Hectora pojawiały się w towarzystwie uzbrojonych bandziorów, jeszcze bardziej narażałaby życie syna.

- Na świecie jest mnóstwo takich miast, jak La Jolla - dodał Faroe. - Aruba, Medellin, Bejrut, Moskwa. Szybki, nielegalny szmal za narkotyki, broń, ataki terrorystyczne. Bez różnicy. Pieniądze toczą się po świecie jak wielka, stara, lepka piłka; zbiera ze sobą z pozoru uczciwych bankierów, maklerów i doradców finansowych.

- Mówisz tak, jakby legalnie zarobione pieniądze w ogóle nie istniały.

- Zależy, co rozumiesz przez „legalnie”. Weźmy handel dziełami sztuki. Przepuszczasz towary przez trzech poprzednich właścicieli i masz z bańki. Zdziwiłabyś się, jak często sztuka jest wykorzystywana do transferowania pieniędzy przez granice, na bezpieczne, ponumerowane konta.

- Świat prawa istnieje - odparła z naciskiem Grace. - Wiem, bo w nim żyję.

- Czysty czubek ubłoconej góry lodowej.

Potrząsnęła głową.

Obejrzał się na stalowo-szklany budynek - pomnik sławiący sukces finansowy. Przez jakiś czas oboje milczeli.

- Ted nie zaczynał z myślą o tym, że skończy w szarej strefie - powiedział w końcu Faroe. - To się działo stopniowo, jedna mała decyzja po drugiej. Jeden delikatny odcień szarości. Jakaś przysługa dla przyjaciela, potem nowi przyjaciele i nowe przysługi. To są ludzie, z którymi jadasz, pijesz, wychowujesz dzieci. Ludzi ci bliscy.

Grace nie podobał się kierunek obrany przez Faroego, ale nie wiedziała, jak go zmienić. Jego spokojne słowa były jak kule niszczące jej świat, zmuszały do przyjęcia perspektywy, której przez całe życie unikała.

- Niektórzy z tych przyjaciół są nieźle ubrudzeni, a ich przyjaciele są ubrudzeni jeszcze bardziej - ciągnął Faroe. - Im dłużej z nimi przestajesz, tym bardziej stajesz się brudna, aż któregoś dnia budzisz się i przekonujesz, że sypiasz z typami pokroju Hectora Rivasosa Osuny. Potem spadasz do szarej strefy, nie mając pojęcia, jak do tego doszło, ani jakie będzie lądowanie.

Grace zacisnęła zęby i przypominała sobie salę sądową, gdzie prawo istniało, było czymś równie rzeczywistym jak powietrze. Odwróciła się, żeby opo-

wiedzieć Faroemu o swoim świecie, i zobaczyła, że intensywnie przygląda się czemuś na ulicy. Już miała podążyć za jego spojrzeniem, ale ją powstrzymał.

- Nie - powiedział szybko. - Jesteśmy śledzeni.

Poczuła mdłości.

- Znowu ten suburban? Jakim cudem?

- Sedan - odparł Faroe, spokojnie odwracając wzrok. - Facet schował się w zaroślach obok apartamentowca. Widziałem przez chwilę błysk jego okularów. Próbował zobaczyć naszą tablicę rejestracyjną.

- Ale kto to jest?

- Dobre pytanie. - Faroe otworzył schowek na rękawiczki. - Masz jakąś mapę?

Grace wyciągnęła ze skrytki przewodnik po okręgu San Diego i otworzyła na właściwej stronie.

- Gotowa na kradzież windy? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Musisz do mnie mówić po angielsku, bo nie rozumiem.

- Nie, to ty musisz mnie uważnie słuchać i robić to, co mówię. Windę można ukraść tylko w południe, w zatłoczonym budynku. Trzeba sprawiać wrażenie osoby zagubionej.

- To nie będzie trudne - mruknęła.

Położył mapę na kierownicy i ruszył. Raz po raz spoglądał na kartkę, powoli sunąc ulicą. Skręcił w aleję, gdzie stał ukryty sedan.

- Joe, co ty... - zaczęła Grace, kręcąc się niespokojnie.

- Cicho, kobieto-przerwał jej Faroe.

- Nie nazywaj mnie kobietą.

- Dlaczego? Ludzie ciągle mówią do mnie „chłopie” albo „facet”. Chcesz być nazywana facetką?

Zanim zdążyła się odciąć, tak jak na to zasługiwał, już byli obok sedana, a Faroe opuszczał szybę SUV-a. Z przodu czterodrzwiowego forda w kolorze urzędowej zieleni siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, który czytał gazetę, upuścił ją na fotel. Obaj wydawali się zaskoczeni, ale szybko zrobili pewne siebie miny.

- Hej, wiesz gdzie jest Apollo Avenue? - zawołał Faroe. - Według mapy, to gdzieś tutaj, ale nie mogę znaleźć...

Kierowca obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Nie jesteśmy stąd.

- No, to wyluzuj i pytaj o drogę, jak przystało na porządnego metroseksa - odparł Faroe, wolno mijając forda. -A następnym razem, postaraj się upuścić gazetę tak, żeby przykryła antenkę na twoim walkie-talkie. Miłego dnia.

- Faroe przyśpieszył i po kilku sekundach wyjechał na ulicę.

- O co tu chodziło? - zapytała Grace.
- Nieostrożne gliny. Naprawdę nie cierpię, kiedy dobrzy faceci wyglądają tak źle.
- Gliny? - Wyprostowała plecy, ale zmusiła się, żeby nie patrzeć za siebie.
- Ci faceci byli gliniarzami?
- Tak. I to pewnie federalni. Na takie ubranie mogliby sobie pozwolić tajniacy. Może byli z urzędu celnego albo wydziału do spraw zwalczania narkotyków. Albo nawet z grupy zadaniowej, w której są też lokalni policjanci. Założę się, że gdybyśmy przejechali się po okolicy, znaleźlibyśmy jeszcze kilka jednostek w krzakach. Jedna ekipa nie dałaby rady zabezpieczyć tak dużego budynku.
- Co oni tutaj robią?
- Faroe zerknął we wsteczne lustro.
- Wysoki sąd chce ode mnie zaprzysiężonego zeznania czy zrelacjonowania przypuszczeń?
- Tego, co przybliży mnie do uwolnienia Lane'a.
- Faroe uśmiechnął się lekko.
- Szybko się uczysz. Moim zdaniem, oni obserwują firmę twojego męża.
- Skąd pewność? Na budynku jest wypisane dużo nazwisk! - Grace zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. - No, dobrze. Przepraszam. Mówisz o swoich domysłach.
- W porządku - powiedział. - Mamy meksykańskich gliniarzy w Meksyku, którzy być może pracują dla oszustów, i mamy amerykańskich gliniarzy, którzy zazwyczaj pracują dla dobrych ludzi. No i jesteśmy: ty i ja.
- A więc?
- Albo twój mąż jest najpopularniejszym facetem w obu krajach, albo ma więcej kłopotów, niż nam się zdaje.

## Rozdział 16

Manhattan  
Niedziela, 14.10

**D**wayne podniósł słuchawkę prywatnej linii specjalnej Steele'a.  
- Dwayne przy telefonie.

- Tu Faroe.
  - Ambasador rozmawia z dyrektorem finansowym, którego majątek jest większy niż budżet większości państw. Mam mu przerwać?
  - Nie. Poszczuj psami Theodore'a Franklina.
  - Już to zrobiliśmy. Steele był pewien, że weźmiesz to zlecenie.
  - Cholera, nie cierpię być przewidywalnym. Co tam masz?
- Dwayne kliknął myszką i popatrzył na kilka podsumowań.
- Chcesz pełną wersję czy najważniejszy fragment?
  - Chcę tego, co mnie przybliży do Teddy'ego.
  - Jego fundusz hedgingowy jest w opałach. Wielkich opałach.
  - Dlaczego? - zapytał Faroe.
  - Złe inwestycje.
  - Gdyby to było wbrew prawu, połowa ekspertów od inwestycji siedziałaby w więzieniach.
  - Na tym, między innymi, polega problem - wtrącił Dwayne. - To coś w rodzaju schematu Ponziego skrzyżowanego z klasycznym praniem pieniędzy.
  - Przez ciebie mam ból głowy.
  - Weź dwie aspiryny i zadzwoni, kiedy będzie mi na tym zależało. Ted się pograża. Steele już cmoka.
  - Próbuję to sobie wyobrazić - powiedział Faroe. -I przez to mam jeszcze większy ból głowy.
- Dwayne wybuchnął śmiechem.
- Nikt nie podnieca się ukrytymi ponumerowanymi kontami bardziej niż ambasador.
  - Nie on jeden. Jakiś niewydarzony glina zarządził obserwację biura Teda w La Jolla.
  - Steele'owi to się nie spodoba - stwierdził Dwayne.
  - Ja sam nie skaczę z radości. Jak blisko jesteś odnalezienia Teda?
  - Na razie nie korzystał z żadnego ze swoich kont ani kart kredytowych. Kiedy to zrobi, będziemy go mieli.
  - Skop mu dupę - odparł niecierpliwie Faroe. - Mamy jeden dzień, żeby uwolnić młodego Franklina.
  - Kopiemy tyłki i zdobywamy nazwiska. Co do terminu, nie mogę dać gwarancji.
  - Dwa dni, dwa tygodnie, dwa lata - warknął Faroe. - Masz znaleźć sukkinsyna, który skazał swojego dzieciaka na kolumbijski krawat. Tacy ludzie, jak on powinni być wyeliminowani z puli genetycznej.
- Dwayne otworzył usta, ale rozmowa już została przerwana.

# Rozdział 17

Szkoła Ali Saints

Niedziela. I 1.30

Carlos Calderon zapukał do drzwi Lane'a i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Dwaj strażnicy, którzy pilnowali Lane'a, nawet nie drgnęli; siedzieli wygodnie, oparci o zaciemioną ścianę domku. Tylko zmierzli gościa ciemnymi oczami. Po ich policzkach spływał pot.

Lane leżał półnagi na łóżku i wpatrywał się w muchy na suficie.

Calderon poszedł do kuchni, zobaczył puste opakowanie po soku pomarańczowym i postawił nowy, przyniesiony przez siebie karton. Obok soku w lodówce stał talerz z tacos i fasolą. Najwyraźniej chłopak nie był głodny!

Calderon wrócił z pustymi rękami do sypialni i brutalnie posadził Lane'a.

- Miałeś wiadomości od ojca? - zapytał.

- Co?

Calderon uderzył Lane'a otwartą dłonią w twarz.

- Twój ojciec kontaktował się z tobą?

Lane zamrugał. Prawie udało mu się skupić wzrok.

- Nie ma telefonu.

- W biurze jest telefon. Ojciec dzwonił do ciebie?

Lane zwiesił głowę. Oczy zaczęły mu się zamykać.

Kolejne ostre uderzenie w twarz sprawiło, że znowu się ocucił.

- Nie wiem - warknął Lane. - Co ty... cholera...

Calderon mocno potrząsnął Lane'em, potem złapał go za włosy i przyciągnął twarz chłopaka do swojej.

- Słuchaj no, *pendejo* - wycedził przez zęby Calderon. - Nie jestem tak cierpliwy, jak Hector. Jeśli usłyszysz cokolwiek o swoim ojcu, natychmiast masz mi o tym powiedzieć, bo jak nie, to poderżnę ci gardło i odeślę twój łeb matce, a resztę wezmą sobie kuzyni Hectora? Zrozumiałeś?

Mocno zamroczony Lane pojął tylko, że Calderonowi naprawdę zależy na informacjach o Tedzie Franklinie. Reszta przypominała koszmar: nagły, ostry ból, echa pozbawione znaczenia.

- Rrozzzzumiem.

Calderon odepchnął Lane'a tak mocno, że ten wyrznął głową w ścianę sypialni. Chłopak jęknął i znów osunął się na łóżko. Calderon wymaszerował z domku.

Strażnicy nadal spokojnie siedzieli i się pocili.



# Rozdział 18

Okolice granicy  
Niedziela, 12.30

**N**a południe od Coronado Bridge duszne powietrze zaczynało gęstnieć. Amerykański przemysł i paleniska podsycane meksykańskim węglem drzewnym sprawiały, że niebo przypominało szlam.

- Pojedź trasą Otay Mesa - poradziła Grace. - Podróż po tej stronie trwa dłużej, ale lepsze to, niż dać sobie ukraść opony na światłach.

- No proszę, co za niepoprawność polityczna...

- Niepoprawne jest też patrzeć na mnie tak, jakbym miała napisane na tyłku: „Do wynajęcia”.

Faroe stłumił śmiech. Po raz kolejny zerknął we wsteczne lusterko. I natychmiast wjechał na pas szybkiego ruchu.

- Co ty wyrabiasz? - zapytała Grace. - To jest zjazd na prawo.

- Wiem.

Faroe wcisnął pedał gazu i patrzył, jak strzałka szybkościomierza błyskawicznie dochodzi do dwustu na godzinę. Mknęli, mijając nieregularny korowód aut, przez kilometr. W ostatniej chwili Faroe przeciął cztery pasy i wjechał na autostradę, która prowadziła w górę, do Otay.

Grace chwyciła się oparcia i zerknęła przez ramię na samochody, którym Faroe zajeżdżał drogę.

- Czyś ty zwariował? - krzyknęła.

- Ja tylko zachowuję ostrożność.

- Ostrożność? Omal nie spowodowałeś wypadku!

- To dobry sposób, żeby zgubić ogon.

Grace znieruchomiała.

- Jesteśmy śledzeni?

- Na ostatnich pięćdziesięciu kilometrach trzy razy pokazał się czerwony jeep. Ciekawe, że w ostatniej chwili kierowca zdecydował, że też pojedzie do Otay. Nierozważne, ale wiesz, jak to jest z tymi kierowcami z południowej Kalifornii.

Na moment zamknęła oczy.

- To kto nas teraz śledzi? Rosjanie?

Faroe się uśmiechnął.

- Wątpię. Moim zdaniem, jeep należy do ekipy, którą wypatrzyliśmy w Edge City. Ci goście są lepsi, niż tamte matoły w sedanie. Pewnie federalni. To duży oddział inwigilacyjny, złożony z ludzi z wielu agencji.

- Tak się cieszę, że podoba ci się prowadzenie parady. Ja tam mogłabym żyć całkiem dobrze bez uzbrojonej asysty.

- Nie martw się, *amada*. Niebezpiecznie robi się tylko wtedy, kiedy przestają cię obserwować.

Miała nadzieję, że się nie mylił.

Faroe zwolnił, tak że przekraczał dozwoloną prędkość tylko o piętnaście kilometrów: to wystarczyło, żeby nie zostać najechanym przez innych uczestników ruchu.

- W tej chwili myślę, że ta grupa zadaniowa jest jeszcze na wczesnym etapie śledztwa: znajdują kawałki sznurka i sprawdzają ich długość. Podobnie jak my.

- Czy twój świat zawsze jest taki... aktywny?

- Nie da się ukryć, że tak. Gdyby przeciętny obywatel wiedział, co się wyrabia na świecie w biały dzień, włosy stanęłyby mu dęba, a potem wszystkie by sobie wyrwał. Właśnie tak wygląda przestępczy świat: kluczący dookoła faceci napychają sobie kieszenie w różny sposób i rozpaczliwie próbują robić to tak, żeby nikt ich nie zauważył.

- Prawo to zauważa - stwierdziła Grace.

- Czasami. A wtedy widzisz, jak gliny uganiają się za bandytami. Zazwyczaj są daleko w tyle, a to dlatego, że krępują ich rozmaite ograniczenia. Nie tylko muszą wybadać, co się dzieje, ale też zdobyć prawnie dopuszczalny dowód przestępstwa. A jeśli chodzi o sądowe praktyki, poprzeczka jest ustawiona niesamowicie wysoko.

- Wysokie wymagania mają uzasadnienie. To one odróżniają nas od rynsztoka.

- Pani sędzio, rynsztok uwielbia wasze wysokie wymagania, bo piekielnie utrudniają one życie gliniarzom.

- Nie jesteś głupi - powiedziała Grace lakonicznie. - Wiesz, dlaczego działania policji muszą podlegać ograniczeniom.

- Tak, rozumiem prawniczą bajkę, którą uzasadniacie swoje postępowanie. Ale z drugiej strony, czegoś nie chwytam: dlaczego społeczeństwo tak bardzo martwi się glinami?

- Bo ktoś musi patrzeć na ręce stróżom prawa.

- Patrzeć na ręce? Owszem, ale nie strzelać im we wszystkie kończyny.

- Zupełnie jak dawniej. - Pokręciła głową. - Ja po jednej stronie sprawiedliwości, ty po drugiej. To cud, że nie zostałeś przestępcą.

- Proszę się cieszyć, że istnieją tacy „antyprzestępcy”, jak ja, wysoki sędzie. Dzięki nam, na waszym stole z białym obrusem nie lądują największe kupy gówna.

Często zerkając w lusterka, Faroe wjechał na stromą górę, która była głównym terenem handlowym ery porozumienia NAFTA. Na drogach prowadzących na północ było aż gęsto od świeżych produktów z głębi Meksyku, tanich telewizorów składanych w *maquiladoras* w Tijuanie. Z naprzeciwnika, na południe, sunął nieprzerwany strumień stali strukturalnej i dóbr przetworzonych. Wielkie hurtownie i siedziby firm pośredniczących w imporcie i eksporcie sąsiadowały z zaparkowanymi na ogromnej powierzchni starymi samochodami osobowymi i ciężarówkami, które były zbyt rozklekotane na szybkie autostrady międzystanowe w Stanach, ale nadawały się na wolne, wiejskie drogi Chiapas i Guanajuato.

Lśniący samolot Aeromexico wystartował z lotniska Tijuana International, kilometr za ogrodzeniem z drutu kolczastego i metalowej siatki. Maszyna skierowała się na południe, wyrzeliwując spaliny nad zatłoczonymi, pograżonymi w skrajnej nędzy *colonias*, które, jak okiem sięgnąć, zajmowały nadbrzeżne wzgórze.

Grace przeszył dobrze znany, nieprzyjemny dreszcz.

- Powinam się lepiej czuć w tych okolicach. Kilku moich przodków pochodziło z Meksyku. Ale zawsze czuję się tutaj obco.

Faroe delikatnie dotknął jej włosów, potem znowu położył rękę na kierownicy.

- Nie przejmuj się. Wiem o Tijuanie tyle, że starczy za dwoje. To modelowe miasto szarej strefy.

- To świat, z którego próbowałeś się wydostać.

Wzruszył ramionami.

- Czy to nie dlatego przeszedłeś na emeryturę? - zagadnęła. - Żeby już nie przekraczać tej granicy i nie wracać do Meksyku, którego obraz został w twojej pamięci?

Faroe zatrzymał wóz na końcu krótkiego sznura amerykańskich samochodów, jadących na południe.

- Próbuję uciec od wielu rzeczy - odparł Faroe. - Właśnie po to mam łódź.

- TAZ-a. Z jakiego języka pochodzi ta nazwa?

- To akronim wyśniony przez filozofa Sufi, Hakima Beya. Ten skrót oznacza: Tymczasową Autonomiczną Zonę.

Grace przez chwilę zastanawiała się nad nazwą.

- A co dokładnie to oznacza?

- Bey opisuje autonomiczne strefy jako odległe, renegeckie miejsca porzucane po całym świecie: Tybet, Wyspy Morza Południowego, klasztory wysoko w Alpach. Jednym z moich ulubionych miejsc jest opuszczony szyb wiertniczy na terenie kanału La Manche, między Francją i Kentem.

- Czy St. Kilda zawdzięcza swoją nazwę jednej z tych stref?  
- Niezupełnie. No, może, skoro już o tym mówisz. Tymczasowe autonomiczne zony są zamieszkiwane przez takich ludzi jak ja, którzy nie dawali sobie rady w cywilizowanym świecie; przez facetów wypalonych zawodowo, świrusów i uciekinierów. W zonach odczuwa się czasem samotność, ale to jedyne miejsca, gdzie nieprzystosowane osobniki mają jakąś szansę na bycie wolnym.

- Rozumiem, ale dlaczego tymczasowa?

- Te miejsca istnieją tylko pod warunkiem, że pozostają pod globalnym radarem - wyjaśnił. - Gdy tylko ustrukturyzowany świat rządów i korporacji natyka się na TAZ-a, zaraz próbują go podporządkować albo na nim zarobić. I zabawa się kończy. Ci nieprzystosowani, którzy przeżywają, przenoszą się do następnego TAZ-a i mają nadzieję, że kolejna strefa będzie istniała tak długo, jak oni sami.

Meksykański celnik w okularach przeciwsłonecznych i brązowym mundurze pomachał ręką, przepuszczając ich bez kontroli. Minęli granicę i wjechali do Meksyku.

- Wciąż Don Kichot? - zapytała cicho Grace. - Wieczny idealista, pełen nadziei, szukający następnego wiatraka, takiego, który uda mu się pokonać.

Faroe uśmiechnął się blado.

- Po tej stronie granicy potrzebujesz idealizmu bardziej, niż w słonecznym świecie.

Grace pomyślała o swoim życiu, choćby tym sprzed roku. Była zasmucona perspektywą rozvodu, ale czuła się bezpiecznie.

Ileokroć spędzała noc w Meksyku, ze strachu nie mogła spokojnie zasnąć.

To głupie. Meksyk jest w przeważającej części bezpieczniejszy niż kalifornijskie *barrio*, w którym dorastałam.

Przynajmniej był, dopóki Ted nie rozpoczął jazdy po równi pochyłej.

Za to nie mogę go krytykować. Moja moralność też pozostawiała wiele do życzenia.

Ted wpadł we wściekłość, kiedy dowiedział się, że nie jest ojcem Lane'a. Nie uwierzył, że nie wiedziała o tym, kiedy się pobierali. Nie chciał wierzyć. Miał idealny pretekst, żeby ignorować chłopca, który nazywał go tatą. W dodatku mógł usprawiedliwiać wszystkie swoje romanse, które zaczęły się na wiele lat przed informacją o Lanie. Ted był idealny, ona była fałszywą zdziwą, i tyle.

Grace nie chciała myśleć o reakcji Faroego, gdyby się dowiedział, że ma syna. Potraktowałyby ją jak oszustkę i złodziejkę, która ukradła mu syna.

Prędzej czy później zniszczy kruche romantyczne złudzenia mężczyzny, który siedział obok niej w samochodzie.

Może nie będę musiała.

A może świnie śpiewają sopranem.

- Co się stało? - zapytał Faroe. - Jesteś blada.

- Tylko zmartwiona.

Taka była prawda, cała prawda i tylko prawda.

Faroe spojrział w lusterko wsteczne.

- Już się nie martw, jeep odjechał na granicy. Co w zasadzie potwierdza, że mieliśmy do czynienia z glinami. Może to byli agenci FBI. Albo ludzie z DEA, którzy zgarnęli samochód w czasie nalotu na handlarzy narkotyków.

- Dlaczego zatrzymali się na granicy?

- Federalni nie lubią jeździć na południe. Meksykański rząd każe im zostawić broń po drugiej stronie granicy. To nie jest zdrowy tryb życia.

Zmarszczyła brwi.

- Ciebie to nie wyprowadza z równowagi? Chodzenie bez broni?

- W pewnych sytuacjach noszę przy sobie spluwę. Ale broń ma ograniczone zastosowanie. Jeśli nie jest się gotowym i zdolnym zabić, to tylko żelazo, ołów i proszek.

Grace wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

- A ty jesteś gotowy. I zdolny.

Faroe spojrział na nią ciemnozielonymi oczami, potem znowu skierował wzrok przed siebie. W samochodzie zapadła cisza.

I to jaka.

Milczenie dosłownie przytłaczało Joego i Grace.

Faroe odsunął od kierownicy jedną rękę, potem drugą, żeby rozprostować palce.

- Był pewien facet, całkiem dobry - zaczął po chwili. - Myślałem, że jest przyjacielem. I pewno zginąłbym z taką świadomością, gdyby nie kamizelka kuloodporna. Zbroja.

Grace wstrzymała oddech.

- Gdzie byłeś?

- W brudnym zaułku za Lisboa Casino w Macao. Zaczęło się jak pijacka bijatyka. W każdym razie myślałem, że był pijany.

Faroe popatrzył na swoją prawą rękę.

Wzrok Grace powędrował za jego spojrzeniem. Zobaczyła cienką, siną bliznę, która zaczynała się na kciuku i biegła aż do małego palca. Widziała już inne blizny, ale ta była nowa.

- Kiedy dorwał mnie w klinczu, wyciągnął nóż z pochwy na kostce i powiedział: „Wybacz, Joe”. Wtedy zrozumiałem, że wcale nie jest pijany. Próbował rozpłatać mi brzuch i wywalić moje wnętrzności na ziemię, razem z rybimi łbami i fondue z krewetek.

- Przyjaciel - powiedziała schrypniętym głosem.

- Prowadziliśmy śledztwo dla dużej, międzynarodowej firmy zajmującej się elektroniką. Ktoś dawał malajskim piratom cynk o dostawach telewizorów z dużą rozdzielczością. Okazało się, że informatorem był mój kumpel. Bał się, że niedługo go rozpracuję. Więc go udusiłem, kiedy próbował mnie zachłastać. Potem wróciłem i zakomunikowałem Steele'owi, że mam dość.

- To jest... - Z trudem przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

- Syf się zdarza.

- Ale nie możesz się za to obwiniać - powiedziała. - Walczyłeś w obronie własnej!

- Tak, ale po tym wszystkim nie chciałem już pracować dla innych ludzi, dla polityków albo korporacji, które potrafiły księgować ludzkie życie i brudne miliony jako koszty prowadzenia firmy.

- A teraz ja znowu cię w to wciągam. - Splotła palce i mocno je zacisnęła.

- Przykro mi, Joe.

- Potraktuj to jako koncert dobroczynny. My, międzynarodowi najemnicy, ciągle je wykonujemy.

- A więc robisz to dla mnie w ramach specjalnej przysługi?

Przez chwilę patrzył na nią, potem znowu skoncentrował wzrok na chaotycznym ruchu na drodze.

- Nie mam ukrytych zamiarów, jeśli o to ci chodzi.

Unikając jego ukradkowego spojrzenia, Grace popatrzyła na swoje splecione dłonie na kolanach i znowu się zastanowiła, co powiedziałyby Faroe, gdyby poznał prawdę o Lanie.

- Nie tym się martwię - odparła.

- No to czym?

- Nie mogę... nie... nie będę...

Usłyszała dzwonek komórki.

Gdyby mogła, to by ją ucałowała.

## Rozdział 19

Tijuana

Niedziela, wczesne popołudnie

**W**itaj, Grace, mówi James Steele. - Słowa Steele'a dudniły głucho przez głośnik.

Grace zerknęła w bok.

Faroe skinął głową.

- Ambasadorze, jestem tu z Joe - powiedziała. - W Meksyku.

- Ach... - Steele nie ukrywał satysfakcji. - Z tego, co mówił mi Dwayne, rozumiem, że się zgodziłeś.

- Nie traktuj tego zbyt poważnie - odparł Faroe. - Gdy St. Kilda będzie przetrząsała wszystkie zakamarki w poszukiwaniu Theodore'a Franklina, ja przyjrę się szkole i przekażę Grace sugestie co do sposobu wydostania stamtąd jej syna. Ale wszyscy troje wiemy, że najlepiej, gdybym się z tego wycofał.

- Rozczarowujesz mnie - mruknął Steele. - Zwłaszcza że zdobyłem bardzo interesujące i ważne informacje w tej sprawie.

- Informacje? Jeśli są z Google, wpakuj mi na maila. Popatrzę sobie później. Teraz akurat zmierzamy w oko cyklonu.

- Wiem, uważasz, że znaleźiska internetowe na niewiele się przydają.

- Żadne fragmenty kopiowane z prasy nie ostrzegły mnie w sprawie Macao - powiedział Faroe. - I założyłem się, że nie powiedzą mi niczego, czego bym sam nie wiedział: Grace została wciągnięta w grę w trzy rogi.

- To znaczy? - spytał Steel lodowatym tonem, już bez cienia ironii.

- Przyjrzelśmy się biurze Teda Franklina. To miejsce jest pod ścisłą obserwacją. - Zajmuje się tym chyba jakaś grupa zadaniowa dowodzona przez federalnych. Na pewno wszystko kontrolowali.

Przez chwilę słychać było tylko ruch na drodze i lekkie stukanie Steele'a palcem w zestaw słuchawkowy.

- A ten trzeci róg?

- Dla mnie on wyglądał na meksykańskiego *federale* - stwierdził Faroe.

- Najwyraźniej namierzył Grace wcześniej, w jej domu. Zaprowadziła go wprost do mnie. Na razie nie zostaliśmy zdemaskowani, ale ja jestem spalony. Lepiej zacznijcie przygotowania do planu B.

Steele milczał, potem westchnął.

- To bardzo niedobrze. Będę przygotowany na włączenie Barlowa do akcji.

- Barlowa? Żartujesz?

- Założyłem, że będziesz chciał kogoś, kto dobrze mówi po hiszpańsku.

- Jasne, ale Barlow sepleni. Takich jak on *baja californios* nazywają *chilango*. Meksykanie z granicy traktują *chilangos* mniej więcej tak, jak przeciętny Teksaszyk jankesów.

- A kogo byś wolał?

- Nie mam przed sobą listy - rzucił zniecierpliwiony Faroe. - Ty dowodzisz zespołem.

Po drugiej stronie panowało chłodne milczenie. W końcu Steele chrząknął.

- Sędzio Silva, ma pani większe niż ja doświadczenie w radzeniu sobie z dorastającymi chłopcami, więc proszę mi pomóc. Oficjalnie Joseph nie chce się podjąć misji, ale chce kontrolować jej wykonanie. To klasyczny przykład sytuacji patowej.

Grace uśmiechnęła się lekko.

- Ambasadorze, nie czuję, żebym miała prawo dawać rady. Jestem sama w samochodzie ze wspomnianym, bardzo nadąsanym chłopcem.

- Hm, jak już się zdecyduje, proszę mi dać znać - powiedział Steele, cedząc każde słowo.

Wrodzony upór sprawił, że Faroe nie przyznał, że już podjął decyzję. Strasznie mu się nie podobało, że jego szef tak łatwo go przejrzał.

Były szef.

No, prawie były.

- Do tego czasu - ciągnął Steele - będę po prostu nadal wykonywał swoje obowiązki administracyjne i zapewniał wsparcie, włącznie ze zbieraniem przydatnych materiałów wywiadowczych.

Faroe popatrzył spode łba na głośnik.

- Dobra. Poddaję się. Mów, co masz.

- Zainteresowało mnie to, co sędzia Silva powiedziała mi wczoraj o szkole, w której jest przetrzymywany jej syn. Ali Saints. Wspomniała, że szkołę prowadzi Kościół rzymskokatolicki, i że placówka cieszy się dużym prestiżem.

- No i? - zagadnął Faroe.

- To rodzi oczywiste pytanie - odparł Steele. - Dlaczego Kościół przetrzymuje zakładników dla dobrze znanego meksykańskiego przemytnika narkotyków.

- Kościół katolicki nie różni się od innych instytucji wymyślonych przez człowieka, w Meksyku i gdzie indziej - odparł sarkastycznie Faroe. - Jeśli taca jest pełna, to i ksiądz jest szczęśliwy.

- Być może, ale jedna z najlepszych młodych wywiadowczyń St. Kildy przekazała kilka interesujących faktów. Po pierwsze, Ali Saints ma stronę internetową, gdzie zamieszcza znakomite referencje od wybitnych meksykańskich rodów, włącznie z Calderonami.

Grace się skrzywiła.

- Calderónowie - ciągnął Steele - to Vanderbiltowie północnego Meksyku. Ojciec rodu był ministrem spraw wewnętrznych i prezesem partii politycznej, która rządzi Meksykiem od początku zeszłego stulecia.

- Już o tym wiedziałem - skomentował Faroe. -I co z tego? To tak jak powiedzieć, że rodzina Kennedych była całkowicie normalna z wyjątkiem dni, kiedy Papa Joe przemycił alkohol.



- Chylę czoła przed twoją znajomością kryminalnej przeszłości czołowych rodów. Ale Kościół katolicki to trochę inna sprawa. Nasza młoda wywiadowczyń dokładnie zbadała przeszłość ludzi, którzy prowadzą Ali Saints. Odkryła, że rektor szkoły, ojciec Rafael Magón, objął stanowisko na skutek bezpośredniego mianowania z Watykanu.

Grace uniosła brwi.

Faroe też.

- Ojciec Rafael Magón to kościelna sława - dodał Steele. - Wywodzi się ze słynnego kalifornijskiego rodu Baja i szybko awansował w Watykanie, jeszcze zanim został rektorem Ali Saints dwa lata temu.

Grace wyprostowała się na krześle.

- Spotykałam się z ojcem Rafaeliem kilkakrotnie. Trenuje drużynę piłki nożnej. Zawsze odnosiłam wrażenie, że nie jest to zwyczajny kapłan.

- Magón... - mruknął Faroe. - Ciekawe, czy on jest z tej rodziny.

- Z jakiej? - zapytał Steele.

- Tej z dwoma braćmi, którzy zorganizowali udany bunt w Baja del Norte w 1910 roku - wyjaśnił Faroe. - Zajęli jedyne dwa miasta w Baja, Mexicali i Tijuane. Ich rebelia stała się inspiracją dla skrajnej lewicy tamtych czasów. Przemysłowi Robotnicy Świata i inne anarchistyczne organizacje przysłały posiłki, coś w rodzaju Międzynarodowej Brygady. Mieli niezłą uciechę przez sześć miesięcy, bawiąc się w anarchistyczny rząd.

- Mówisz o jednej z moich babć - wtrąciła Grace. - Kiedy magoniści przegrali, pojechała na północ, a *federales* ruszyli za nią w pościg.

- No tak, to by wiele wyjaśniało. - Faroe zerknął na Grace z ukosa i uśmiechnął się pod nosem.

Wołała nie pytać, co takiego się wyjaśniło.

- Mexico City w końcu wzięło się w garść w 1911 roku i przypuściło kontratak - kontynuował Faroe, z myślą o Steele'u. - *Federales* przepędzili Przemysłowych Robotników Świata na północ, do San Diego. Bracia Magón i niektórzy ich zwolennicy pojechali na południe, do gór Baja. Ich potomkowie wciąż działają, wciąż nawołują górskich wieśniaków i Indian do rewolucji i społecznych przemian.

- Dziękuję - powiedział Steele zupełnie szczerze. - Czasami zapominam, że pod maską bezlitosnego drania kryje się poważny badacz historii.

Faroe wyminął mercedesem wolno sunącą pod górę ciężarówkę, która wypływała z chromowanych dysz czarny, dieslowski dym.

- Historia to śliska sprawa - powiedział Faroe. - Wszystko zmienia się z dnia na dzień, a czasem nawet szybciej. Magoniści liczyli na wsparcie międzynarodowego ruchu robotniczego. Pomylili się i od tamtej pory ukrywali

się w górach. Może ten nowy Magón w końcu skapitulował i zmówił się z kanciarzami, dla zmyłki przywdziewając szaty duchowne.

- Sam się nad tym zastanawiałem - przyznał Steele. - Pamiętasz Umberta Meinhofa?

Faroe chrząknął.

- Tego kapitana Szwajcarów? Nadal dowodzi sekcją zapewniającą bezpieczeństwo watykańskim dyplomatom?

- Tak. Przeprowadziłem z nim dłuższą rozmowę godzinę temu. Potwierdził, że Magón był i prawdopodobnie wciąż jest bardzo ważną osobistością w kościelnym korpusie dyplomatycznym. Ale kiedy zacząłem delikatnie indagować, dlaczego taka gwiazda przebywa na uboczu, w północnym Meksyku, zareagował, jakbym go poprosił o sprowadzenie dziewczynek dla papieża.

Faroe cicho gwizdnął przez zęby.

- I ta wielka gwiazda zadaje się z przemytnikami. Ciekawe.

- Też tak pomyślałem - wtrącił łagodnie Steele.

- Może Watykan postanowił przyjąć magonistów na łono Kościoła - powiedziała Grace. - Że nie wspomnę o Indianach, którzy tak naprawdę nigdy nie przeszli na katolicyzm.

- Możliwe - odparł Steele. - Mimo to jest jeszcze kilka kwestii, które należałoby wyjaśnić. Na przykład odnoszę wrażenie, że Watykan podjął pewne wysiłki, żeby ukryć powiązania ojca Rafaela z kościelną hierarchią.

Grace się zamyśliła.

Faroe zmarszczył brwi i patrzył przez okno, próbując dopasować nową informację do znanej mu układanki. Po chwili uśmiechnął się ironicznie.

- Dobra, Steele, pod jednym względem przyznaję ci rację.

- To znaczy?

- Czasami warto wydawać kupę pieniędzy na wywiadowców.

Steele zaśmiał się krótko, ale szczerze.

- Naciskajmy trochę mocniej - powiedział Faroe. - Oddzwon do kapitana Meinhofa. Obiecuj, że będziemy trzymać język za zębami, ale w zamian chcemy przysługi.

- Jakiej?

- Zaczekaj chwilę. - Faroe zakrył mikrofon i przez chwilę rozmawiał tylko z Grace. - Zakładam, że wszystkie dzieciaki w katolickiej szkole muszą chodzić do kościoła.

- Oczywiście. Na kampusie jest prawdziwe sanktuarium plus mała kaplica na urwisku wychodzącym na ocean.

Faroe odsunął dłoń od słuchawki.

- Powiedz Meinhofowi, że nie zdradzimy tajemnic ani jego, ani ojca Magóna. Ale w zamian pocziwy ojczulek musi się znaleźć w konfesjonale w kaplicy dokładnie za... - Faroe zerknął na zegarek - siedemdziesiąt minut. Czuję potrzebę uczciwej i całkowitej spowiedzi.

- Ależ oczywiście - odparł sucho Steele. - W razie problemu zadzwonię do ciebie.

Połączenie zostało przerwane.

- Nie wiedziałam, że jesteś katolikiem - odezwała się po chwili Grace.

- Mnóstwo rzeczy mógłbym wyznać. Mam nadzieję, że ojciec Magón też.

## Rozdział 20

Baja Kalifornia  
Niedziela, popołudnie

Grace w milczeniu kątem oka obserwowała Faroego. Wydawał się spokojny i zdeterminowany; robił to, w czym był naprawdę dobry. Wciąż zapominała, jak bardzo umiał skupić się na celu. Potrafił zadziwić inteligencją i przenikliwością.

Kiedyś siła Joego nieomal ją przytłaczała, ale jednocześnie elektryzowała. Nigdy wcześniej nie doznawała równie erotycznych bodźców. Kiedy Faroe przestawał się kontrolować, był jak jeździec burzy.

Właśnie dlatego czuła strach przed tym, co się stanie, jeśli Faroe skupi na niej swoją wściekłość i poczucie zdrady.

Nie mogę mu wyjawić tajemnicy, dopóki Lane nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu. W przeciwnym razie narażę syna na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Ale im dłużej ukrywała przed Faroem prawdę, tym większe miała poczucie winy.

- Joe - zaczęła łagodnie. - Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zadam ci osobiste pytanie?

Szybko na nią zerknął.

- Daj spokój. Przecież między nami są bardzo osobiste sprawy.

Grace odsunęła wspomnienia o tym, co ich łączyło. Po chwili zapytała:

- Czy zdarza ci się odczuwać strach?

- O tak. Codziennie. Czasami o wiele częściej. Dlaczego pytasz?

- W tej chwili boję się tak bardzo, aż się cała trzęsę. A ty siedzisz spokojnie, jakbyś się wybrała na niedzielną przejażdżkę. Więc pytam jeszcze raz. Czy kiedykolwiek się bałeś tak, że aż cię mdliło na myśl, że sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli.

- Raz patrzyłem w lufę rewolweru - powiedział Faroe. - Lufa była krótka, a słońce mocno świeciło. Widziałem stępiony koniec naboju. Trzynastolatek trzymający broń też był przerażony. Palec na spuście miał tak zeszywniały, że jego czarna skóra w tym miejscu zbielała.

- Co zrobisz? - zapytała cicho.

- Jak ty teraz, z trudem przełknąłem ślinę. Potem wyciągnąłem rękę bardzo powoli, ostrożnie, i zacząłem odsuwać lufę na bok. Dzieciakowi zadrżała ręka.

- Faroe palcami dotknął prawego ucha. - Kula tylko świsnęła mi obok głowy. Nie słyszałem na to ucho przez tydzień.

- Czy ty... go zabiłeś?

Faroe zaśmiał się ochryple.

- Po co? Pomogłem mu wyczyścić spodnie. Potem on pomógł mi wyczyścić moje.

Grace zadygotała i pokręciła głową. Nie rozumiała, jak mógł się śmiać z takiego przeżycia.

- A więc tak, bałem się wiele razy - podsumował Faroe. - Lęk przed śmiercią to naturalna reakcja, związana z instynktem przetrwania. Wszyscy ludzie odczuwają strach.

- Mówisz, że jesteś przerażony, ale twoje zachowanie wcale na to nie wskazuje. Za każdym razem gdy myślę o Lanie i Hectorze, i Tedzie... - Głos jej się załamał. Ręce zadrżały.

Faroe złapał jej dłoń, pocałował delikatnie i puścił.

- Żyjesz w miłym, schludnym świecie na północy, ale nawet tam gangi, mafie, terroryści stosują przemoc albo grożą jej użyciem, żeby dostać, czego chcą.

- To nie to samo.

- Jasne. Teraz to osobista sprawa. Oddychaj, *amada*. Nadal dużo ci brakuje, żeby zostać świętym hindusem. - Nie wiedział, czy się zaśmiała, czy stłumiła szloch. - Rozluźnij się i pogódź z faktami. Na południe od granicy przemoc to sposób na życie. I tak jest na całym świecie, w miejscach, o których czytasz w nagłówkach, w upadłych państwach i dzikich miastach. Meksyk niebezpiecznie zmierza ku statusowi upadłego państwa. A Tijuana jest dzikim miastem.

- Nie może być aż tak źle. - W głosie Grace było jednak więcej nadziei niż pewności.

Faroe z trudem opanował zimny uśmiech.

- Kiedy pierwszy raz pojawiłem się na granicy, używało się takiej broni, jak Model 1911A Colt i M2 Carbine. Colt miał siłę odrzutu młota parowego, ale fajnie się go nosiło przy biodrze, nawet bez kabury. M2 był popularny, ponieważ za pomocą ostrego pilnika szybko dało się go przerobić z broni pół-automatycznej w lekki karabin maszynowy.

Grace spojrzała na niego. Z profilu wyglądał równie bezlitośnie, jak broń, na której świetnie się znał.

- Narzędzia *pistolero* są inne - ciągnął. - Ulubionym pistoletem jest glock, ale za taką spluwę uczciwy meksykański glina musiałby zapłacić równowartość swoich półrocznych zarobków. Jeśli chodzi o długą broń, Meksykanie wolą H&K albo uzi, z których można wystrzelać trzydzieści kul w pięć sekund. Północny Meksyk to nowe Dodge City. Zastrzel, kogo się da, i do diabła z gapiami. Po co się pchają na ulice, prawda?

- Przesadzasz.

- Czyżby? W Teksasie, na północ od granicy zdarzały się zabójstwa na zlecenie. A to przecież Stany Zjednoczone Ameryki. Morderstw dopuszczali się usunięci ze służby federales. Na południe od granicy zawsze jest gorzej. Tylko o tym nie słyszymy. A jeśli nawet, to po pewnym czasie przestajemy na to zwracać uwagę.

- Powiedziałeś: *usunięci federales*. A więc nie występowali oficjalnie.

- W północnym Meksyku policyjne plakietki są tanie jak barszcz. Liczą się tylko spluwy. Graniczne tereny to średniowieczne księstwa feudalne, zajmowane przez najbogatszego człowieka, bo pieniądze to broń. Władza. Całe wydziały policyjne są na sprzedaż i czekają, kto da więcej. Stają się zbrojnymi oddziałami dla rywalizujących band przemytników. Policja walczy z policją, *federales z federales*, w rozmaitych konfiguracjach.

- Ja po prostu...

- Tak-przerwał jej. - Ty po prostu nie chcesz uwierzyć. Zresztą, jak wszyscy inni. Ale o tych rzeczach może się dowiedzieć każdy, kto czyta meksykańskie gazety. Najsłynniejsze bitwy dobrych i złych glin odbywały się między agentami federalnymi od zwalczania narkotyków po jednej stronie a meksykańskimi żołnierzami po drugiej. Nagrodą był odrzutowiec z ładunkiem sześciu ton kolumbijskiej kokainy. *Federales* mieli mniej broni i zostali zmasakrowani. Wtajemniczeni mówili, że *federales* bardziej interesowała wartość odsprzedaży towaru niż egzekwowanie prawa.

- Jak to możliwe? - zapytała. - Meksyk jest cywilizowanym państwem, z kodeksami prawnymi, konstytucją, wyborami, siecią dróg, elektrycznością, świetnie rozwiniętą sztuką i...

- Meksykańskim policjantom płaci się rządową pensję: tysiąc dolarów miesięcznie - przerwał jej zniecierpliwiony Faroe. - Jeżdżąc obok kierowców w wozach z kontrabandą, mogą zarobić pięć do dziesięciu tysięcy na miesiąc. W Meksyku, prawie jak na całym świecie, korupcja w policji to powszechne zjawisko. Ale tu, w Baja, stanowi zinstytucjonalizowany system. Przekupstwo jest bogiem i nie brakuje pieniędzy na kościelną tacę.

- Słowa - odparła Grace. - Plotki. Opinie. Przesady.

- Fakty. Odznaka federalnego *comandante* kosztuje pół miliona dolarów. Oczywiście zwyczajny facet nie może od razu wyskoczyć z taką kwotą. Musi obciążyć swoją przyszłość hipoteką i użyć własnej odznaki, żeby mieć za co płacić raty. Narzuca więc dodatkowy podatek na ulicznych przestępców, a potem przekazuje część swoich zarobków osobom stojącym wyżej. Tylko tak możesz zostać zatrudniony. Zawsze musisz odstępować część swoich ulicznych podatków.

Grace niechętnie zerknęła na Fariego. Obserwował drogę z typową dla siebie swobodną koncentracją.

- Słuchasz mnie, *amadal* - zapytał, nie odwracając się do Grace. - Naprawdę słuchasz? Mimo że przez twoją salę sądową przewinęło się tylu oszustów, ty nie masz bladego pojęcia, co znaczy żyć w Meksyku za pieniądze z narkotyków.

- Ależ słucham. Po prostu nie podoba mi się to, co słyszę.

Faroe sprawdził lusterka.

- W Meksyku na łapownictwo mówiło się kiedyś *la mordida*, mały kasek. Teraz nazywają to *el sistema*, i ten system sięga do najwyższych szczebli władzy w Mexico City. A ponieważ przerabia pieniądze rządu ćwierci do połowy biliona dolarów rocznie...

- Chyba miliarda? - przerwała.

- Nie, biliona, tysiąca miliardów. To liczba, z którą mają do czynienia tylko astronomowie i dilerzy narkotyków. Pomyśl: tysiąc miliardów. Mogłabyś liczyć ziarenka piasku na plaży przez tysiąc żyć, a i tak nie doszłabyś do biliona.

- Trudno mi to sobie wyobrazić.

- No właśnie. Dzięki temu przemysłnikom uchodzi na sucho. Kiedy przeciętny obywatel wysłucha faktów, jego oczy stają się szkliste i wraca do telewizyjnego pilota, żeby znaleźć przyjaźniejszy świat. Ale ten gest nie zmienia tamtego świata, pogrążonego w mroku, gdzie małe kasiki korupcji robią się coraz większe, gdzie społeczeństwo wręcz nie jest w stanie wchłonąć tego całego bogactwa. Pieniądze płyną ulicami jak na wpół strawione jadalnymi rzymskiego vomitorium. - Zauważył, że Grace się skrzywiła. - Dlatego

nie lubisz przyjeżdżać do Tijuany - dodał. - Instynktownie wiesz, że to dzikie miasto. Nie możesz mu ufać.

- Do pewnego stopnia. Nie wszystkie jego strony są mroczne.

Faroe wzruszył ramionami.

- Narkotykowi baronowie, na przykład Hector i jego klan, mieszkają w najlepszych dzielnicach. Tak jak mafia w Chicago czy na Manhattanie. Różnica polega na tym, że mafia nie ma na własność całych wydziałów policyjnych i sądów, tak jak *narcotraficantes* w Meksyku.

Grace pomyślała o Hectorze i Lanie.

- Jeśli wiesz, że to prawda, albo przynajmniej w to wierzysz, dlaczego wybrałaś pracę w Meksyku?

- Bo chciałem opowiedzieć się po cywilizowanej stronie - odparł Faroe. - Żeby być efektywnym, musiałem zrozumieć uliczną rzeczywistość, pogodzić się z realnym istnieniem przemocy, nauczyć się kontrolować własny strach przed śmiercią, bo inaczej już on sam by mnie zabił.

Popatrzyła na niego. Ręce, głos, całe ciało miał spokojne i rozluźnione.

„Musiałem nauczyć się kontrolować własny strach przed śmiercią, bo inaczej już on sam by mnie zabił”.

- To nie tak, że nie przejmuję się umieraniem - dodał. - Tylko żeby przetrwać, stałem się fatalistą. Śmierć kiedyś musi nadejść. Dopóki nie nadejdzie, to nigdzie jej nie ma.

- Jak *chubasco*. - Grace wskazała chmury, które powoli kłębiły się nad oceanem. - Burza jest i jej nie ma. Może w ogóle tu nie nadejść. Więc szkoda mojej energii, życia, żeby się jej bać albo ją przewidywać.

Uśmiechnął się lekko.

- Jesteś coraz bliżej.

- Czego?

- Wyznawcy kodeksu Bushido mają takie powiedzenie: jedyny naprawdę skuteczny sposób walki polega na zrozumieniu, że już jesteś martwy. Pogódź się z tym, a będziesz mógł walczyć jako wojownik umysłu i ciała.

- Ale co powinnam zrobić ze swoim lękiem o Lane'a? Jak ty byś sobie z tym poradził?

Faroe długo milczał. Potem wyciągnął rękę, zmierzwił włosy Grace i dotknął jej policzka.

- Mam nadzieję, że radziłbym sobie tak dobrze, jak ty.

- Naprawdę tak dobrze sobie radzę?

- Jasne - odparł i znowu skupił całą uwagę na jeździe. - Znalazłaś najlepszą pomoc, a potem wyruszyłaś szukać gardeł do poderżnięcia.

# Rozdział 21

Szkoła Ali Saints  
Niedziela, popołudnie

Czarny chevrolet suburban przemieścił się z pobocza na środek, całkowicie tarasując nieutwardzoną drogę. Meksykanin w niebieskich dżinsach i zakurzonych guayaberze oparł się o przedni zderzak pojazdu. Strzelba M1 zwiślała mu z ramienia, skierowana lufą w dół. Drugi strażnik siedział zgarbiony na fotelu kierowcy.

Faroe doszedł do wniosku, że właśnie ten drugi jest szefem, bo ma najwygodniejszą miejscówkę. Przy oknie, oparty o ramę, stał karabin z tłumikiem typu fash.

Ci chłopcy używają tylko najlepszych rzeczy, pomyślał Faroe, opuszczając przyciemnione szyby SUV-a, żeby strażnik mógł zajrzeć do środka.

Kiedy strażnik zauważył kalifornijską rejestrację, wyprostował się i powiedział coś przez ramię. Potem podszedł do mercedesa z podejrzliwą miną, która jednocześnie wyrażała pewność siebie. Beznamiętnie przyglądał się Faroemu. Przeniósł wzrok na Grace.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Zsunął rękę po pasku strzelby, uniósł broń i powoli przesuwając lufę, aż zatrzymała się między Faroem i Grace.

- Czego chcecie? - zapytał strażnik prymitywną, ale sprawną angielszczyzną.

- Sędzia Silva musi sprawdzić, jak się miewa jej syn - odparł Faroe.
- Nie być możliwe.

Faroe spuścił głowę i spojrzał surowo na Meksykanina. Na pasku znajdowała się odznaka. Faroe przyglądał się jej bacznie jak ktoś, kto chce coś zapamiętać.

- Oczywiście, że to jest możliwe - stwierdził.

- Nie, facet - odparł strażnik. - *No es*, to nie być mój rozkaz.

- To jeszcze raz sprawdź rozkazy. Senor Calderon i senor Rivas zapewnili panią sędzię, że może w każdej chwili odwiedzić syna. Zaczekamy, aż porozmawiasz z przełożonym. - Odwrócił się, ignorując zarówno strażnika, jak i jego broń. Mrugnął do Grace i dotknął jej kolana, intymnie jak kochanek.

- Kim pan jest, senor? - zapytał strażnik.
- Przyjacielem rodziny - odparł Faroe przez ramię.

Odwrócił się do Grace, uśmiechnął znów, jak gdyby nigdy nic pogładził ją po kolanie. Zdezorientowany *federale* podszedł z powrotem do suburbanu.



Pomówił krótko z mężczyzną za kierownicą. Jego szef gapił się na lukę między dwoma pojazdami. W końcu sięgnął po komórkę i wystukał numer. Kiedy połączenie zostało odebrane, mówił przez jakiś czas, słuchał, a potem niemal zasalutował.

- *Si, mi jefe* - mruknął pod nosem Faroe, czytając z ust oficera. - To nam mówi, że Hector i jego chłopaki woła cię nie wkurzać.

- A jak nazwiesz porwanie mojego syna? Żartobliwym poklepywaniem? - odparowała Grace.

- W tej grze wykorzystuje się wszystko, na czym można położyć łapę. Zauważyłaś, że nawet nie mrugnął, kiedy w jednym zdaniu wymieniłem Carlosa i Hectora Rivasą?

- To niczego nie dowodzi - odcięła się odruchowo.

- A my znowu to samo. - Faroe pokręcił głową. - Czuję, że masz to na końcu języka: Carlos jest członkiem jednego z najznamienitszych rodów w całym Meksyku. Nie mógłby się wikłać w interesy z przemytnikami. Po prostu nie mógłby.

- Miliarderzy nie zadają się z gangsterami.

- Guzik prawda. Na świecie jest wiele miejsc, gdzie miliarderzy i gangsterzy są tymi samymi osobami. A może masz lepsze wyjaśnienie faktu, że patrzymy na dwóch członków meksykańskiej policji federalnej, którzy są zaangażowani w porwanie amerykańskiego obywatela w dodatku syna miliardera i sędzi federalnej?

- A niech cię - rzuciła ochryłym głosem. - Świadomość, że staję przeciwko Hectorowi Rivasowi Osunie, jest już wystarczająco przykra. Jeśli pomyślę, że mam przeciwko sobie meksykański rząd, to boję się o Lane'a tak bardzo, że...

- Oddychaj - przypomniał łagodnie Faroe. - O, właśnie tak. Wdech, wydech. Dasz radę przez to przejść, *amada*. Ale będziesz musiała porzucić złudzenia co do praworządności władzy. Rząd tworzą ludzie. Niektórzy ludzie są ozustami. To w sumie dość proste.

Gwałtownie wypuściła, potem znowu wciągnęła powietrze.

I jakoś przetrwała ten moment.

Strażnik niedbale zasalutował szefowi i wrócił do mercedesa.

- Wy odwiedzać - poinformował krótko. - *El niño* jest w domku na plaży.

- *Gracias* - odburknął Faroe.

Szef strażników popatrzył na nich spode łba, uruchomił silnik suburbana i odjechał.

- Miłego dnia - rzucił Faroe przez okno, przejeżdżając obok niego.

Grace niemal się uśmiechnęła. Podejrzewała, że ta standardowa formułka pożegnalna zastąpiła Faroemu pokazanie środkowego palca.

- Skręć tutaj w lewo - powiedziała. - Potem jedź na parking obok dużego budynku.

- Chłopcy naprawdę się wysilają. - Faroe wskazał boisko piłki nożnej.

Przyjrzała się wszystkim graczom i nie wiedziała, czy powinna odczuwać ulgę czy niepokój, bo Lane'a nie było na boisku.

- Co? - zagadnął Faroe.

- Czytasz mi w myślach.

- Tylko czasami. Na przykład teraz.

- Cóż, dziwne że Lane'a tam nie ma. Popatrzyłbyś z przyjemnością. Jest jak gazela, szybki i silny.

- Może na boisku trudniej strażnikom upilnować chłopaka, więc przetrzymują go w domku.

- Albo może miał dość okładania ze strony dużych „kolegów”, którzy pokazali się trzy tygodnie temu. Krewniacy Hectora. Zbiry.

- Gdyby Hector życzył sobie obecności Lane'a na boisku, to chłopak musiałby tam być. Hector nie chce, żeby Lane'a bito, bo wtedy twój syn byłby zakrwawiony i posiniaczony. Hector chce tylko, żebyś cały czas uważała.

- *El jefe chingón.*

- Nie zapominaj o tym.

- *Carnicero.*

- To też. Ale kocha dzieci i małe zwierzęta.

Grace prychnęła.

- To niezbity fakt - powiedział Faroe. - On tłucze tylko dorosłych. Przeważnie.

Faroe zaparkował, wysiadł z mercedesa i zaczął zapamiętywać szczegóły okolicy. Przeczesując wzrokiem teren, wyliczał odległości, oceniał kąty i strefy, w których można byłoby strzelać albo zostać postrzelonym.

Grace dołączyła do Faroego, ale patrzyła na niego, a nie na szkołę.

- Jak myślisz? - zagadnęła po kilku minutach. - Da się to zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Którędy można najszybciej dojść do urwiska?

Poprowadziła go wykładaną płytami ścieżką do grupki domków na skraju urwiska.

W trakcie spaceru Faroe zapamiętywał charakterystyczne cechy terenu. Wątpił, żeby plaża albo zatoka widniały na oficjalnych mapach, ale odnotował sobie w myślach, że powinien to sprawdzić. Fale oceanu rozbijały się elegancko o rafę sto metrów od brzegu. Dalej piętrzyły się kolejne bałwany. Jakakolwiek łódź ratownicza musiałaby się znajdować dość daleko od brzegu, więc trzeba byłoby nadmuchiwać pontony.

Lepiej może podkraść się od wybrzeża, a krążący nad morzem chopper szybko przyleciałby i zabrał ludzi.

To, oczywiście, zależy od strażników: ilu ich będzie i w jakiej odległości od siebie. I czy okażą się dobrzy w swoim fachu.

Faroe rozejrzył się uważnie. Przy domku Lane'a kręciło się tylko trzech meksykańskich gliniarzy. Dwaj byli uzbrojeni w pistolety i karabiny szturmowe. Trzeci nosił lekki karabin kaliber 12. *Pistoleros*, profesjonalni strzelcy. Posługiwali się bronią jak ogrodnicy grabiami. Szybko, pewnie, bezbłądnie.

Mężczyzn uprzedzono, że mają oczekiwać gości. Jeden z nich stanął naprzeciwko Faroeo i zatrzymał go podniesioną ręką.

- Co? - zapytał Joe.

Strażnik dał znak, że przybysz ma podnieść ręce. Faroe pokręcił głową, jakby nie rozumiał polecenia. Meksykanin wycelował w niego lufę. Faroe wyglądał na zaskoczonego, potem wrzucił ramionami i podniósł ręce.

Strażnik poklepał Faroeo, potem spojrzał badawczo na Grace.

- Nawet o tym nie myśl - wycedził zimno Faroe.

Strażnik zrobił spłoszoną minę. Nie przywykł do przyjmowania rozkazów od cywili.

- Pokaż mu swoją torebkę - zwrócił się Faroe do Grace. - Tylko na tyle uciechy może liczyć.

Otworzyła torebkę i podała ją strażnikowi. Meksykanin wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok piersi Grace, zajrzał do skórzanej torebki i pomachał im, żeby szli dalej.

Grace pchnęła drzwi domku i weszła do środka. Z czterech sypialni teraz była zajęta tylko jedna. W trzech stały łóżka bez pościeli.

- Lane? To ja, mama. Jesteś tutaj?

Z zajętej sypialni dobiegł ją stłumiony odgłos.

- Chwileczkę. - Brzmiało to tak, jakby Lane dopiero co się obudził z długiego, mocnego snu.

Grace szybko podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Lane gramolił się z łóżka. Miał tak nieskoordynowane ruchy, że się przeraziła. Popatrzyła na nią zamroczony.

- Co tu robisz? - wybełkotał.

Faroe stanął obok Grace w drzwiach i obserwował Lane'a.

- Musiałam się upewnić, że nic ci nie jest - wyjaśniła Grace.

Lane Franklin przeszedł chwiejnym krokiem przez sypialnię i podniósł zielone szorty. Podskoczył na jednej nodze, potem na drugiej i omal się nie przewrócił w trakcie ubierania. Wyprostował się i odgarnął z oczu rozczochrane włosy.

Faroe miał przed sobą przystojnego nastolatka, szczupłego i wysportowanego: chłopca, który stawał się mężczyzną. Młoda twarz zaczynał porastać jasny

meszek. Po matce odziedziczył długie, mocne nogi, które pewnie pozwalały mu szybko biegać.

Chociaż chwilowo ledwo się na nich trzymał.

Na haju, pomyślał Faroe. Nawalony na maksa.

Lane wpatrywał się w matkę i coś mamrotał.

- Co się stało, kochanie? - zapytała Grace.

Nie przywykła widzieć go w takim stanie, domyślił się Faroe. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Rozejrzał się po pokoju.

- Nic mi nie jest... chyba - odparł niepewnym głosem Lane. - Po twoim wyjeździe... nie czułem się... dobrze.

Grace mocno przytuliła syna. Potem odsunęła go na długość ramienia i uważnie mu się przyjrzała. Był bardzo blady i uśmiechał się krzywo. Wszystko było w nim przekrzywione. Pociągnęła nosem i poczuła ulgę. Od Lane'a nie zalatywało alkoholem.

Jak często od Teda, który z upływem lat polubił alkohol aż za bardzo.

Faroe popatrzył na pokój - na ścianach plakaty. Głównie piłkarzy. Tylko jeden muzyk, Johnny Cash. Legenda country i rockabilly trzymała gitarę jak karabin maszynowy i salutowała fotografowi podniesionym środkowym palcem.

Może i jest oporny, pomyślał Faroe. Ale przynajmniej nie słucha metalu i nihilistycznego rocka jak większość nastolatków. I nie przepada za narkokoridami, w których *narcotrafficantes* stawali się bohaterami.

W rogu na biurku, gdzie Lane odrabiał lekcje, stało kilka masek pośmiertnych Huichola.

Faroe uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał na temat szkoły podobne zdanie.

Pod stołem znajdowało się coś, co zostało pośpiesznie przykryte kocem. Faroe odchylił brzeg i zobaczył płaski monitor ustawiony na komputerze.

Lane rzucił się w kierunku Faroe.

- To moje!

Faroe odwrócił się i podtrzymał chłopaka, zanim ten upadł.

- Spokojnie. Niczego nie popsuje.

Chłopiec cofnął się o krok i zmrużył oczy.

- Och, przepraszam. Myślałem, że jesteś jednym z moich opiekunów *pistoleros*. Im nie wolno wchodzić do domku. Tak mówił mi trener.

- Ojciec Magón? - zapytał Faroe.

- Tak. A pan kim jest?

- Lane, to Joe Faroe, mój stary przyjaciel - przedstawiła Grace. - Joe, to mój syn, Lane.

Młody Franklin w końcu przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Witam, hm, panie Faroe - powiedział. - Przepraszam. Właśnie... drze-  
małem.

- Miło cię poznać, Lane. - Faroe patrzył chłopcu w oczy. Były przejrzyste,  
choć żrenice wydawały się rozszerzone. - Gdzie twój koledzy?

- Co? Aha... wszyscy się przenieśli... trzy tygodnie temu. Nie wiem... może  
brzydko pachnę... - Lane zaśmiał się słabo z własnego dowcipu.

- A ci faceci na zewnątrz?

- Pokazali się w tym samym czasie.

Faroe skinał głową.

- Ale nie wchodzi do środka?

- Nie wolno im. - Lane zmarszczył brwi i próbował uporządkować cha-  
otyczne myśli. - Siedzą tam i bawią się spluwami, gadają o dziewczynach,  
palapapierosy, jedzą wieprzowe skóry. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Ich  
serca pewnie wyglądają jak puszek ze słoniną. Nazywam ich Brygadą Wie-  
przowych Skór.

Faroe parsknął głośnym śmiechem. Zupełnie jak matka, dzieciak był inteli-  
gentny i miał cięty język.

- Przeciętny meksykański strażnik nie dożywa wieku, w którym musiałyby  
się martwić o swoje serce - zauważył Faroe.

- Dlaczego?

- Srebro albo ołów. Oba metale mogą być zabójcze.

Lane zmrużył oczy.

- *Plata o plomo*. Hasło *narcotrafficantes*.

- Zgadza się. Daje człowiekowi do myślenia, co?

Faroe zerknął na stojącą dalej Grace. Obserwowała go szeroko otwartymi  
oczami. Kiedy zorientowała się, że Faroe na nią patrzy, przeniosła wzrok na  
Lane'a.

- Czy oni dbają o ciebie? - zapytała.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nie mogę opuszczać domku.

- Więc co jadasz? - zapytała z niepokojem.

- To, co przynoszą. Alfredo *Jefe* strażników, mówi, że jedzenie tutaj jest dla  
mnie bezpieczniejsze.

- A ty jak myślisz? - spytał Faroe. - Jest bezpieczniejsze?

- Jest nudne.

- Tak samo jak bezpieczeństwo.

Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha, ale tylko na chwilę.

- Chcę się stąd wydostać.

Grace objęła go ramieniem.

- Dlatego...

Faroe gwałtownie pokręcił głową. Przystawił palec do ust i pokazał ściany. Lane zerknął to na Grace, to na Faroego, to na ściany. Faroe znowu położył palec na ustach i uniósł brew. Lane usiłował stać prosto, ale nie był w stanie skupić na niczym wzroku. Po chwili wyraźnie wziął się w garść i trzymając palec przy ustach, skinął głową.

Grace musnęła wargami policzek syna.

- Zaufaj Joemu. Oboje musimy mu ufać.

Lane przełknął ślinę, przytaknął i całkowicie się wyprostował. Teraz był kilka centymetrów wyższy od matki.

- Wyjdźmy na świeże powietrze - zaproponował Faroe. - Brygada Wieprzowych Skór pozwala to robić, prawda?

- Przeważnie tak - odparł Lane. - Ale zaczekaj. Muszę się czegoś napić. Cały czas mam sucho w ustach.

Podszedł do małej lodówki i wyciągnął nienapoczęty karton soku pomarańczowego. Faroe zabrał mu opakowanie, zanim chłopak zdążył je otworzyć.

- Chwileczkę - powiedział Faroe. - Nie jestem fanem płynów pakowanych w Meksyku.

Lane otworzył usta, zamknął je i czekał.

Faroe dokładnie obejrzał karton. Składane rogi na boku z napisem: Otwórz tutaj, były nienaruszone. Kiedy zajrzał pod zgięcie na drugim boku, zauważył dziurkę, przez którą ktoś wsunął igłę. Faroe pokazał maleńki otwór Grace i jej synowi. Lane wyglądał na zdeorientowanego.

Grace nie była zaskoczona.

- Przejdźmy się - powiedziała do syna. - Świeże powietrze lepiej cię orzeźwi niż sok pomarańczowy. - Zwłaszcza ten sok.

Kiedy wyszli na dwór w to duszne popołudnie, dwaj strażnicy szybko wstali i sięgnęli po broń.

Faroe szedł nadal.

Grace pociągnęła Lane'a za nim.

Strażnicy zawahali się, potem ruszyli za Lane'em, w odległości pięciu metrów.

Gdy tylko szlak się poszerzył, Faroe szedł na bok i objął Lane'a ramieniem, żeby chłopak szedł pewniej i szybciej. Grace też, z drugiej strony, próbowała podtrzymać syna, ale był dla niej za ciężki. Wszyscy troje poszli na skraj wody, gdzie metrowe fale rozbijały się o piasek.

Gdy tylko strażnicy zobaczyli, dokąd Lane jest prowadzony, zwolnili, żeby zapalić papierosa. Byli ze dwadzieścia metrów w tyle.

- Cały czas mówcie cicho - polecił Faroe, zniżając głos. - Nie usłyszą nas dzięki szumowi fal.

Lane kiwnął głową, że rozumie, ale nadal sprawiał wrażenie oszołomionego.

Grace wydawał się straszliwie bezbronny.

- Co się dzieje? - zapytał Lane, kręcąc głową, jakby chciał w ten sposób odzyskać jasność umysłu. - Czy jest aż tak źle, jak myślę?

## Rozdział 22

Szkoła Ali Saints  
Niedziela, popołudnie

Grace szybko zerknęła na Faroea. Nie wiedziała, ile może powiedzieć Lane'owi.

- Twoim zdaniem, jak bardzo jest źle? - zapytał Faroe chłopca.

Lane przez chwilę intensywnie myślał. Oceaniczne powietrze dobrze mu zrobiło. Zerknął na matkę, potem na faceta z twarzą twardziela, którego ze sobą przyprowadziła.

- Jestem więźniem, tak? - wypalił w końcu.

Grace chciała złagodzić słowa Lane'a.

Faroe ją powstrzymał.

- Wiem, że sytuacja jest ciężka - powiedział, delikatnie dotykając jej włosów - ale daleko nie zajdziemy, próbując ją upiększyć.

Faroe popatrzył na chłopaka, który był od niego zaledwie kilka centymetrów niższy, i walnął prosto z mostu:

- Jesteś zakładnikiem.

Lane zamrugał. Potem zmierzwił palcami włosy i szarpnął je, próbując się skupić.

- Nie mogę myśleć!

- Oni cię faszcerują chemią- wyjaśnił Faroe. - Prawdopodobnie wstrzykują coś do soku pomarańczowego.

- Co? - huknął ostrym tonem Lane.

- Ciszej - upomniał go Faroe. - To chyba środek nasenny. Częsta taktyka wobec zakładników. Nie chcą zrobić ci krzywdy. Zależy im tylko, żebyś stale był zamroczony.

- Aha... - mruknął Lane. - To dobrze. Już myślałem, że naprawdę się rozchorowałem albo że zaczynam wariować. Miałem koszmary... Jezu, nie mogę uwierzyć, że ludzie wydają szmal, żeby czuć się tak dennie.

- Nie zwariowałeś - zapewniła go szybko Grace, ściskając ręką szczupłe ramiona. - W całym tym wariactwie ty jeden jesteś najnormalniejszy.

- Zakładnik... - Lane smakował to słowo, sprawdzając jego realność. - Ale dlaczego? Co chcą? Pieniędzy od taty?

- Nie jesteśmy pewni - odparł Lane. - Jutro powinniśmy się dowiedzieć więcej.

- Skoro nie wiecie, to jak...

- Kochanie, Joe jest zawodowcem. - Grace przerwała synowi, odgarniając mu włosy z oczu. - Nie ma lepszych od niego. Ale zajmuje się tym zleceniem od kilku godzin. Potrzebuje więcej czasu na zbadanie sprawy.

Lane spojrzał na Faroego z zaciekawieniem.

- Zawodowcem? Naprawdę?

- To znaczy tylko, że ludzie płacą mi pieniądze. Ale tak, miałem do czynienia z wrogami, takimi jak Brygada Wieprzowych Skór. To tępi żołnierze. Musimy się dowiedzieć, kim są generałowie.

Ostatnie zdanie uruchomiło coś w pamięci zamroczonego Lane'a.

- Gdzie tata? - zapytał matkę z niepokojem.

- Ja... ja... - Grace nie mogła dokończyć zdania. Głos jej się łamał.

- Nie byliśmy w stanie do niego dotrzeć - wyjaśnił Faroe. - Dlaczego pytasz?

- Wczoraj przyszedł do mnie pan Calderon, i dzisiaj chyba też. To wszystko jest takie... zamazane. Przyniósł sok, jedzenie i zapytał mnie, gdzie jest tata.

- Carlos Calderon? - Grace wzięła głęboki oddech.

Lane usiłował przypomnieć sobie, co zaszło. Pamięć płatała mu figle. Zmarszczył brwi, odtwarzając strzępy wydarzeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin, a raczej ich przebłyski. - Tak, pan Calderon był chyba trochę wkurzony, no, wściekły, kiedy mu powiedziałem, że nie wiem, gdzie jest tata. Jakby myślał, że kłamie. Chyba uderzył mnie kilka razy. Naprawdę nie pamiętam. Koszmar...

Grace mocno ścisnęła Lane'a za ramię i zdusiła w sobie krzyk.

- Dlaczego nie ma tutaj taty? - zapytał Lane. - Calderon zapewnił, że wróci do domu, kiedy tata przyjedzie mnie wypisać.

Grace odwróciła wzrok, starając się ukryć łzy, wściekłość i strach.

- Twoja mama bardzo się tym denerwuje - powiedział cicho Faroe. - Znalezienie twojego taty to jeden z naszych priorytetów.

Lane patrzył w piasek.

- Masz jakieś pojęcie, gdzie on może być? - zagadnął Faroe.

Lane pokręcił głową. Potem spojrzał na Joego.

- Od dawna nie miałem od niego wieści. Przylatywał helikopterem co trzy, cztery tygodnie. Niby wpadał, żeby się ze mną spotkać, ale całymi godzinami rozmawiał z kimś w sekretariacie i co najwyżej mi pomachał.



Grace zamarło serce. Lane, choć wysoki, był tylko piętnastolatkiem, chłopcem, którego świat przewrócił się do góry nogami.

- Znajdziemy twojego tatę, wyprostujemy to wszystko - powiedział Faroe.  
- Nie martw się. - Poklepał chłopaka po ramieniu jak dobry znajomy, żeby zmylić czujność strażników i zerknąć na nich przez chwilę.

Palili papierosy i się śmieli. Kilkanaście metrów dalej.

Ze zręcznością kieszonkowca Faroe wyciągnął z džinsów płaski telefon komórkowy. Położył go na dłoni i dyskretnie dał Lane'owi.

- Schowaj to w swoim pokoju - mruknął jeszcze bardziej niżonym głosem. - Musimy być w kontakcie. Tylko żeby Brygada Wieprzowych Skór nie mogła tego kontrolować.

Lane spojrział na telefon.

- Fajnie.

- Nie patrz na aparat - poinstruował Faroe. - Ani na nich. Patrz na mnie. Kiedy włożysz telefon do szortów, nie odwracaj wzroku.

Chłopak wsunął telefon do jednej z licznych kieszonek w swoich szortach cargo, cały czas nie spuszczać wzroku z Faroego.

- Dobrze - powiedział Faroe. - Bateria jest naładowana, ale nie miałem czasu załatwić dostawy nowych. Musimy ustalić pory nawiązywania kontaktu.

Chłopak włożył ręce do kieszeni i próbował naśladować swobodną postawę znajomego matki.

Faroe się uśmiechnął. Kiedy ten dzieciak pozbędzie się narkotyków z organizmu, będzie jak pistolet.

- Każdej nocy, o pierwszej - powiedział. - Wyciągnij antenkę i włącz komórkę. Jest ustawiona na wibracje, nie na dzwonek, więc nie usłyszysz sygnału poza domkiem. Jeśli do pierwszej pięć nie będziesz miał ode mnie sygnału, wyłącz telefon i włącz go z powrotem o piątej nad ranem. Dasz radę?

Lane myślał przez chwilę.

- O pierwszej może być trochę trudno, ale jestem przyzwyczajony do rannego wstawania na gimnastykę. Coś wymyślę.

- Nastaw budzik i włoż komórkę pod poduszkę, żeby nie usłyszeli jej strażnicy.

- Ty to potrafisz się kamuflować. - W głosie Lane'a brzmiał autentyczny podziw.

- Pierwszą rzeczą, jaką musiałem ukrywać, był „Playboy”. Znam wszystkie sztuczki nastolatków.

Lane zarumienił się i ukradkiem zerknął na matkę.

Grace nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- W porządku, Lane. To przychodzi z wiekiem i genem Y.

Wydało się, że chłopak czuje ulgę, a jednocześnie jest zakłopotany. Znowu spojrzął na Faroego.

- A ja mogę dzwonić do ciebie?

- Tylko jeżeli będziesz pewien, że grozi ci niebezpieczeństwo. Mój szef nazywa taką sytuację krytyczną.

Grace wzdygnęła się na wspomnienie, kiedy, według Dwayne'a, następuje sytuacja krytyczna: gdy terrorysta przystawia broń do głowy zakładnika.

- Ale myślę, że do tego nie dojdzie - dodał Faroe. - Negocjacje jeszcze się nie zaczęły.

Lane skinął głową. Miał ściśnięte gardło.

- Drugi powód, żeby do mnie dzwonić: wieści od twojego taty - dorzucił Faroe. - Po prostu naciśniesz szybkie wybieranie. W pamięci jest tylko jeden numer. Telefon zadzwoni w Nowym Jorku, ale ktokolwiek odbierze, będzie wiedział, jak złapać mnie albo twoją mamę. Jeśli z jakiegoś powodu nie będą mogli do nas dotrzeć, poproś Jamesa Steele'a. Zapamiętasz to wszystko?

Lane kiwnął głową i dotknął kieszeni z telefonem komórkowym w środku. Uśmiechnął się do Faroego.

- Dzięki - powiedział. - Już wiem, gdzie go ukryję.

Faroe klepnął chłopaka po ramieniu.

- Dobrze. Jeśli mam zrobić *burritos* z ciał złych facetów, potrzebuję twojej pomocy.

Nagle Grace zobaczyła dumny uśmiech na twarzy syna. Lane był teraz panem swojego losu, inaczej niż w momencie ich przyjazdu.

On znacznie lepiej rozumie Lane'a, niż Ted potrafił lub chciał zrozumieć.

Znowu poczuła falę smutku przemieszanego z gniewem. Zdławiła te uczucia. Lane jej potrzebował. Musiała się skupić nie na swoich dawnych błędach, ale na tym, żeby mu pomóc.

Faroe delikatnie ścisnął nastolatka za ramię.

- No dobrze, *compadre*. Teraz chcę, żebyście z matką przez dwadzieścia minut patrzyli na mewy i fale, i rozmawiali o futbolu, ocenach i dziewczynach, których już nie widzisz. Jeśli po upływie tego czasu nie wrócę, idź do swojego domku. Będę tam na ciebie czekał. I nie przejmuj się strażnikami. Oni są na krótkiej smyczy. - Przynajmniej na razie.

- Dokąd idziesz? - zapytała Grace.

Faroe nie odpowiedział. Zamaszystymi krokami ruszył w kierunku kaplicy. Grace zaczęła mówić o futbolu.

Jeden ze strażników zatrzymał przechodzącego obok Faroego.

- Dokąd to?

- Do kaplicy - wypalił Joe. - Żeby się pomodlić o bezpieczeństwo chłopca. Strażnik uśmiechnął się cienko jak księżyc w nowiu.
- Jesteś mądry.

## Rozdział 23

Tereny poza Ensenadą  
Niedziela, popołudnie

Faroe zatrzymał się przed małą kaplicą, której drewniane drzwi szerniały od słońca. Słone powietrze napływające od oceanu sprawiło, że zawiasy z kutego żelaza pokryły się tu i ówdzie nalotem rdzy. Tabliczka obok wejścia głosiła, że jezuicy mnisi zbudowali tę świątynię w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, z pomocą bożą i miejscowych Indian. Teraz suszone na słońcu cegły lekko się osuwały, jak ramiona starego kapłana.

Strażnik, który szedł za Faroem, oparł się o zewnętrzny mur, otaczający kaplicę; nie narzuczał się zbyt, ale widać było, że ma oczy szeroko otwarte. Jego ręka spoczywała na glocku, który nosił za paskiem dżinsów, kolbą do przodu. Nie wyglądało to szczególnie groźnie, pod warunkiem że ktoś przywykł do widoku uzbrojonych mężczyzn.

Boczny dziedziniec małej kaplicy wypełniało drzewo pieprzowe o pniu metrowej grubości. W cieniu drzewa znajdowała się kamienna fontanna, tak stara, że zatarły się wszystkie wyryte na niej napisy. Przez zielony gąszcz liści Faroe dostrzegł czarną sutannę. Ksiądz wchodził do kościoła tylnymi drzwiami.

Ojciec Rafael Magón trochę się spóźnił, ale dotarł na spotkanie.

Faroe nawet nie spojrział na strażnika. Wszedł do mrocznej kaplicy i zamknął za sobą drewniane drzwi. Jego oczy przywykły do skąpego światła z czterech zakurzonych okien witrażowych. Ołtarz był zrobiony z matowanej cyny i zażytkowego drewna. Rzeźbiona figura Chrystusa pochodziła z XIX wieku albo nawet wcześniejszego. Zbawiciel twarz miał śniadą, rysy prymitywne, a ciało skapanie we krwi. Był *muy indio*, jak parafianie, których rozgrzeszał.

Konfesjonał mieścił się we wnęcie obok ołtarza. Faroe usiadł na chropowatej ławie, przeznaczonej dla *penitentes*, ale nie zasunął zasłonki, bo chciał widzieć, czy ktoś nie wchodzi do kaplicy frontowymi drzwiami. Przez drewnianą kratkę dostrzegł mężczyznę ze smagłą cerą, czarnymi włosami i czujnymi, niebieskimi oczami.

- Ojcie, wybacz, bo zgrzeszyłem, a ostatni raz spowiadałem się dawno, dawno temu - zaczął Faroe. - Ale to samo zapewne dotyczy ciebie.

Żywe niebieskie oczy mierzyły go przez kratkę.

- Spowiedź to sakrament jednostronny - odparł cicho kapłan. Jego angielszczyzna była pełna ogłady, niemal pozbawiona obcego akcentu. Możliwe, że wychowywał się w San Diego, nie w Meksyku.

- To gdzie wyznaje grzechy zbłąkany ksiądz? - zapytał Faroe.

- Czego chcesz? - Głos księdza był nadal cichy, ale przenikał go chłód wynikający z poczucia posiadanej władzy. - Kim jesteś?

- Człowiekiem, który wie, że ty jesteś kimś więcej niż tylko zwykłym kapłanem *indio*, za jakiego uchodzisz. Interesuje mnie, dlaczego dobrze ustawiony i wykształcony ksiądz, z wpływowymi sponsorami w Rzymie, odpuszcza grzechy mordercom i narkotykowym baronom.

Siedząc za kratką, Magón wyglądał jak mozaika, a nie jak człowiek z krwi i kości.

- Każde dziecko boże potrzebuje opieki pasterza - oświadczył. - Wszyscy wierni są ludźmi. A więc też są grzesznikami. Kościół podąża tam, gdzie jest potrzebny.

- Od posługi do współudziału w przestępstwie to duży przeskok. Wydajesz się bardziej zainteresowany swoimi skorumpowanymi grzesznikami niż Lane'em Franklinem, niewinnym chłopakiem, który może zginąć przez twoje zaniedbanie.

Drewniana kratka została gwałtownie odsunięta na bok.

- Kim jesteś? - zapytał znów Magón zniżonym głosem. - Mów prawdę, bo inaczej ta szarada się skończy.

Faroe spojrział na księdza spokojnie, bez cienia strachu.

Przez chwilę w małej kaplicy panowała cisza.

Magón zamrugał i odwrócił wzrok. Rozmyślał nad czymś. Bardzo intensywnie. Kiedy znów spojrział na Faroe'go, wydawał się mniej pewny siebie, czujniejszy. Oparł się o drewnianą ściankę.

- Masz dobrego przyjaciela - powiedział. - Człowieka, któremu ufam jak mało komu. Kazał mi tu być, ale nie wyjawiał dlaczego. Mówił tylko, że jego zdaniem można ci zaufać.

Faroe oparł się o drewnianą ściankę po swojej stronie konfesjonału. Powietrze w małej, okolonej grubymi murami kaplicy było wilgotne, nieruchome, zupełnie odgradzone od niespokojnej burzy, która powoli nadciągała znad Cabo San Lucas.

Atmosfera w tym miejscu kojarzyła się z zagrożeniem, a nie oczyszczeniem.

Bez ryzyka nie ma nagrody, przypomniał sobie z ironią Faroe.

- Sędzia Silva wynajęła mnie, żebym negocjował uwolnienie jej syna - wyjaśnił. - Chwilowo nie jesteśmy nawet pewni, z kim mamy negocjować, bo obiektem wymuszenia jest Ted Franklin, a Lane to tylko pionek. Pomożesz?

Magón spuścił głowę i znieruchomiał. Wziął kilka głębszych oddechów. Potem Faroe usłyszał szelest szat. W okienku pojawił się gruby skórzany portfel.

- Cygaro? - zapytał cicho ksiądz.

- Nie, dziękuję.

- Nie masz nic przeciwko, że zapalę? To moja główna wada. Niektórzy z braci uważają, że za bardzo gustuję w cygarach, więc staram się palić tylko wtedy, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

- Śmiało, nie wydam cię arcybiskupowi Tijuany. Ciekawe, czy on się orientuje, że jesteś watykańskim szpiegiem?

Jedyną odpowiedzią był metaliczny szcęk zapalanej zapalniczki. Kilka sekund później Faroe poczuł dym z markowego hawańskiego cygara.

- Watykańskim szpiegiem? - Magón uśmiechnął się lekko. - To brzmi jak zestawienie dwóch przeciwnych pojęć.

- Niektórzy z nas, pogan, uważają, że Kościół to w równym stopniu instytucja polityczna, jak i religijna.

- Kościół robi to, co musi - odparł Magón.

- Ja też. I nie mam za sobą katedr ani armii księży. Dlatego jest mi znacznie łatwiej wsuwać się w szczeliny i znikać w ciemnościach. To denerwuje wielu ludzi. Jakiej jesteś narodowości, ojcze?

Pytanie chyba zaskoczyło Magóna. Zastanawiał się przez chwilę, w końcu odparł:

- Wychowywałem się w *barrio* Logan Heights w San Diego, ale urodziłem się tutaj, w Baja.

- W okolicach El Alamo - odpowiedział Faroe.

Ksiądz ze zdziwieniem uniósł czarne brwi.

- Jasnowidz?

- Nie, ale wiem, że magoniści, którym nie odstrzelono tyłków w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, wylądowali w *ejidos* i kopalniach wokół El Alamo. Istnieje nawet mała społeczność, zwana Ojos Azules. Niebieskie oczy.

- Byłeś tam? - zapytał Magón.

- Tak.

- Większość Meksykanów wie bardzo mało o magonistach. To smutne. Naszą historię można odnaleźć tylko w cieniach. Dziwny z ciebie gringo, że widzisz te cienie.

- Nigdy nie znałem dobrze mojego ojca - powiedział Faroe. - Przyszedłem na świat późno w jego życiu. Podróżowaliśmy razem tylko w góry, na

wschód od tego miejsca, między Ojos Azules i El Alamo. Mój ojciec był albo wariatem, albo szamanem, albo jednym i drugim. Biedni ludzie akceptowali, a nawet lubili jego inność. Przemyczał marihuanę, jeszcze zanim stała się międzynarodowym towarem. Uwielbiał palić trawkę i kochał ten dziki kraj i jego stoicki naród. Kiedy umarł, przyjechałem do Ensenady, żeby posurfować. Ocean miał kolor jego oczu.

Magón studiował twarz Faroego. Jego uwagę przykuły zielone oczy, roztropność, inteligencja i spokój, ale podszyty czujnością.

- A jednak wróciłeś tutaj - stwierdził kapłan. - W czasie między surferem a mężczyzną, którym jesteś teraz, wiele się zdarzyło, tak? Masz surowe spojrzenie, wyglądasz bardziej na policjanta niż na przemysłowca.

- Byłem kiedyś gliną - przyznał Faroe. - Zupełnie jak ten gość na zewnątrz, ze spluwą, jak Brygada Wieprzowych Skór przetrzymująca Lane'a w czteropokojowym więzieniu. Nie musisz być uczciwy, żeby nosić odznakę. Albo krucyfik.

- Co za cynizm - stwierdził kwaśno Magón.

- To brudna robota, ale jeśli ktoś jej nie wykona, wszyscy będą do tego zmuszeni. Na tym zepsutym świecie wciąż jeszcze zdarzają się niewinne istoty. Lane jest jedną z nich.

- A jego matka?

- To znaczy?

- Zastanawiałem się, czy jest coś między tobą i piękną panią sędzią.

Tym razem Faroe był zaskoczony. Wieści o gorących chwilach na parkingu mariny dotarły do Meksyku szybciej, niż się tego spodziewał.

- Odkąd to *federales* składają ci meldunki?

Magón wyglądał na zbitego z tropu. Zaciągnął się cygarem. Czubek mocno się rozżarzył pod bladą warstewką popiołu.

- Nie potrzebuję żadnego *federale*, żeby stwierdzić, że coś was łączy. Widziałem jak wszyscy troje idziecie po piasku. Bliski związek tłumaczyłby, dlaczego wydeptujecie szlaki tam, gdzie anioły nie śmieją chodzić nawet na palcach.

- Ty masz swoje motywy, a ja swoje - burknął Faroe. - Jedyne prawdziwe problem to, czy znajdziemy wspólny wątek.

Magón westchnął.

- Nie chcę krzywdy żadnego z moich podopiecznych. Ale Lane jest... inny. Wystarczająco inteligentny, żeby odczuwać strach, i dostatecznie odważny, by go nie okazywać. Jest bardzo wysportowany i świetnie się uczy, odkąd uświadomił sobie, że nauka jest ważna. I jak na takiego młodego chłopca, dużo wie o dorosłych.

Faroe lekko się rozluźnił. Ryzyko, które podjął, mogło się opłacić bardzo niedługo.

- Czy mogę liczyć, że zapewnisz Lane'owi bezpieczeństwo, kiedy będę próbował uporządkować cały bałagan?

- Ten, jak się wyraziłeś, bałagan, jest bardzo duży. Raczej nie da sobie z nim rady jeden człowiek, choćby nie wiem jak zdolny lub niebezpieczny. Wynik pozostaje w rękach Boga.

- Moje cele są bardziej ograniczone niż twoje - odparł Faroe. - W razie konieczności, umiem działać w pojedynkę. Ale papieżowi nie spodobałby się ten wynik.

- Stawka w tym przypadku jest bardzo wysoka. Nikt nie kontroluje wszystkich graczy. Nikt nie może zagwarantować rezultatu.

- Nawet Bóg?

- On działa w sposób, którego my, śmiertelnicy, nie zawsze umiemy zrozumieć.

- Zachowaj te teksty dla wierzących. Ja uważam, że to poszczególni śmiertelnicy odpowiadają za piekło i raj na ziemi.

Magón się wyprostował.

- Ty mi grozisz.

- Amen.

Ksiądz świdrował Faroego niebieskimi oczami przez małe okno. Szybko zaciągnął się cygarem i jego twarz zniknęła w obłoku dymu. Kiedy smugi się rozplynęły, oczy kapłana się zmieniły. Patrzył na Faroego wprost, surowo.

- Jeśli jestem tak skorumpowany, jak myślisz, to dlaczego nie miałbym od razu pobiec do ludzi, którzy przetrzymują Lane'a?

- Bo poznałeś tę tajemnicę w konfesjonale, ojcze.

- Tylko wierzących chroni świętość konfesjonału.

- Nie dość, że dyplomata i szpieg, to jeszcze prawnik - ironizował Faroe.

- No tak, po sługach Watykanu powinienem się wiele spodziewać. Owszem, ryzykuję. Ufam naszemu wspólnemu przyjacielowi w Rzymie. Może on nie wie, co knujesz, ale zdaje sobie sprawę, że jesteś bardziej skomplikowany, niżby to sugerowały pozory.

- Cynik, a mimo to odznacza się pewną dozą wiary - zauważył Magón.

- Nauczyłem się ufać kilku osobom. Cholernie mała liczba.

- Ja też wierzę niewielu. Chwilowo ufam mężczyźnie, który z własnego wyboru wkracza na niebezpieczne tereny.

Faroe prawie się uśmiechnął. W innych okolicznościach rozmowa z ojcem Rafaelem Magónem, radykalnym pragmatykiem i watykańskim szpiegiem, sprawiłaby mu ogromną przyjemność.

- Gdzie znajdę Hectora Rivasa?
- Dlaczego pytasz?
- W jego morderczych rękach spoczywa życie Lane'a - odparł Faroe.

Rozkoszując się cygarem, Magón przez całą minutę zastanawiał się nad odpowiedzią. Taki feudalny pan i *trafficante*, jak Hector Rivas Osuna miał wielu wrogów. A taki mężczyzna, jak Faroe umiał znaleźć wiele sposobów, żeby urządzić zasadzkę nawet na mocno chronionego Hectora.

- Nic nie zyskam, zabijając Hectora - dodał Faroe, przewidując powód wahania Magóna. - Po śmierci Hectora Lane byłby wręcz w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Jestem tu po to, żeby negocjować, zanim ktoś za bardzo się zdenerwuje. Nerwowość i broń cholernie mnie przeraża.

Magón popatrzył na rozżarzony czubek cygara i westchnął, wypuszczając kolejny kłęb dymu.

- W zwykłych okolicznościach nie potrafiłbym odpowiedzieć na twoje pytanie. Hector jest ciągle w ruchu, nigdy nie śpi w jednym miejscu dwa razy z rzędu. Czasami przenosi się kilkakrotnie w ciągu nocy.

- Fakt, facet ma wiele powodów do zmartwienia - stwierdził zgryźliwie Faroe. - Historia to długa lista ludzi, którzy nie mogli zasnąć, bo zastanawiali się, komu zaufać. Niektórych złe przeczucie nie myliło. Inni umarli młodo.

Książd uśmiechnął się, potem znowu westchnął.

- Jeden z kuzynów Hectora bierze ślub. Odprawię ceremonię w ten weekend, na ranchu Rivasa na wschód od Jacumba.

- Wyrazy współczucia dla narzeczonej - wymamrotał Faroe.

- Dzisiaj świętują w Ensenadzie - dodał Magón. - Hector jest głową bardzo dużego klanu. Pojawi się na przyjęciu, choćby tylko na godzinę.

- Nie przekopię Ensenady w godzinę. Możesz zawęzić pole poszukiwań?

- Spróbuj CanciÓN. To restauracja na terenie Encantamar, zaraz przy promenadzie nad oceanem, *malecón*, w Ensenadzie. Hector lubi tamtejsze małże *abalone*.

- Dziękuję, ojczu.

- Pamiętaj, Hector Rivas Osuna to tykająca bomba.

- Czy jest coś szczególnego, co doprowadziłoby do eksplozji?

- Cokolwiek, kiedykolwiek. Uzależnił się od rocka i nikotyny.

Okienko konfesjonału się zamknęło.

Cholera. Ćpun faszerujący się meksykańskimi cygarami. Może wybuchnąć w każdej chwili, zaklął w duchu Faroe.

W kaplicy było tak cicho, że słyszał szum strumyczka w fontannie pod drzewem pieprzowym.

Ojciec Rafael Magón gdzieś się ulotnił.



# Rozdział 24

Szkoła Ali Saints  
Niedziela, popołudnie

Słońce skrywało się za srebrnym kłębowiskiem chmur. Fale podnosiły się wyżej, niż wynosił przeciętny wzrost człowieka, a potem z hukiem dobijały do plaży i pieniły się w gorącym piasku. Wiatr rozbryzgiwał ich krawędzie w słoną mgiełkę. Na brzegu ten sam wiatr odzierał plażę z drobniotkich ziarenek i palił niepokryte ochronnym kremem ciała.

Faroe zobaczył, że Grace i Lane siedzą razem i obserwują dzikie fale. Chłopek był zgarbiony ze znużenia, matka - z napięcia. Żadne z nich chyba nie zauważyło mew, które krążyły nad nimi, wrzaskliwie żebrząc o jedzenie.

Uzbrojeni strażnicy rozłożyli się dwadzieścia metrów dalej. Palili papierosy i czekali, nie spuszczać wzroku z tych dwojga.

Grace wyczuła, że Faroe zbliża się do nich, i popatrzyła na niego. Twarz miała gładką, nieodgadnioną. Bardzo się starała nie okazywać strachu.

Świetnie, kobieto, pomyślał Faroe. Chociaż Lane i tak czyta cię jak tablicę ogłoszeń. Ale oboje zasługujecie na wyróżnienie, że wzajemnie próbujecie sobie dodać otuchy.

- Pora iść - powiedział Faroe do Grace.

Zaczęła protestować, ale zaraz umilkła.

Lane wstał, rozczarowany, ale nie zaskoczony.

Razem poszli z powrotem po plażę. Piasek osiadał im na ubraniach i skórze. Udając, że uchyla się przed powiewem piekącego wiatru, Faroe sprawdził, gdzie są strażnicy.

Wystarczająco daleko. Nie dotrą do nich słowa wypowiedane półszepem.

- Posłuchaj mnie - powiedział Faroe cicho do Lane'a. - Możesz ufać ojcu Rafaelowi, ale tylko do pewnego stopnia. Nie mów mu o telefonie ani o komputerze. Ale jeśli uznasz, że robi się nieciekawie, dopilnuj, żeby on o tym wiedział.

Lane skinął głową.

- Odstaw sok pomarańczowy - dorzucił Faroe. - Wylewaj go do zlewu, kiedy nikt nie będzie patrzył. Udawaj zamroczonego, ale pamiętaj: mózg musisz mieć sprawny. To twoja najlepsza broń. Możesz nam pomóc, ale tylko pod warunkiem, że będziesz panował nad sobą.

Lane znów skinął głową i uśmiechnął się niepewnie do Faroego.

- Dzięki.

- Wyciągnij cię z tego - wymamrotała Grace zdławionym głosem. - Obiecuję.

- Ze mną jest w porządku - powiedział chłopak. - Chciałbym tylko... - Głos mu zamarł.

- Mów - zachęciła matka.

- Chciałbym wiedzieć, jaka jest w tym wszystkim rola taty.

O cholera, zaklął w duchu Faroe.

- Ja też chciałabym to wiedzieć - odparła Grace.

Kiedy dotarli do domku, matka i syn weszli do środka. Faroe został na zewnątrz, żeby mogli się pożegnać bez świadków. Po kilku minutach Grace wyszła. Była wściekła i przerażona.

- Czuje się dobrze - syknęła. - Ukrył to. - Jej głos zdradzał nie tylko strach, ale też gniew i rozgoryczenie.

Faroe milczał, dopóki nie znaleźli się z powrotem w mercedesie i nie wyjechali z kampusu. Wtedy wyciągnął z torby komórkę i wystukał z pamięci numer.

Kiedy się połączył, zaczął szybko mówić:

- Załatw mi wsparcie techniczne. - Musiał czekać zaledwie kilka sekund. - Tu Faroe. Przeszukaj magazyn techniczny. Rok temu dawałem do przeglądu eksperymentalny model motoroli. Wyświadczyć mi przysługę. Aktywuj na niej pinger GPS i daj mi odczyt długości i szerokości geograficznej.

- Zaczekaj.

- Czekam - powiedział Faroe.

Grace spojrzała na niego.

- Co robisz?

Machnął ręką, żeby o nic nie pytała. Po kilku sekundach miał na linii wsparcie techniczne St. Kildy. Słuchał i zapamiętywał informacje.

- Jeden siedemnaście przez trzydzieści dwa dziesięć - podyktował. - Dobrze, aparat działa. Teraz ustaw obwód alarmowy. Jeśli to cholerstwo przesunie się o więcej niż dwie mile morskie, daj mi znać. Natychmiast.

- Monitorowanie 24 godziny na dobę.

- Tak. Wiem, że to dużo kosztuje. Zadzwoni do Steele'a, jeśli będziesz musiał, ale zamontuj ten zegar teraz. Kiedy uruchomi się monitor, powiedz tym z działu badań, żeby się dowiedzieli, kto jest właścicielem hotelu Encantamar i restauracji Canción w Ensenadzie. Zrozumiałeś?

- Tak.

Faroe skończył rozmowę i odwrócił się do Grace.

- Mówiłaś coś?

- Co robisz? - powtórzyła.

Dokładnie to co słyszałaś: założyłem pasywny podsłuch na twojego syna. Jeśli będzie miał telefon w zasięgu ręki, nigdzie nam nie zniknie.

To zbyt niebezpieczne. A jeśli oni to odkryją?

Faroe wjechał na płatną autostradę i skierował się na południe, w kierunku Ensenady.

- I co mu zrobią? Dadzą klapsa? Pani sędzio, bądźmy poważni.

- Jestem poważna - odcięła się. - Równie dobrze mogłeś mu zostawić nabity pistolet.

- Niezły pomysł. Miałaś pistolet przy sobie? - Faroe spojrzął na nią z ukosa. - Tak myślałem, że nie.

- Jesteś nienormalny! Jeśli znajdą ten telefon, będą wiedzieli, że ja...

- Posłuchaj... - warknął Faroe, choć powtarzał sobie, że powinien być cierpliwy, bo Grace jest w piekielnym stresie. - Oni dowiedzą się tylko, że ktoś dał mu urządzenie do komunikowania się z matką. Ważne, że Lane nie czuje się całkowicie odcięty.

- Ale...

- Desperacja jest najgorszym wrogiem więźnia - poinformował Faroe beznamyślnie. - W tej chwili Lane ma wpływ na swój los. Chcemy, żeby zachował spokój, żeby nie panikował ani nie zamykał się w sobie.

- Nie widziałeś, jak bardzo był przerażony, mimo że ciągle powtarzał: „Nie martw się, mamó”.

- Twój syn jest twardym, mądrym chłopcem. Niech wykorzysta te cechy. Właśnie one mogą zadecydować, czy wydostanie się stamtąd żywy.

- On ma raptem piętnaście lat!

- Wiele dzieciaków nie dożywa nawet tego wieku. Życie to tylko niezawodna gwarancja, że się umrze.

Grace zmierzyła Faroego gniewnym wzrokiem i ugryzła się w język, żeby nie krzyknąć.

Nic nie rozumiesz! - Ciekawe, czy zachowywałbyś taki spokój, gdybyś wiedział, że Lane jest twoim synem?

A może mężczyźni reagują inaczej? Czy oni nie rozumieją, jak ważne są dzieci? Seks, o tak, to jest ważne dla mężczyzn.

Ale nie dzieci.

Nawet ich własne.

Ale Grace podejrzewała, że Faroe okaże się inny. Będzie go to obchodziło i dlatego znienawidzi ją za ukrywanie prawdy.

Żadne wyjście nie jest dobre.

Nie myśl o tym.

Nie myśl o tym wcale.

Nie zmienisz przeszłości. Nie może przewidzieć przyszłości. Możesz tylko żyć teraźniejszością, daną chwilą.

I nie krzycz.

Cokolwiek robisz, nie krzycz.

Ale pragnęła krzycheć tak mocno, że omal się nie udusiła tłumionymi słowami.

Odwrociła się i wyglądała przez okno, żeby Faroe nie wyczuł, że jej milczenie skrywa strasliwą, mroczną wojnę.

## Rozdział 25

Ensenada

Niedziela, 16.00

Jazda do Ensenady nie trwała długo, ale zanim Faroe dotarł do miasta, nie mógł wytrzymać cichego napięcia w samochodzie, przecucia, że zaraz rozpęta się burza.

Grace ledwo oddychała.

- Kiedy zobaczyłem Ensenadę pierwszy raz - zaczął Faroe - była to ospała miejscowość wypoczynkowa z kilkoma hotelami dla gringo i niezbyt nowoczesną dzielnicą biznesową. Teraz to nowoczesne miasto portowe, siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, dobra grobla nadbrzeżna, doki dla statków wycieczkowych i czynne nabrzeże.

Grace nawet na niego nie spojrzała.

A miał to być bezpieczny temat, pomyślał Faroe.

Znalazł hotel z widokiem na przystań, zaparkował wóz i wszedł do holu. Trochę się targował, aż w końcu wybrał apartament na czwartym piętrze, z widokiem na ocean. Wrócił do SUV-a, wyciągnął Grace i zaprowadził do ich pokoju.

W milczeniu.

Kiedy weszli do środka, natychmiast skoczył na balkon, żeby sprawdzić widok. Restauracja, w której, według Magóna, miała się odbyć przedślubna impreza Rivas, była wciśnięta w róg hotelowej posiadłości od strony oceanu i okolona sięgającym do głowy murem, a wokół rozciągał się kameralny, dobrze utrzymany teren. Na frontowej bramie z kutego żelaza wisiała tablica. Faroe wyjął z torby małą lornetkę, żeby przeczytać napisy.

Pod spodem znajdowało się tłumaczenie z myślą o językowo upośledzonych gringo, których dolary zasilały Ensenadę.

#### ZAMKNIĘTE. PRYWATNE PRZYJĘCIE

Jak dotąd, informacje Magóna się potwierdzały. Canción rzeczywiście zarezerwowano dla klanu Hectora.

Kiedy Faroe odwrócił się w stronę pokoju, zobaczył, że Grace stoi na środku i ściska swoją torbę na ramię. Patrzyła przed siebie wzrokiem, jaki można było zaobserwować na oddziałach psychiatrycznych i polach bitewnych. Widząc jej zaciśnięte usta, Faroe nabrał przekonania, że nieprędko utną sobie pogawędkę.

Podszedł do telefonu, zamówił jedzenie i kilka piw.

Grace stała dokładnie w tym samym miejscu.

- Chcesz, żebym cię wrzucił pod prysznic? - zapytał. - Czy wolisz się wytrzeć mokrym ręcznikiem?

Bez słowa ruszyła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Popatrzyła na toaletę i pomyślała, że może pozbędzie się zimnego strachu, ściskającego żołądek, jeśli włoży palce do gardła.

Przeszłości nie da się wymiotować.

Jeśli się załamiesz, nie pomożesz Lane'owi.

Oddychaj, do cholery.

Po prostu oddychaj.

Z trudem wzięła jeden oddech, potem drugi. Zrobiła dwa kroki do umywalki. W lustrze zobaczyła wyczerpaną kobietę z twarzą w strugach łez i z rozczochranymi włosami. Upuściła torebkę na wyłożoną kafelkami ladę i odkręciła kran. Do zlewu leciała zimna woda. Plusk wydawał się głośny w ogólnej ciszy. Grace włożyła dłonie pod kran, nabrała w nie wody i przyłożyła do twarzy. Poczowała lekki zapach chloru. Ochlapała buzię jeszcze kilka razy, ale w końcu była w stanie oddychać prawie normalnie.

Owinięte w papierek mydło pachniało bardzo słodko, jak różowe mydło kąpielowe babci Marty. Ten zapach przyniósł falę wspomnień, do których Grace przysięgła sobie nie wracać.

Nigdy nie oglądaj się za siebie.

Po raz pierwszy zastanawiała się, czy Marcie udał się ten nadludzki wyczyn.

Szybko, automatycznie Grace poprawiła makijaż i przeczesała włosy palcami. Mimo że miała oczy zaczerwienione od płaczu, widziała teraz w lustrze nową, znacznie bardziej uporządkowaną kobietę. Wyciągnęła krople do oczu. Piękny ją bardziej niż łyzy, ale kiedy znowu spojrzała w lustro, zobaczyła swoje

odbicie wyraźnie. Wygładziła ubranie, otworzyła drzwi łazienki i wyszła, żeby zmierzyć się z rzeczywistością.

Przez lekko rozsunięte zasłony napływało gorące, duszne powietrze. Zakotwiczone łodzie poruszały się niespokojnie, pokazując się odległego sztormu nawet tu, na prawie zamkniętych wodach. Grace poczuła, że zmienia się jej nastrój. Jakaś jej część cieszyła się na ten gwałtowny sztorm. Grace uwielbiała sztormy. Miały w sobie nieskrępowaną żywiołowość, na jaką ona sama pozwoliła sobie tylko raz.

Z Joem Faroem.

Mężczyznę opartego o balustradę interesował tylko widok w dole.

Na pewno zapamiętuje wszystkie szczegóły, pomyślała w przebiegłości irytacji. Skąd ten facet czerpie energię i koncentrację?

Obsługa hotelowa zmaterializowała się nad podziw szybko. Na stole pojawiło się kilka półmisek przykrytych cynowymi pokrywami. W kubełku z lodem było sześć butelek ze smukłymi szyjkami, z piwem Corona.

Faroe zerknął przez ramię, kiedy stanęła za jego plecami.

- Już lepiej - ocenił. - Jedzenie pomoże jeszcze bardziej.
- Przestań mi matkować.

Podszedł tak blisko, że jego oddech poruszał jej włosy.

- Nie mam w stosunku do ciebie ani odrobiny matczyńskich uczuć.

Otworzyła szeroko oczy.

- To przez ten wiatr...
- Co przez wiatr?
- On przypomina ci o czasach, kiedy byliśmy... razem.
- *Amada* - zaczął i głęboko wciągnął powietrze razem z jej zapachem. - Niewiele jest na tej planecie rzeczy, które nie przypominają mi o tobie.

Przez chwilę była pewna, że zaraz ją pocałuje. Ale on odstąpił o krok.

- Jest kurczak, stek i homar na zimno - powiedział. - Jedz.

Podszedł do stołu, otworzył dwie butelki piwa i podniósł pokrywę z talerzy. Trzy rodzaje proteiny. Koszyczki z małymi tortillami i salaterka świeżej salsy. Wziął tortillę, nałożył na nią kilka kawałków pieczonego kurczaka i dodał salsy. Potem zręcznie złożył tortillę w chusteczkę i podał Grace.

- Czy wszystko musisz robić tak dobrze? - zapytała, znowu odczuwając irytację.

- Płacisz za najwyższą jakość, to ją dostajesz - powiedział. - Jedz. Już ci mówiłem, jesteś wysokooktanową kobietą, a pędzisz z pustym bakiem. Musisz się dobrze odżywiać. Jeśli nie dla siebie, to dla swojego syna.

Wzięła *burrito*. Już pierwszy kęs uświadomił jej, że Faroe ma rację. Była tak głodna, że aż robiło jej się słabo.

Nic dziwnego, że nie umiem zapanować nad emocjami.

Szybko zjadła, podniosła głowę i zorientowała się, że Faroe podtyka jej pod nos kolejną porcję. Tym razem był to homar marynowany w *cilantro* i soku /, limonek, tak soczysty, aż ślinka napłynęła jej do ust. Jedząc przysmak, Grace zapomniała o bożym świecie.

Przeglądając się jej ukradkiem, Faroe przekąsił kilka kawałków homara maczanych w salsie. Potem zrobił sobie *burrito* z tłustym stekiem i dorzucił *papryczki jalapeno* z osobnego talerza. Chwyć butelkę z piwem, zabrał *burrito* na balkon i obserwował restaurację.

Grace nałożyła jeszcze więcej homara na tortillę, zrobiła wyzywająco niechlujne *burrito* i wyszła na balkon.

Cztery piętra niżej dwóch robotników krzątało się za wysokim ogrodzeniem restauracji. Mężczyźni podnosili ułożone w stertę płyty chodnikowe.

- Jeszcze jedna irytująca rzecz - powiedziała Grace.
- Robotnicy przenoszący płyty chodnikowe? - zagadnął Faroe, nie odrywając wzroku od mężczyzn.
- Nie. Ty. Zawsze robisz kilka rzeczy naraz. Jesz i mówisz, i obserwujesz, a mimo to nadal całkowicie koncentrujesz się na zadaniu.
- Steele doprowadziłyby cię do szału. On jest dwa razy gorszy ode mnie.
- Czy ci dwaj mężczyźni naprawdę są tacy interesujący? - wymamrotała Grace z ustami zapchanymi homarem.
- Jeśli nie liczysz wykurzania lisów z nor ogniem, jeszcze nigdy w życiu nie widziałem dwóch tak zapracowanych facetów. Tu jest kraj mariana, ale oni zachowują się tak, jakby ktoś stale ich pilnował. Uważam, że to dziwne.

Zwłaszcza że dziś wieczorem właśnie w tej restauracji ma się pojawić Hector Rivas Osuna.

Grace oparła się o balustradę, oblizała palce i spojrzała w dół. Mężczyźni, osłonięci wysokim murem i bogato zdobioną bramą z żelaza, tylko z góry mogli być widoczni. Obaj byli ubrani w kombinezony i mieli przy sobie skrzynki z narzędziami. Więcej sprzętu zostawili w pikapie zaparkowanym w alei za restauracją.

Jeden z robotników postawił płytę na krawędzi i podparł ją swoim ciałem, żeby drugi mógł zrobić podkop w piaszczystej ziemi.

- Mnie wydają się zupełnie zwyczajni - stwierdziła. - Po prostu jesteś paranoikiem. Za długo żyjesz w tym piekielnym świecie. Wszystko budzi twoje podejrzenia.
- Możliwe - odparł Faroe. I nadal wpatrywał się w robotników wzrokiem zgłodniałego wilka.
- Co takiego widzisz, czego ja nie dostrzegam? - zapytała w końcu.

- Na boku wozu jest urzędowa nalepka.
- No i?
- Nawet w Meksyku osoby ze służb miejskich czy państwowych raczej nie pracują na prywatnej posiadłości.
- Może naprawiają rurę kanalizacyjną- zasugerowała.
- Kanalizacja w Ensenadzie biegnie w odwrotnym kierunku, wszystko płynie prosto do zatoki.

- Przypomnij mi, żebym nie chodziła tam pływać.

Faroe cofnął się do pokoju i wrócił z lornetką. Przyciągnął krzesło do balustrady i usiadł, patrząc przez lornetkę między słupkami.

Grace wypła trochę piwa Joego i czekała.

Cisza.

- No i co? - zapytała niecierpliwie.

- Nie chodź tam pływać.

Nie wiedziała, czy się śmiać, czy go uderzyć.

- Widzisz coś interesującego?

- Mają na sobie kombinezony, ale jeden z nich nosi pod spodem elegancką białą koszulę - odparł Faroe. - Krótko mówiąc, to nie są ubodzy Jose, którzy zarabiają na życie pracą rąk.

Zaproponował, żeby wzięta lornetkę i usiadła na krześle. Odstawiła piwo i zajęła miejsce Joego. Widok przez małą lornetkę był zaskakująco dobry i wyraźny. Siła powiększenia podkreślała drżenie rąk: oczywisty dowód, jak bardzo Grace była spięta. Oparła łokcie na balustradzie.

Tak, mężczyźni nie wyglądali na zwykłych pracowników fizycznych. Po ich pełnych policzkach ściekał pot. Jeden z nich rzeczywiście miał na sobie białą koszulę, a na dodatek ciężki zegarek ze złota, wysadzany brylantami, które świeciły nawet w skąpym świetle. Posługiwał się łopatą tak, jakby nie bardzo wiedział, który koniec służy do czego. Drugi mężczyzna rozglądał się nerwowo, próbując ustawić szeroką płytę chodnikową na krawędzi.

- Dobrze - powiedziała miękko. - Masz rację. W takim razie, czy nie powinniśmy się ukryć albo zamaskować? Ten gość na czatach miota się jak pchła.

- Jest na dole i obserwuje tylko to, co na dole. - Faroe pociągnął łyk piwa, które było teraz ledwo chłodne. - Co za palant. Każdy przeciętnie rozgarnięty człowiek obserwuje też balkony i dachy. Zdziwiłabyś się, jak wielu jest na świecie idiotów.

- Jaki z ciebie optymista.

- Dziękuję.

- Masz. - Wręczyła mu lornetkę. - Nawet jeśli to idioci, obserwowanie ich sprawia, że się denerwuję.



Faroe zamienił się miejscami z Grace, przystawił lornetkę do oczu i przyczaił się, żeby znowu prowadzić obserwację przez słupki balustrady.

- Co oni robią? - zapytała w końcu. - I dlaczego się nimi przejmujemy?

- Hector Rivas Osuną będzie dziś wieczorem jadł w tej restauracji razem z niektórymi członkami swojej rodziny.

- Żartujesz.

- Jak myślisz, po co jesteśmy w Ensenadzie? - zapytał Faroe.

Otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. Idiotko. Myślałaś, że przywiózł cię tutaj, żeby zaciągnąć do łóżka?

- Mogłeś mi powiedzieć - odparła sztywno.

- Nie byłaś zainteresowana rozmową.

Grace posłała mu mordercze spojrzenie, ale niepotrzebnie się wysilała. Jego uwagę pochłaniało to, co działo się cztery piętra niżej.

- Więc przyjechałeś tutaj, żeby szpiegować Hectora? - zapytała.

- Chcę z nim porozmawiać. Ty też, nawet jeśli myślisz inaczej. Hector jest kluczem do całej sprawy. To on decyduje o wszystkim. - Wie, ile czasu naprawdę ma Lane.

Grace potarła ramiona, bo wiatr był dość chłodny.

- Czy musimy mieć z nim bezpośredni kontakt? Nie możesz po prostu do niego zadzwonić? On cholernie mnie przeraża.

- Ludzie tacy, jak Hector są prymitywni. Rozumieją dwie rzeczy: albo postawę ostrego macho, albo zarządzanie potajemnych zamachów. Musimy sprawić, żeby Hector myślał, że mamy w sobie dość macho, żeby się z nim spotkać i dostarczyć mu jedyne go faceta na świecie, którego on naprawdę chce zobaczyć. Chodzi o to, żeby Hector nie zaatakował nas, kiedy będziemy odwróceny do niego plecami.

Z początku Grace nie rozumiała słów Faroego. Po chwili ją oświeciło.

- Ted? - zapytała ochryplym głosem.

- Twój kochający eks - zgodził się Faroe.

- Ale ja nie wiem, gdzie jest Ted!

- Właśnie dostałaś cynk na jego temat.

- Co?

- Trzeba skłamać, wysoki sędzie. Hector myśli, że jesteś jego przepustką do pana Franklina. Będziemy podtrzymywać to przekonanie, a przy okazji damy jasno do zrozumienia, że bierzemy udział w grze tylko pod warunkiem, że Hector będzie dbał o Lane'a.

Grace już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale dostrzegła cień zniecierpliwienia na zwykle beznamietnej twarzy Faroego, i przypomniała sobie, że to on jest ekspertem.

- W kidnappingu liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo zakładnika - dodał Faroe. - Dajemy Hectorowi do zrozumienia, że kij ma dwa końce. Jeśli zakładnik nie jest szczęśliwy, gra nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.
  - Ale nie możemy dostarczyć Teda.
  - Nie bądź tego taka pewna. Niewiele jest rzeczy, których St. Kilda Consulting nie jest w stanie dokonać, jeśli naprawdę czegoś chce.
  - Ty mówisz poważnie, prawda? Na serio chcesz wydać Teda Hectorowi Rivasowi Osunie? - pytała coraz głośniejszą Grace.
  - Tak.
  - Nie dałabym tej kreaturze nawet garści błota. Ted nie jest porządnym facetem, ale to człowiek. Nie mogę tego zrobić.
  - Nie zrobisz, nie możesz, czy nie chcesz?
- Grace nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Faroe znowu przyłożył lornetkę do oczu. Przyglądał się robotnikom, potem skierował wzrok na aleję, w której stała furgonetka. Właśnie nadjechał kolejny wóz i zaparkował za furgonetką. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Podeszli do bagażnika.

- Ojciec twojego dziecka albo twoje dziecko - powiedział Faroe, nie spuszczając oczu z alei. - To niezbyt szczęśliwy wybór, ale jedyny, jaki zaoferował nam Hector. Wiedziałaś o tym od początku.

Grace zamknęła oczy. Faroe miał rację. Wiedziała o tym, tylko nie mogła w to uwierzyć.

- Musi być inny sposób - powiedziała.
- Jak go znajdziesz, opowiedz mi o nim.

W pokoju zapanowało milczenie; słychać było tylko niestrudzony wiatr.

- Jeśli nie potrafisz zdecydować - odezwał się w końcu Faroe - jedź na północ i zostań tam. St. Kilda robi dokładnie to, do czego została wynajęta: odzyska twojego syna. Tylko nie pytaj, jak wykonamy zadanie.

## Rozdział 26

Ensenada  
Niedziela, 16.10

**G**race - powiedział Faroe zniżonym głosem. - Uśmiechaj się, całuj mnie i w ogóle daj mi jakiś oczywisty pretekst, żebyśmy zeszli z tego cholernego balkonu.

Zarówno ton głosu Faroego, jak i słowa świadczyły, że coś jest bardzo nie w porządku.

Jak on może kazać mi wystawić Teda, a zaraz potem odgrywać rolę uwodzicielki?

Pewnie nie ma innego wyboru.

Grace przysunęła się niezdarnie do Joego, pochyliła nad nim i musnęła ustami szyję, choć wolałaby podgryźć mu gardło.

Faroe odłożył lornetkę, popatrzył na nią i się uśmiechnął. Jego oczy były jednak zimne.

- Zjawili się nowi pracownicy. Oni nie są niechlujni. Sprawdzają, co trzeba.
- Gdybyś miał krawat, wciągnęłabym cię za niego do pokoju. - I udusiła nim.

- Uszczypnij mnie w tyłek. Ten sam skutek, i zrobisz odpowiednie wrażenie. - Jego uśmiech się zmienił, stał się prawdziwszy, a kamienne spojrzenie złagodniało. - Tak, wiem, że żałujesz, że nie możesz wbić we mnie pazurów.

Objęła Joego i pogładziła twardy pośladek, potem mocno zacisnęła na nim palce.

- Uwaga do zanotowania: zapuścić pazury. - Uśmiechając się, Faroe osaczał ją coraz bardziej. - Zasuń zasłony - poleciał.

- Podoba ci się to.
- Tylko częściowo, *amada*.

Grace miała dość rozumu, żeby nie pytać, o którą część chodzi. Siłąc się na poządlivy uśmiech, chwyciła falujące zasłony i zasunęła je gestem striptizerki, która bawi się swoimi stringami.

Gdy tylko Faroe zniknął za draperiami, podszedł do okna obok balkonu i odchylił zasłony, żeby patrzeć przez wąską szczelinę. Powoli podniósł lornetkę i zaczął obserwować to, co działo się na dole.

Grace była rozdrażniona i wyczerpana. Opadła na łóżko. Na cyfrowym zegarze na stoliku obok niej upłynęły trzy minuty, podczas których Faroe obserwował czterech mężczyzn. W końcu opuścił lornetkę, cofnął się o krok i wyciągnął notes z szuflady stolika przy łóżku. Jeszcze raz odgarnął zasłony, zobaczył, że mężczyźni są w samochodach, i dyskretnie znów wyszedł na balkon z lornetką.

Grace poszła za nim jak zmęczony, ostrożny cień.

Dwa wozy wyjechały z alei i skręciły w nadbrzeżną ulicę. Kiedy zniknęły, Faroe coś zanotował. Potem skupił wzrok na wejściu do restauracji. Płyty chodnikowe znowu znajdowały się na swoim miejscu. Nic nie wskazywało, że prowadzono tu roboty ziemne.

Faroe opuścił lornetkę i patrzył na wzburzone, smagane wiatrem wody oceanu za falochronem. Wreszcie zwrócił się do Grace.

- Na czym to stanęliśmy? - zagadnął. - A tak, ocenialiśmy decyzje i ich moralne implikacje. Przykra sprawa, ale w tej profesji to konieczność. Teraz mamy do rozważenia kolejny wybór.

- Mamy?

- Tak.

- Jaki? - zagadnęła z niepokojem.

- Co jest bardziej korzystne dla Lane'a: Hector żywy czy martwy?

- Mówisz o zabiciu Hectora? - zapytała zszokowana.

- Ja? Nie w tej fazie. Chodzi mi o tych czterech facetów, którzy jechali samochodami oznakowanymi jak rządowe pojazdy z Baja. Oni raczej myślał o morderstwie. - Grace wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, więc wyjaśnił: - Zostawili wizytówkę pod płytą, która jest pierwszym stopniem schodków do restauracji Canción.

- Wizytówkę?

- IUW-a.

- Przetłumacz - mruknęła zniecierpliwiona.

- Improwizowane Urządzenie Wybuchowe.

- Bomba domowej roboty?

- Tak sądzę. Pewność będę miał dopiero wtedy, kiedy ją dokładniej obejrzę, ale wygląda mi na telefon komórkowy przyczepiony do standardowego claymore'a.

- Claymore... Czy to nie materiał wybuchowy jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej? - zapytała.

Faroe uśmiechnął się lekko.

- Za dawnych dobrych czasów, przed czarnym prochem, claymore'em nazywano duży miecz oburęczny, idealnie nadający się do natychmiastowego rozplątania człowieka na pół. Teraz claymore to mina kierunkowa, która wyświadczyłaby światu przysługę, gdyby eksplodowała w promieniu dziesięciu metrów od klanu Rivasów. A zatem, czy dla Lane'a lepszy będzie Hector żywy, czy martwy?

Grace otworzyła usta, zamknęła je i znowu otworzyła.

- Ty jesteś ekspertem.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Na myśl, że szczątki Hectora mogłyby udekorować trzy przecznice, miał ochotę się uśmiechnąć.

- Powinienem się wycofać. Gardzę handlarzami narkotyków.

Czekała i znowu zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Faroemu prawdę o Lanie, i czy to wpłynęłoby na jego decyzję.

- Cholera - zaklął i znów głęboko odetchnął. - Jak ja tego nie cierpię.

- Czego?

- Że muszę ratować podłego sukinsyna, takiego jak Hector, żeby zwiększyć szansę uratowania niewinnej osoby, takiej jak Lane.

- Co zamierzasz zrobić?

- Rozbroić to cholerstwo.

- Zwariowałeś? Możesz zginać. Wezwij specjalistę.

- Nie ma czasu na ściąganie pomocy z St. Kildy. Kogo więc wezwać? Komu ufasz z meksykańskiego rządu?

Zaczęła coś mówić, ale zaraz umilkła. Nie знаła odpowiedzi na pytania Joe-go-

Faroe uśmiechnął się ponuro.

- Uczysz się, *amada*. Szkoda, że to ja muszę być nauczycielem.

- Dlaczego?

- Nikt nie lubi posłannika złych wieści.

W kieszeni zawibrował mu telefon komórkowy. Joe wyciągnął go, przeczytał SMS-a i pokręcił głową.

Grace bała się pytać o cokolwiek, ale bała się też nie pytać.

- Co się stało?

- Hotel i restauracja są częścią korporacji, która wchodzi w skład największego konglomeratu biznesowego w Baja. Grupa Calderon. Twój stary przyjaciel Carlos Calderon jest jednym z głównych właścicieli Grupy.

Narastał w niej niepokój.

- To nie ma sensu. Carlos Calderon prowadzi interesy z Hectorem. Dlaczego miałyby nasyłać na Hectora wrogów?

- Może chce rozwiązać ten układ?

Zmarszczyła brwi.

- Ale czy to jest dla nas korzystne?

- Nie wiem.

- Powinieneś przecież... - Usłyszała swoje własne słowa i zamiast dokończyć zdanie tylko westchnęła.

- Wiedzieć wszystko? - dokończył za nią zgrzyliwie. - Nazywam się Faroe, a nie Jahwe. Inne przesłane przez St. Kildę informacje są mniej dwuznaczne.

- Czy to dobrze?

- Ty mi powiedz. Oni już prawie mają Teda. Idiota użył służbowej karty kredytowej.

Grace przejechała palcami po rozwianych włosach.

- Na co? Woda czy laski?

Faroe wyglądał na zaniepokojonego.

- Ted ma problemy z piciem?

- Moim zdaniem ma.

- A ty masz problem z jego laskami?
- Wkurza mnie tylko to, że kiedyś byłam strasznie głupia.
- Zrobił cię swoją żoną, a nie laską na pokaz.
- Mój błąd - wycedziła Grace. - Szkoda, że nie ja jedna za niego płacę.

Faroe zauważył, że mimo spokojnego tonu jest bardzo roztrzęsiona. Zmienił temat.

- Ted kupował coś gorszego niż alkohol. - Prawnika.
- Stuart Sturgis z Bauman, Sturgis, Bauman i McClellum?

Faroe kiwnął głową.

- On zajmował się naszym rozwodem - wyjaśniła Grace. - To stary przyjaciel Teda z college'u i jego wspólnik w interesach. Za każdym razem kiedy dzwoniłam do Stu, mówił, że nie miał żadnych wiadomości od Teda, ale jeśli czegoś się dowie, natychmiast do mnie zadzwoni, i takie tam bla bla bla.

- A ciebie kto reprezentował w czasie rozwodu?
- Nie miałam adwokata.
- Nic dziwnego, że nic nie dostałaś.

Grace zmrugała oczy.

- Dostałam samochód, fundusz college'owy w formie połowy udziałów w nieistniejącym ranczu koni i dom w La Jolla dla mojego syna. Wszystko, czego chciałam.

Faroe nie wspomniał, że dom oddała w zastaw hipoteczny, żeby zapłacić za uratowanie syna, i że być może nikomu nie uda się skorzystać z funduszu na college.

- St. Kilda obserwuje poczciwego starego Stu i założyła mu podsłuch - oświadczył Faroe. - Prędzej czy później, facet doprowadzi nas do Teda.

- Podsłuch? Telefoniczny? To nielegalne.

- Nie wiem, o czym pani mówi, pani sędzio...

- Tak, ja też wolę nie wiedzieć...

- To przestań zadawać pytania. Bo albo będę kłamał, albo opowiem ci o działaniach, o których musiałabyś powiadomić policję. Potem jakiś twój wróg wytoczyłyby ci sprawę na szczeblu federalnym, bo wiedziałybyś za dużo.

Grace nie spierała się z Joem. Balansowała na krawędzi prawa i tylko cudem mogłaby nie spaść.

- Ile czasu zajmie ci wysadzenie samego siebie, czyli rozbicie bomby? - zapytała.

- Nie wiem, bo jeszcze się jej nie przyjrzałem. Jeśli nie będę znał tego typu ładunku, niczego nie tknę.

- Weź telefon komórkowy.

Faroe się roześmiał.

- Dlaczego? Jeśli nawalę, natychmiast się o tym dowiesz. Prawdopodobieństwo takich niepowodzeń sprawia, że St. Kilda każe wszystkim pracownikom dawać DNA do zbadania. Łatwiej potem identyfikować ciała.

Jej powieki zdrząły.

- Będziesz potrzebował kogoś, kto cię ostrzeże, jeśli źli faceci znowu się pokażą.

Rozważał pomysł. Mimo że mówiła spokojnie, bardzo pobladła, a jej oczy pociemniały. Ale przynajmniej nie drżały Grace ręce i pamiętała o regularnych oddechach.

Przeważnie.

- Daj mi swoją komórkę - poprosił Faroe. - Wystukam numer.

- Czy my już tego nie robiliśmy? - mruknęła, wsadzając rękę do torebki.

- Czasami jeden raz nie wystarcza.

Grace nagle podniosła głowę. Faroe miał neutralny wyraz twarzy, a w jego zielonych oczach tlił się żar. Grace wiedziała, że na jej twarzy widać, o czym myśli; pochyliła głowę i wyciągnęła komórkę.

- Wróciły ci rumieńce - zauważył.

- Jesteś...

- Cicho, kobieto. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i wziął od Grace aparat.

- Pomyśl, jak strasznie byś się czuła, gdyby twoje ostatnie słowa do mnie były obraźliwe.

- Rozważę to, chłopcze - odparowała.

- Jak zobaczysz, że ktoś nadjeżdża, wcisnij ten klawisz. - Wskazał przycisk i oddał jej komórkę. - Telefon zawibruje mi na klejnotach i pomyślę o tobie.

- Dwa razy się zastanowię.

Faroe jeszcze się śmiał, kiedy zamykał za sobą drzwi.

## Rozdział 27

Ensenada  
Niedziela, 16.20

**K**iedy Faroe przechodził z hotelu na teren restauracji, wiatr już trochę zelał, chociaż i tak niósł rozmaite dźwięki, włącznie z nieustannym trąbieniem klaksonów. Według lokalnych zwyczajów hamulce nie były „macho”, natomiast klaksony - jak najbardziej.

Przy falochronie małej przystani stał zakotwiczony wielki, biały statek wycieczkowy. Pasażerowie małych łodzi wysiadali na lądzie, żeby przeżyć zagraniczną „przygodę”. Faroe zastanawiał się, dlaczego ludzie marnują czas na takie stadne wycieczki.

No, ale nigdy nie rozumiał też osób, które uważały, że przygoda może być bezpieczna.

Niedbałym, leniwym krokiem poszedł do bramy ogrodu za restauracją. Brama była zamknięta. Przez metalową kratę z rzeźbionymi motywami bluszczu zobaczył płyty chodnikowe pół metra na metr, które wcześniej podnosili fałszywi robotnicy. Piasek dookoła został zagrabiony, żeby zatrzeć wszelkie ślady.

Gdyby Faroe nie widział wcześniej, jak podkładają minę kierunkową, nic by nie podejrzewał.

Spojrzał na hotel, na czwarte piętro. Grace opierała się o balustradę balkonu jak kobieta podziwiająca widok. Komórka w jego kieszeni milczała.

Spokojnie minął róg i znalazł się przed wejściem dla personelu. Było zamknięte.

Musieli mieć klucz. Robota kogoś wewnątrz?

Może.

A może nie.

Trudno rozróżnić graczy bez karty wyników.

Grace wsparta na balustradzie, starała się wyglądać na tak zrelaksowaną, jak Faroe. Gdy on sprawdzał jakość bramy, ona przyglądała się balkonom i dachom. Miała wrażenie, że wszystkich pochłania obserwowanie scenerii.

Najwyraźniej Faroe stwierdził, że kute żelazo jest wytrzymałe, bo w kilka sekund wskoczył na dwuipółmetrową bramę i zniknął za murem. Gdyby Grace kichnęła, na pewno przeoczyłaby ten manewr.

Odwrócił się i spojrzał na dach hotelu, którego Grace nie była w stanie zobaczyć z balkonu. W promieniach zachodzącego słońca nie dostrzegł żadnych lornetek potencjalnych obserwatorów. Wydawało się, że tylko Grace się nim interesuje.

Po krótkim rozpoznaniu terenu Faroe skupił uwagę na restauracji. Było w niej pusto, ale wkrótce mieli się tu zjawić kucharze, żeby przygotować kolację. Faroe szybko minął róg budynku i dotarł do chodnika z kamiennych płyt. Patrzył uważnie pod nogi, czy na ziemi nie walają się kable do detonacji ładunku.

Nie znalazł niczego.

A więc zapalnikiem musiała być komórka, którą mężczyźni wkładali do miny.

Ukląkł i wepchnął palce pod płytę chodnikową. Ważyła co najmniej piętnaście kilo, ale łatwo dała się przechylić na bok.



Przez długie, długie sekundy Faroe wpatrywał się w wypukły korpus miny wyprodukowanej w Stanach Zjednoczonych. Była toporna i prosta technologicznie. Ot, pół kilo plastiku C4 i sześćset stalowych łożysk kulkowych, które miały wybuchnąć w ściśle określonym kierunku.

Kulki wystrzelone w powietrze zabiłyby kilkadziesiąt osób i okaleczyły kolejne kilkadziesiąt.

Faroe zerknął na Grace. Nie ruszyła się z miejsca. Znowu zajął się bombą. Inicjator na minie został usunięty i zastąpiony detonatorem, który był przywiązany drutem do baterii taniej meksykańskiej komórki.

Jak na razie, wszystko szło zgodnie z planem.

Faroe bardzo delikatnie odłożył minę skierowaną bok, żeby lepiej przyrzeć się komórce. Na tyle telefonu ktoś wypisał czarnym markerem siedem cyfr. I znowu bez niespodzianek. Konstruktor bomby zmontował urządzenie, a potem przekazał je innym do użytku. Nie zastosował żadnych trudnych formułek. Proste instrukcje dla prostych ludzi.

Faroe zapamiętał numer. Potem powoli, ostrożnie przewrócił minę, tak żeby jej korpus nie sterczał do góry, tylko wbijał się w piaszczystą ziemię. Delikatnie, powoli położył płytę chodnikową na miejsce.

Półtorej minuty później wrócił do hotelowego apartamentu.

Grace przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona, cała rozdygotana.

- Oddychaj, *amada* - przypomniał. - Nic się nie stało.

- Ale to było naprawdę niebezpieczne.

Wdychał słodki zapach jej włosów.

- To przywoity ładunek wybuchowy domowej roboty, który sprawiłby, że Hector Rivas Osuna byłby zszokowanym eunuchem przez ułamek sekundy, a potem jego odbył przeleciałby przez mózg.

Grace niemal odskoczyła od Joego, jakby właśnie ją kopnął. Otuliła się ramionami.

Faroe wmawiał sobie, że to dobrze. Strach Grace o niego tylko by go dekoncentrował. Jak piersi jej rozdygotanego ciała.

Tak przynajmniej sobie tłumaczył, chociaż sam w to nie wierzył.

- Naprawdę ciekawe, że ktoś ma dostęp do komputerów amerykańskiego korpusu marines - odezwał się po chwili. - Kusiło mnie, żeby wziąć numer seryjny, ale nie jestem tu po to, żeby donosić na policję o skradzionych sprzętach. Zawiadomię Steele'a, a on szepnie słówko komuś, kto nosi tyle gwiazdek, że na pewno dopilnuje, żeby Obóz Pendleton zinwentaryzował swój arsenał.

- Rozbroiłeś ją?

Pokręcił głową.

- W takim razie co zrobimy? - zapytała Grace. - Wezwiemy policję?

- Ponieważ wydaje się, że Hector ma w kieszeni gliniarzy federalnych, to cholerstwo pewnie podłożył lokalny oddział policji. Albo stanowy. - Faroe wzruszył ramionami. - Tak czy owak, Hector to czerwone graffiti na każdej ścianie w obrębie trzech przecznic.

- Ale mówiłeś, że będzie bezpieczniej dla Lane'a, jeśli Hector przeżyje.
- Owszem. Niech to diabli.

Faroe wyciągnął komórkę z kieszeni i nacisnął klawisz szybkiego wybierania. Jego telefon został odebrany po drugim dzwonku, w Nowym Jorku.

- Tu Faroe - powiedział. - Potrzebuję szybko dwóch rzeczy. Po pierwsze, numeru telefonu do Ali Saints. To prywatna szkoła katolicka przy płatnej autostradzie na południe od Tijuany i na północ od Ensenady. Obie miejscowości znajdują się w Baja Kalifornia, w Meksyku. Numer powinien być w spisie w książce telefonicznej Ensenady albo na stronie internetowej.

Grace wręczyła mu notes i pióro, które zostawił na łóżku.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem kogoś, kto przywykł pracować w pojedynkę, uśmiechnął się z wdzięcznością i zaczął pisać.

- Mam - potwierdził po chwili. - Teraz użyj swojej magii na Telmeksie i sprawdź dostawcę telefonów komórkowych dla Ensenady. Za wszelką cenę postaraj się dowiedzieć, kto w ciągu ostatnich dwóch dni kupił komórkę z takim numerem: - Faroe odczytał cyfry spisane z telefonu.

Nawet Grace usłyszała jęk po drugiej stronie.

- Wiem, wiem - rzucił niecierpliwie Faroe. - Proszę o wiele, ale od tego zależy życie pewnego chłopca. Wydaj, ile musisz, ale zdobądź te informacje. Tak, ja poniosę koszty. I jak tylko ci się poszczęści, natychmiast do mnie odzwoń.

Faroe przerwał połączenie i wystukał numer szkoły Lane'a.

Grace słuchała jego rozmowy z ojcem Rafaelem Magónem. Faroe na przemian mu pochlebiał i groził. W końcu bezceremonialnie się rozłączył, otworzył zimne piwo i usiadł na balkonie, patrząc na restaurację wzrokiem drapieżnika obserwującego swoją ofiarę.

Grace miała na końcu języka wiele pytań, ale wiedziała, że nie dostanie żadnej odpowiedzi. Na pewno nie w momencie, gdy Faroe był tak pochłonięty planowaniem.

Zapłaciłam za najlepszego, więc powinnam się zamknąć i pozwolić mu pracować.

I przestanę myśleć o tym, jak dobrze było znowu znaleźć się w jego objęciach, choćby tylko chwilę.

Zadzwoił telefon na stoliku przy łóżku. Faroe natychmiast zerwał się z miejsca i podbiegł do stolika przy łóżku.

- To do mnie, ale odbierz - powiedział.

Grace podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku. Czyjś męski głos zażyczył sobie rozmowy z Faroem. Podała mu słuchawkę. Wziął słuchawkę, ale zasłonił ręką mikrofon.

- Hector? - zapytał Grace.

Pokręciła głową.

- Jakiś pomagier.

Faroe zdjął rękę z mikrofonu.

- *Bueno* - rzucił lakonicznie.

Rozmowa odbywała się po hiszpańsku. Faroe przerwał ją w końcu serią epitetów i otwartych pogrózek.

Na przekór sobie, Grace była pod wrażeniem. Nie słyszała tak specyficznego i tak barwnego języka od bardzo, bardzo dawna. Ani tak onieśmielającego.

Nastąpiła przerwa w dialogu.

Grace zerknęła na Faroego.

Wzruszył ramionami i czekał. Potem zaczął mówić po angielsku, żeby zaznaczyć swoją przewagę. Istotę takiego posunięcia mógł docenić tylko dyplomata albo sędzia.

- Nie, Hectorze, nie wiesz, kim jestem - powiedział Faroe. - Ale znasz moją bardzo dobrą przyjaciółkę, sędzię Silvę.

Na drugim końcu linii Hector rozglądał się po ekskluzywnie urządzonym kondominium, jednym z kilku miejsc, które „pożyczył” na czas pobytu w Ensenadzie. Wszędzie byli ludzie z bronią. Jeden z jego młodszych siostrzeńców przygotowywał sobie dawkę kokainy. W powietrzu unosił się gęsty obłok dymu z papierosów, a w kuchni piętrzyły się sterty brudnych naczyń. Zasłony były zasunięte tak szczelnie, że do pokoju nie wpadało ani trochę światła dziennego.

Z wyjątkiem tej dziwnej rozmowy wszystko było absolutnie normalne.

- *Si*, znam ją - powiedział Hector. - No i?

- Jej sprawa to moja sprawa.

- Silva jest z tobą? - zapytał Hector, nagle bardzo czujny.

- Tak, ale nie ma ci nic do powiedzenia, oprócz tego, że powinieneś mnie wysłuchać. Zamierzamy ocalić ci życie.

Hector zaciągnął się mocno papierosem podanym mu przez siostrzeńca.

- Słucham.

Faroe zerknął na Grace, wyszeptał „komórka” i wskazał swoją kieszeń.

Zawahała się tylko na moment, potem włożyła rękę do głębokiej kieszeni spodni. Od razu natknęła się na coś twardego, ale to nie był telefon. Spłoszona

spojrzała na Faroea. Gdy zobaczyła jego uśmiech, zrozumiała, że Joe z lubością czekał na tę chwilę.

Było oczywiste, że Faroe potrafi robić kilka rzeczy naraz.

Ona też.

Bardzo powoli odsunęła telefon. Upuszczała go i wyciągała kilka razy, sprawdzając zawartość kieszeni niezwykle starannie.

Faroe zaczął ciężko oddychać. Powieki miał półprzymknięte.

- Mówiłem, Hectorze, że sędzia i ja możemy ocalić ci życie.

Grace wręczyła mu telefon, uśmiechając się jak kocica. Nie umiała wspinać się po murach i bawić bombami, ale wiedziała, jak wzbudzić zainteresowanie Joego.

Wystukał jakiś numer na komórce, ale nie nacisnął klawisza połącz.

- Jestem bezpieczny - oznajmił Hector. Słowa Faroea nie zrobiły na nim wrażenia. - Niczego od ciebie nie potrzebuję.

Faroe wyrzwał znad balustrady balkonu na fronton restauracji. Budynek był ciemny. W ogrodach i w okolicy ani żywej duszy.

- Dziś wieczorem wybierasz się na przyjęcie weselne w Encantamar w Ensenadzie - poinformował Faroe. - Kolacja w Canción.

Hector się wyprostował.

- Kto ci to powiedzieć?

- Posłuchaj bardzo uważnie. - Faroe skierował słuchawkę telefonu stacjonarnego ku drzwiom balkonowym, a potem nacisnął klawisz połącz na swojej komórce.

Grace wytrzeszczyła oczy. Chciała pobiec na balkon, ale Faroe zatarasował jej przejście własnym ciałem; przytulił ją mocno i zdecydowanie, żeby nie poczuła fali uderzeniowej.

- Jeden, dwa, trzy... - Faroe głośno odliczał.

Nad ogrodem restauracji pojawiło się oślepiające światło, jaśniejsze od słońca. Chwilę później powietrze rozdarła gwałtowna eksplozja. Huk odbił się o mury hotelu. Stada przerażonych gołębi wystrzeliły z dachów okolicznych budynków.

Na kilka chwil świat umilkł. Nasłuchiwał, czekał.

Echa eksplozji z wolna przeradzały się w niezbyt intensywny hałas w uszach Grace. Oszołomiona patrzyła, jak na dziedzińcu unosi się obłok kurzu. Tak wygląda wojna, pomyślała. Lęk i poczucie bezradności ścisnęły jej gardło.

- Słyszałeś? - zagadnął spokojnie Faroe.

- *Madre de Dios!*

- Mina była zakopana pod wejściem do Canción. Jeśli mi nie wierzysz, przyślij swoich ludzi, żeby sprawdzili.

Hector milczał przez kilka sekund. Na każdego mężczyznę w pokoju spoglądał teraz innym wzrokiem, zastanawiając się, który z nich może być zdrajcą. Wydał jednemu z ludzi komendę, żeby sprawdzić restaurację. Zanim mężczyzna zdążył wyjść z pokoju, rozdzwoniły się komórki ochroniarzy. Trzydzieści sekund później Hector wiedział, że człowiek, z którym rozmawiał przez telefon, mówił prawdę.

Nieważne, czy to czyniło z niego przyjaciela czy wroga. Liczyło się tylko, że mógł zabić Hectora i nie zrobił tego.

Hector mocno się zaciągnął skrętem.

- Czego chcesz?

- Spotkaj się ze mną, osobiście. Podaj miejsce, czas. Jeśli dopisze mi szczęście, przyniosę nazwiska ludzi, którzy podłożyli ładunek. Jeśli nie, i tak mamy dużo spraw do omówienia.

Grace zmuszała się do wykonywania głębokich oddechów, aż w końcu przestała słyszeć dudnienie w uszach. Podeszła do okna i spojrzała w dół.

Teren przypominał strefę wojenną. Z frontonu restauracji poodrywały się kawałki stiuku. Dookoła walały się fragmenty rozbitej płyty chodnikowej. Brama z żelaza została wyrwana z zawiasów i leżała poskręcana sześć metrów dalej. Okna restauracji były powybijane. Z hotelu nadbiegali ludzie, żeby obejrzeć zniszczenia.

Grace odwróciła się do mężczyzny, który zdetonował bombę.

- Dobra. To jesteśmy umówieni. - Faroe odłożył słuchawkę i popatrzył na Grace. - Gotowa?

- Ty... widziałam... - Spróbowała jeszcze raz. - Po prostu przypadkowo zdetonowałeś tę bombę!

- Świadomie, nie przypadkowo. Mamy teraz przewagę nad Hectorem. On nie wie, czy jestem przyjacielem, wrogiem, czy wielkanocnym króliczkiem. Ale jest absolutnie pewny, że mogłem go zabić, ale się rozmyśliłem. Będzie uważał, żeby mnie nie wkurzyć, a to znaczy, że Lane jest bezpieczniejszy teraz, niż wtedy, gdy Hector zamknął go w szkole. Chodźmy.

Grace uczepiła się jedynej rzeczy, która miała znaczenie: sytuacja syna trochę się poprawiła. Dla Lane'a warto było poświęcić kilka okien i bramę z kutego żelaza, choćby i codziennie.

Posłuchaj samej siebie, sędzio. Wysadzanie rzeczy to przestępstwo.

Porwanie też. Jeśli to będzie z korzyścią dla Lane'a, pomogę Faroemu popełnić tyle ciężkich przestępstw, ile trzeba.

Jeśli prawo nie chroni mojego syna, to do diabła z takim prawem.

Wyszła z Joem z pokoju. Nawet nie zapytała, dokąd idą.

# Rozdział 28

Tijuana

Niedziela, wczesne popołudnie

Grace spała od Ensenady do Tijuany. Miała wrażenie, że uliczny zgiełk stał się jej częścią, że przerodził się w nieustający, prymitywny rytm. Może to z wyczerpania przestała zwracać uwagę na hałas, a może dlatego, że zasnęła, oddychając tym samym powietrzem, którym oddychał Joe Faroe, w każdym razie spała głęboko i śniła o nim. Obrazy i doznania były przepełnione pożądaniem. Namietnością. Przyprawiły o zawrót głowy. Grace obudziła się z rozpalonymi policzkami i trochę oszołomiona.

Faroe jechał po trzypasmowej ulicy, ale obok niego jechały jeszcze trzy auta. Do zatrzymujących się i ruszających pojazdów ciągle doskakiwali gazeciarze, kwiaciarki i sprzedawcy losów loterii. Siedzący na błyszczących harleyach brzuchaci policjanci usiłowali zaprowadzić porządek. Samochody omijały ich jak woda głązy w rzece.

Łamano przepisy, ale pod pozorem chaosu funkcjonował nieoficjalny, rozumiany przez kierowców system. Nie był zbyt uporządkowany, mimo to ruch uliczny odbywał się w miarę płynnie.

Grace zobaczyła na północy blask światła San Diego: kilka kilometrów dalej i pół świata dalej. Marzyła o kąpieli, o zrzuceniu z siebie wszystkich minionych lat i o tym, żeby zacząć na nowo, w surowym świecie, gdzie dawne kłamstwa w ogóle by nie istniały.

- Dokąd jedziemy?- zapytała.

- O, więc ona żyje, oddycha. Skąd to wiem? Zadaje pytania.

Uśmiechnęła się i uświadomiła sobie, że patrzy na jego usta. Zarumieniła się na wspomnienie snu.

- W Encantamar bawiliśmy się tak świetnie, że pomyślałem, że powinniśmy wypróbować nowy hotel - powiedział ironicznie Faroe. - Jedziemy do Hotel del Fiesta Palace. Mieści się w pobliżu najszynniejszego na świecie toru wyścigowego dla psów.

- Spotykamy się z Hectorem w hotelu czy na torze?

- Na torze, za trzy godziny. Z hotelu jest dobry widok. Pracowałem kiedyś na tym torze, więc pamiętam jego układ. Ale z pokoju zrobię wstępne rozpoznanie.

- No, cóż... idę z tobą.

- Myślałem, że nie chcesz przebywać z Hectorem w jednym pomieszczeniu.

- Nie chcę. I co z tego? Nie chciałam wielu rzeczy, a jednak one się dzieją-

Jechali dalej, aż wmieszali się w ruch uliczny Zona Rio. Kiedy objeżdżali rondo u stóp pomnika Abrahama Lincolna, Grace zauważyła Plaza Rio.

- Hector strasznie dba o ciuchy i wygląd - powiedziała. - Prasowane dżinisy, nienagannie biała koszula, buty ze strusiej skóry i mnóstwo łańcuchów na szyi, od których koń by się udusił.

- No i?

- Jeśli chodzi o styl macho i wodzowskie maniery, to przegrywamy. Wyglądamy jak psia kupa. Zostało trochę czasu na zakupy?

Faroe przejrzał się w lusterku. Zobaczył psią kupę.

- Słuszna uwaga. Mamy pół godziny. - Podjechał do parkingowego i wsunął mu połówkę dwudziestodolarowego banknotu. - Pół godziny - przypominał Grace, kiedy wysiedli.

- Synchronizujemy zegarki? - spytała zgryźliwie.

- Lepiej ruszaj, *amada*. Tracisz cenne sekundy.

Zanim doszli do wejścia, zostawiła go w tyle. Zaczął za nią iść, ale po chwili wstąpił jednak do sklepu. Ledwo się wyrobił, a kiedy wrócił do budki parkingowego, Grace już czekała tam na niego z trzema torbami na ramieniu. Wręczył parkingowemu drugą połówkę dwudziestodolarowego banknotu i pokazał kolejną piątkę.

Mercedes nadjechał z imponującą prędkością.

Faroe odetchnął z ulgą, kiedy pokonał wszystkie uliczne korki, dojechał do trzydziestopiętrowego Fiesta Palace i wręczył kluczyki boyowi hotelowemu. Nikt, kto miałby wiedzę Faroego, nie wjeżdżałby do Meksyku tak drogim samochodem, jak SUV Grace, a już na pewno nie spodziewałby się, że wóz wróci do domu nietknięty.

Na fasadzie hotelu zbudowanej z nierdzewnej stali i błyszczącego szkła odbijał się kontur Tijuany, tworząc tajemniczą i piękną kompozycję. Gdy Faroe załatwiał sprawy w recepcji, Grace patrzyła na kolory miasta. Miała wrażenie, że falują i rozchodzą się w nieziemski sposób, ona unosi się wraz z nimi, a wszystko dookoła wiruje i pędzi.

Prysznic. Tylko tego potrzebuję. Długi, gorący prysznic. A potem może krótka drzemka.

Godziny dzielące ją od spotkania z Hectorem ciągnęły się w nieskończoność. Nie miała dokąd pójść. Nie było sposobu, żeby zapomnieć. Mogła tylko czekać, a to zaczęło ją pożerać od środka, jak drapieżne zwierzę.

Lane, dobrze się czujesz?

- Przestań myśleć o synu - powiedział Faroe.

Gwałtownie odwróciła do niego głowę.

- Skąd wiedziałeś?

- Po twoim wyglądzie. Myślenie o nim teraz nie pomoże, a tylko zaszkodzi.

- Wziął ją za ramię i poprowadził do windy.

Zacisnęła ręce. Całe ciało reagowało skurczem mięśni.

- Widzisz, co mam na myśli? - dodał Faroe. - Najpierw kroczyłaś przez życie jak ślepiec, a teraz wibrujesz jak przewód napięty do granic wytrzymałości. Marnujesz energię.

- Jak tobie udaje się odganiać złe myśli?

- Chcesz skrzywdzić Lane'a? - zapytał Faroe, wsadzając klucz do zamka.

- Nie!

- To pomyśl o czymś innym.

Na przykład o tym, jak bardzo chcę cię dotknąć? I o tym, jak bardzo ty nie chcesz mnie dotknąć? Bóg jeden wie, że nie brakowało ci okazji.

I nigdy z nich nie korzystałaś.

Ja też. A teraz żałuję. Mając do wyboru myślenie o Hectorze, Lanie i Faroem, doszła do wniosku, że Joe jest najmniejszym złem. Łatwiej czuć się wściekłym niż odrzuconym, stwierdziła.

Faroe otworzył drzwi i trącił Grace łokciem, żeby weszła do apartamentu. Zrzucił jej bagaże do jednej sypialni, swoje do drugiej i stanął przy oknie. Długo patrzył przez nie, potem poszedł do swojego pokoju.

- Prysznic - oznajmił, nie patrząc na Grace. - Zamierzam wziąć prysznic. W towarzystwie Hectora Rivasa Osuny nie można sobie pozwolić na bycie piesią kupą.

Grace bez słowa udała się do swojej sypialni, od razu przeszła do łazienki i zaczęła się rozbierać. Kilka chwil później była sama w wykwintnie urzędowym pomieszczeniu z marmuru i chromu, z orgiastycznie dużym natryskiem dla dwóch osób.

Wmawiała sobie, że to bez znaczenia, iż Faroe nawet nie próbował jej namawiać na wspólny prysznic. Ale ciało wysyłało inne sygnały: mówiło wręcz, że jest głupia. Namydła się ozdobnym, perfumowanym francuskim mydłem tylko po to, żeby się położyć i zdrzemnąć?

W pojedynkę?

I tak to lepsze niż bezsenna noc i walka z własnymi myślami o rzeczach, których nie była w stanie zmienić.

Jasne. Myśl o Faroem.

Tym sukinsynie.

Umyła włosy francuskim szamponem z darmowego zestawu. Potem jeszcze raz. Tak jak szampon, odżywka pachniała grzechem i seksem w raj. Miała



ochotę rozsmarować ją po całym ciele, ale wtarła tylko we włosy. Liczyła na to, że balsam do ciała jest równie aromatyczny, jak pozostałe kosmetyki.

Rzeczywiście. Był chłodny, świeży, perfumowany, ale nie za mocno, no i łatwo się wchłaniał.

Zjedz swoje serce, bezuczuciowcu. Bierz prysznic sam, aż zrobi się z ciebie suszona śliwka.

Starannie wytarła ręcznikiem włosy, potrząsnęła głową i ułożyła fryzurę palcami. Po przodkach odziedziczyła gładkie, gęste włosy, którym wystarczyło dobre strzyżenie.

Faroe zapukał do drzwi łazienki.

- Kolacja gotowa.

Najwyraźniej wziął szybki prysznic, wcale nie marząc o towarzystwie, pomysłała.

- W porządku - powiedziała tylko.

- Lepiej się pośpiesz, bo wystygnie.

Przy kimś tak zimnym wszystko by wystygło.

Grace zdawała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa; nie zachęcała Faroego do niczego ani nawet nie podjęła takich prób. Najbardziej ze wszystkiego miała ochotę przyłożyć Faroemu za to, że jego namiętne spojrzenia i gorący dotyk nigdy nie prowadziły do czegoś więcej.

Pieprzyć go, zakłęta w duchu i omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Na tym polegał problem. Przecież nie mogła pieprzyć faceta, który jej nie chciał.

Mruknęła coś, nałożyła hotelowy szlafrok frotte, zapięła go aż po szyję i mocno przewiązała paskiem. Boso weszła do pokoju.

Czekała na nią kolacja przy świecach. Złociste płomienie migotały nad talerzami, na których leżały steki, sałatka, owoce, sery i puszyste bułki. Zapach jedzenia uświadomił Grace, że jest głodna nie tylko seksu.

Wysokooktanowa kobieta...

Jak zwykle, ten sukinsyn miał rację.

Joe siedział w cieniu, na fotelu i patrzył przez lornetkę. Z sięgającego do podłogi okna było widać trybuny i błotnisty tor Hipódromo Tijuana. Dalej miasto zapadało się w jasnych światłach luksusowego kompleksu handlowo-mieszkaniowego. Tę jaskrawą łunę pstrzyły skąpo oświetlone plamki: *colonias* i *barrios*, gdzie brud i ubóstwo, wściekłość i nadzieja żyły w bluźnierczym związku.

Blask świec nie był nawiązaniem do idei romantycznej kolacji. Chodziło o to, żeby nikt nie dostrzegł obserwatora.

- Widzisz coś interesującego? - zapytała.

- Jeszcze nie.

Usiadła na stole, nalała sobie trochę czerwonego wina z odkorkowanej butelki i zaczęła jeść. Stek smakował tak, jakby go usmażono nad prawdziwym ogniskiem. Wyborną sałatkę cesarską przygotowano zgodnie z przepisem: nawet jajko w dressingu było surowe. Meksykańskie wino pochodziło z rodziny warietal, której nie potrafiła rozpoznać, ale od razu jej posmakowało.

Faroe podszedł do stołu, nalał sobie kieliszek wina i usiadł naprzeciwko niej - czysty, ogolony, ubrany w nowe dżinsy i ciemnozieloną guayabere, podkreślając kolor jego oczu. Najwyraźniej też użył hotelowego zestawu kosmetycznego. Pachniał grzechem i seksem.

Jedna z tych dwóch rzeczy nie jest zła, pomyślała Grace z goryczą.

W milczeniu oboje pochłaniali jedzenie. Faroe odezwał się dopiero, kiedy przełknęli ostatnie smakowite kęsy.

- Mamy dwie godziny do spotkania z Hectorem - oświadczył. - Jeśli to, co przede mną ukrywasz, nie jest zbyt skomplikowane, powinno wystarczyć czasu.

Grace gwałtownie podniosła głowę.

- O czym ty mówisz?

- O tobie. Ukrywasz coś, co wiąże się ze sprawą. To niedobrze. Bardzo niedobrze. Nie chcę mierzyć się z Hectorem, mając partnerkę, która mnie okłamuje.

Poczuła nacisk w żołądku. Odsunęła się od stołu tak szybko, że omal nie przewróciła kieliszka z winem.

- Dokąd idziesz? - zapytał Faroe.

- Ubrać się.

Szybko wstał, zatrzymał ją i sprawił, że musiała spojrzeć mu w oczy. Cofnęła się jak oparzona.

- O co chodzi? - zagadnął. - Zachowujesz się, jakbyś się mnie bała.

- Bzdura. To przecież ja cię znalazłam.

Wzruszył ramionami.

- Byłaś zdesperowana. A innego wyrzutka nie znałaś.

Zbliżył się do niej płynnym krokiem. Płomień świecy rzucał blask na twarz i oczy Joego, potęgując intensywność jego spojrzenia. Grace targały sprzeczne uczucia: chciała się cofnąć, ale też zbliżyć do Joego, żeby go posmakować.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Najpierw myślałem, że przeraża cię właśnie to, że jestem wyrzutkiem - mówił, obserwując jak pulsuje żyła na jej szyi. - Ale im dłużej ze sobą przebywamy, tym mniej w to wierzę. Taka kobieta, jak ty nie boi się byle czego.

- Ty potrafisz wywoływać strach.

- Guzik prawda, *amada*. Nie w twoim przypadku. Wystarczy twój jeden uśmiech lub łaza, żeby mnie sobie okręcić wokół palca.

Wytrzeszczyła oczy.

- Prawie mnie nabrałeś.

- Mogłem, ale nie zrobiłem tego. I nie zrobię. A ty możesz powiedzieć to samo o sobie?

Tkwiła na środku pokoju, ale odnosiła wrażenie, że stoi przyparta do ściany.

- Tak myślałem - szepnął, wpatrując się w jej gwałtownie pulsującą szyję.

- Co przede mną ukrywasz?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

Tylko pokręciła głową.

- Kiedy staniemy twarzą w twarz z Hectorem, nie będzie ani trochę miejsca na tajemnice albo gierki między nami - ostrzegł. - Nie rób nam tego. Nie rób tego Lane'owi.

## Rozdział 29

Ti Juana

Niedziela, wieczór

Cisza narastała. Grace miała wrażenie, że się dusi. Odrętwiała patrzyła, jak Faroe ją osacza, odcina drogę ucieczki. Nie była w stanie się poruszyć. Z trudem zbierała myśli.

Ale odrętwienie ustąpiło miejsca wściekłości.

Mógł ułatwić sprawę.

Nie zrobił tego.

- Źle cię oceniłam - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Jesteś błyskotliwy, bezlitosny, doświadczony w robieniu niebezpiecznych rzeczy, ale jesteś też ślepym kretyńcem i nie zdołałbyś dostrzec prawdy, nawet gdybyś ją miał pod nosem.

Faroe analizował jej słowa, próbował wydobyć ukryte znaczenie.

- Nie rozumiem.

- Coś podobnego. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie i pomyślała, jak rozkosznie byłoby po prostu przyłożyć temu głupiemu, aroganckiemu facetowi.

Faroe zablokował otwartą dłoń Grace, zanim zdążyła go uderzyć w policzek. Potem złapał ją za nadgarstek i trzymał, ale nie ścisnął zbyt mocno.

Była zszokowana. Popatrzyła na swoją rękę, jakby zupełnie obcą.

- Boże, co się ze mną dzieje?  
- Dobre rzeczy.  
- Dobrze? Próbowалаm cię uderzyć!  
- Nie wiedziałem, jak bardzo cię prowokuję. Teraz wiem. - Pocałował Grace w rękę, potem mocno ją przytulił. - Jesteś za bardzo zamknięta w sobie, *amada*. Zaraz eksplodujesz, jeśli nie zdradzisz, co cię gryzie.  
- Wszystko... mój syn jest zakładnikiem! Czy to niewystarczający powód?

- Tak myślałem. Byłem w błędzie. Powiedz mi resztę.

Usiłowała wyszarpnąć rękę z uścisku Faroego. Był zbyt szybki i silny. Próbowала wykrecić ciało, żeby się uwolnić, ale on objął ją ramieniem i unieruchomił.

Znalazł się tak blisko.

- A jeśli znowu będziesz chciała komuś przyłożyć... - uśmiechnął się lekko  
- nie myśl o tym, tylko działaj. Wtedy mowa ciała nie zdąży zdradzić twoich zamiarów.

Dzieliło ich zaledwie kilkanaście centymetrów. Czują jego oddech na mokrych włosach. Senny, delikatny pocałunek, którym musnął jej szyję, sprawił, że przebiegł ją dreszcz. W przyciemnionym świetle zauważyła, że miał spokojne, skoncentrowane spojrzenie i patrzył na nią o wiele za bardzo intensywnie.

Nie była tak dobra, jak on w tej grze.

- Dawno temu mówiłaś, że nie potrafisz przekonująco kłamać - zauważył.  
- Pamiętasz?

- Nie - skłamała.

- Powiedziałaś, że nie mogłabyś udawać w jakiejś ważnej sytuacji, a już szczególnie w łóżku.

Poczuła przypływ emocji. Zamknęła oczy, żeby się nie zdradzić.

Żeby nie zdradzić swoich kłamstw.

- Dawne czasy... - odparła, zniżając głos. - Wszystko się zmienia.

- Nie wszystko. Nie to, co tworzy twoją osobowość.

Odpiął górny guzik szlafroka, potem opuścił rękę do paska. Rozplątał węzeł jednym szarpnięciem.

Kurczowo złapała klapy szlafroka. Pragnęła Faroego aż do bólu, ale też z chęcią by go odepchnęła. W głowie miała całkowity zamęt. Drżała, rozdzielana sprzecznymi emocjami.

Faroe pociągnął brzeg szlafroka lewą ręką i powoli go rozchylił. Materiał wydawał się szorstki w zetknięciu z wierzchem dłoni. Skóra Grace była gładka, ciepła, jej sutki stwardniały jak ciemne kamyczki, czekając na dotyk.

- Rzeczywiście - powiedział. - Twoje ciało nie kłamie.
- Niech cię diabli - wycodziła.
- Mogę żyć potępiony, jeśli będę miał ciebie.

Objął jej piersi i muskał sutki. Prawa ręka zsunęła się w dół, do rozgrzanych włosków, znalazła wilgoć, zagłębiła się lekko, potem jeszcze raz. Dłoń Joego stała się bardzo gorąca.

- To jest prawda, *amada* - wyszeptał tuż przy jej wargach. - Pod tym względem nie mamy tajemnic i nigdy ich nie mieliśmy. Dlatego mnie przesła-dowałaś. Żadna inna kobieta nie dała mi tyle, ile ty przez kilka dni.

Grace nie musiała mówić, że żaden mężczyzna nie mógł się równać z Fa-roem.

- Widzisz? - mruknął, obsypując pocałunkami jej usta, podbródek, napiętą żyłę na szyi. Chwytał jej rękę i przycisnął do stwardniałego członka. - Żad-nych tajemnic. Ja pragnę ciebie, a ty mnie. Tak samo, jak szesnaście lat temu. Wystarczyło jedno spojrzenie, żebyśmy już nie chcieli patrzeć na kogokol-wiek innego.

Z półprzymkniętymi powiekami przesuwała rękę po sztywnym członku. Nawet nie próbowała ukryć pożądlivego dygotania.

- Jedyna różnica jest teraz taka - wymruczał - że mam dość rozumu, żeby nie wypuścić cię z rąk. Tym razem dopilnuję, żeby było inaczej.

Grace odwzajemniła pocałunek. Oboje zaczęli ciężko dyszeć i próbowali być jeszcze bliżej siebie. Potem oderwała usta od jego ust.

- Tego chcesz? - zapytała.
- Wiesz, że tak.
- I tylko tego?

Uśmiechnął się niemal smutno, pocałował ją w powieki, posmakował lekko słonawych łez, których nie uroniła.

- Nie. Chcę całej prawdy. Szesnaście lat temu myślałem, że mnie wysta-wiłaś. Tylko taka wersja miała sens. Dopiero po rozprawie dowiedziałem się z poufnych źródeł, że zostałem wrobiony przez ludzi z mojego obozu.

Oparła czoło o jego brodę.

- Wiem.

- Moja wina - odparł, powoli kołysząc ją w ramionach. - Oszalałem, kiedy założyli mi kajdanki. Wtedy znacznie szybciej się wkurzałem. Więzienie nauczyciło mnie panować nad emocjami.

Omam nie wybuchnęła gromkim śmiechem. Naprawdę miała nadzieję, że się tego nauczy, bo kiedy powie mu o Lanie...

Jeśli powie mu o Lanie.

Kiedy powie mu o Lanie.

Ten łagodny, nieokrzesany, seksowny sukinsyn miał rację: nie mogli zmierzyć się z Hectorem, skoro między nimi tykała bomba zegarowa.

- *Amada*, nie wiem, czego ode mnie chcesz - wyszeptał jej we włosy.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zobaczył jasność i strach, smutek i determinację.

- Chcę się z tobą kochać - odparła. - Chcę choć na krótką chwilę zapomnieć o wszystkim. A potem żadnych tajemnic. Ale musisz mi coś obiecać.

- Słucham.

- Bez względu na to, co ode mnie usłyszysz, nie odejdziesz i nie zostawisz Lane'a w rękach Hectora.

- Nie przychodzi mi na myśl żadna tajemnica, która by mnie do tego skłoniła.

Uśmiech Grace zmienił się w smutny grymas.

- A mnie przychodzi. Dajesz słowo?

- Tak.

Nie czekała, aż Faroee zmieni zdanie. Rozpięła mu dzinsy i wsunęła rękę do środka. On szybko się rozebrał.

Przez cały czas całowała go tak, jak chciała, żeby on całował ją: mocno, głęboko i namiętnie.

- Boże - wychrypiał.

Potem oszczędzał oddech na to, czego pragnęli. Założył prezerwatywę, którą wyciągnął z dzinsów. Potem uniósł nogę Grace i oplótł nią swoje biodra. Jęczała i wspinała się po nim, aż poczuła w sobie jego członek. Przywarła plecami do ściany z głośnym kłaśnięciem. Ta pozycja była dobra: wymuszała jeszcze większą bliskość.

W Grace eksplodowała rozkosz. Kolejny orgazm osiągnęła razem z Faroem, a trzeci raz szczytowała, gdy on próbował złapać oddech, a ona ścisnęła go mokrą dłońią sprawiając rozkosz i jemu, i sobie. Zadygotała po raz ostatni. Chciała coś powiedzieć, ale nie dała rady. Stała na miękkich nogach. Pewnie osunęłyby się na podłogę, gdyby nie podtrzymywał jej przy ścianie.

Zaśmiał się, czując, jak wracają mu siły, ale łóżko wciąż było zbyt daleko. Osunęli się na gruby dywan i wtedy znowu w nią wszedł.

Otworzyła oczy. Były ciemne, oszołomione namiętnością i narastającym w niej nowym pożądaniem.

I w nim.

- Joe?

- Przecież mówiłem, *amada*. W niektórych sprawach jeden raz to za mało.

# Rozdział 30

Tijuana  
Niedziela, wieczór

Grace leżała na piersi Faroego, słuchając cichego tykania staromodnego, nakręcanego budzika na stoliku przy łóżku. Gorący, parny wiatr wypychał grube zasłony. Szum niespokojnego oceanu wciskał się między uporczywe klaksony samochodów, jakby chciał znaleźć sobie miejsce w uciążliwym ścisisku.

Ona sama szukała czasu, którego nie było.

- Pamiętasz, kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy i od razu, hm, daliśmy nurka? - zapytała cicho.
- Pamiętam zapach zapałki, którą zapaliłaś papierosa po.
- To był skręt. Zmęczyło mnie bycie grzeczną dziewczynką.
- Tak, to też pamiętam. - Uśmiechnął się. - Powiniennem wtedy zlać twój goły tyłek. Może mielibyśmy większe szanse na przetrwanie jako para, gdybyśmy oboje zostali skazani.

Nie wiedziała, czy się śmiać czy płakać. Żałowała, że nie może cofnąć czasu.

- Pierwszy taniec, ostatni taniec - zanuciła cicho. - Większości ludzi nawet to nie jest dane.

Chciał zapytać, co miała na myśli, ale się powstrzymał. Nie był pewien, czy chce znać odpowiedź.

Wydobyła się z czułego uścisku. Potem usiadła i patrzyła na Faroego, zapamiętując każdy szczegół. Rozkoszowała się smakiem pocałunku i zapachem jego ciała, który z każdym oddechem coraz głębiej wnikał w jej ciało.

W skąpym świetle łuny miasta Faroe widział kragłości nagiej Grace. Wyciągnął rękę i wodził palcami po jej mostku, potem po piersi. To nie był dotyk zaborczy. Po prostu Joe czerpał przyjemność z ciepła i cielesności drogiej mu kobiety.

- Co się działo po tym, jak cię odciągnęli? - zapytała miękko.

Podparł się na łokciu i odgarnął zabłąkany kosmyk włosów, żeby nic nie zasłaniało jej oczu, spojrzenia.

Mrocznego, skrępowanego, pragnącego wyrazić słowa, które tak bardzo bała się wypowiedzieć.

- Dawne dzieje - mruknął. - Naprawdę chcesz to wszystko roztrząsać?
- Nie. Ale powinniśmy to zrobić. Nie możemy zrozumieć, jak znaleźliśmy się w tym miejscu dzisiaj, jeśli nie zrozumiemy, gdzie byliśmy szesnaście lat

temu. Jako dziewczynka miałam wysokie IQ i mocne pragnienie wydostania się z barrio, dlatego szłam przez wszystkie szkoły jak burza. Zdałam egzamin prawniczy, kiedy większość dwudziestojednolatków planuje tylko, jak tu się upić, nawalić i kogoś przelecieć.

Wielu z nich nadal głównie tym się zajmuje.

No cóż, któregoś dnia rozejrzałam się i postanowiłam być taka jak oni. Więc powiedziałam swojemu chłopakowi, że potrzebuję trochę przestrzeni. I czasu. Niedużo. Ot, tydzień. Nie chciałam dać się zrobić w małżeństwo w takim tempie, w jakim spędziłam dzieciństwo.

- Jeszcze jedna rzecz, która nas łączy - zauważył Faroe. - Nietypowe dzieciństwo. Mój ojciec był tak stary, że mógł być moim dziadkiem. Nie żeby zdrowie mu nie dopisywało. Wręcz przeciwnie. Tylko był trochę... szalony. Pewno za dużo zioła.

Faroe powiódł palcem po rozchylnych w lekkim uśmiechu wargach Grace.

- Powiedz mi coś więcej - poprosiła. - Nigdy nie mówiłeś o sobie.

- Ty też nie.

- Zdaje się, że za pierwszym razem w ogóle niewiele mówiliśmy, co? - Uśmiechnął się i pocałował rękę, która pieściła jego policzek. - Byliśmy za młodzi i zbyt namiętni, żeby wiedzieć, że rozmowa jest ważna.

- Teraz jesteśmy starsi. Porozmawiaj ze mną.

- Kiedy inne dzieciaki grały w baseballa, mój ojciec zabierał mnie na pustynię i uczył tropienia śladów, strzelania, jazdy na rowerze, rozbijania namiotu. Mówił o porze deszczowej i słońcu, kurzu i gradzie, bandytach i uciekinierach. Nauczył mnie jeszcze, żeby nie ufać nikomu, tylko samemu sobie.

- Dlaczego był samotnikiem? - zapytała.

- Za młodu brał narkotyki. Może później też. Nigdy o to nie pytałem, ale moim zdaniem nie brał. Nienawidził tego, czym stała się marihuana: z żartobliwej dziewczynki wyrosła na agresywną sukę, prowadzącą biznes wart miliardy dolarów. Sam hodował marihuanę, palił i patrzył, jak zmieniają się pory roku.

- A twoja matka?

- Zostawiła go krótko po tym, jak się urodziłem. Zdaje się, że zostawiła i mnie. Nie pamiętam. Żadna kobieta po niej nie została długo. Byliśmy tylko my dwaj.

- Założyłeś więc, że wystawię cię do wiatru - podsumowała Grace. - Nic dziwnego. Kobiety rozczarowywały cię przez całe życie.

Faroe wzruszył ramionami.

- Nie byłem jedynym dzieckiem, które zostawiono na progu domu. Różne rzeczy się zdarzają. Człowiek jakoś to znosi, uczy się i idzie dalej.



- A kiedy powlekli cię do więzienia? - zapytała. - Co stało się potem?  
Zsunął nogi z łóżka i usiadł tak, żeby patrzeć jej w twarz.
- Spędziłem noc w areszcie. Departament Sprawiedliwości chciał zrobić ze mnie przykład, pokazać, jacy są ostrzy, jeśli chodzi o gwałcenie praw obywatelskich. Następnego dnia sędzia zwolnił mnie za kaucją, którą sam zapłaciłem. Kiedy wróciłem do mieszkania, ciebie nie było.
- Już mnie nie chciałeś. Wyraziłeś to bardzo jasno w rysztokowej hiszpańszczyźnie, której nie słyszałam, odkąd opuściłam Santa Ana.  
Były się uśmiechnął, ale wspomnienie za bardzo bolało.
- Nie chciałaś być przy mnie. Przed aresztowaniem wierzyłem w DEA tak, jak ty w prawo. Miałem całkowitą, niezachwianą wiarę. Agencja zastępowała mi rodzinę. Po aresztowaniu...
- Czułeś się zdradzony, wstrząśnięty i wściekły, podobnie jak ja, kiedy uświadomiłam sobie, że tak uwielbiane przeze mnie prawo nie jest w stanie uratować syna, którego kocham ponad wszystko.
- Tak. - Uśmiech Faroeo wyglądał jak łuk zimnego światła. - Chyba naprawdę miałem w sobie za dużo młodzieńczej wiary.
- Wiara nie jest niczym złym.  
Wzruszył ramionami.
- Do pokoju przedostał się podmuch wiatru pachnącego przeszłością i terażniejszością, oceanem i źle wyregulowanymi silnikami.
- Co zrobiłeś po aresztowaniu? - zapytała. - Zaproponowali ci układ?
- A czy nie tak zawsze robią?
- Sześć miesięcy w więzieniu to niezbyt korzystna propozycja - powiedziała. - Widziałam, jak gwałciciele i handlarze narkotyków dostawali mniejsze wyroki.
- O, amerykański prokurator oferował coś lepszego niż pół roku odsiadki.
- Więc co się stało?
- Miesiąc po aresztowaniu powiedziałem mu, żeby wepchnął sobie swój układ w tyłek. Przyznałem się do jednego zarzutu, bo była to najszybsza droga, żeby mieć cały ten syf za sobą.  
Czekała, ledwo oddychając.
- Odsiedziałem te sześć miesięcy w federalnym obozie dziennym - powiedział Faroe beznamiętnie. - Wyszedłem stamtąd i nawet nie obejrzałem się za siebie. Nie zostawiałem tam nic, co byłoby mi potrzebne. - Dotknął jej policzka. - Tak przynajmniej sobie wmawiałem. Podpisałem kontrakt z St. Kilda Consulting i zobaczyłem każdy zakątek świata, który był pogrążony w cieniu.
- Może powinieneś obejrzeć się za siebie.

Podszedł do okna. Widziała jego sylwetkę na tle nocnego nieba; jego postawa miała w sobie dawny gniew i dumę.

- A ty się obejrzałaś? - zapytał cicho.

Zapadła cisza. Potem dało się słyszeć przeciągłe, niespokojne westchnienie.

- Nie - odparła cicho. - Sprawiliś, że straciłam panowanie nad sobą, zapragnęłam rzeczy, jakich grzeczna dziewczynka nawet nie umiałaby sobie wyobrazić.

- Ty umiałaś i wyobraziłaś sobie. Nie byłem sam wtedy w łóżku.

- Właśnie to naprawdę mnie przeraziło. Kiedy zobaczyłam, że ciągną cię skutego kajdankami, przeżyłam bolesny powrót do rzeczywistości.

- Której?

- Byłam młodą kobietą, zrobiłam oszałamiającą karierę po latach wyrzeczeń moich własnych, ale też rodziców i babki. Wszystkie te życia były poświęcone jednej rzeczy: zapewnieniu mi takich warunków, żebym mogła wyjść z rynsztoka. - Grace zacisnęła rękę, a ściekająca po jej policzku łza zostawiła lśniący szlak.

- Mów dalej.

- Musiałam pójść tą drogą. Miałam zmarnować wyrzeczenia trzech pokoleń, bo poznałam wyrzutka, który dał mi najlepszy seks, jakiego w życiu zaznałam?

- Właśnie to mnie dziwiło - przyznał.

- Co?

- Nie powinnaś wylądować w moim łóżku, ale w nim byłaś. Jeśli pracowałeś dla opozycji, miało to sens.

- Chyba tylko w twojej głowie - odcięła się. - Dla mnie to było całkiem bez sensu. Kiedy cię ciągnęli, spojrzełeś wprost w obiektyw telewizyjnej kamery z taką wściekłością, że kamerzysta omal się nie przewrócił, uciekając. Choć miałeś ręce skute na plecach, diabelnie go przeraziłeś. I mnie. I związałam, nawet nie oglądając się za siebie. Tylko że...

- Tylko że...?

- Mówisz, że cię prześladowałam.

- Tak było.

- A ja często budziłam się w środku nocy, opuszczona, zapłakana. Jeśli Ted był w domu, po prostu mówiłam, że dręczą mnie koszmary z przeszłości, po tym, jak zastałam całą moją rodzinę wymordowaną. To była prawda tylko w połowie.

- Tylko w połowie - powtórzył zamyślony.

- Może mniej niż w połowie - wyszeptała. - Ale ty nienawidziłeś mnie. Tak samo, jak nie mogłam przywrócić życia rodzinie, nie mogłam mieć ciebie. Miłość to gra uników i zwodzenia, a ja nie chciałam już w nią grać. Nie byłam w stanie. Nie przetrwałabym.

Faroe złapał drugą łzę, zanim spłynęła po policzku.

- Wróciłam do Teda. Powiedziałam mu, że już nie potrzebuję więcej przetrzeni. Tydzień potem okazało się, że nie mam miesiączki.

Faroe próbował oddychać, mówić coś, ale czuł, jakby miał pięść w gardle.

- Ponieważ od pigułek wymiotowałam - ciągnęła spokojnie Grace - a Ted często zapominał o prezerwatywach, doszłam do wniosku, że istnieje znacznie większe prawdopodobieństwo, że to on jest ojcem, a nie ty. A kiedy przytuliłam Lane'a, nic już nie było ważne. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego pomarszczoną buźkę i malutkie piąstki, i zakochałam się w nim bez pamięci.

Faroe nie był w stanie wydusić z siebie choćby jednego słowa. Tylko słu-chał.

- Chyba nigdy nie widziałam, żeby odjęło ci mowę - zauważyła.

Czuł, jak serce mocno bije mu w piersi, a krew pulsuje w uszach. Znowu zaczął oddychać.

- Dokończ.

- Ty policz dni.

Obserwował ją zielonymi oczami, które wydawały się teraz ciemne, dzikie.

Grace zasłoniła piersi prześcieradłem, nagle uświadamiając sobie swoją na-gość i bezbronność.

- Odwieczny męski problem: skąd wiem, że suka mówi mi prawdę?

Chociaż nie ruszał się ani nie odzywał, żyła na jego szyi pulsowała mocno i szybko. Miał nieodgadniony, mroczny wyraz twarzy.

- Rok później chciałam znowu mieć dziecko - powiedziała Grace. - Ted nie chciał, ale seks bez prezerwatywy bardzo mu się podobał. Lane skończył pięć lat i wciąż nie miał rodzeństwa. Tak bardzo suszyłam Tedowi głowę, że poszedł do lekarza. Dowiedział się, że do płodności brakuje mu trochę plem-ników. Co za szczęście, że raz udało nam się począć dziecko. Ta informacja musiała dręczyć Teda, bo po kilku miesiącach po kryjomu pobrał próbki swo-jej śliny i Lane'a i wysłał je do laboratorium DNA.

Patrzyła na Faroego załzawionymi oczami.

- Powiedz to. - Głos Joego był ponury, całe ciało dygotało od tłumionych emocji.

- Lane, słodki, śliczny chłopiec, który nazywał Teda tatą i nie chciał się z nim rozstawać; Lane, niewinny dzieciak, który stawiał tatę na piedestale, chociaż Ted prawie go nie zauważał... - Głos jej się załamał.

Wciągnęła głęboko powietrze i zsunęła się z łóżka, owinięta prześcieradłem. Podeszła do łazienki, otworzyła drzwi i zapaliła światło. W białym blasku było widać, że jej twarz jest zalana łzami. Odwróciła się i popatrzyła na Joego - zdawało się, że ten mężczyzna rzuca cień nawet w ciemności.

- Powiedz to.
- Lane jest twoim synem.

## Rozdział 3 1

Manhattan  
Niedziela, noc

No? - zapytał Steele.

Dwayne szybko wystukał coś na klawiaturze komputera, potem dotknął palcem monitora. Dokumenty z informacjami pojawiały się szybko jak w kalejdoskopie. Przeglądał je w skupieniu i znowu dotknął monitora.

- Żadnych rozmów z numeru zarejestrowanego na Teda Franklina.

Steele jęknął.

- Najwyraźniej jest sprytniejszy, niż wskazywałyby na to jego dotychczasowe działania.

- W sumie nic trudnego.

- To nie jest odpowiednia pora dla Teda Franklina, żeby doskonalić swoje przestępcze IQ.

Dwayne pochylił się nad komputerem. Na ekranie wyskakiwały kolejne dokumenty. Otworzył kilka, przeczytał je i pokręcił głową.

- Co? - zapytał Steele.

- Dużo niczego. Ekipa obserwująca dom w La Jolla skarży się na bezgraniczną nudę. Nikt nie wchodzi do domu ani z niego nie wychodzi. Ludzie z przeciwnej strony barykady, którzy mają na oku budynek, są równie znudzeni i zdeterminowani. Trzeba oddać sprawiedliwość federalnym. Są zawzięci jak buldogi. Krążyli wokół tego miejsca też jacyś nieproszeni Meksykanie. Nie ma sensu ich śledzić, bo jeśli próbują coś wywęszyć wokół domu sędziego, to są na straconej pozycji tak samo, jak my.

- Telefon? E-mail?

- Jeden z naszych ludzi zabrał komputer sędziego i włamał się do systemu. Na razie nie znalazł niczego przydatnego, e-maile mają wyłącznie służbowy charakter. Żadnej korespondencji na papierze, tylko rachunki. Do domu nie dzwonił nikt, oprócz ludzi pytających o Teda. Nikogo z tej grupy nie sprawdzaliśmy, bo po co. Też nie znają miejsca pobytu Franklina. Krótko mówiąc: nic, zero, nul. Użyłem już określenia: totalna kłapa?

- Niech wszyscy zostaną nie posterunkach. Możliwe, że Ted pojawi się na własnych śmieciach.

Dwayne kiwnął głową i kontynuował swój wywód:

- Ekipa obserwująca dom prawnika nie dowiedziała się niczego, oprócz tego, jakie zakupy robią nedorzecznie bogaci ludzie. Grupa, która przetrzała kancelarię, zdobyła szokującą listę klientów, ale żaden z nich nie jest wyraźnie powiązany z naszym Tedem.

- Spróbuj odszukać bardziej subtelne związki.

- Potrzebuję setek ludzi, żeby namierzyć klientów i prześwietlić ich interesy.

- Wybierz pięciu najbardziej obiecujących i zajmij się nimi.

- Jak ich wybrać?

- Po to cię wynajęłam. W niektórych sprawach masz lepszą intuicję niż ja. Wybierz pięciu. I daj do telefonu Faroego. Musimy zaplanować spotkanie.

- Próbowałam. Nie odbiera telefonu.

- To spróbuj jeszcze raz.

## Rozdział 32

Tijuana

Niedziela, popołudnie

Grace wpatrywała się w Faroego z taką samą intensywnością, z jaką on dotychczas patrzył na nią. W ciągu trzech minut od momentu, kiedy wydobył prawdę o Lanie, spokojnie ubrał się, wziął komórkę, zmienił jakieś ustawienia i włożył ją z powrotem do kieszeni. Potem odwrócił się do Grace plecami i patrzył przez okno.

Nie powiedział ani słowa.

Ani jednego słowa.

Jego komórka zadzwoniła, ale nie zareagował na sygnał.

- Odezwij się - poprosiła w końcu.

- Nie chcesz usłyszeć, co myślę.

- Spróbuj.

- Jakbyś się czuła, gdybym pokazał się z nastolatkiem, przedstawił cię i powiedział: O, a propos, on jest twój. Pamiątka po trzech dniach dzikiego seksu i kiepskiej gumy?

- Kiedy patrzysz na Lane'a, widzisz kiepską gumę?

Faroe się odwrócił. Zobaczyła na jego twarzy nieokiełznaną wściekłość, taką samą jak przed szesnastu laty. Jego głos był śmiertelnie spokojny. Grace czuła, że włosy jej się na karku.

- Patrzę na Lane'a i widzę syna, którego nigdy nie miałem szansy poznać  
- wycodził Faroe. Spokojny głos boleśnie kontrastował z dzikim wzrokiem.  
- Patrzę na Lane'a i widzę syna, który nigdy nie znał swojego biologicznego ojca. Patrzę na Lane'a i widzę piętnaście straconych lat, których nigdy nie odzyskam. I on też nie odzyska. A potem patrzę na ciebie.

Grace instynktownie odsunęła się od Faroe'go.

Sunął za nią krok po kroku.

Wiedziała, że będzie wściekły. Nie miała jednak pojęcia, jak sama odczuje tę wściekłość.

- Patrzę na ciebie - ciągnął cicho - i widzę ambitną kobietę, która wykorzystywała ogiera do seksu i miliardera do wychowywania swojego bękartu.

- Nie wiedziałam, że jesteś biologicznym ojcem Lane'a!

Poczuła za sobą ścianę. Tym razem nie było to dla niej przyjemne. Nie zważała na łzy, które zalewały jej oczy, i uniosła podbródek, kiedy Faroe do niej się zbliżył.

- Nie przejmowałeś się - syknął. - Miałeś dziecko i miliardera, i błyskotliwą karierę. Po co ci jeszcze tępy dostawca spermy?

- Ten tępy dostawca spermy wyrzucił mnie ze swojego życia, pamiętasz? Nie wiedziałam, Joe. Przysięgam!

- Tępy dostawca spermy pamięta, że w końcu się o tym dowiedziałeś, i trzymałeś to w tajemnicy co najmniej dziesięć lat. O niczym mnie nie poinformowałeś.

- Zanim cię wytropiłam dziesięć lat temu, byłeś w Belize, poza zasięgiem komórki.

Faroe popatrzył na rozgorzyczone ciemne oczy i drżące wargi Grace. Do pewnego stopnia podziwiał ją za to, że odważyła się spojrzeć mu w twarz w sytuacji, w której większość mężczyzn wzięłaby nogi za pas.

Ale był tak rozsierzdony, że na nic już nie zważał.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? - zapytał cicho.

Zbyt cicho.

- Użyłam swoich wpływów, żeby cię odszukać w St. Kilda Consulting. Zdobyłam nawet numer twojej komórki, prywatny, którym dysponuje Steele.

- Mówiłem mu, że powinien częściej zmieniać numery.

- Nie zadzwoniłam do ciebie - powiedziała szorstkim głosem. - Przebywałeś na tajnej misji na wrogim terytorium, twoje życie było cały czas zagrożone.

żonę. Wyobraź sobie, co byś czuł, gdyby kobieta, której nienawidzisz, powiedziała ci, że urodziła twojego syna, który z punktu widzenia prawa jest synem nieznanego ci faceta.

Faroe nic nie powiedział.

- Znowu odjęło ci mowę? - zagadnęła.

- Nie prowokuj mnie, Grace.

- To ja jestem przyparta do muru - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

Odsunął się od Grace; mogła wreszcie odetchnąć.

- Poza tym - podjął Faroe obojętnym tonem - Ted znacznie lepiej nadawał się na ojca, prawda? Bogaty, z sukcesami zawodowymi, akceptowany społecznie, no, a przede wszystkim bez wyroku na koncie.

- Mylisz się.

- Co do której części?

- Tej najważniejszej. Ted powinien się nadawać na dobrego ojca, ale nim nie był. I to jeszcze zanim odkrył brak powiązania genetycznego między sobą i Lane'em. Nie dbał o syna. Był zbyt zajęty swoim funduszem hedgingowym, żeby znaleźć czas dla noworodka, niemowlaka, młodego chłopca...

- Żonę? - wtrącił Faroe.

- Żona była zbyt zajęta, żeby przejmować się mężem. Godzenie wymagającej pracy i wychowywania dziecka pochłonięło całą moją energię.

- Łamiesz mi serce.

- Ty nie masz serca. Gdybyś je miał, martwiłbyś się bardziej o Lane'a, niż o całą resztę.

Uśmiech Joego był równie zimny, jak spojrzenie. Faroe odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała. - Obiecałeś, że...

- Potrzebuję trochę przestrzeni - przerwał jej. - Właściwie to całego pie-przonego wszechświata.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

Żałowała, że ich nie zatrzasnął.

Zgarbiła się pod ścianą.

Przykro mi, Lane.

Wszystko co robię, idzie nie tak.

Kiedy rozluźniła palce, prześcieradło opadło na podłogę i znowu była naga.

Ale to nie Lane powinien za to wszystko płacić.

Z ponurą miną kopnęła prześcieradło na bok i poszła pod prysznic. Nie miała dużo czasu, żeby wziąć się w garść, zanim spotka się z Hectorem Rivasem Osuną, rzeźnikiem z Tijuany.

Co prawda Faroe się wycofał, ale przynajmniej dał jej kilka dobrych rad. Trzeba skłamać, wysoki sędzie. Hector myśli, że ty jesteś jego przepustką do Teda Franklina.

## Rozdział 33

Manhattan  
Poniedziałek, 12.06

Dwayne pokręcił głową.

- Nie odbiera.

- Odwieś słuchawkę i zadzwoń jeszcze raz. I tak do skutku.

Po trzech telefonach zgłosił się Faroe.

- Czego?

Jego odpowiedź przypominała raczej warknięcie niż zaproszenie do rozmowy.

Steele włączył się, zanim Dwayne zdążył zareagować.

- Gdzie jesteś?

- Za torem dla psów; współczuję chartom w kagańcach ścigającym sztuczne króliki dla uciechy tłumu.

- Czujesz się, jakbyś był chartem? - zapytał Steele.

- Od jak dawna wiesz?

- Że masz dosyć biegania w kółko?

Na drugim końcu linii Faroe obserwował pędzące dookoła psy. Milczał.

- Kiedy sędzia Silva uparła się, żeby wynająć ciebie - zaczął spokojnie Steele - zacząłem coś podejrzewać. Jesteś bardzo dobry, Joseph, ale to samo można powiedzieć o wielu moich pracownikach. St. Kilda Consulting ma wysoki poziom.

- Ale nie pisałeś ani słowem.

- Miałeś do dyspozycji więcej faktów niż ja. Skoro nic nie mówiłeś, szanowałem twoją prywatność.

- Raczej moją głupotę.

- Więc naprawdę niczego się nie domyślałeś, nawet po tym, jak spędziłeś trochę czasu z Lane'em?

Faroe obserwował psy. Biegały dookoła, ścigając coś, czego nie mogły złapać. Głupie sukinsyny.



- W Lanie widziałem Grace - powiedział. - Kształt oczu, bystrość, duża inteligencja mimo prochów, którymi go nafaszerowali.

- Spójrz na zdjęcie Teda Franklina, a potem popatrz w lustro - zaproponował Steele. - Lane ma twój kształt nosa, szczęki i uszu.

- Nie poświęcam dużo czasu na patrzywanie w lustra.

Steele westchnął i patrzył, jak linia światła wędruje przez globalny zegar, a czas umyka, wślizgując się do niedosiężnej przeszłości.

- Najbardziej wkurza mnie to - dodał Faroe - że Grace nigdy by mi tego nie powiedziała, gdyby Lane'owi nie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

- I tobie, i synowi powiedziałyby w dniu jego osiemnastych urodzin.

- Kto tak twierdzi?

- Grace. Właśnie z nią rozmawiałem.

- Nagle zrobiła się strasznie gadatliwa - rzucił zgryźliwie Faroe.

- Była bardzo spięta. To nie jest dla niej łatwe.

- Zadzwoń do kogoś, kto się przejmuje. Tyle czasu trzymała buzię na kłódkę, mogła wytrzymać jeszcze dwa dni.

- Dałeś jej wybór?

Faroe nic nie odpowiedział.

To wystarczyło.

Steele podniósł głowę, kiedy Dwayne podał mu kieliszek czystej szkockiej whisky. Pociągnął łyk, westchnął i wypił kolejny łyk. Kiedy przemówił, w jego głosie wyczuwało się trochę charakterystycznego smaku tego alkoholu.

- Podejrzewam, że Grace płakała albo właśnie przestała płakać.

- Zawsze potrafiła się rozryczeć na zawołanie. Uczą tego adwokatów.

- Najwyraźniej przegapiła tę lekcję. Wszyscy, oprócz ciebie, uważają, że jako prawniczka jest beznamiętną maszyną.

Faroe zamknął oczy. Beznamiętna to ostatnie słowo, jakiego by użył, żeby opisać Grace Silvé.

- Bardzo bym chciał cierpliwie znosić twój atak złości - ciągnął Steele - ale czas biegnie nieubłaganie.

- Myślisz, że nie wiem? - zapytał Faroe ostrym tonem.

Steele puścił jego uwagę mimo uszu.

- Im więcej osób będzie podejrzewać albo potwierdzać twoje ojcostwo w przypadku Lane'a, tym szybciej dowie się o tym Hector. Nie ucieszy się, kiedy odkryje, że przetrzymuje niewłaściwego zakładnika.

Faroe już o tym myślał.

I to dużo.

- Po pierwsze, sprawa raczej nie wypłynie przed końcem terminu - powiedział Faroe. - Po drugie, nawet gdyby, Hector się nią nie przejmie. Skoro ma

Lane'a, to ma i Grace, a powiązania Grace pomogą znaleźć Teda. Kto wie, może drań doskonale się orientuje, że poszła po wsparcie do St. Kildy.

- Tym draniem miałyby być Ted?

- Hector, ale co tam... Dookoła aż roi się od drani. Przyjeżdżaj do Tijuany i możesz przebierać.

- Dzięki, skorzystam. Które amerykańskie lotnisko jest najbliżej Tijuany?

- Brown Field, trzy kilometry na północ od Tijuana International. Ale uważaj na *mojados* przekraczających pas startowy.

- Co to *mojados*?

- Mokre plecy. Przedostają się przez wody ściekowe Rio Tia Juana. Ktoś, kto ma tyle odwagi, żeby zrobić taki numer, nie zasługuje na śmierć pod kłami samolotu.

- Powiem pilotowi, żeby zachował nadzwyczajną ostrożność. Powinniśmy tam dotrzeć przed świtem.

Steele słuchał ciszy i żałował, że nie może zobaczyć twarzy Faroeo.

- Mówisz serio, prawda? - zapytał Faroe. - Naprawdę tu przylatujesz?

- Potrzebujesz kogoś zaufanego. Cóż, mamy różne osobowości, ale zawsze mogliśmy sobie ufać.

- Przylatujesz. Tutaj.

Steele wybuchnął śmiechem.

- Mówisz, jakbyś usłyszał o ponownym przyjeździe Chrystusa.

- No, tak... Nie pamiętam, kiedy ostatnio opuszczałeś swoje orle gniazdo na Manhattanie.

Steele uśmiechnął się i łyknął szkockiej. Było dla niego trochę zabawne, że w ciągu jednej nocy Joe Faroe został dwukrotnie zbity z pantałyku. Jeśli Faroe podejrzewał, jakie są prawdziwe powody przylotu Steele'a, zapowiadało się, że zostanie zbity z pantałyku trzeci raz.

- Czyli wrócisz do zlecenia? - zapytał Steele.

- Przecież nie zrezygnowałem.

- Grace myślała, że zrezygnowałeś.

- Grace się myliła. Znowu.

- Co teraz robisz? - zapytał Steele.

- Obserwuję kolumnadę chevroletów suburban i cadillaków escalade, która przebija się przez ruch i skręca w najbardziej podejrzane centrum sportowe, jakie widziałem, odkąd zamknęli ośrodek w Mexicali.

- Znamy kogoś w tej kolumnadzie?

- O tak - odparł Faroe. - Hector Rivas i jego wesoła kompania *federales*, giniarzy stanowych i *rurales*. Facet najwyraźniej czymś się przejmuje. Jego honorowy gwardzista jest uzbrojony po zęby.

- To by wyjaśniało, dlaczego numer telefonu, który dziś podałeś do sprawdzenia, prowadzi do oddziału miejskiej policji w Ensenadzie. Podobnie jak zanotowane przez ciebie numery tablic rejestracyjnych, chociaż informacja jest z tradycyjnym zastrzeżeniem, że archiwa drugiego świata nie zawsze są wiarygodne.

- Niektórym takie archiwa wystarczają- zauważył Faroe. - Nie chciałbym być na miejscu gliniarza z Ensenady, kiedy Hector usłyszy wieści.

- Idziesz na spotkanie?

- Tak, do diabła. Więc dzwoń do pani sędzi i uspokój jej skołataną głowę. Właśnie wybieram się do Hectora.

- Sam do niej zadzwoń albo przynajmniej skoordynuj z nią działania.

- Ty to zrób, i nie ma czego koordynować. Ona jest w hotelu. Ja siedzę na trasie.

- W takim razie powinieneś szybko się z nią zobaczyć. Powiedziała, że zaraz po rozmowie ze mną rusza w drogę.

- Chwilowo nie chcę być z nią nawet w tym samym pokoju, a co dopiero w tej samej grze.

- Czy ktoś cię pytał, czego chcesz? Ona jedzie na spotkanie z telefonem.

Właściwie możliwe, że już jest na miejscu.

- Cholera.

Telefon umilkł. Steel przekazał słuchawkę Dwayne'owi.

- Brown Field, trzy kilometry na północ od Tijuany.

- Powiem pilotowi. Twój samochód już czeka. Ekipa z San Diego właśnie się zbiera.

Steele uśmiechnął się jak rekin.

- Świetnie.

## Rozdział 34

Tijuana

Niedziela, 21. 14

Faroe patrzył, jak Grace schodzi po schodach hotelu i włącza światło na skrzyżowaniu, żeby przejść na drugą stronę. Była ubrana w obcisłą spódnice, połyskującą bluzkę i szpilki.

Wszystko czerwone.

Skąd ona wytrząsnęła ten strój? Z programu *Dziwki to my?*

Faroe czekał bardzo blisko punktu, w którym Grace miała przejść przez jezdnię. Kiedy go minęła, policzył do dziesięciu i ruszył za nią.

Jezu. Czy ona zawsze tak kręci tyłkiem?

Usłyszała jego kroki. Czujnie obejrzała się za siebie. Kiedy go rozpoznała w półmroku, odwróciła się i maszerowała dalej po nierównym chodniku.

- Zwolnij - powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. - Złamiesz sobie nogę w kostce.

- Jestem spóźniona.

- To przez te buty.

Grace Strząsnęła jego rękę, podkasała spódniczkę i zdjęła but, próbując utrzymać równowagę na jednej nodze.

- Lepiej nie spaceruj po Tijuanie boso - ostrzegł Faroe. - Twoje przeciw-  
ciała nie są na to przygotowane. Co ty, u diabła, wyrabiasz?

Grace wytrząsnęła kamyczek, założyła but z powrotem i zaczęła iść.

- Zamierzam spotkać się z Hectorem.

- Sama? Tak ubrana?

- Nie odbierałeś telefonów. Seksowne ciuchy to pozostałości planu A, w którym ty miałeś być moim nowym kochaniem, a ja miałam grać laskę poszukującą mocnych wrażeń. Twoją laskę, dla ścisłości. Taki był plan, prawda?

- Nie zrealizujesz go bez faceta, do którego się przytulisz.

- Będzie tam mnóstwo mężczyzn, włącznie z Hectorem. Poproszę kogoś na ochotnika.

- Czyś ty oszalała?

- Nie. Jestem zdeterminowana. Realizuj plan albo zejdź mi z oczu.

Faroe zmierzył ją wzrokiem tak, jak zrobiłby to każdy Meksykanin.

- Makijaż tancerki lap dance z Tijuany, spódniczka z czerwonej skóry, jedwabna bluzka w czerwone kwiaty, czerwone buty... aż się prosisz o seks. Jak znalazłaś ten zestaw w niecałe piętnaście minut?

- Dzięki sprzedawczyni i pięćdziesięciodolarowemu napiwkwowi. Powiedziałam, że chcę wyglądać jak dziewczyna *narcotraficante*.

- To rozepnij górne guziki bluzki. Hector jest *muy macho*, tacy jak on lubią śmiałe dekolty.

Dała mu odpowiedź, na jaką zasługiwał:

- Pieprz się.

- Ty wykonałaś w tym względzie robotę pierwsza klasa.

- Jak już kiedyś raczyłeś zauważyć, nie byłam w tamtym łóżku sama.

Przeszli jeszcze kilka kroków.

- Wiesz, dokąd idziesz? - zagadnął Faroe.

- W przeciwieństwie do mężczyzny, jestem w stanie zapytać o drogę.
- Ale nie uważasz, żeby te instrukcje były coś warte.
- Od kiedy to trzeba mieć penisa, żeby być upartym jak osioł?

Faroe próbował się nie uśmiechać i wskazał parking.

- Tędy, mój mały osiołku.

Wydała odgłos, który przypominał zduszony śmiech albo z trudem powstrzymane przekleństwo. Inteligencja nakazywała Faroemu nie dociekać, co to było.

W milczeniu prowadził ją przez ogrodzony parking, który ciągnął się od oświetlonej bramy wjazdowej toru. Za ogrodzeniem stały zaparkowane rzędami setki samochodów. Z oddali dochodził ryk tłumu, który dopingował i przeklinał psy.

- Rozmawiałem ze Steele'em - powiedział Faroe. - Wylatuje. Myślę, że chce mieć pewność, że się nie pozabijamy, zanim odzyskamy Lane'a.

- To byłoby piękne.

- Daj spokój, Grace - odparował. - Myślałaś, że będę tym wszystkim zachwycony?

- Nie przypuszczałam, że okażesz tyle świętego oburzenia. Przez chwilę bałam się, że mnie uderzysz.

- O Chryste.

- Szkoda, że nie widziałeś swojej miny - powiedziała Grace.

- Dlaczego wszyscy nagle chcą, żebym spojrział w lustro?

Cisza.

- Uspokój się - powiedział po minucie. - Na razie jesteśmy po tej samej stronie. Kiedy Lane odzyska wolność, dawne układy przestają obowiązywać.

Przystanąła gwałtownie i odwróciła się do niego. W skąpym świetle dochodzącym z obskurnego parkingu jej twarz wyglądała tajemniczo.

- To brzmi jak groźba - stwierdziła cicho.

- To jest fakt. Byłaś z Lane'em przez prawie piętnaście lat. Teraz moja kolej. Mam do niego takie same prawa, jak ty, zwłaszcza jeśli wylądujesz w więzieniu federalnym za ewentualny współudział w intrygach swojego męża gangstera.

- Posłuchaj, Joe, i to uważnie.

- Ależ słucham.

I rzeczywiście cały zamienił się w słuch. Grace mówiła śmiertelnie poważnym tonem, jakiego jeszcze nie znał.

- Nie mam żadnych innych tajemnic, niczego więcej do ukrycia - oznajmiła dobitnie. - Nie wiem nic na temat interesów męża. I nie wiedziałam. Nie waż się nigdy więcej grozić, że odbierzesz mi syna.

Faroe popatrzył w oczy, zimne i przejrzyste jak jej głos. Poruszył ramionami, próbując rozluźnić napięcie, które narastało w nim z sekundy na sekundę, kiedy wyznała, że Lane jest jego synem.

- Cała ta sytuacja jest do bani - powiedział. - Niech to cholera, szkoda, że nie zaczekałaś z ujawnieniem tej tajemnicy jeszcze kilka dni.

- Kto przyparł mnie do muru i wciąż naciskał? Musiałaś wiedzieć, co? Wielki Joe Faroe nie mógł poczekać jeszcze jedną cholerną sekundę...

- Musimy przestać walczyć - odezwał się spokojnym głosem, chociaż serce biło mu bardzo mocno. - Ze względu na Lane'a.

Grace wzięła głęboki oddech, potem wypuściła powietrze z ust.

- To przestań mi tak prymitywnie dokuczać.

- Nadal trudno mi się pogodzić z tym, że ty i Ted żyliście na różnych planetach. Jesteś zbyt inteligentna. Nie mogłaś być z facetem i nie wiedzieć, co planuje.

- Nie byliśmy ze sobą tak, jak masz na myśli, odkąd zaraził mnie kiłą dziewięć lat temu. Powiedziałam: albo ja, albo dziwki. Wybrał dziwki.

- Dlaczego wcześniej się z nim nie rozwiódłaś? - zapytał Faroe.

- Lane mówił do niego: „tato”. Mogłam znieść zdrady, jeśli Lane miał dwoje rodziców.

- Dziwię się, że nie odcięłaś Tedowi jaj.

- Po co? Nie miały dla mnie żadnej wartości.

Faroe gwizdnął cicho.

- Czy ty kiedykolwiek go kochałaś?

- Dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Wtedy to wystarczyło.

- A teraz?

- O co pytasz?

- Nie wiem - przyznał Faroe. - Wycofuję pytanie.

W milczeniu szli wzdłuż ogrodzenia parkingu.

- Czy Ted miał wrogów? - zapytał w końcu Faroe.

- Tylu, ile jest ziaren piasku na plaży. Naciągnął ludzi w interesach i w polityce.

- Zawsze myślałem, że politycy są przyjemniaczkami.

- Ted nie jest przyjemniaczką, tylko szarą eminencją. To duża różnica.

Wiążąca się z pieniędzmi.

- Chciałbym listę pierwszych dwudziestu - oznajmił Faroe.

- Nikt nie będzie z tobą rozmawiał. Ted jest potworem, jeśli chodzi o interesy, a dla niego polityka to interesy. Większość jego współpracowników i pracowników śmiertelnie się go boi.

- Ale ty się nie bałaś.

- Jeśli pytasz, czy Ted mnie bił, odpowiedź brzmi: nie. Jeśli pytasz, czy uderzył Lane'a, odpowiedź brzmi: gdyby się odważył, wsadziłabym go do więzienia i on dobrze o tym wiedział.

- Wygląda na to, że teraz podałaś Hectorowi Teda na tacy. Co zmieniło twoją decyzję?

- Patrzenie, jak bawisz się bombą.

W milczeniu podeszli do bramy, przy której stała mała budka.

Pięćdziesiąt metrów dalej Grace zapytała cicho:

- Spodobał ci się Lane?

- To dobry dzieciak, twardy, bystry. Niejeden mężczyzna na jego miejscu nie zniósłby podobnej sytuacji tak dobrze, jak on.

- Tak, dla ciebie to oczywiście najważniejsze - mruknęła.

- Co jeszcze chcesz, żebym powiedział? Spędziłem z nim tylko pół godziny.

Znowu nic do siebie nie mówili, aż byli prawie przy budce. W ostatniej chwili Faroe powiedział bardzo cicho:

- Lane bardzo kocha swoją mamę. Ona kocha go tak samo mocno. Ten widok sprawił, że poczułem się... głodny. Aż do tamtej chwili właściwie nie wiedziałem, po co opuściłem St. Kildę.

Zanim Grace zdążyła otworzyć usta, dwóch mężczyzn w czarnych wiatrówkach wyszło z cienia budki wartowniczej. Obaj mieli pistolety. Lufy broni były skierowane ku ziemi, ale i tak budziły niepokój.

Faroe odszedł na bok, dalej od Grace.

Był na celowniku.

## Rozdział 35

Tijuana  
Niedziela, 21.27

**P**racujecie dla Hectora Rivasa Osuny? - zapytał spokojnie Faroe.  
Jeden z mężczyzn włączył latarkę.

- *Si, senior. Manos do góry, por favor.*

Faroe podniósł ręce i rozłożył ramiona.

Strażnik przeszukał go szybko, obojętnie i sprawnie.

- Ci dwaj zachowują się bardzo grzecznie - zwrócił się Faroe do Grace.

- Pokaż im ręce.

Stała z wysuniętym biodrem, podczas gdy Meksykanin oświetlał latarką jej kostium.

- Zadowolony? - zapytała słodkim tonem.

Strażnik lekko poruszył węsami; nie wiadomo, czy się uśmiechał, czy robił szyderczą minę.

Na ulicy zawarczały silniki dwóch czarnych pojazdów. Strażnik oświetlił pierwszy samochód, cadillaka escalade.

- *Que paso?* - zapytał ostrym tonem Faroe. - Hector ma się z nami spotkać na wyścigach.

- Zmienił plany. *Mucho* - odparł wartownik w przygranicznej odmianie *Spanglish*. - Wsiadajcie.

Faroe zerknął na Grace.

- Nie musisz ryzykować. Wracaj do hotelu.

Bez słowa podeszła do samochodu. Miała tak obcisłą spódnice, że zastanawiała się, jakim cudem się poruszała. Otworzył tylne drzwi samochodu, położył rękę na odzianym w skórę pośladku i wepchnął ją do escalade'a.

Mocno przyciemnione szyby sprawiały, że wewnątrz niewiele było widać. Grace usiadła na środkowej ławie. Po chwili uświadomiła sobie, że ktoś siedzi na składanym siedzeniu za jej plecami. Czuła zapach: mieszankę potu, żelu do włosów i smaru broni. Kiedy odwróciła się do tyłu, światło ulicznej latarni oświetliło na moment kolbę karabinu szturmowego, który leżał na kolanach mężczyzny.

- Nie przejmuj się nim - mruknął Faroe. - Po prostu cierpi na przykurcz jąder.

- Rozpoznajesz objawy?

- U innych.

Strażnik z latarką wepchnął pistolet za pas i wsiadł na przedni fotel pasażera.

- *Andale*.

Kierowca escalade'a włączył się do ruchu z gracją pirata drogowego. Jechał tak, że inni musieli hamować z piskiem opon i trąbić ostrzegawczo. Na dodatek demonstracyjnie wysuwał ramię przez okno i zginał je raz po raz, co stanowiło meksykański odpowiednik pokazywania środkowego palca.

- W Tijuanie praca dla Hectora Rivasa oznacza, że nigdy nie trzeba mówić „przepraszam” - powiedział Faroe.

- Ciebie to bawi - mruknęła Grace.

- To jak gra w hokeja. Musisz uważać i ostro przeć do przodu, bo inaczej cię staranują.

- Lane doświadczył już tego w czasie meczów w All Saints.

- W takim razie jego pobyt w Meksyku nie jest całkowitą stratą czasu.

- Ale to kłóci się ze wszystkim, co próbowałam mu wpajać - odparła.



- Hector też się z tym kłóci. Zgadnij, kto ma większą szansę przetrwania?

Grace beznamiętnie obserwowała nocne widoki. Kierowca minął policyjny wóz tak, jakby to była atrapa. Oficerowie zerknęli na boki, potem patrzyli przed siebie.

- Jak w Waszyngtonie, gdzie suburbany Secret Service i pojazdy FBI nie muszą przestrzegać kodeksu drogowego - zauważyła.

- Tutaj chłopaki nie muszą przestrzegać żadnych reguł.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, usiłując wypatrzeć jakiegokolwiek drogowskazy.

- *A dónde vamos?* - Faroe zagadnął strażnika z przodu.

- Senor Rivas.

- Teraz wiesz tyle, ile ja - poinformował Grace.

- Wątpię.

- Jeśli to typowy układ, jakich widziałem wiele, to będziemy jeździć w kółko z godzinę, aż strażnicy upewnią się, że nie jesteśmy śledzeni. Potem zadzwonią do kogoś i dowiedzą się, gdzie Hector przebywa w danym momencie. Życie w cieniu wiąże się z problemami. Masz czas myśleć tylko o tym, jak ochronić swój tyłek. Wszystko inne schodzi na drugi plan.

- Myślałam, że Hector trzyma Tijuane w garści - powiedziała.

- To prawda. Ale zawsze znajdzie się ktoś ze spluwą, kto strasznie chciałby zostać nowym Hectorem. Obaj mężczyźni wiedzą, że zmiana warty odbyłaby się w czasie, który jest potrzebny, żeby zbir z Magnum 44 przesył na wylot czaszkę Hectora.

Grace się wzdrygnęła.

- Nie próbuję wywołać w tobie obrzydzenia. - W głosie Faroe go była odrobina pretensji. - Usiłuję nauczyć cię czegoś. Tu i teraz, twoje ukochane prawa i przepisy nie są warte funta kłaków. Jesteśmy w środku wojny partyzanckiej. Liczy się tylko broń i kasa.

Nic nie odpowiedziała.

Przechylił się, delikatnie ujął jej podbródek i obrócił ją twarzą ku sobie.

- Hector żyje na tej wojnie od ćwierćwiecza - powiedział ściszym głosem. - Pozostał na szczycie, bo dopilnował, żeby nikt go nie dopadł. Jak każdy wojenny przywódca, despota, wyrzutek, od Bonnie Prince'a Charliego do Osamy bin Ladena, Hector nauczył się żyć nieprzewidywalnie. I bogato. Ma w garści ludzi po obu stronach barykady.

Faroe spojrzął na przednie siedzenie.

- *Correcto?*

- *Si, es correcto.* - Meksykanin obrócił się trochę i poczęstował Faroe go znużonym, ostrożnym uśmiechem.

- Koszmar - stwierdziła Grace.

- Lepsze to niż obrabianie poletka z fasolą pinto na komunalnej farmie - odparł Faroe. - Hector to ktoś, kim ja bym zostałam, gdybym się urodził w Ojos Azules.

- Mówisz takim tonem, jakbyś był dumny ze swoich barbarzyńskich instynktów.

- To one pozwoliły mi przeżyć, a tobie sprzeczać się, ile prawniczych wniosków może tańczyć na jednym akcie oskarżenia.

- Wnioski są lepsze niż kule.

- W świecie słońca tak. Ale my tam nie jesteśmy.

- W takim razie szkoda, że nie mamy żadnych kul - odparła sztywno.

- O tak. To samo pomyślałam.

Kierowca *escalade'a* wciąż pruł przez nocne ulice, zataczając koła w Zona Rio, mijając nocne kluby, restauracje, tanie sklepy z tapicerką i markowe butiki, slumsy i miasta bud, a także zamieszkanne przez klasę średnią *colonias*.

W duchu Grace przyznawała, że patrzy na miasto zupełnie inaczej. Tijuana nie wydawała się już tak obca, jak dawniej.

- O czym myślisz? - zapytał łagodnie Faroe.

- O Tijuanie i San Diego.

- Jak to?

Wzruszyła ramionami.

- Granica między Stanami a Meksykiem to sztuczny twór. Jest niezbędna, ale nieprawdziwa. Życie i śmierć, nadzieja i strach, narkotyki i forsa przetaczają się tam i z powrotem, bez względu na prawa, które obowiązują w jednym i drugim kraju.

- Wszystkie granice są takie.

- I tobie to się podoba - stwierdziła.

- Nie dano mi prawa głosu. Po prostu urodziłem się w hobbesowskim świecie i wzięłem z niego tyle, ile mogłem.

- A potem szukałeś Tymczasowej Autonomicznej Zony i znalazłam cię, zanim zdążyłeś uciec - dokończyła ponuro.

Puścił podbródek Grace, pogładził kciukiem jej policzek i odparł:

- Nie miałem dokąd uciekać, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Teraz wiem. Tylko, co z tym zrobić, do diabła.

Wielki *escalade* przebijał się przez wieczorne tłumy przy Avenida Revolución, obok turystycznych barów i *farmacias* ze spuszczonymi roletami, reklamujących viagrę po obniżonych cenach. Pijani marynarze z San Diego i oszołomieni turyści z Nebraski wlekli się po zatłoczonych chodnikach, gapiąc dookoła, odpychając sprzedawców i alfonsów albo akceptując ich obecność z niepokojem, ale i przyjemnością.

Czarny escalade jechał dalej, przez zatłoczone ulice i zaułki Zona Norte. Mijał tanie hotele, który służyły jako burdele albo hurtownie dla handlarzy ludzkim towarem, przemysłników nielegalnych imigrantów.

- Dziwne - odezwała się Grace.

- Co?

- Ten rejon to slumsy, widać brud i ubóstwo, ale...

Faroe czekał.

- Jest pełen życia - powiedziała w końcu. - Ludzie śmieją się i przepychają na chodnikach, jedząc tacos z budek na rogu, pijąc piwo. Nie sprawiają wrażenia uciśnionych i wykorzystywanych.

- Wielu z nich szykuje się do wyjazdu na północ. Uśmiechają się, bo są na progu Ziemi Obiecanej.

- Zajmowałam się sprawami przemysłników imigrantów. Są traktowani jak bohaterowie przez ludzi, których wyzyskują.

- Przemysłnicy są bohaterami - zawyrokował Faroe. - Dają nadzieję w zamian za pieniądze. To dobry układ dla obu stron.

- A Hector?

- Bardzo go wychwalają w *narco-corridos*. Traktują jak boga. Kiedyś był tak samo biedny, jak wszyscy ze wzgórz, a teraz jest właścicielem plaża, czyli, w rzeczywistości, miasta.

- Plaża?

- To kawałek granicy. Każdy, kto przemyca kogokolwiek lub cokolwiek przez plażę Hectora, płaci za ten przywilej. Ponieważ teren Hectora ciągnie się od oceanu aż po pustynię, sukinsyn jest diabelnie bogaty.

- Wyrzutki płacą wyrzutom - Grace pokręciła głową.

- Nawet poza prawem zawsze istnieje jakiś porządek. *Plata o plomo*.

Gdy escalade przedzierał się przez Zona Norte, kierowca otworzył wszystkie szyby. Do środka napłynęło chłodne, wilgotne powietrze. Grace nie była odpowiednio ubrana. Zadrżała i potarła ramiona.

- Zimno mi - poskarżyła się głośno. - Proszę zasunąć szyby.

Strażnik na siedzeniu pasażera pokręcił głową.

- Nie.

Spojrzała na Faroego.

- Dlaczego?

- Każdy *pistolem* na ulicy może ostrzelać samochód - wyjaśnił, przyciągając Grace do siebie, żeby trochę ją rozgrzać. - Ale nasi chłopcy tutaj mieliby cholerne kłopoty, próbując się ostrzeliwać przez zamknięte okna.

Strażnik podniósł kciuk i palec wskazujący. Wycelował z wyimaginowanej broni przez otwarte okno. Potem odwrócił się i uśmiechnął do Faroego. Dwa

przednie zęby miał pokryte nierdzewną stalą, która odbijała światło jak metalowe części jego pistoletu.

Zadzwońiła czyjaś komórka. Kierowca wyszarpnął aparat zza paska. Słuchał przez chwilę, potem zakończył rozmowę i wymamrotał coś do kumpla.

Strażnik chrząknął, zaskoczony, potem obejrzał się przez ramię.

- Musisz być *muy importante*. Teraz jedziemy zobaczyć *el jefe*.

- Ile czasu to zajmie? - zapytał Faroe. - Ona strasznie marznie.

Odpowiedzią było milczenie.

## Rozdział 36

Tijuana

Niedziela, 22.30

Faroe przytulał Grace przez piętnaście minut, zanim escalade zjechał z pasa szybkiego ruchu i zaczął powoli pięć się po nadbrzeżnym wzgórzu. Kiedy przestało wiać, Faroe spodziewał się, że Grace odsunie się od niego.

Nie zrobiła tego.

Mówił sobie, że powinien ją puścić.

Nie zrobił tego.

Okolica była spokojna, zamożna, z widokiem na Pacyfik. Minęli dwa wozy policyjne z Tijuany, które tworzyły niezbyt skuteczną blokadę. Co prawda oficerowie nie zasalutowali, ale przynajmniej nie próbowali zatrzymywać wielkiego SUV-a. Droga wiła się serpentynami na sam szczyt wzgórza, gdzie ogromne domostwo okalał olbrzymi płot. Otworzyła się automatyczna brama. Kiedy escalade wjechał do środka, podniosły się drzwi garażu. Zamknęły się natychmiast, jak zderzak samochodu minął fotokomórkę.

Trzech goryli już czekało. Wyszadzili Faroeo i Grace z wozu i wprowadzili do domu. Wnętrze było bogato wyposażone: drogie meble, kosztowne rżnięte szkło, skórzane kanapy, wyrafinowana sztuka na ścianach i ozdobne kamienne płyty na podłodze.

A zapach kojarzył się z barakami zamieszkanymi przez brudnych żołnierzy.

(iracc zmarszczyła nos.

liiroc zapamiętywał wszystko, co widział.

Wszędzie unosił się ostry odór zwykłych papierosów i skrętów marihuany. Jacyś mężczyźni wydzielali się, pomstując na siebie nawzajem i na świat.

Kilku strażników siedziało wygodnie przed dużym ekranem telewizora, paląc papierosy i oglądając mecz piłki nożnej. Czterech innych mężczyzn, przy stole, jadło pieczonego kurczaka z tortillami i marynowanymi papryczkami.

Wszędzie była broń. Czarne karabiny szturmowe z pełnymi magazynkami stały gotowe do użytku na długim stojaku pod ścianą. Chromowane, czarne pistolety półautomatyczne w kaburach wisały na wieszaku razem ze starym, ale wciąż śmiertelnie niebezpiecznym obrzynem na pasku na ramię.

Mężczyzna kroił kurczaka maczetą dłuższą niż jego ręka.

Faroe miał wrażenie, że jest nagi.

Na widok Grace w prześwitującej jedwabnej bluzce, strasznie wysokich szpilekach i obcisłej spódnicy wszyscy zamarli. Po chwili kilku mężczyzn zaczęło rzucać uwagi po hiszpańsku.

Faroe zmierzył ich przeciągłym spojrzeniem, potem zwrócił się do Meksykanina z samochodu:

- Twoi *compadres* to świnie. Powiedz im, żeby zamknęli mordy w obecności mojej kobiety.

Strażnik wzruszył ramionami.

- Ty im powiedz.

- Jeśli to się powtórzy, to im powiem.

- Chyba nie powtórzy. Nie podoba im się ty na nich patrzeć.

- Czy ja chcę wiedzieć, co oni mówili? - zagadnęła Grace. - Nie jestem na bieżąco z rysztockową hiszpańszczyzną, jak ty.

- Podobają im się twoje buty.

- Świetnie. Wymienię się z nimi na któryś z karabinów.

Strażnik lekko poruszył wąsem. Z pewnością był to dyskretny uśmiech.

Zostali odeskortowani przez baraki do oddzielnego skrzydła budynku. Drogo zastąpiło im dwóch mężczyzn z karabinami typu Uzi.

Meksykanin z wąsikami wykrzyknął szybko jakąś komendę i podał pełne nazwisko Hectora.

Strażnicy się cofnęli.

Faroe, Grace i Wąsal przeszli długim korytarzem z amfiladą sypialni. Każdy z pokojów był przerobiony na miejsce pracy. Przez otwarte drzwi jednej z sypialni Grace zobaczyła trzy młode, dobrze ubrane kobiety przy maszynkach ustawionych na stołach.

- Wyglądają jak kasjerki w banku - szepnęła do Faroego.

- Bo są nimi. Banco de Hector. Te maszyny służą do liczenia gotówki.

Rulony posortowanych i owiniętych taśmą zielonych banknotów piętrzyły się na wysokość metra pod ścianą pokoju.

Przez chwilę Grace nie dowierzała własnym oczom. W tej luksusowej podmiejskiej sypialni było więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziała, z wyjątkiem podziemi Federalnego Banku Rezerw w Waszyngtonie.

- No, pani sędzio... Podoba się pani *moja pinche casa de dinero*? Hmm?

W korytarzu naprzeciwko nich stał Hector Rivas. W kąciку ust trzymał papierosa; jego twarz spowijały kłęby dymu. Wyglądał jak postać z powieści grozy.

Instynkt podpowiadał Faroemu, że Hector był rozwścieczony - nieprzewidywalny jak gorąca nitrogliceryna.

Rzeźnik.

Jezus, Grace, dlaczego nie wróciłaś do hotelu?

- Bardzo *grande*, nie? - zagadnął Hector.

- Byłam kiedyś w Federalnym Banku Rezerw w Waszyngtonie - odparła cicho.

Hector zmierzył ją wzrokiem, wciągnął powietrze, przez chwilę nie oddychał, uśmiechnął się demonicznie i wypuścił dym małutkimi strużkami. Jedna powieka prawie całkowicie mu opadła. Drugie oko lśniło w świetle, jakby należało do węża. Grace się nie cofnęła. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zrobił jej przejście w drzwiach.

- *Bienvenido*. - Ukłonił się zamaszyscie.

Przy okazji dobrze się przyjrzał jej ciału.

Kołysząc biodrami, Grace przeszła obok niego do dużego pokoju, wysokiego na sześć metrów, z murowanymi ścianami i potężnym kominkiem na drugim końcu. Mimo że w domu panował upał, wymyślne palniki gazowe pracowały pełną parą. Meble w tym pomieszczeniu były ciemne, zbyt duże i przesadnie ozdobione, przynajmniej jak na jej gust. Jedną ze ścian pokrywały ręcznie malowane gobeliny przedstawiające krwawe sceny z corridy. Na drugiej ścianie widniała hiszpańska sztuka odmalowująca rozmaite etapy ukrzyżowania.

W pobliżu paleniska siedział chłopak z blond włosami. Pracował nad czymś na srebrnej tacy. Mógł być akolitą albo ofiarą.

- Mamy się modlić czy śmiać? - Grace zapytała Faroego ściszym głosem.

- Modlić się.

W majestatycznym pokoju znajdował się nowy nabytek. W przeciwległym rogu stała nowoczesna stacja łączności, połyskująca szkłem, plastikiem i światłkami na panelu sterującym.

Kuzyn Hectora, Jaime, siedział za długim biurkiem, mówił cicho do telefonu i patrzył na jeden z trzech stojących przed nim monitorów komputerowych. W trakcie rozmowy przewijał strony w Internecie i odczytywał na głos dane

liczbowe. Miał w zasięgu jeszcze dwa telefony stacjonarne, przenośny odbiornik radiowy i satelitarny aparat komórkowy na widełkach.

Grace powoli weszła do pokoju. Patrzyła, jak Jaime rozłącza się i szybko stukła w klawiaturę. Przypominał raczej technokratę międzynarodowego biznesu niż przemycznika narkotyków.

Kiedy Faroe ruszył obok Hectora, żeby pójść za Grace, narkotykowy boss chwycił go za ramię i odwrócił do światła.

- Hej, panie, czy ja cię nie znam z mamra? - zapytał Hector.

- Nie, jefe. Zapamiętałbym ciebie.

Hector wykręcił głowę, żeby popatrzeć na intruza zdrowym okiem.

- Czy ty kiedyś nie próbowałeś kupić trochę *chiva* od *hombre*, który nazywał się Ramon Posada, na zapleczu Blue Fox? Tak, to na pewno ty.

Faroe uśmiechnął się lekko.

- *Jefe*, jesteś niesamowity. To było ponad siedemnaście lat temu. Ale ja tylko towarzyszyłem w interesach z Posadą. Kupcem był handlarz narkotyków ze wschodniego Los Angeles, Jorge Chula. Nie pamiętam jednak, żebym ciebie tam widział.

Hector uśmiechnął się szeroko; drogi metal - złoto, srebro i stal - zastąpił zęby, które boss stracił w bójkach.

- Patrzyłem przez otwór *pinche* w suficie, bo nie ufałem *el cabrón* Chula, *nada mas que* mogłem na niego się odlać.

- Później słyszałem, że był kapusiem dla gringo w San Diego - powiedział Faroe. -I co się w końcu z nim stało?

- Nakarmiłem jego jajami psa. - Odwrócił się i wszedł do dużego pomieszczenia.

Grace nie spojrzała na Faroego.

On nie patrzył na nią. Jorge Chula rzeczywiście był informatorem... Faroego. Przez niego Faroe chciał dotrzeć do Posady, który rozprowadzał w barach Tijuany heroinę w opakowaniach ważących uncję albo pół kilo. Faroe nie wiedział, że Hector kierował Posadą. Hector nie wiedział, że Faroe kierował Chulą.

Kiedy *eljefe* zbliżył się do kominka, jasnowłosy chłopak zerknął na niego nerwowo.

Hector potraktował go jak powietrze.

Faroe dyskretnie przypatrywał się *jefe de traficantes*. Pod pewnymi względami Hector wyglądał staroświecko, jak strażnik przed kaplicą w Ali Saints. Miał gęste, krzaczaste wąsy, które kręciły się po obu stronach, w stylu *bandido*. Nościł kolta za pasem z tyłu, tak jak to robili *pistoleros* od pięćdziesięciu lat.

Na zwisającym z grubego, złotego łańcucha medalionie wysadzonym brylantami znajdowała się podobizna Jesusa Malverde, El Narcosantón,

meksykańskiego patrona przemytników narkotyków. Co prawda Kościół katolicki wyrzekł się Malverdego, ale w całym północnym Meksyku przy drogach znajdowały się kapliczki na jego cześć i do każdej wędrowali pielgrzymi szepczący o cudach.

Hector szedł przez pokój lekko powłóczącym krokiem pijaka albo starszego się jeźdźca rodeo, kogoś z dawnymi ranami, które nigdy całkowicie się nie zagoiły. Jednak barki miał ciągle mocne, biodra wąskie, brzuch płaski. Jego głowa wydawała się za duża, jak u byka, ale to tylko przydawało mu mocy.

Faroe przyznał Grace rację. Hector miał prymitywną, zwierzęcą charyzmę. Już sama pewność siebie, jaką okazywał, przyciągała do niego ludzi jak pielgrzymów do świętego miejsca.

Hector spoglądał na Grace z ukosa, krążąc wokół niej, mrużąc oczy w dymie ze swojego papierosa. Omiatał ją wzrokiem tak, jakby oczy zastępowały mu ręce.

- Wysoki sądzie, zmieniała się pani - powiedział.

Grace uśmiechnęła się, pokazując dwa rzędy zębów.

- Niezupełnie. Właśnie takie rzeczy noszę pod czarną togą.

Hector zawył jak pijak i popatrzył na Faroe'go.

- Gringas. Czasami wydaje im się, że są sprytnie.

Faroe skinął głową i posłał Grace zachęcające spojrzenie. Znalazła idealny sposób, żeby zauroczyć tego *traficante*. Faroe nie wiedział, ile to zauroczenie potrwa, ale był gotów skorzystać z każdej podsuwanej przez los przewagi.

Hector wyjął z ust na wpół dopalonego papierosa. Rozchylił palce i niedopałek spadł na błyszczącą podłogę z marmuru, omal nie brudząc pięknego perskiego dywanu. Hector rozgniół popiół obcasem buta ze strusiej skóry. Potem sięgnął do skórzanej papierośnicy w kieszonce na piersi kowbojskiej koszuli z białego płótna. Kiedy przekonał się, że w pudełku nic już nie ma, zaklął szpetnie.

Jasnowłosy chłopiec zerwał się i podbiegł ze srebrną tacą, na której znajdowało się dziesięć papierosów z filtrem, malutka kupka tytoniu i jeszcze mniejsza białego proszku. Skręty były o dwa centymetry krótsze od zwykłych papierosów. Końce miały zawinięte jak jointy z trawką.

Faroe rozpoznał papierosy domowej roboty i wiedział, że instynkt go nie zawiodł: Hector mógł wybuchnąć w każdej chwili. Te specjalne papierosy były różnie nazywane w Meksyku, Kolumbii, Peru i wszędzie tam, gdzie je palono. W Tijuanie nosiły nazwę *cocaina a la mexicana*. Ich pomarszczone końcówki były wypełnioną sproszkowaną kokainą typu crack.

Widok tych papierosów źle wróżył.

Hector cisnął chłopcu puste pudełko, wybrał papierosa z tacy i włożył go w kącik ust. Kiedy akolita ostrożnie przełożył pozostałe papierosy do pudeł-



ka, Hector zapalił skręta złotą zapalniczką Zippo i zaciągnął się odparowaną kokainą. Przytrzymał dym w płucach. Na jego prymitywnej twarzy zagościł anielski uśmiech.

Szczęście w wersji instant.

Faroe miał nadzieję, że Grace nie jest świadoma, jak niewielkie są ich szanse na przeżycie. Hector w końcu zakochał się w białej damie. Przemysłnicy żyli szybko, w ciągłym napięciu. Kokaina dawała im poczucie niewyczerpanej energii, nieskończonej siły.

Ale biała pani była też wredną suką, z czarnymi ustami, biczami, zakrwawionymi ostrogami i nożami. Potrafiła sprawić, że najpierw mężczyzna taki jak Hector działał na wysokich obrotach przez wiele dni, potem zrzucała go ze skały.

Faroe zastanawiał się, w której fazie nieuniknionego przejścia od euforii do morderczej irracjonalności znajduje się w tej chwili przemysłnik. Potem rozmyślał nad tym, co sprowadziło Hectora w objęcia zabójczej damy. W żadnych aktach nie znalazł najmniejszej wzmianki o tym, że *narcotraficante* stał się niewolnikiem sprzedawanego przez siebie towaru.

Hector znowu zaciągnął się papierosem, wdychając resztki cracku z tytoniu. Rzucił niedopałek na podłogę i nie zwracał na niego uwagi. Jego sprawne oko się otworzyło. Uśmiechnął się pijacko. Popatrzył na piersi Grace wzrokiem chłopca, który dopiero co odkrył, że dziewczynki są inne.

- A więc masz *un amado*, jak *su esposo* - powiedział.

- Mój eksmaż ma wiele kobiet. - Grace wrzuszyła ramionami. - Już od dawna się tym nie przejmuję.

- Ach, twój mąż musi być bardzo zły. Pewno dlatego nie dba o swojego syna. Może on cię karze?

- On również od dawna się tym nie przejmuję.

Faroe szybko ocenił sytuację. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim Hector wypalał papierosy z crackiem, już niedługo nie będzie przejawiał ani trochę zdrowego rozsądku.

- Uratowaliśmy ci życie - wtrącił się do rozmowy - ponieważ chcemy wejść z tobą w układ. Jesteś zainteresowany?

Sunąca w kierunku skórzanego pudełka ręka Hectora zastygła.

- *Digame*.

- Damy ci Teda Franklina za Lane'a. Prosta wymiana. Żadnych dodatkowych umów. - Faroe mówił spokojnym głosem, ale pozostawał gotowy do ataku. To była chwila decydująca o wszystkim, a on nie miał pewności, czy pani sędzia jest w stanie skłamać.

Wpadł przekonująco.

Hector popatrzył sceptycznie na Grace.

- Możesz to zrobić?
- Dać ci Teda? - zapytała.
- *Si*.
- Na złotej tacy, ze zwitkiem studolarowych banknotów w ustach. Wypadła bardzo przekonująco.

## Rozdział 37

Tijuana  
Niedziela, 22.41

Hector zaśmiał się głośno, ochryple.

- *Aiee*, pani to potrafi chwycić chłopca za jaja.  
- Nigdy nie będziesz miał szansy się o tym przekonać - odparowała Grace. Jej twarz przypominała zimną maskę.

- Nie, nie, wysoki sędzie, mówię to *eon respecto* - powiedział Hector.  
- *Bueno, jefe* - wtrącił spokojnie Faroe. - Teraz porozmawiaj ze mną, bo to ja odetnę Franklinowi głowę i przewiozę ją w pudle na południe. *Comprendes?*

Przez kilkanaście długich sekund Hector obserwował Faroego. Potem skinął głową.

- *Ustedes un hombre fuerte y formal*. Zawrzemy układ.  
- Dobrze. Dlaczego chcesz Franklina? - zapytał Faroe.  
Hector nawet nie ukrywał zaskoczenia.  
- A sędzia? Ona nie wie?  
- Nigdy nie brała udziału w interesach Teda. A on nie wtrącał się w jej sprawy.

Hector długo patrzył na obojga zmrużonymi oczami. Wyciągnął z kieszeni skórzane pudełko i wepchnął do ust kolejnego papierosa. Bawił się zapalniczką, żeby zyskać czas do namysłu.

- *Es verdad?* - zapytał w końcu Grace. - To prawda?  
- Próbowałam ci to już wytłumaczyć - odparła. - Interesy Teda z tobą i Carlosem to wyłącznie jego sprawa.

Hector zrobił taką minę, jakby imię Calderona zostawiło gorzki smak w jego ustach.

- On jest *un hijo de la chingada* - mruknął rozgoryczony. - To przez Carlosa i *todos los jefes politicos*. Mocni mężczyźni, tacy jak ja, biorą na siebie

wszystkie kule, a *los politicos* siedzą sobie, nie brudząc rączek i pobierają *la mordida*, kąsek, wiesz, za moją plaza.

- Rozumiem - powiedział Faroe.

Hector syknął przez zęby i spojrzął na pokój na drugim końcu korytarza, gdzie były przeliczane pieniądze.

Faroe zastanawiał się, czy to początek wybuchu.

- Ty jesteś *politico* - zwrócił się Hector do Grace. - Ile bierzesz za wynajmowanie *plaza*?

- Chodzi o łapówkę?

- *Si, si* - odparł zniecierpliwiony.

- My w Ameryce nie robimy tak interesów.

- Gówno prawda. Wszystkie rządy tak robią. Ile bierzesz od takich jak ja?

Grace zerknęła na Faroego. Co teraz?

Na szczęście Hector wciąż gadał.

- *Los politicos* w Tijuanie i Mexico City nieźle mnie doją. W tym pokoju jest ponad dwanaście milionów dolarów od gringo, o ile przemytnicy *ifacilitadores* nie naciągają mnie za bardzo. Słyszysz mnie, sędzio?

- Tak.

- To jest... *como se dice?* Pożyczka?

- Czynsz - podpowiedział Faroe w nadziei, że powstrzyma wybuch gniewu Hectora.

- Czynsz. Dwa tygodnie. - Hector coraz bardziej podnosił głos. - Tyle mnie kosztowała plaza de Tijuana. Dwa pieprzone tygodnie.

Grace wytrzeszczyła oczy. Spojrzała na Faroego.

- To by się mniej więcej zgadzało - powiedział spokojnie Faroe. - Politycy każą Hectorowi płacić sześć milionów tygodniowo, żeby mógł narażać życie, swoje i rodziny, prowadząc niebezpieczny, pełen przemocy interes.

- *Si, si. Exactamente!* Płacę *todo el mundo*. Broń, ludzie, jedzenie i kobiety, darmo nie ma nic. Jestem wielką dojną kozą! - wrzeszczał Hector. - A potem oni pieprzą mnie w dupę. *Aieel*

Grace próbowała okazywać współczucie, ale wątpiła w swoje zdolności aktorskie. Hector naciągał całą masę ludzi, a politycy naciągali Hectora.

Nie dałaby za żadną ze stron nawet psich bobków.

- A co takiego zrobił Ted Franklin? - zapytał Faroe.

- Ukradł mi *pinche* pieniądze, których nie biorą *los politicos!*

Hector wybuchnął hiszpańszczyzną, która w szczegółach nie nadawała się do tłumaczenia. Faroe relacjonował Grace tylko główne punkty wściekłego przemówienia.

- Carlos i Jaime namówili Hectora na kupno banku od Teda - powiedział cicho. - Hector nie był zainteresowany. Ma gotówkowy biznes, więc „nie potrzebuje zasranego banku”.

Hector wziął oddech, zauważył Jaimego i krzyknął:

- Jaime, Jaime, *andale pues!*

Młodzienczek określił się na krześle z wysokim oparciem. Wyglądał na wściekłego, ale trzymał język za zębami. Najwyraźniej miał już do czynienia z narkotycznymi atakami szału wuja.

Hector zmierzył Jaime'a jednym okiem.

- Opowiedz swój *grandę* plan, który robisz z tym *cabrón* Carlosem i z jego *cabrón amigo*, Franklinem. Opowiedz, jak el Banco de San Marcos wszystko załatwia.

W czasie przemowy Hector cmokał pogardliwie i charakterystycznie poruszał biodrami, żeby zademonstrować pogardę dla swojego kuzyna i jego wspaniałych pomysłów.

Faroe obserwował Grace. Zignorowała wulgarne gesty Hectora, ale jej powieki zdrząły na wzmiankę o Banco de San Marcos.

Jaime zerwał się z miejsca jak dziki kot. Spojrzał spode łba na Faroego, potem na Grace, ale kiedy zwrócił się do wuja, twarz miał zupełnie bez wyrazu.

- Ten oto Jaime, geniusz z niego - ciągnął Hector z sarkazmem. W miarę jak narastała jego wściekłość, mówił z coraz silniejszą meksykańską naleciałością. - Studia z biznesu. *Aiee, cabrón*. Potrzebuje maszyn, żeby robić biznes. Ja robię biznes w głowie.

- Czas się zmieniają, *jefe* - powiedział spokojnie Jaime. - Nie możemy rywalizować z innymi organizacjami, jeżeli nie będziemy...

- Nie - przerwał mu Hector, szaleńczo wymachując papierosem. - Zamierzasz przejąć biznes, za który ja nadstawiam karku.

- Po prostu chcę go zrationalizować - wyjaśnił Jaime. Jego wzrok sugerował, że omawiali ten temat wiele razy.

- Gówno prawda! Biznes to krew, strach i władza!

- Moim zdaniem, o naszym biznesie nie powinniśmy dyskutować w obecności nieznajomych, którzy nie życzą nam dobrze - zauważył Jaime.

Hector posłał kuzynowi wiązkę hiszpańskich przekleństw.

Faroe przetłumaczył jej najważniejszą część na użytek Grace.

- Posłuchaj, *pendejo*, możesz gadać o naszym biznesie z Carlosem Calderonem bez żadnego problemu. Za kogo się masz, żeby mi mówić, z kim mogę rozmawiać?

Jakiś mężczyzna wbiegł do pokoju z *burrito* w jednej ręce i kawałkiem papieru w drugiej. Okrzyknął wrzeszczącego Hectora i położył kartkę na biurku Jaime'a.

- Gadasz z tym *cabrón* Tedem Franklinem - tłumaczył dalej Faroe. - Ci ludzie, czyli ty i ja, Grace, nie są groźni dla ROG. Mamy to, czego chcą. Oni mają to, czego my chcemy. Więc możesz im zdradzić nasze tajemnice, tak jak już je zdradziłeś naszym wrogiom.

Jaime sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Wujku, jesteś zmęczony. Nie potrafisz ocenić...

Hector wyciągnął pistolet i strzelił cztery razy do przybysza, który był uzbrojony tylko w *burrito*. Mężczyzna zginął, jeszcze zanim osunął się na podłogę.

Grace wydała zdławiony okrzyk.

Faroe chwycił ją i odciągnął od Jaime'a. Młodzieniec miał spojrzanie człowieka, który za chwilę zginie.

Do pokoju wbiegli uzbrojeni Meksykanie.

- Wujku, przysięgam...

Hector uderzył Jaime'a na odlew w twarz. Chłopak aż się zachwiał.

Faroe znowu tłumaczył Grace słowa Hectora:

- Nie rób tego, *burro*. Nie udawaj, że rozmawiasz ze mną jak równy z równym. Jesteś bardzo bystry. Masz dobre wykształcenie, za które zapłaciłem. Kiedyś może się sprawdzisz w naszej branży, ale jeszcze nie jesteś gotowy, żeby przejąć po mnie interes. Nie waż się nigdy więcej kwestionować mojego zdania. Nigdy.

Faroe czekał.

Jak wszyscy inni w pokoju.

Hector wepchnął pistolet za pas i wskazał zwłoki na podłodze.

Faroe cicho mruczał jego słowa:

- Zabierzcie tego *cabrón* i wywalcie na śmietnik. Małe ostrzeżenie dla innych zdrajców, którzy będą chcieli mnie lekceważyć, żeby słuchać Jaime'a.

Czerwony z wściekłości Jaime czekał, co się stanie. Obserwował Hectora tak, jakby szukał najlepszego miejsca, w które można byłoby wepchnąć nóż.

Gdy strażnicy wyciągali ciało z pokoju, Hector wyjął skórzane pudełko i wsadził do ust kolejnego kokainowego papierosa.

- W porządku? - zapytał Faroe Grace ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Nie.

- Wytrzymasz jeszcze trochę?

- Tak.

Ścisnął jej ramię i zastanawiał się, czy rozumiała, jakie są etapy upojenia kokainowego. Skłonność do irytacji i nieracjonalnych zachowań to tylko wstępna faza. Zaraz potem następowała paranoja i pojawiały się urojenia.

A dalej zaczynało się robić naprawdę źle.

Hector odwrócił się do Grace i Faroeo i powiedział po angielsku:

- No, więc co sądzicie?
- Jesteś bardzo skuteczny - przyznał Faroe, nie zważając na smugi krwi na białym marmurze podłogi i ponure miny mężczyzn taszczących ciało. - Możemy ustalić szczegóły transakcji?
- *Si*, ale najpierw chodź ze mną. Pokażę ci, co znaczy być skutecznym. Zapamiętasz, że nikt nie zadziera z Hectorem Rivasem Osuną.
- Faroe nie miał wyboru, ruszył za Hectorem.
- Grace poszła za nim.
- Nie. - Hector odprawił ją machnięciem ręki. - Ty rzygasz.
- Grace spojrzała na Faroego.
- Zostań tutaj - rozkazał natychmiast.
- Dlaczego? Czy może być coś gorszego, niż bycie świadkiem morderstwa?
- Mówiła spokojnym głosem, ale widać było, jak bardzo pobladła.
- Wiele rzeczy. Zostań, *amada*. Nie potrzeba ci nowych koszmarów.
- A ty?
- Zmrużę oczy. - Potem dorzucił cicho: - Pracuj nad Jaime'em. Dowiedz się, co go kręci.

## Rozdział 38

Tijuana  
Niedziela, 22.48

Faroe poszedł za Hectorem przez drzwi prowadzące do krótkiego korytarza, zbudowanego z cegieł. Na końcu znajdowały się kręte, metalowe schody, którymi schodziło się na niższy poziom domu, również z cegły.

Hector znowu zaczął mówić po hiszpańsku. Był teraz mniej rozjuszony, ale każde kolejne zaciągnięcie się papierosem wprawiało go w coraz większe upojenie.

- Wspaniały budynek. Bardzo drogi, solidny. Należy do bogatego sędziego w Tijuanie. Facet zdecydował, że mi go użyczy na kilka miesięcy.

Rozbawiony uśmiech *trafficante* uświadomił Faroemu, że sędzia nie miał wyboru.

- Chciałby go kiedyś z powrotem, ale nie poprosi, bo to imitacja mężczyzny - oznajmił Hector ze śmiechem. - Nie to co ta twardzielka na górze. *Aiee*, silna kobieta.

Faroe miał nadzieję, że Grace nadal będzie umiała rozbawić Hectora... do pewnych granic. Zachowanie bossa w stosunku do kobiet zależało od tego, ile ;ikurat zażył narkotyków.

Na dole schodów znajdowały się grube, metalowe drzwi. Pilnował ich mężczyzna z twarzą pozbawioną wyrazu i karabinem szturmowym w rękach. Hector przeszedł obok wartownika, nawet na niego nie patrząc.

Faroe kroczył za Hectorem. Po chwili zobaczył obszerną piwnicę z winem, przerobioną na salę tortur. Piękne, drewniane stojaki były przytwierdzone do ścian grubymi hakami z kutego żelaza. Z sufitu zwisała wielka, nieosłonięta żarówka. Intensywne światło padało na bezwładne ciało mężczyzny, który zwiślał z łańcuchów rozciągniętych nad stojakami na wino. Więzień miał dość długie ciemne włosy, błyszczące od potu. Jego biała koszula była poplamiona krwią.

Faroe natychmiast rozpoznał ofiarę - ten człowiek podłożył bombę w Ensenadzie. Jeden ze strażników nosił na przegubie jego zegarek ze złota wysadzany brylantami.

Hector chwycił więźnia za mokre włosy i szarpnął jego głowę do góry.

Posiniaczona, nabrzmiąta twarz mężczyzny przypominała odrażający balon. Oczy miały ciemne obwódki. Szczęka zwiślała niezdarnie. Była złamana.

Hector wykręcił mu włosy i więzień wykrzywił się z bólu, obnażając zakrwawione, połamane zęby.

- Jesteś gotowy rozmawiać? - zapytał Hector łagodnym tonem.

Faroemu włosy stanęły dęba. Już wolał, żeby Hector wrzeszczał.

Człowiek od podkładania bomb zacharczał. Jego oczy błyszczwały pod spuchniętymi powiekami jak ślepie zwiniętego w kłębek grzechotnika. Poruszał językiem za zakrwawionymi zębami. Usiłował splunąć Hectorowi w twarz.

Miał zbyt wysuszone usta.

Hector poklepał go po sinym, umazanym krwią policzku i odezwał się czule:

- Spokojnie, spokojnie, to już prawie koniec. Powiedz nam tylko, kto cię opłacał, a wtedy przestanie boleć.

Faroe poczuł zimny dreszcz, potem przypływ gorącej adrenaliny. Zastanawiał się, jaką ma szansę zdobyć jedną sztukę broni, zanim go dorwą.

Hector wariował.

- No, jak myślisz? - zapytał Faroego. - Czy to on próbował zabić mnie i moją rodzinę?

Twarz Faroego przypominała maskę. Uważnie obserwował mężczyznę, ale w końcu pokręcił głową.

- Teraz to nawet rodzona matka by go nie rozpoznała.

Hector zaśmiał się i dał znak ludziom w cieniu.

Jeden z czekających tam mężczyzn wszedł w krąg światła. Miał wypukłą klatkę piersiową i pozbawione emocji oczy pikadora na arenie. Nie mógł być aż tak głupi, na jakiego wyglądał - miał białe, lateksowe rękawiczki, żeby się zabezpieczyć przed krwią ofiary.

Torturujący trzymał w każdej dłoni niezolowany przewód elektryczny. Popatrzył na Faroeo, potem na więźnia i zetknął dwa miedziane przewodniki. Z jego rąk wyprysnął oślepiający łuk białych iskier. Oprawca wyszczerzył zęby w uśmiechu i pomachał drutami przed twarzą więźnia. Znow je zetknął.

- Może masz na to ochotę? - zapytał grzecznie, jak kelner pokazujący tacę z deserami.

- Tomas naprawdę lubi swoją pracę - Hector poklepał mężczyznę po ramieniu. - Mój Torquemada.

Faroe spojrział torturującemu w oczy i zrozumiał, że słowa Hectora to nie czcze przechwałki. Rzeczywistość mówiła sama za siebie.

- Ten był nielojalny od dłuższego czasu - wyjaśnił Hector, pokazując więźnia. - Pracuje dla grupy hodowców marihuany w górach między Sierra de la Laguna i oceanem. Korzystają z mojej *plaża*, ale nie płacą. Chyba wywieszę jego ciało na płatnej autostradzie Ensenady, żeby jutro z samego rana wszyscy jego przyjaciele mogli go sobie obejrzeć w drodze do pracy.

Faroe czekał, zastanawiając się, czy Hector do czegoś zmierza, czy po prostu rajcuje go krew i śmierć.

- Przyprowadzić mojego Tomasa i przedstawić go twojej sędzi? - Hector się uśmiechnął. - Powiedzieć, że jej syn będzie darem dla Tomasa?

Tylko lata spędzone na tajnych misjach powstrzymały Faroeo od skoczenia Hectorowi do gardła. Tylko dyscyplina, nad którą tak ciężko pracował, pozwoliła mu mówić obojętnym głosem.

- Jak sam zauważyłeś, pani sędzia dysponuje pewną władzą - powiedział. - Jeżeli Lane'owi stanie się krzywda, nastąpi międzynarodowy kryzys. A to nie sprzyja robieniu interesów.

- Ha! Myślisz, że to uratuje chłopaka? Wiele oczu czyta dla mnie telegramy dyplomatyczne między rządem gringo i Mexico City. Mam też wiele uszu, które podsłuchują rozmowy w ambasadach, żeby wyłowić pierwsze oznaki interwencji.

Faroe zgodził się z nim spokojnie, choć w środku wszystko w nim aż wrzało.

- Tak to jest.

- Chłopak będzie żył tak długo, jak długo ja i Tomas będziemy tego chcieli. A kiedy z nim skończymy, ktoś powie władzom gringo, że zły chłopak po prostu nawiał i słuch po nim zaginał, jak po wielu pechowcach.

Faroe nie wątpił w ani jedno jego słowo.



Ani w to, że jeśli Lane'owi stanie się krzywda, on sam będzie ścigał Hectora tak długo, aż go dopadnie i załatwi.

- Jasne, ale wtedy nie dostaniesz Teda Franklina na złotej tacy ze zwitkami studolarówek w gębie.

- Tak. - Hector zgniótł wypalonego papierosa obcasem. - Dlatego jeszcze żyjesz.

## Rozdział 39

Niebo nad Stanami Zjednoczonymi Ameryki  
Poniedziałek, 1.00 czasu CST\*

Steele siedział w tej części odrzutowca Lear, która została przerobiona na podniebne biuro na użytek konsultantów St. Kildy. Wózek inwalidzki ledwo się tu mieścił, ale to nie miało znaczenia. Gdyby Steele czegokolwiek potrzebował, Dwayne zdobyłby to, jeszcze zanim szef uświadomiłby sobie taką potrzebę.

Dwayne wręczył mu telefon satelitarny.

- To Mazey z podsłuchami rozmów z telefonów stacjonarnych i komórkowych. Coś się dzieje.

- Tu Steele - powiedział spokojnie do mikrofonu, ale serce waliło mu szybko; liczył, że wyłowili coś naprawdę ważnego. - No, dawaj, Mazey.

- Mamy mnóstwo trafień, jeśli chodzi o jej dom i komórkę, wszystko od Teda Franklina, wszystko w ciągu ostatniej godziny.

- Zostawił wiadomości?

- Chce, żeby pani Silva pojechała do Lomas; tam zadzwoni do niej o północy.

- Co to Lomas?

- Sprawdzamy, sir. Na tym terenie to dość pospolita nazwa.

- Północ. - Steele patrzył na zegarek z zafrasowaną miną. - Nie zdążymy dać ci wsparcia. Zadzwoni do Faroego i zobacz, co wie Grace.

- On ma wyłączony telefon. Jej jest „poza zasięgiem”.

- Do ku... - Steele przygryzł wargi, żeby nie kończyć przekleństwa. - Gdzie Faroe?

\* CST (Central States Time) - czas środkowoamerykański w nazwach międzynarodowych stref czasowych (przyp. red.).

- Zakładając, że nadal nosi przy sobie telefon, nasz satelitarny monitor lokuje go w Tijuanie.

- To duża miejscowość. Postaraj się lepiej. Co z chłopakiem?

- Wciąż w Ali Saints. Zakładając...

- Że ma przy sobie telefon - dokończył zniecierpliwiony Steele.

- Tak, sir.

- Coś jeszcze?

- Ekipa obserwująca biuro Sturgisa widziała, jak pan prawnik wsiadał do wozu z tablicami amerykańskiej instytucji rządowej. Kierowca trząsa całą ekipą. Nie mieliśmy na miejscu dość środków, żeby dać mu profesjonalny ogon. Od tamtej pory nikt nie widział Sturgisa ani nie odebrał od niego wiadomości.

- Jasna cholera.

- John powiedział, że federalni zdjęli obserwatorów z domu w La Jolla, ale Meksykanie obsiedli to miejsce jak muchy. Zostawił wiadomość na telefonie Dwayne'a, ale...

- Telefon jest wyłączony - dokończył Steele. Ponieważ John był mężem Mazey i szefem wszystkich ekip zwiadowczych podczas tej akcji, Steele wiedział, że ma do czynienia z solidnymi ustaleniami. - Dwayne jest ze mną. Przekazuj wszystkie informacje wywiadowcze na numer, który ci poda.

Steele wręczył telefon Dwayne'owi, włączył monitor satelitarny i podzielił ekran. Jedna kropka ciągle pozostawała powyżej Ensenady. Druga ugrzęzła w Tijuanie.

Sam spróbował dodzwonić się do Faroego.

Nic.

Do Grace.

Znowu nic.

- Dowiedziałeś się czegoś o Lomas? - zapytał Dwayne'a.

- Za dużo. Nie zdążymy tego przeanalizować do północy czasu kalifornijskiego.

- Możesz zlikwidować zabezpieczenia Faroego?

- Jeśli czegoś nie pozmieniał, to tak - odparł Dwayne. Potem zrelacjonował swojemu szefowi to, co Steele już i tak wiedział. - Ale jeżeli Faroe wyłączył swój telefon, to miał cholernie poważny powód.

Steele nie sprzeczał się w tej kwestii.

- Jak rozumiesz fakt, że federalni wycofali się z obserwowania La Jolla?

- To znaczy, że wiedzą więcej od nas.

- Właśnie. Weź kogoś monitorującego wszystkie rządowe kanały komunikacyjne w obrębie stu kilometrów od granicy. Kluczowe słowa: ROG, Hector Rivas Osuna, Faroe, Grace, sędzia Silva, Ted albo Theodore Franklin, Calde-

rón, Lane Franklin, Ali Saints albo Todos Santos, Bank of San Marcos, Banco de San Marcos.

Dwayne oparł się o biurko i wstukiwał cyfry, budząc konsultantów St. Kildy, którzy specjalizowali się w monitorowaniu kodowanych kanałów federalnych.

- Myślisz, że to na coś się przyda? - zapytał Dwayne, czekając na odpowiedź kogoś w Teksasie.

- W ciągu najbliższej godziny? Wątpię. Ale tak czy owak, warto.

Steele wpatrywał się w czerwoną kropkę, która tkwiła w Tijuanie.

Niech cię cholera, Joseph, zgłoś się.

## Rozdział 40

Szkoła Ali Saints

Niedziela, 23.04

**W** ciemności Lane wpatrywał się w pobielony sufit. Czuł, jak zimny pot ścieka mu po żebrach. Pod poduszką trzymał telefon od Faroego i budzik, który, prawdopodobnie nie przyda mu się nawet w następnym stuleciu.

Był tak rozbudzony, że aż piekły go oczy.

Obiecywał sobie, że nie będzie sprawdzał czasu na budziku schowanym pod poduszką. Ale to robił.

Jeszcze dwie godziny i Faroe zadzwoni.

Jeśli zadzwoni.

Zadzwoni do mnie, modlił się w duchu. Zwiariuję tu w tej ciemności, myśląc

o...

Nie będę o tym myślał.

Nie będę.

Nie będę.

Nie będę.

Ciche zakłęcia Lane'a współgrały z rytmem fal uderzających o brzeg - *chubasco* zwiastowały silny sztorm.

Lane miał nadzieję, że ta tropikalna burza zmiecie szkołę z powierzchni ziemi.

Przez otwarte okno wlatywał dym papierosowy i jeszcze ostrzejszy, bardziej chemiczny zapach. Strażnicy byli przed domem, śmiali się i rozmawiali.

Robili zakłady o to, czy Lane przeżyje nadchodzący dzień.  
Zadzwoń do mnie. Proszę!

## Rozdział 41

Tijuana  
Niedziela, 23.06

Cisza w escaladzie była tak gęsta, że można by ją kroić i serwować na kanapkach. Mimo otwartych okien SUV cuchnął potem. Tak reagowali mężczyźni na spotkanie z Hectorem, nawet jeśli uważali się za twardzieli.

Faroe i Grace siedzieli bardzo blisko siebie. Grace czuła, że mogłaby się ogrzać ciepłem ciała Joego. Ilekroć zaczynała coś mówić, ścisnął ją w milczeniu.

Nie odzywaj się.

Samochód wreszcie zahamował przy jasno oświetlonym hotelu, w którym byli zameldowani. Faroe pomógł Grace wysiąść z wozu, potem zwrócił się do Wąsala.

Grace nie słyszała, o czym rozmawiali, bo odeszli od pozostałych strzelców. Zauważyła jednak, że jakiś przedmiot przechodzi z ręki do ręki. Gdy tylko Wąsał wsiadł z powrotem do escalade'a, kierowca wystartował, jakby gumy mu się paliły.

- O co chodziło? - zapytała Grace Faroego.
- Rekrutacja.
- Co?
- St. Kilda potrzebuje więcej łączników w Meksyku.
- Szpiegów.

Faroe wzruszył ramionami.

- Kłamstwa i zdrady nigdy nie mają końca, prawda? - zagadnęła cicho.
- Jest mnóstwo kłamstw i zrad po obu stronach.

Grace spojrzała na Faroego. Teraz już nie silił się na żadne maski. Był bardzo zmęczony, i nie chodziło tylko o zwyczajny brak snu. Wręczył boyowi hotelowi kwit na auto i czekał w milczeniu, patrząc na czubki swoich nowych butów.

- Co się stało? - zapytała cicho, podchodząc do niego. - Co Hector tak bardzo chciał ci pokazać?
- Ciało, które ma zawisnąć nad autostradą jutro z rana. Tylko że facet jeszcze żyje. To ten, który podłożył bombę w Ensenadzie.

- Musimy powiedzieć... - Głos jej się załamał. Westchnęła nerwowo. - Nie-ważne. Dawne odruchy.
- Nie martw się, *amada*. On się ucieszy ze śmierci.
- Grace zamknęła oczy, żeby nie widzieć jasnych świateł miasta.
- Zostawiasz w hotelu coś, bez czego nie możesz żyć? - zapytał Faroe.
- Nie mogę żyć tylko bez mojego syna.

## Rozdział 42

Niebo nad Stanami Zjednoczonymi Ameryki  
Poniedziałek, 1.20 czasu CST

**M**am go! - zawołał triumfująco Dwayne.  
Steele wziął telefon.

- Joseph?
- Tak.
- Pora, żebyś włączył swój cholerny telefon.
- Rozmawiałem z Hectorem Rivasem Osuną. Przerwanie tej rozmowy mogłoby się okazać śmiertelne w skutkach.
- Czy jest z tobą sędzia Silva?
- Tak.
- Powiedz jej, żeby włączyła swój cholerny telefon.
- To na nic się nie zda. Jej zasięg kończy się na granicy.
- Więc przyjedź tam szybko - rozkazał Steele. - Ted zostawił wiadomość na jej sekretarce.
- O co chodzi?
- Twoja wiara w możliwości St. Kildy jest wzruszająca.
- Posłuchaj, właśnie widzieliśmy, jak zabito człowieka, i natknąłem się na kolejne ciało, które ma być spuszczone z mostu na autostradzie, więc wybacz, że nie jestem...
- Kto zginął? - przerwał mu Steele.
- Facet, który skrytykował Hectora. Pif paf, pif paf, i już po tobie.
- Wspaniale, cholera.
- Masz rację w połowie.
- Grace to widziała?
- Tak.

- Jak ona się trzyma? - zapytał Steele.
- Lepiej, niż mamy prawo oczekiwać. Co jest w wiadomości od Teda?
- Zadzwoń do niej w Lomas o północy. Dowiedz się, co to Lomas, i skontaktuj się ze mną.

Steele rozłączył się i patrzył na czerwoną kropkę w Tijuanie, jakby samą siłą woli był w stanie szybciej ją przesunąć.

## Rozdział 43

Granica Tijuana-Kalifornia

Niedziela, 23.22

Faroe nacisnął klawisz, żeby zakończyć rozmowę i szybko odjechał w kierunku punktu granicznego w Otay Mesa.

- Co to jest Lomas? - zapytał.

Grace potarła twarz ze znużeniem; usiłowała nie zasnąć. Napięcie wywołane przebywaniem z morderczym szaleńcem opadło i teraz czuła otępienie.

- Grace?

- Właśnie pracuję nad sprawą z Lomas. Znam przynajmniej pięć ulic o tej nazwie i jeszcze kilka innych miejsc. - Ziewnęła. - Daj mi kontekst.

- Ted zostawił wiadomości na twojej domowej sekretarce i poczcie głosowej. Powiedział, że masz czekać na telefon od niego o północy w Lomas.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Lomas Santa Fe. Nasze ranczo. Ostatni raz byłam tam, żeby zabrać komputer Lane'a. Ted miał go ze sobą, kiedy urządzał jakąś ważną imprezę przy żeberkach i piwie, a potem „zapomniał” go zwrócić do La Jolla.

- Włącz telefon. Może jesteśmy dostatecznie blisko, żebyś miała zasięg. Posłuchaj uważnie wiadomości Teda. Znasz tego człowieka. Zastanów się, czego nie mówi, zwróć uwagę na jego oddech, głos.

Grace włączyła komórkę.

Nic.

- Jak daleko stąd jest ranczo? - zapytał Faroe, przyśpieszając.

Nagle łuna nad granicą w Otay znacznie się przybliżyła.

- Nawet jeśli będziesz pędził jak kierowca wyścigowy nie damy rady dojechać tam przed północą. Jazda autostradą 1-5 potrwa co najmniej czterdzieści minut.

Faroe nacisnął jakiś klawisz na komórce i podał ją Grace.

- Przekaż Steele'owi namiary na rancho.

Podczas gdy Grace mówiła do słuchawki, mercedes sunął z zawrotną szybkością przez noc, zmierzając ku mrocznemu chaosowi granicy, pociętemu snopami światła reflektorów. Grace wyłączyła komórkę i oddała Faroemu.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział. - Spróbuj użyć komórki jeszcze raz.

Zerknęła na telefon w swojej dłoni.

- Nic.

Na lotnisku Tijuana International samoloty wynurzały się z nocy i materializowały w świetle pasów startowych. Na północ od lotniska amerykańskie helikoptery patrolowe służby granicznej zataczały kręgi nad Spring Canyon. Światło ich reflektorów wrzynało się w głębokie ścieżki, przecinające podłoże kanionu.

- Lane powinien to zobaczyć - stwierdziła Grace.

- Dlaczego?

- Dodaj trochę wraków i masz początek *T2*.

- *77?* - zapytał Faroe, zatrzymując wóz w krótkiej kolejce do wjazdu.

- *Terminator 2*. Zaczyna się w świecie ogarniętym wojną, mniej więcej jak w Tijuanie. Nie mów, że nigdy nie widziałeś *Terminatora 2*.

- Ja przeżyłem coś takiego.

- Twój wybór.

- Twoja korzyść.

- Tak czy owak, wygrywasz, prawda?

Nie roześmiał się, bo to nie było zabawne.

Komórka zadzwoniła w dłoni Grace.

- Trzy nieodebrane połączenia. - Wcisnęła kolejne klawisze. - Ted.

- Wiadomości?

- Tylko jedna. - Słuchała jej z rosnącym niedowierzaniem. - Ty wredny sukinyśnu.

Nacisnęła klawisz ponownego odtwarzania i podała komórkę Faroemu.

Głos Teda brzmiał radośnie, nonszalancko.

Faroe miał ochotę udusić drania.

„Hej, Gracie, moja mała. Musimy się pilnie spotkać. To byłoby dobre dla wszystkich, zwłaszcza dla Lane'a. Ale twojej karierze też by nie zaszkodziło. Zadzwonię do ciebie w Lomas, o północy, to coś ustalimy. Ciao”.

- „Gracie, moja mała” - powtórzył Faroe, obojętnym tonem, oddając komórkę.

- W ten sposób Ted daje mi odczuć swoją wyższość - wycedziła ze złością.

Jej spojrzenie mówiło Faroemu, że gdyby on sam tak się do niej zwrócił zdrowo by mu przyłożyła.

- Czy rzeczywiście jest w tak dobrym nastroju, jakby to sugerował jego głos? - zapytał.

- Wyczułam u niego duże napięcie.

- Dobrze. Zasłużył sobie na to. Czy on kłamie?

- Wątpię - odparła. - Kiedy Ted kłamie, mówi poważnym tonem.

- Kto jest teraz w Lomas?

- O tej porze? Nikogo nie ma. Mamy dozorcę, który sprząta teren za dnia, i gosposię przychodzącą dwa razy w tygodniu.

- A więc będziesz samotnie czekała na jego telefon.

Komentarz Faroego nie był pytaniem, ale udzieliła odpowiedzi:

- Tak.

- Najbliższy sąsiad?

- Pół kilometra. Przyjeżdżają i wyjeżdżają, tak jak my to robiliśmy.

- Super - mruknął Faroe z przekąsem.

Faroe podjechał do budki i poczęstował celnika przyjaznym uśmiechem. Męczyzna wyglądał na znudzonego i śpiącego; widocznie zbliżał się koniec jego zmiany. Zerknął na monitor komputera. Wytrzeszczył oczy i nagle jego zachowanie zupełnie się zmieniło.

- Gdzie pan przebywał w Meksyku? - Pytanie zostało zadane ostrym tonem; miało onieśmielać.

- W Tijuanie i Ensenadzie, a teraz wracamy - powiedział Faroe, patrząc inspektorowi celnemu prosto w oczy.

- Proszę podjechać pod znak z napisem: POWTÓRNA KONTROLA. Proszę nie wychodzić z samochodu, ani pan, ani pana towarzyszka. Ktoś za chwilę do państwa podejdzie.

Ze zmarszczonymi brwiami uważnie obserwował Faroego, potem sięgnął po telefon, podczas gdy mercedes powoli wtoczył się na amerykańskie terytorium.

- Co teraz? - zapytała Grace z niepokojem.

- Faceci, którzy za nami jechali dziś po południu, prawdopodobnie poinformowali o nas straż graniczną. Albo mają zamiar znowu nas śledzić, albo chcą tylko wiedzieć, kiedy przekroczyliśmy granicę.

- Czy to się nigdy nie skończy?

- Nie, jeszcze przez jakiś czas.

Dopóki oddychasz.

Faroe zaparkował pod znakiem. Jak tylko wyłączył silnik, celnik wyszedł z kabiny i powłókł się po asfalcie w ich kierunku. Pobieźnie obejrzał wnętrze samochodu, potem powiedział:



- W porządku, możecie jechać.  
Faroe wcisnęła pedał gazu.
- Nawet nie zapytał o dokumenty. To znaczy, że już wiedzą, kim jesteśmy albo przynajmniej kim ty jesteś - oznajmił Faroe. - Na kogo został zarejestrowany ten samochód?
- Na firmę Teda. Muszę przepisać dokumenty na swoje nazwisko. - Wzruszyła ramionami. - Jeden z tych drobiazgow, którymi jeszcze nie miałam czasu się zająć.
- Mimo wszystko celnik przepuścił nas zbyt łatwo - stwierdził Faroe. - Żadnego wyczekiwania, przeszukiwania samochodu, sprawdzania dokumentów, obmacywania ani rewizji osobistej. Tylko krótki postój na granicy, gdzie porównał nasze twarze z tym, co się wyświetliło na jego komputerze.
- Ty to podejrzewasz wszystkich o wszystko. Może po prostu tak się stało i już?
- Musisz być podejrzliwa, jeśli chcesz przeżyć.
- Jesteśmy w Stanach!  
Spojrzała na nią z ukosa, ale nic nie powiedziała.
- Dobrze... - Była zła na niego, na siebie, na wszystko co się stało od czasu, gdy Calderon zadzwonił w sprawie Lane'a. - Co zamierzasz zrobić z telefonem od Teda? Jesteśmy spóźnieni.
- Myślę, że on nie zadzwoni.
- No to dlaczego miałoby mu zależeć, żebym była... - Urwała i z trudem przełknęła ślinę. - Nie podoba mi się to, co przyszło mi na myśl.
- To dobrze - odparł Faroe. - Twój zawsze kochający eksmałżonek ma do ciebie numer na komórkę. Może skontaktować się z tobą o północy bez względu na to, gdzie przebywasz. Myślę, że chciał się upewnić, że będziesz w Lomas zupełnie sama, o północy.
- Nie miałyby dość odwagi.
- Na co?  
Pokręciła głową. Naprawdę wolała o tym nie mówić.
- Uważasz, że on nie ma *cojones*, żeby cię zabić z zimną krwią? - zapytał Faroe.
- Wiem, że ich nie ma.
- A jeśli wynajmie kogoś do tej roboty?  
Nadbrzeżna mgła spowiła ich lepkim uściskiem, kiedy zjechali na międzystanową autostradę numer 5. Tak przynajmniej Grace tłumaczyła sobie, dlaczego poczuła przejmujący chłód.
- Faroe wzięła kurtkę z tylnego siedzenia i rzucił ją na kolana Grace.

- Włóż to - powiedział. - I nie sądzę, że on zamierza cię zamordować. Nie przyniosłoby mu to żadnej korzyści. Jeśli zmienią się okoliczności, ja też zmienię zdanie.

Grace narzuciła kurtkę na ramiona.

- Czy powinnam lepiej się poczuć w związku z tą analizą?

Zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej. Grace miała rację. W takim tempie nie dojadą na ranczo o północy. Zaczął szukać na trasie znaków informujących o zjeździe.

- Za czym się rozglądasz? - zagadnęła.

- Za miłym, anonimowym motelem. Tam cię wysadzę. St. Kilda szybko ci kogoś podeśle do towarzystwa, a ja pojedę do Lomas na małe polowanie.

- Nie - odparła Grace niskim głosem.

Faroe zerknął przez ramię, jakby nie był pewien, czy to ona przed chwilą mówiła.

- Nie, nie upchniesz mnie w jakimś miłym, bezpiecznym motelu - oznajmiła dobitnie. - Podejrzewam, że Ted nie zadzwoni, tylko zjawi się w Lomas osobiście. A wtedy chcę chwilę z nim pobyc. - Żeby rozszarpać mu twarz.

- To mogłoby być niebezpieczne - stwierdził Faroe.

- Może dla niego, ale nie dla mnie. W stoliku w sypialni w Lomas leży dziewięciomilimetrowiec. Nad kominkiem wisi świetna dubeltówka, całkiem sprawna, a wiatrówka na ptaki jest w spiżarce razem z kawiorem. - Zerknęła na Faroe'go. - W przeciwieństwie do ciebie, nie podejmuję ryzykownej gry dla samej uciechy.

Faroe odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

- Niech cię, *amada*. Hector miał rację. Ted będzie próbował cię odzyskać.

Grace nic nie powiedziała. Im dłużej rozmyślała o tym, co Ted zrobił Lane'owi, tym większy ogarniał ją gniew.

Może jednak nie udało mi się wydostać z rysztołka. Może przemoc nadal tkwi we mnie.

Boże, mam nadzieję, że tak. Muszę być, jak Faroe.

Bezlitosna.

Ze względu na Lane'a. On nic nie zawinił.

- Pamiętaj - Faroe spojrzał jej w twarz. - Teraz Ted jest dla Lane'a więcej wart, jeśli będzie żywy.

- A ranny?

- Dobrze strzelasz?

- Tak.

Faroe się uśmiechnął.

- Więc może być ranny.

# Rozdział 44

Południowa Kalifornia

Niedziela, 23.51

Grace wyciągnęła końcówkę węża ze zbiornika z gazem i zawiesiła go na pompie paliwowej.

- Gotowe - powiedziała.
- Ja też już prawie skończyłem.

Patrzyła, jak Faroe zdejmuje półprzezroczystą osłonę i poluzowuje żarówkę na tyle SUV-a. Odłożył osłonę na bok, gdzie znajdowały się pozostałe reflektory, którymi się zajmował.

- Ty prowadzisz - powiedział.
- Dzięki ci, Boże. - Westchnęła.
- No co? Przyjechaliśmy na czas.
- Niemal z prędkością światła - mruknęła, gramoląc się na fotel kierowcy.

Faroe wsunął się na tylne siedzenie i zostawił tylne drzwiczki otwarte.

- Przynajmniej mam pewność, że nikt za nami nie jechał.
- Czy to dobrze?
- Nie. Już powinni nas dopaść.
- Musiałam zapytać, co? - Grace przekreśliła kluczyk i wielki silnik zaryczał.

Skręciła w miejską ulicę i prowadziła w milczeniu. Po pięciu minutach wyjechała na dwupasmową drogę okręgową.

- Jesteś pewna, że Ted nie zainstalował żadnych zabezpieczeń od czasu, gdy byłeś tam ostatni raz? - zapytał Faroe.

- Tak. W czasie rozwodu przeprowadzono bardzo dokładną inwentaryzację majątku.

- Pamiętasz sygnały, o których rozmawialiśmy?

Pokiwała głową.

Faroe zamilkł.

Kiedy zjechała z drogi na długi, utwardzony podjazd, zerknął nad jej ramieniem. Na zegarze tablicy rozdzielczej była 12.04.

- Gdybym ja prowadził, zdążyłabyś na czas - oświadczył Faroe.

Grace rzuciła mu wymowne spojrzenie w lusterko wsteczne.

Uśmiechnął się, dotknął jej karku tuż pod krótkimi włosami i wyczuł, że na chwilę przestała oddychać. Miał ochotę wciągnąć Grace na tylne siedzenie i kochać się z nią tak, żeby zaparowały wszystkie szyby w eleganckim SUV-ie.

- Przy tamtym dużym dębie maksymalnie zwolnij - powiedział ochrypłym głosem. Kiedy usłyszysz kliknięcie zamykanego bagażnika, znowu przyspiesz. Zachowuj się tak, jakbyś była sama. Idź prosto do sypialni, zabierz stamtąd broń i dobrze ją schowaj. Najlepiej w miejscu, w którym on nie spodziewałby się znaleźć pukawki. On albo ktoś inny może cię obserwować z kryjówki na zewnątrz domu. Jeśli kogokolwiek zobaczysz, daj mi sygnał.

- A ty gdzie będziesz?

- W zaroślach. Na początku zajmę miejscówkę zdecydowanie poza zasięgiem obserwacji, jaki zazwyczaj jest stosowany.

Grace jechała z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy usłyszała cichy szelest. To Faroe wyskakiwał z samochodu. W skąpym świetle tylnych reflektorów zobaczyła, że Joe lekko się wyprostowuje w biegu i dostosowuje tempo do prędkości auta, włączając klawisz, który automatycznie opuszcza i zamyka bramę. Potem przemknął w cieniu dużego dębu i zniknął gdzieś między ciemnością i księżycową poświatą.

Faroe stał nieruchomo i patrzył, jak mercedes jedzie po żwirowym podjeździe do opustoszałego domu na ranczu. Zarośla *chaparral* układały się na nadbrzeżnych wzgórzach w gigantyczne wzory, czarne jak atrament albo szaro-zielone w świetle księżyca.

Faroe zanurzył się w noc. Miał wrażenie, że znowu jest na wojnie, gdzie dokonuje się prostych wyborów, a linie frontu są wyraźnie zaznaczone.

Szukaj i znajdź, uderzaj i paruj, wygrywaj i przegrywaj.

Żyj lub umieraj.

Pozwolę poczciwemu Tedowi samemu dokonać tego wyboru, pomyślał Faroe. Na coś chyba powinien się przydać.

Cicho, bez ruchu Faroe patrzył na migoczące światła mercedesa, kiedy Grace skręciła na podjazd. Małe rondo znajdowało się przed dużą tokańską willą w kalifornijskim wydaniu. Faroe musiał przygryzać wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok tej architektonicznej wizji domku na ranczu. Stiukowy potworek zdecydowanie górował nad stajniami.

Kiedy Grace zatrzymała wóz, natychmiast włączyły się, jakby na powitanie, światła na ganku i kilka wewnątrz domu.

Czujniki ruchu. W samą porę, pomyślał Faroe.

Patrzył, jak Grace wysiada z samochodu i przeciąga się, jak po długiej jeździe bez przerw.

Dobra. Nikogo nie widać.

Weszła do domu. Przez kilka następnych minut obserwował światła zapalające się na parterze, potem na piętrze.

W środku też nikogo nie ma.

Faroe bezszelestnie wspiał się na ogrodzenie wybiegu przy dębie i ruszył w stronę stajni odległej o sto metrów. Zatrzymał się w cieniu ogrodzenia, bezpieczny pod osłoną sięgającego do głowy oleandrowego żywopłotu.

Coś gwałtownie się poruszyło pod jego stopami.

Jezu, co...

Zorientował się, że potracił butem królika, który natychmiast czmychnął w zarośla, przerywając sobie nocną wyzerkę.

Dopiero po trzydziestu sekundach serce Faroego wróciło do normalnego rytmu.

Szybko okrążył stajnię. Wreszcie dotarł do rzędu cienkich jak ołówki cyprysów, które lśniły jak czarne płomienie na tle rozświetlonego księżycem nieba, akcentując część posiadłości od strony łądu. Już miał ukryć się za krzewami i podejść do domu od wzgórza, kiedy uświadomił sobie, że nie jest na tym terenie jedynym drapieżnikiem.

Po zboczu napłynęło chłodne, nocne powietrze. Faroe wyczuł lekki zapach dymu papierosowego. Ktoś niedawno palił w pobliżu.

Faroe zamarł. Czekał, ale nic nie słyszał.

Powoli wyrzwał zza cyprysu. Trzydzieści metrów dalej z cienia drzew wynurzyła się jakaś postać.

Ktoś obserwował dom z tego samego miejsca, które Faroe wybrał sobie na punkt obserwacyjny.

## Rozdział 45

Lomas Santa Fe  
Poniedziałek, 0.12

Faroe w bezruchu rozważał sytuację. Nie wyglądała najlepiej.

Ale to akurat go nie dziwiło.

Mężczyzna był ubrany w kombinezon kamuflujący. Na plecach miał przewieszoną długą strzelbę, jakby nie oczekiwał, że będzie jej potrzebował. Kiedy spojrział w kierunku Faroego, blask księżyca lekko oświetlił małż, która pokrywała bladą twarz.

Profesjonalny, dobrze wyposażony nocny drapieżnik.

Gdyby mężczyzna miał broń wycelowaną w dom, Faroe znalazłby sposób, żeby go załatwić. Ale intruz zachowywał się raczej jak znudzony wartownik niż płatny zabójca.

O co chodzi? Kto kogo chce wykiwać?

Faroe bardzo powoli obrócił głowę, ani na moment nie tracąc z oczu strzelca, i zaczął uważnie się przyglądać zabudowaniom na ranczu. Szczególną uwagę zwracał na miejsca, które sam wybrałby na kryjówkę.

Mężczyzna przy drzewach cicho chrząknął. Nieświadomy odruch palacza, śmiertelnie niebezpieczny w nieodpowiednich okolicznościach.

Kiepska dyscyplina operacyjna, stwierdził w myślach Faroe.

Ale to świadczyło, że facet jest naprawdę wyluzowany. Chociaż Grace już przyjechała, główny punkt programu jeszcze się nie zaczął.

W takim razie co - albo kto - jest celem?

Faroe wypatrzył jeszcze dwie kryjówki, jedną w zaroślach na skraju polany na północ od domu, drugą w okolicach wybiegu. Zaczął się przyglądać samej stajni, gdy nagle zauważył krótki zielony błysk w częściowo uchylonych drzwiach strychu na siano.

Jakiś niecierpliwy snajper właśnie zdjął nakładkę ze swojego celownika laserowego.

Zdradliwa fosforescencja oświetliła mu oko i brzeg czapki. Najwyraźniej po raz ostatni rozsunał swoje magiczne urządzenie, żeby się upewnić, że nadal jest sprawne.

Tyle sprzętu i gadżetów, i co z tego - za brak dyscypliny powinno się im porządnie skopać tyłki.

Faroe dobrze wiedział, na czym polega problem. Na tym, że robiło się te rzeczy zbyt wiele razy podczas ćwiczeń, a nigdy w rzeczywistości.

Dobrze. Więc mamy tu do czynienia z niezbyt wybitnym oddziałem specjalnym jakiegoś terenowego biura rządowego. To co robią, wykracza poza rutynowy patrol, ale nie są w stanie przyprzeć przestępców do muru.

Faroe tak łatwo rozpracował szczegóły operacji tylko dlatego, że żadnemu z funkcjonariuszy nie wydano polecenia, żeby pilnować tyłów.

Za dużo ćwiczeń.

Za mało prawdziwych akcji.

Nie tylko Faroe dostrzegł zieloną łunę. Zza linii drzew rozległ się cichy, niespokojny głos.

- Trójka, pokazujesz światło.

Nakładka natychmiast znalazła się z powrotem na celowniku laserowym.

Gdyby Faroe znajdował się w środku akcji przeprowadzanej przez St. Kildę, dowódca grupy, snajper i palacz zginęliby na miejscu. Snajper powinien cały

czas zakrywać światło, dowódca kontaktować się przez radio tylko w naprawdę ważnych sprawach, a wystawienie na wartę palacza było jak wystrzelenie racy.

Grupa obserwacyjna, która rozeszła się w ciemnościach wokół zabudowań rancza, składała się z dość przypadkowych osób, o różnym stopniu umiejętności i efektywności; większość z nich ograniczała się do wykonywania poleceń.

Ot, zwykli ludzie.

Prosta prawda, którą przeciętnym obywatelom trudno było pojąć. Podobnie jak fakt, że rząd uzbrajała firma, która w przetargu proponowała najtańszą ofertę.

Faroe położył się w ciemnościach i rozważał kolejne scenariusze. Gdyby Grace była celem, ci mężczyźni wkroczyliby do domu po jej przyjeździe - albo czekali na nią wewnątrz.

Czy to są ludzie Hectora?

Wątpliwe. Nawet najemnicy Zetas pracujący po obu stronach południowo-zachodniej granicy mówili po hiszpańsku. A jeśli wynajęli gringo, to Faroe jeszcze nic na ten temat nie słyszał.

Poza tym Zetas zrobili dość mokrej roboty, żeby sobie pozwalać na nieostrożność.

Franklin?

Możliwe, ale to nie tłumaczyło, dlaczego federalni śledzili wszystkich, a potem nagle przestali jechać za Grace.

Federalni wiedzą, że ona tu będzie.

Czy Ted wie o federalnych?

Na lokalnej dwupasmówce ktoś wyłączył przednie światła, wjechał na podjazd i dwa razy błysnął długimi.

W pobliżu Faroego mężczyzna w cieniu przemówił do handy-talkie:

- Pierwszy jedzie, będzie tu za trzydzieści sekund. Uważajcie. Nie chcemy żadnych niespodzianek.

Na strychu na siano znowu zabłysła zielona łuna celownika laserowego.

Faroe patrzył, jak snajper omiata ziemię magicznym okiem, szperając w ciemności, ogarniając wszystkie zabudowania.

A może osłaniając.

Dobra. Faroe odetchnął cicho, przeciągle. Ta uzbrojona ekipa nie jest tu po to, żeby dokonać aresztowań. Oni osłaniają akcję.

Na końcu zwirowego podjazdu pojawił się samochód. Wjechał na oświetlone rondo przed domem. Był to duży czarny SUV suburban, ale w ciemności bardzo przypominał złowrogiego escalade'a, z którego korzystali strzelcy Hectora.

To musi mieć związek z machismo, pomyślał Faroe.

Poza tym w nocy, przy wyłączonych światłach, czarne samochody po prostu stawały się niewidoczne.

Suburban podjechał pod frontowe drzwi. Kierowca zatrzymał się dopiero, gdy znalazł miejsce, z którego dało się wyjechać szybko i bez przeszkód. Najwyraźniej był przeciwiczony, jak unikać porwać.

- Pierwszy, możesz jechać - zabrzmiał głos przez radio. - Dopilnuj, żeby Franklin wyszedł ostatni.

Reflektory suburbana znowu zabłyśły. Samochód był więc na tej samej częstotliwości radiowej, na której snajper i uzbrojona grupa. A wszystko to ze względu na jedną osobę.

Theodore Franklin.

Federalni.

Niedobra kombinacja.

Faroe schował się głębiej w cieniach. Gdyby pokazał się teraz, ostatnią rzeczą, którą zobaczyłyby w życiu, byłoby zielone oko karabinu snajpera.

Kierowca suburbana wysiadł i przeszukał zaciemnione tereny rancza. Wymruczał coś i z przedniego siedzenia podniósł się kolejny mężczyzna. Obaj mieli na sobie ciemne wiatrówki z jaskrawymi napisami na przodzie i z tyłu.

Kurtki używane podczas akcji przez stróżów sprawiedliwości.

Otworzyły się boczne drzwi wozu i wysiadł trzeci, atletycznie zbudowany i trochę niezdarzy mężczyzna. Oficerowie w wiatrówkach stanęli po jego bokach i wprowadzili go przez frontowe drzwi.

To musi być Ted.

Ten sukinsyn.

Franklin sunął ciężko, jakby miał kulę u nogi.

Za nim z samochodu wyślizgnął się czwarty mężczyzna. Miał na sobie garnitur i niósł walizkę z tak błyszczącej skóry, że odbijała księżycową poświatę. Szedł krokiem człowieka, który rządzi całym światem.

Jeden z gliniarzy energicznie zapukał do drzwi. Echo niosło się przez noc. Z prawej strony Faroego dał się słyszeć przez radio głos dowódcy ekipy:

- Jest w kuchni; podchodzi do frontowych drzwi.

Dobrze, że Grace nie wie, że jest na muszce snajpera.

Przedstawiciel prawa już miał znów zapukać do drzwi, ale w tym momencie otworzyła je Grace. Światło w korytarzu obrysowywało jej postać. Najwyraźniej trzymała w tym domu trochę ubrań, bo teraz miała na sobie ciemne spodnie, ciemną bluzkę i obuwie na płaskim obcasie. Powiedziała coś, czego Faroe nie dosłyszał.



- Pani Franklin, jesteśmy tutaj w służbowej sprawie - oznajmił jakiś mężczyzna. Jego władczy głos wyraźnie niósł się w ciemności. - Najlepiej, jeśli będzie pani z nami współpracowała.

Grace cofnęła się i wpuściła mężczyzn do środka. Kiedy drugi oficer wszedł na oświetlony ganek, Faroe zobaczył litery na jego kurtce. SZERYF

Drzwi zostały zamknięte.

No, to klops. Sprawa z nieciekawej zrobiła się beznadziejna.

Funkcjonariusze z władzą szeryfa to nie byli niedzielni gliniarze. Oni chronili sale sądowe, przekazywali dokumenty, transportowali więźniów, ścigali uciekinierów. I jeszcze zarządzali specjalnym programem „ochrona świadka”.

Franklin znalazł sobie przytulną kryjówkę, obwarowaną przez biurokrację, która z odraczania uczyniła sztukę.

Ale Lane miał niewiele ponad dwanaście godzin życia.

Niczego nie można było przewidzieć.

## Rozdział 46

Lomas Santa Fe  
Poniedziałek, 0.20

Faroe odwrócił się do oficera w kombinezonie kamuflującym.  
F - Hej, ty tam, za drzewami. Wkroczyłeś na teren prywatny. Wychodź z podniesionymi rękami!

Pierwszą reakcją było milczenie.

Potem oficer powoli odwrócił głowę w kierunku Faroego. Jednocześnie opuścił prawą rękę.

Zsuwał karabin szturmowy z ramienia.

- Sięgnij po broń, a zginiesz - oznajmił spokojnie Faroe.

Mężczyzna zastygł.

- Widzisz go? - rzucił do radioodbiornika.

Odpowiedź musiała być przecząca, bo oficer powoli podniósł ręce.

- Jesteśmy agentami federalnymi na służbie - powiedział. - Proszę stanąć w takim miejscu, żebym pana widział.

- Dla mnie możecie być obcymi z trzeciej galaktyki. Weszliście na teren prywatny i jesteście uzbrojeni. Obawiam się o swoje życie i mam prawo zastrzelić cię na miejscu. Wyjdź z ukrycia, żebym cię widział.

Po kilku sekundach mężczyzna się wyprostował. Trzymając ręce na widoku, opuścił kryjówkę. W świetle księżycy Faroe zauważył odbłaskowe żółte litery na jego plecach.

Kolejny szeryf.

- Widzi pan napis na kombinezonie? - zagadnął szeryf.
- Myślisz, że jestem taki głupi? Na eBay wszystko można kupić.
- Nie zachowuje się pan rozsądnie.
- Ważne, że strzelanie wyćwiczyłem do perfekcji. Cofnij się.

Szeryf powoli zrobił krok do tyłu. Kiedy był w odległości dwóch metrów, Faroe wyszedł z cieni, pilnując, żeby szeryf stał między nim a stajnią.

- Powiedz swojemu snajperowi na strychu, żeby spuścił palec z cyngla - rozkazał Faroe.

Szeryf stał nieruchomo, ale milczał.

- No, mów!
- Wstrzymać ogień - polecił oficer. Obrócił się lekko, próbując zobaczyć, co się dzieje za jego plecami.

W półmroku Faroe dostrzegł cienką łodyżkę radiomikrofonu, wyraźnie widoczną na tle policzka mężczyzny.

- Patrz przed siebie - warknął.
- Jesteśmy oficerami federalnymi. Pakujesz się, chłopie, w wielkie gówno.
- Ty tkwisz w nim po uszy - odciął się Faroe. - Pójdziemy do domu i pozwolimy sędzi ustalić, kto co robi.
- Jesteś jej gorylem?
- Dajcie temu facetowi nagrodę. Idę za twoim cieniem, więc przypomnij chłopakom, co się przydarza snajperom, którzy źle strzelają.
- To ochroniarz sędzi - krzyknął szeryf. - Wstrzymać ogień. Wchodzimy do środka.

Faroe kroczył tuż za szeryfem; powoli przeszli po trawniku przed dom. Joe czuł mrowienie na karku, gdzie lekko jeżyły mu się włosy. Prawą rękę cały czas zginał w łokciu jak ktoś, kto trzyma broń.

Tyle że nie miał przy sobie broni i nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział, dopóki nie znajdą się w środku.

Kiedy szeryf wszedł na pierwszy schodek ganku, drzwi frontowe uchyliły się. Szeryf wewnątrz monitorował komunikację radiową. Trzymał pistolet blisko nogi, gotowy użyć go w każdej chwili.

- Spokojnie - powiedział Faroe.

Potem wyszedł na oświetlone miejsce i pokazał, że ma puste ręce.

- O cholera - wymamrotał szeryf w kombinezonie.

- Będę trzymał język za zębami, jeśli ty wyświadczysz mi podobną przysługę - powiedział Faroe. - Chciałem tylko wejść do środka i nie dać się przątnąć gorliwemu snajperowi.

- Kim pan jest? - zapytał mężczyzna w drzwiach. - To miejsce przestępstwa. Co pan tutaj robi? - Na jego wiatrówce widniało nazwisko HARKIN, napisane żółtymi literami nad logo szeryfa policji federalnej.

- Szeryfie Harkin, reprezentuję interesy przedstawiciela sądu federalnego - oświadczył dobitnie Faroe. - Nazywa się sędzia Grace Silva. Ma pan dokument uprawniający do przebywania na terenie jej posiadłości?

- Jest pan aresztowany za utrudnianie pracy oficerowi federalnemu, a to tylko początek.

Grace pojawiła się w korytarzu, za szeryfem. Nie tylko zdążyła się przebrać, ale jeszcze zmyła makijaż dziewczyny z ulicy.

- On w niczym nie przeszkadza - zwróciła się do szeryfa służbowym tonem. - Tylko wykonuje swoje obowiązki.

- Przekradając się w ciemnościach?

Jej uśmiech mógłby zmrozić ogień.

- Kiedy Ted zażądał spotkania w środku nocy, w opustoszałym domu, postanowiłam zabrać ze sobą ochronę. Wygląda na to, że Ted wpadł na podobny pomysł. - Obrzuciła szeryfów ponurym spojrzeniem. - Następnym razem, kiedy poprosicie o wykonanie rozkazu, od razu wyjaśnijcie mi, po co.

Faroe zachowywał minę pokerzysty, ale bardzo się cieszył, że to nie na nim Grace wyładowuje swoją złość i pogardę.

- Wejdz - powiedziała do Faroego. - To są prawdziwi szeryfowie federalni. Najwyraźniej Ted jest objęty programem ochrony świadka, chociaż nikt nie chce mi zdradzić, w jakiej sprawie są składane zeznania.

Faroe wszedł do domu, zanim szeryf zdążył mu w tym przeszkodzić.

- Świadek koronny, co? Kiedyś nazywaliśmy ich kapusiami. Marnują mnóstwo czasu, zanim wydobędzie się z nich coś wartościowego.

Grace zrozumiała jego aluzję i przekazała mu własną.

- Przywykłam do odrzucania nic niewartego gówna.

Faroe skinął głową. Grace nieźle sobie radziła w świetle cienia.

Poszedł za nią korytarzem do wygodnie umeblowanego pokoju dziennego. Kolejny szeryf w wiatrówce stał na środku dużego, wspaniałego orientalnego dywanu. Na jego kurtce widniał napis TALLMAN.

Za Tallmanem, jak za tarczą, krył się Ted Franklin.

Faroe zszedł na bok. Chciał zobaczyć faceta, który wychowywał Lane'a, a potem oddał go Rzeźnikowi z Tijuany.

Franklin był duży, zwalisty. Wyglądał na kogoś, kto za bardzo lubi alkohol, a za mało wysiłek fizyczny. Nosił drogi garnitur w prążki i błyszczące buty. Twarz miał opuchniętą, albo od alkoholu, albo z braku snu. Może i jedno, i drugie. Jego oczy przypominały przekrwione szparki.

- Kto to jest? - zapytał Franklin.

- Ty przyprowadziłeś na imprezę swoich przyjaciół, a ja swoich - powiedziała Grace.

- Kto to jest? - zapytał znów Franklin. Zwrócił się do Tallmana: - Każ mu się wylegitymować.

Tallman zmarszczył brwi.

- Nie jest pan moim szefem, panie Franklin. Ani nawet świadkiem koronnym. Zgodziliśmy się pojechać razem z panem tylko w ramach przysługi. Więc dopóki pan i pana prawnik nie zakończycie negocjacji w sprawie ugody, proszę mi się tu nie stawiać.

Franklin wyglądał tak, jakby go spoliczkowano. Wyprostował się i odwrócił do czwartego mężczyzny z połyskującą walizką, który właśnie schodził z piętra.

- Powiedz im, Stu - odparł Franklin.

- Tak, Stu - zawtórowała Grace zimnym tonem. - Powiedz wszystkim, o co chodzi w tej całej farsie.

Sturgis rozejrzał się dookoła, zobaczył obcą osobę i nabrał wody w usta.

Faroe popatrzył na Stuarta Sturgisa, prawnika osób nieprzyzwoicie bogatych. Mężczyzna pod pięćdziesiątkę, starannie ogolony. Długie do kołnierza, stalowosiwe włosy ostrzyżone brzytwą. Takie strzyżenie kosztowało nawet dwieście dolarów. Miał na sobie czarny, jedwabny garnitur za dwa tysiące dolarów z czarną, jedwabną koszulą i białym krawatem.

Najwyraźniej gangsterski styl znowu był w modzie.

- Znalazłeś? - zapytał Franklin.

- Nie. Kto to? - Sturgis łypnął na Farogo.

- Gdzie to jest? - warknął Franklin do Grace.

- Co? - zapytała beztrzesko.

- Komputer!

- Chodzi ci o komputer Lane'a? Ten, którego używał, zanim pojechał do Ali Saints?

- To mój komputer - odparł Franklin podniesionym tonem. - Zapłaciłem za niego. Niech cię diabli, suko, gdzie on jest?

Faroe ruszył do Franklina.

Tallman wkroczył między Franklina i Grace.

- Sędzio Silva, przyjechaliśmy tutaj pomóc pani mężowi odzyskać część jego rzeczy osobistych. Zrobimy swoje i zaraz się stąd zabierzemy.

- Z punktu widzenia prawa, komputer nie należy do Teda - oznajmiła Grace spokojnym, przeraźliwie zimnym tonem. Dał go w prezencie urodzinowym naszemu synowi. A więc nawet jeśli znajdziesz ten komputer, nie możesz go tknąć. Jeśli to wszystko, panowie, idę spać. Miałam męczący dzień.

Franklin przepchnął się obok Tallmana i stanął przy Grace.

- Gdzie jest ten pieprzony komputer? Jak Boga Kocham, skręć ci kark, jeżeli nie...

- Panie Sturgis... - przerwała chłodno Grace. - Czy może pan podać swojemu klientowi definicję pospolitego napadu? Czy ja mam to zrobić?

Szeryf chwycił Franklina za ramię i odwrócił go twarzą do siebie.

- Gdzie ma być ten komputer? Sam pójść poszukać. Jeśli go znajdę, pozwolimy prawnikom zdecydować, do kogo należy.

- W sypialni na końcu korytarza po prawej - poinstruowała Franklin. - Musi tam być.

Tallman spojrzał niepewnie na Grace.

Faroe rozumiał, co facet czuje. Dla szeryfów sędziowie federalni byli bogami. On naprawdę nie chciał wkurzyć boga.

- Mamy nakaz przejęcia komputera, pani sędzio - oznajmił Tallman, wyciągając dokument. - To dowód w toczącym się śledztwie.

Grace przeczytała pismo szybko i dokładnie. Widziała wiele takich dokumentów. Zwróciła nakaz Tallmanowi.

- Weźcie każdy komputer, jaki tylko znajdziecie na górze. Tylko się pośpieszcie. Gdybym chciała spędzać czas w pobliżu Teda, nadal byłibyśmy małżeństwem.

Tallman pokonywał dwa stopnie naraz. Jego kroki głośno dudniły w holu.

Sturgis cisnął walizkę na adamaszkową kanapę i usiadł. On też wyglądał na bardzo zmęczonego.

Grace podeszła do dużego kredensu z drzewa wiśniowego i otworzyła szklane drzwi. Wystawiła kryształową karafkę i zaczęła ściągać z półki szklanki od kompletu.

Faroe obserwował Grace. Był chyba jedyną osobą w pokoju, która wyczuwała wściekłość i pogardę, jaka w niej wzbierała pod maską opanowania.

- Ktoś chce się napić? - zapytała.

- Poproszę - odparł Sturgis. - Szkockiej.

Grace nalała złocistego płynu na dwa palce do kryształowej szklanki i podała prawnikowi.

Franklin odprowadzał szkło żarłocznym wzrokiem.

Grace spoglądała na niego, unosząc brew.

Odwrócił wzrok.

Napełniła jeszcze jedną szklankę i stanęła naprzeciwko niego. Franklin patrzył na Grace z nienawiścią. Potem wyrwał jej szklankę z ręki i wychylił zawartość jednym haustem.

Widząc uśmiech Grace, Faroe poczuł, że włoski jeżą mu się na karku. Kolejny raz uświadomił sobie, że dla tej kobiety liczy się tylko dobro jej syna.

- Biedny, pluszowy miś - powiedziała bez cienia współczucia. - Co takie-go zrobiłeś, że potrzebujesz usług najdroższego specja od procesów kryminalnych w Kalifornii?

## Rozdział 47

Lomas Santa Fe  
Poniedziałek, 0.25

**W**olałbym być nazywany najlepszym, pani sędzino. - Sturgis posłał jej wyćwiczone na salach sądowych uśmiechy.

- Odnotowuję pańską uwagę, doradco, ale nie wycofuję swojego określenia - powiedziała Grace, nie odrywając wzroku od eksmęza. - O co jesteś oskarżony?

Faroe obserwował ich zafascynowany. Obecna Grace bardzo się różniła od nieudolnej prawniczki obrony publicznej, którą poznał szesnaście lat temu.

Franklin zaczął mówić.

Sturgis nie dał mu dokończyć.

- Ustaliliśmy, że ja to załatwię, pamiętasz?

Ted wysączył ostatnie krople whisky. Nie zwracając uwagi na pogardliwe spojrzenie Grace, sztywno podszedł do szafki i nalał sobie kolejną, podwójną porcję-

- Formalnie rzecz biorąc, pani sędzino, żadne zarzuty nie zostały jeszcze postawione - wyjaśnił Sturgis. - Nasze stanowisko jest takie, że nie będzie żadnych zarzutów. Między innymi o tym rozmawiamy z władzami. Ted jest błyskotliwym człowiekiem, geniuszem. Być może zdoła zaoferować niektórym przedstawicielom władz federalnych świetny układ, mianowicie pomoc w zrozumieniu pewnych, hm, niuansów międzynarodowego rynku finansowego.

- A więc usiłujecie wynegocjować ugodę - stwierdziła Grace. - Ciekawe. Myślałam, że pana motto brzmi: Wszystko albo nic.

- Czasami słowo „wszystko” bywa trochę zniechęcające. - Prawniczy uśmiech Sturgisa zrobił się bardziej przekonujący. - Właśnie o tym dyskutowaliśmy. Zgadza się, szeryfie Harkin?

Harkin zrobił gest, który mógł znaczyć bardzo wiele.

- Proszę rozmawiać z grupą zadaniową. Albo z biurem amerykańskiego prokuratora. Ja robię tu tylko za opiekuna.

Ubrana na czarno Grace przeszła po ręcznie tkanym dywanie; przypominała panterę w klatce. Zatrzymała się blisko kredensu.

Przy Tedzie.

Gdyby Franklin był w lepszej formie, Faroe stanąłby bliżej. A tak, tylko do brze się bawił. Zresztą Grace dałaby znać, gdyby potrzebowała pomocy.

- Grupy zadaniowe, biuro amerykańskiego prokuratora... to brzmi kiepsko - powiedziała z szyderstwem w głosie. - Jak taki finansowy geniusz mógł się wplątać w tak poważną aferę? O, zaraz, niech zgodnę. Czy to ma coś wspólnego z twoimi meksykańskimi transakcjami?

Franklin odwrócił się do niej plecami.

- Proszę, proszę - ciągnęła niezrażona. - Radziłam ci, żebyś był ostrożny. Tam obowiązuje inny system. *Plata o plomo*. O to chodzi? - zwróciła się do Sturgisa. - Czy Ted w końcu porzucił wszystkie szare strefy i wkroczył do czarnej strefy brudnych pieniędzy? Tak dużo forsy aż się prosi, żeby ją wypracować. I jakie to zyskowe.

Franklin obrócił się gwałtownie.

- Posłuchaj, ty...

- Ted - przerwał mu Sturgis. - Wszystko co powiesz, może utrudnić nasze negocjacje z rządem. Szeryfowie nie są twoimi adwokatami. Mogą w każdej chwili wpakować cię do więzienia. Więc się zamknij.

Franklin przeniósł wzrok ze Sturgisa na swoją byłą żonę, potem znowu spojrział na prawnika.

- Pozbądź się ich. - Machnął w stronę szeryfów. - Muszę z nią pogadać.

Harkin zszedł do pokoju z pustymi rękami.

- Na górze nie ma żadnego komputera, jeśli trzymać się ograniczeń wydanego nakazu. Moglibyśmy dostać inny nakaz i przeszukać dom staranniej.

- Ta farsa trwała już dość długo - powiedziała Grace do Harkina. - Wyraziłabym sprzeciw wobec kolejnego nakazu.

- Tak, proszę pani. Tak też myślałem.

Franklin wyrzucił szklankę w kredens. Poleciały kawałki szkła.

- Gdzie to jest? - zapytał Grace piskliwym głosem. - Gdzie ten cholerny komputer?!

- Skąd miałabym wiedzieć? To ty go zgubiłeś, nie ja.

Faroe wsunął się między Franklina i wszystkie piękne, kryształowe odłamki.

Franklin gwałtownie wyciągnął palec wskazujący w stronę szeryfów.

- Pozbądź się ich, Stu. Natychmiast!

Sturgis odciągnął Harkina w róg i rozmawiał z nim cicho przez chwilę. Szeryf pokręcił głową. Sturgis znów przedstawił swój argument. Wreszcie funkcjonariusz się zgodził.

- Zróbcie im trochę miejsca - polecił swoim ludziom. - Ale wszyscy mają zostać na środku, na widoku. Zgoda?

Sturgis kiwnął głową.

Kiedy szeryfowie nie mogli ich słyszeć, prawnik stanął na dywanie jak sędzia na ringu bokserskim.

- Pani sędzio... - zaczął. - Ted.

Faroe przysunął się do Grace.

Sturgis zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami.

- Gdzie jest ten pieprzony komputer? - zapytał Franklin.

- Jeśli chcesz mojej pomocy, wyjaśnij, co się dzieje - odparła.

Sturgis zachowywał się jak na sali sądowej.

- Sędzio Silva, komputer, o którym mowa, zawiera informacje o ogromnej wartości dowodowej. Na pewno nie chce pani utrudniać ważnego śledztwa, prawda?

- Wypchaj się, panie doradco - warknęła Grace, nie spuszczać oka z eksmęża. - Nie potrzebuję wykładów na temat tego, jak manipulować procedurami prawnymi. Mów do mnie, Ted. Czy to ma coś wspólnego z Carlosem Calderonem i jego kolegami w Tijuanie?

Franklin unikał jej wzroku i nic nie odpowiadał.

- Właściwie to nasze stanowisko jest takie - wtrącił się Sturgis - że Calderon i jego przyjaciele złożyli Tedowi propozycję, a on natychmiast wyczuł nie stosowność ich zamiarów i zaczął zbierać dowody, których zamierzał przeciwko nim użyć.

Faroe prychnął pogardliwie.

Grace spojrzała na niego z ukosa.

Znowu przybrał minę pokerzysty.

- A więc tak naprawdę potajemnie odgrywałeś rolę dobrego obywatela? - zapytała Franklina. - Czy to było przed czy po tym, jak wokół Edge City Investments zaczęli się kręcić członkowie grup zadaniowych?

- Mój klient jeszcze nie został oskarżony o przestępstwo, dlatego też jego udział nadal musi być klasyfikowany jako „dobrowolny”, pani sędzio. Mamy powody sądzić, że nasza interpretacja zostanie podtrzymana.



- Zgadza się - powiedział Franklin do Grace bezceremonialnym tonem.  
- Uwierz mi, wszystko się rozejdzie po kościach. Właśnie prowadzę rozmowy. Z ważnymi ludźmi. I albo sprawa całkowicie się rozmyje albo zostanie bohaterem. Jeśli mi pomożesz, gwarantuję, że twoja kariera nie ucierpi.

Grace posłała mu spojrzenie, od którego wił się niejeden prawnik.

- Nie wiem, czy gardzę tobą bardziej, kiedy jesteś politykiem, czy kiedy jesteś oszustem. Mam gdzieś sędziowską karierę i czołówkę bogaczy z „Fortune”. Liczy się dla mnie tylko Lane. Co z naszym synem?

Franklin odwrócił wzrok.

- Jak to, co z nim?

Faroe delikatnie chwycił pięść Grace, którą zamierzała zdzielić Franklina.

- Przyjmujemy stanowisko, że sytuacja waszego syna nie ma nic wspólnego z negocjacjami prowadzonymi między moim klientem i rządem - oświadczył Sturgis. - Lane jest po prostu młodym człowiekiem z kłopotami i studiuje poza krajem, w katolickiej szkole z internatem, która jest bardzo surowa w kwestiach obyczajowych.

Grace popatrzyła na prawnika jak na śmierdzący but.

- To Ted nie wspomniał ci o swoim układziku z Carlosem Calderonem i Hectorem Rivasem? Nie mówił, że...

Faroe ścisnął jej rękę i się wtrącił:

- Chcę to usłyszeć. Jaka jest w tym wszystkim rola Lane'a, doradco?

Sturgis pokręcił głową.

- Nie wspominaliśmy o Lanie rządowi. Sądzimy, że byłoby mądrze, gdyby i pani się od tego powstrzymała.

- Czyli uważasz, że amerykańskie władze nie chcą wiedzieć, że niewinny chłopak jest przetrzymywany jako zakładnik w obcym kraju po to, żeby można było kontrolować działania jego ojca? - zapytała Grace z niedowierzaniem.

Franklin i Sturgis wymienili spojrzenia.

Prawniki odwrócili się, manifestując, że nie zamierza brać udziału w tym, co zaraz się zdarzy.

Franklin spojrzał tęsknie na rozbitą szklankę na kredensie. Potem westchnął i odwrócił się twarzą do Grace.

- Dlaczego Lane miałby być w to zamieszany? - zapytał beznamiętnie.

- Oboje wiemy, że on nie jest moim synem.

Grace zmierzyła go wzrokiem, zbyt wściekła, żeby wydusić z siebie choć słowo.

- Świetna robota, dupku - burknął Faroe. - Nie twoje DNA, więc jak mógłby być częścią całej tej sprawy, tak?

- Kim ty jesteś, do diabła? - odparł Franklin.
  - Człowiekiem, który próbuje uratować życie twojego syna. Powinieneś się modlić, żeby mi się to udało. - Bo jak Lane zginie, to ty też.
- Ale Faroe nie zamierzał mówić tego przy świadkach.
- Ja nie mam syna - upierał się Franklin.
  - Powiedz to skarbowce - odparł Faroe. - Wszystkie odliczenia podatkowe robiłeś na psa o imieniu Lane?
- Grace wzięła gwałtowny oddech. Znała Faroego lepiej niż ktokolwiek z obecnych.
- I czuła strach.
- Chodzi o to - powiedział Sturgis, nie odwracając się - że DNA chłopaka mocno podważa teorię Grace o Lanie jako zakładniku.
  - Właśnie - dorzucił szybko Franklin. - Jeżeli Carlos i Hector Rivas myślą, że mogą mnie kontrolować, przetrzymując Lane'a, to mają niewłaściwego zakładnika. Kiedy sobie to uświadomią, na pewno go wypuszczą. Po co mieliby robić krzywdę chłopakowi?
- Franklin próbował spojrzeć Faroemu w oczy, ale widocznie doszedł do wniosku, że z Grace pójdzie mu łatwiej.
- Znowu był w błędzie.
- Chyba Matka Natura wiedziała, co robiła, nie pozwalając ci się rozmnażać - stwierdziła Grace.
  - Nie rób z siebie świętoszki - warknął Franklin. - To twoje życie jest pełne kłamstw.
- Faroe wciąż trzymał rękę Grace, ale marzył, żeby ją puścić i pozwolić rozkwasić nos Franklinowi.
- I żeby od siebie też mu dołożyć.
- Później. Kiedy Lane będzie bezpieczny.
- Sturgis - rzucił Faroe, jakby trzasnął biczem. - Odwróć się i wyceluj w tego barana albo zabieraj stąd swoją kłamiwą dupę, żebyśmy mogli załatwić sprawę.
  - Słuchaj no, ty sukin... - zaczął Franklin.
  - Przymknij się, Ted - mruknął Sturgis. - Do niczego to nie prowadzi.
  - Masz problem - odparł Faroe. - Naprawdę potrzebujesz tego komputera, co?
  - Wiedziałem, że suka go ukrywał! - warknął Franklin.
- Faroe poczęstował go spojrzeniem, którego nie mogły złagodzić nawet wypite cztery porcje whisky przez Franklina.
- Twój prawnik dał ci dobrą radę - powiedziała Grace. - Zamknij się albo zjeżdżaj.

Franklin znowu spojrzął na Faroego, potem cofnął się i ruszył w stronę baru.

- Potrzebujesz całego komputera, czy tylko jakichś danych? - zwrócił się Faroe do Sturgisa.

- Najlepiej byłoby mieć cały komputer, ale są pewne listy...

- Co za listy? - zapytała Grace.

- Depozytowe. Pokazują przepływ funduszy z jednego zestawu zamorskich kont na drugi - odparł Sturgis.

- Jak je odróżnić od innych danych na komputerze? - zapytał Faroe.

- Cały plik ma tytuł „Plaža”. Chodzi o przelewy z banków w Aruba i Panamie do Intercontinental Bank of Nauru.

- Gdzie to jest? - drążyła Grace.

- W zamorskim kraju - odparł Sturgis.

- Południowy Pacyfik - wyjaśnił Faroe. - Cała gospodarka Nauru opierała się kiedyś na odchodach nietoperzy i zestawach herbacianych. Potem jakiś bystry palant odkrył, że można robić pieniądze na czarterowaniu międzynarodowych instytucji bankowych. Teraz Nauru ma więcej banków niż obywateli.

Franklin zerknął na nich z nowym zainteresowaniem.

- Wyglądasz na dobrze zorientowanego.

- Bo jestem - odpowiedział Faroe Tedowi, ale patrzył na Sturgisa. - Więcej nie wiskaj mi kitu, to może wszyscy wyjdziemy z tego żywi.

Franklin zastygł z drinkiem w ręku. Spojrzął na Sturgisa.

Prawnik obserwował Faroego jak ktoś, kto właśnie odkrył, że broń nie jest najniebezpieczniejszą rzeczą w tym pokoju.

Faroe się uśmiechnął.

Sturgisowi wcale nie ulżyło.

- Jeśli znajdziemy ten plik - odezwał się Faroe - będziesz współpracował z nami, żeby doprowadzić do uwolnienia Lane'a.

- Zrobilibyśmy wszystko co w naszej mocy - zaczął niepewnie Sturgis.

- Tak, oczywiście, bez przyznawania, że Ted...

- Zła odpowiedź - przerwał mu Faroe.

I czekał.

- Jeśli załatwisz nam ten plik, postaramy się, żeby bezpiecznie wwieźć Lane'a do Stanów Zjednoczonych - oświadczył Sturgis nieszczęśliwym tonem.

Faroe popatrzył na Grace.

- Na twoim miejscu chciałbym to mieć na piśmie, ale szkoda czasu na prawnicze gierki.

Lane'owi zostało dwanaście godzin życia.

# Rozdział 48

Autostrada 1-5, kierunek południowy  
Poniedziałek, 0.35

Grace siedziała z głową na oparciu fotela i patrzyła na jadące w obie strony samochody - rzekę żelazta, która zaczynała swój bieg na jednej granicy i kończyła na drugiej.

Faroe nie próbował rozmawiać z Grace. A ona z nim. O czym tu mówić?

Ojciec był bezpieczny, pod kuratelą federalnych, a syn czekał na egzekucję za jego grzechy.

- Śledzą nas? - zapytała wreszcie Grace.

- Nie aż tak daleko.

- Czy to dlatego, że jedziesz z prędkością sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę?

- Sto pięćdziesiąt, i mój samochód nie jedzie najszybciej.

Jakby na potwierdzenie tych słów, po prawej stronie wystrzelił lexus, a tuż z nim beater z tablicami Baja Kalifornia.

Faroe popatrzył w lusterka.

- Kiedy zabierałaś komputer dla Lane'a, wiedziałaś?

Zamarła.

- A jak myślisz?

- Nie wiedziałaś.

Zaśmiała się krótko, ochryple.

- Chyba powinnam być ci wdzięczna za zaufanie.

- Właściwie to Ted powinien być wdzięczny losowi, że miał świadków.

Inaczej byś go pocięła na kawałki pobitym szkłem.

- Ty też nie przesyłałaś mu miłosnych liścików.

- Próbowałem wymyślić dla niego odpowiedni rodzaj śmierci.

Grace spojrzała na Faroe z ukosa.

- I?

- Nadal próbuję. - Faroe uśmiechnął się ponuro. - Tak czy inaczej, zachowam się jak dżentelmen. Obiecuję, że tobie dostanie się pierwszy strzępek ciała.

Grace uśmiechnęła się wbrew sobie. Co ja z tobą zrobię, Joe?

Nie zdawała sobie sprawy, że wyraziła tę myśl na głos, aż Faroe powiedział:

- Zapytaj mnie jutro.

Jej śmiech przypominał szloch.

Faroe zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej - Steele miał wylądować w ciągu najbliższej godziny. Przynajmniej Grace znajdzie się w bezpiecznym miejscu, podczas gdy on sam pojedzie na południe.

Myślisz, że Lane wie coś o tym pliku? - zapytał.

- Nigdy nic mi nie mówił, że Ted przechowuje swoje rzeczy na tym komputerze.

- Zapytam Lane'a, kiedy do niego zadzwonię. Gdyby zdołał ustawić połączenie bezprzewodowe, mógłbym ściągnąć ten plik przez telefon satelitar-ny.

- Lane wie wszystko o łączności bezprzewodowej i 3G, i o wielu innych rzeczach, na których ja zupełnie się nie znam.

- Bardzo chciałbym zobaczyć, co Ted uważa za swoją kartę przetargową w negocjacjach z federalnymi.

- I po co ci to? - zapytała Grace.

- Nie odpowiem, dopóki nie zobaczę, ale mam naprawdę dobry pomysł. Myślę, że plik „Plaza” jest listą lewych transakcji, jakie Bank of San Marco przeprowadzał dla Hectora, Carlosa i reszty *narcotraficantes*.

- Ale to by znaczyło, że Ted jest zamieszany w tę aferę. Dlaczego więc miałby ujawniać dane?

Jeśli doprowadzi federalnych do dwudziestu albo pięćdziesięciu milionów dolców, to oni zgarną tę forszę, poklepią go po plecach i wypuszczą.

- Ale...

- Takie pieniądze starczyłyby na sfinansowanie wielu federalnych grup zadaniowych - ciągnął Faroe, nie zważając, że Grace zamierzała coś wtrącić.

- Mówisz tak, jakby pilnowanie porządku było dla amerykańskiego rządu sposobem osiągnięcia zysków - odparła zmęczonym głosem. - Myślałam, że to specjalność Meksyku.

Faroe wzruszył ramionami.

- Rządy tworzą ludzие. Jedni są lepsi, drudzy gorsi, a każdy ma swoją cenę. Czasem, jak w większości Meksyku, urzędnicy i politycy bogacą się bez pośredników. Inni przepuszczają pieniądze przez partie polityczne, a nawet instytucje. Chodzi tylko o forszę i władzę. I, do diabła, nie czas martwić się deptaniem łąki, skoro dla dolarów tańczą na niej słonie i osły.

- Ale...

- Słyszałaś, jak Ted dogadywał się z prawnikiem i agentami rządowymi, żeby osiągnąć polityczne rozwiązanie jego ogromnych, osobistych kłopotów z prawem. Czy to nie korupcja? - zapytał Faroe.

- Ale dlaczego się tym przejmujesz?

- Lubię łąki - odparł spokojnie Faroe. - Zwłaszcza pojedyncze źdźbła trawy. Takie jak Lane. Jeżeli mogę sprawić, żeby słońce go nie zmiażdżyły, kiedy tańczy, to mi wystarczy.

Zapadła cisza.

Ciągnęła się w nieskończoność.

Już widzieli helikoptery krążące nad granicą, kiedy Grace powiedziała z goryczą:

- Istnieje mnóstwo odcieni szarości.

Faroe nic nie odpowiedział. Nie musiał.

- A więc bogaty, powiązany z politykami padalec, taki jak Ted, rozmawia z szychami w Departamencie Sprawiedliwości. Przekonuje ich, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeżeli pozwolą mu zapłacić nieoficjalną grzywnę w wysokości wielu milionów dolarów i schować się we własnej norze.

- Nie proś mnie, żebym to polubił - powiedział Faroe. - Ani żebym udawał, że to się nie dzieje.

- Nie będę. Jeśli dodamy sprytne manipulowanie faktami, jakie uprawia mecenas Sturgis, Ted może jeszcze się okazać wybitnym obywatelem, dokonującym bezinteresownego aktu obywatelskiej cnoty. Jeżeli Sturgis będzie dostatecznie dobry, Ted prawdopodobnie dostanie prezydenckie wyróżnienie.

- Tak - zgodził się z wściekłością Faroe. - I już jest na dobrej drodze, żeby wypłukać z systemu i ciebie, i Lane'a.

- Mogę żyć bez sędziowania.

Faroe zerknął na nią szybko. Żadnych łez, żadnego marszczenia brwi, tylko determinacja; Grace za nic w świecie nie chciała dać za wygraną.

Jedyne, bez czego nie mogą żyć, to mój syn.

- Ted nie da rady się wytłumaczyć z uwięzienia Lane'a - wycodziła z zawziętością. - Nie pozwolę mu na to.

- Nie spodoba ci się, co usłyszysz, ale muszę to powiedzieć. Ted i Sturgis już teraz mają plan, żeby odmalować cię jako kłamliwą sukę, a Lane'a jako narkomana i nieudacznika, który sam wpakował się w kłopoty w Meksyku.

Grace zrobiła gwałtowny wdech.

- Lane nie umrze jako zakładnik - ciągnął Faroe, a jego słowa brzmiały tym bardziej straszliwie, że wypowiadał je z całkowitym spokojem. - Prawdopodobnie zrobią z tego przypadkowe przedawkowanie. Jeśli Hector nie wbije dzieciakowi igły w ramię, to Sturgis dopilnuje, żeby jakiś sprzęt znalazł się na plaży obok ciała.

- Przestań już, proszę.

- Próbuję. Ale Ted ma sztab prawników i ochronę federalnych, więc trzymamy śliski koniec bardzo gównianego kija.

Grace spojrzała w górę i na Faroego. W migoczących, rtęciowych oparach światła autostrady wyglądał jak jedna z pośmiertnych masek Huichola, które widziała w domku Lane'a.

- Nie można tak łatwo zatuszować prawdy.

- Jest łatwiej, niż myślisz. Faszeryjesz jakiegoś barana kilkoma kilogramami kokainy i patrzysz, jak twoja kariera nabiera rozpędu. Zdobywasz dowód, który obciąża jeden z najważniejszych politycznych rodów w Meksyku, i patrzysz, jak twoja kariera pikuje. Nie jest ważne, żeby naprawdę coś robić w kwestii narkotyków, ważne tylko, żeby sprawiać wrażenie, że coś się robi.

Faroe bez ostrzeżenia zjechał z autostrady i mknął coraz węższymi drogami. Wjechał na parking Brown Field dokładnie w chwili, gdy z pasa podniósł się helikopter lecący do Spring Canyon, żeby odciąć dopływ nielegalnych imigrantów, którego nie chcieli powstrzymać ani amerykańscy, ani meksykańscy politycy.

Tylko udawali, że im na tym zależy.

- Byliście śledzeni? - zapytała Grace.

Faroe odparł tylko:

- Czas zadzwonić do Lane'a.

## Rozdział 49

Szkoła Ali Saints  
Poniedziałek, 1.00

**P**rzez otwarte okna do pokoju Lane'a wlatywały smugi dymu z papierosa i podmuchy ciepłego, wilgotnego powietrza. Sztorm nadciągał nieubłaganie.

To dlatego się pocę.

Z gorąca, nie ze strachu.

Ale czuł, że oblewa go zimny pot.

Oprócz szumu powietrza i fal słyszał z zewnątrz głosy mężczyzn. Do pokoju dostawał się też zapach, którego Lane nie umiał zidentyfikować.

Strażnicy siedzieli najwyżej dwa metry od łóżka Lane'a.

Jeśli mama zadzwoni teraz, dowiedzą się, pomyślał gorączkowo.

Ale o niczym innym tak nie marzył, jak o tym, żeby usłyszeć głos matki i mieć świadomość, że nie jest zupełnie sam.

Zawibrował telefon satelitarny pod poduszką. Lane natychmiast dał nura pod kołdrę. Nacisnął klawisz połączenia.

I nic nie powiedział.

- Tu Faroe - odezwał się cicho męski głos. - Jeśli mnie słyszysz, a nie możesz się odezwać, podmuchaj w mikrofon. Jeden raz, jeśli odpowiedź jest twierdząca.

Lane odetchnął w słuchawkę.

Faroe poczuł ogromną ulgę.

- Dobrze. Czy wszystko z tobą w porządku?

Lane dmuchnął w słuchawkę jeden raz.

- Czy ktoś jest z tobą w pokoju?

Lane dwa razy dmuchnął w słuchawkę, potem szepnął:

- Czekaj.

- Dobra - odparł Faroe.

Pocąc się, Lane położył się pod kołdrą i przycisnął telefon do ucha tak mocno, że zaczęła go boleć ręka.

Głosy strażników uchichły: poszli na kolejny obchód domku.

- Dobrze - powiedział cicho Lane. - Nie ma ich. Zwykle wracają pod okno po kilku minutach.

- Coś się zmieniło od naszej ostatniej wizyty? - zapytał szybko Faroe.

- Nie. - Lane nadal mówił tak cicho, że ledwo było go słyszeć. - Ojciec Rafael przyszedł się ze mną zobaczyć. Pocieszał mnie, że wszystko się ułoży. Mam mu ufać?

- Na razie traktuj go jak niewiadomą - odparł Faroe. - Ale w razie czego, polegaj na własnej ocenie sytuacji. Być może on będzie twoim najlepszym wsparciem. Rozumiesz?

- Mhm - mruknął Lane. - Jest z tobą mama? - Pytanie zabrzmiało niepewnie.

- Tak - odparł krótko Faroe, żeby chłopak się nie rozkleił. Albo Grace.

- To dobrze - powiedział Lane. - Po prostu nie chciałem, żeby była teraz sama. Bardzo się martwi.

Faroe uśmiechnął się, chociaż gardło mu się ścisnęło.

- Masz dostęp do pliku „Plaza” na swoim twardym dysku?

- To plik taty - odparł Lane. W jego głosie nagle pojawiła się czujność. - Powierzył mi go.

W ostatnich latach Lane nawiązywał dobry kontakt z ojcem tylko w ten sposób: pokazując mu, jak się obsługuje komputer.

- Wiem - odezwał się Faroe. - Powiedział nam o tym.

- Widziałeś się z tatą? - Lane z trudem utrzymywał cichy ton. - Dzisiaj wieczorem? Przyjedzie tu po mnie, zanim... - Hector mnie zabije - upłynie ostateczny termin?



Faroe zastanawiał się przez chwilę, skąd Lane wiedział o terminie, ale w końcu uznał, że to nie ma znaczenia. Najważniejsze to nie dopuścić, żeby Lane wpadł w panikę.

- Ted pokazał się w Lomas Santa Fe, na ranczu - odpowiedział oględnie Faroe. - Zależało mu na twoim komputerze. A ściślej: na pliku „Plaza”.

Lane nasłuchiwał, czy nie wracają strażnicy, ale usłyszał tylko szum wiatru i fale.

- No więc?

Siedząc w SUV-ie, Faroe myślał gorączkowo, co powiedzieć. Jak wytłumaczyć dzieciakowi, że jego ojciec to skończony dupek i drań?

- Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia - odparł spokojnie Faroe. - Zaufasz mi, czy chcesz pogadać z matką?

Zanim Lane zdążył odpowiedzieć, Grace pochyliła się i szepnęła głośno:

- Powiedz Joemu wszystko, co możesz. Proszę. Tylko wtedy będziemy mogli ci pomóc.

Napięcie w jej głosie sprawiło, że Lane'owi zakręciły się łyzy w oczach. Z trudem przełknął ślinę.

- Dobrze.

- Czy to duży plik? - zapytał Faroe.

- Nie, ale jest zaszyfrowany.

- Jak?

- Wiesz, co to PGP?

- Pretty Good Privacy - odparł Faroe.

- Tak. Nauczyłem tatę, jak to robić. On ma klucz. Ja nie.

Cholera, zaklął Faroe w duchu.

- Więc nie możesz go odczytać?

Lane zamknął oczy i oblał się zimnym potem. Głos matki powiedział mu więcej niż słowa.

- Błagam, nie wściekaj się. To plik taty. Poprosił mnie, żebym przechowywał te dane i dobrze pilnował.

- A ja proszę cię teraz, żebyś złamał przyrzeczenie - powiedział Faroe.

- O rany. Jeśli ten plik jest taty, jeśli on go potrzebuje...

Faroe zaklął cicho, ale nie wywierał presji na Lanie. Nie poprosił też Grace, żeby przejęła rozmowę. Chłopak już i tak był w sytuacji nie do pozazdroszczenia, więc po co angażować go jeszcze w przeciąganie liny między rodzicami.

- Szanuję twoją lojalność - odezwał się łagodnie Faroe. - Ale dopóki dokładnie nie poznam zawartości pliku, nie będę mógł ci powiedzieć, o co chodzi. Wiem tylko, że „Plaza” to jedyna karta przetargowa, jaką mamy, żeby cię wydostać z Ali Saints.

- A co z tatą? On po mnie nie przyjeżdża?

- Przykro mi.

Faroe słuchał milczenia, które, zdawało się, trwa wieczność.

W końcu rozdygotany Lane wziął oddech, potem jeszcze jeden. Trzeci wdech był już spokojniejszy.

- A więc albo zdradzam tatę, albo ginę? O to chodzi?

- Chodzi o to, że Ted Franklin nie powinien umieszczać tego pliku w komputerze syna. I nie powinien zapisywać syna do Ali Saints. Ani tykać brudnych interesów Hectora Rivasa Osuny.

Lane wytrzeszczył oczy. Wiedział, kim jest Hector.

Wszyscy w północnym Meksyku wiedzieli.

- Twierdzisz, że t-t-tata jest oszustem? - wymamrotał Lane ledwo dosłyszalnym głosem.

- Tak - odparł Faoe. - Ale nie mogę tego udowodnić, dopóki nie zobaczę pliku. Czy twój telefon satelitarny jest wystarczająco naładowany, żebyś mógł przesłać plik matce?

- Nie. Odkoduję go. Potem... hm, potem... - Dowiem się czegoś, czego nie będę chciał wiedzieć.

Ale z powodu niewiedzy mógł zginąć za dwanaście godzin.

- Lane? - zagadnął Faroe.

Chłopak uchwycił się tego, na czym dobrze się znał, jakby to była lina rzucona mu po to, by mógł przejść po bagnistej ziemi.

- PGP to stary program komercyjny. Całkiem niezły, ale nie doskonały. Mam kilka kluczy próbnych, a zaprzyjaźniony hacker pokazał mi lukę w oprogramowaniu. Może uda mi się przedrzeć przez zabezpieczenie.

Faroe wziął głęboki oddech.

- Dasz radę bez pomocy z zewnątrz?

- Jasne. Potrzebuję tylko czasu.

- A co ze strażnikami?

- Brygada Wieprzowych Skór już uważa, że chowam się pod kołdrą, żeby zabawić się z samym sobą. I śmieją się z tego.

Faroe przygryzł wargi, żeby nie zakląć.

- Próbuj, synu. Jak z naładowaniem telefonu?

Usłyszal stłumiony odgłos, potem odpowiedź Lane'a:

- Jest naładowany mniej więcej w jednej czwartej.

- Wyłącz go. Zachowaj na następną rozmowę za cztery godziny. Chyba że twoja sytuacja zmieni się radykalnie, wtedy dzwoń natychmiast. Chcesz chwilkę pogadać z mamą?

- Nie... przekaż tylko, że ją kocham. Jeśli usłyszę jej głos, to mogę...

- Dobra, rozumiem. Ona cię pozdrawia. Twój tata też.

- To dlaczego po mnie nie przyjeżdża?

Za bardzo jest zajęty ratowaniem własnego tyłka, pomyślał Faroe, ale Lane'owi powiedział:

- Uważaj na siebie.

Chłopak zakończył rozmowę, wyłączył telefon i ukrył pod poduszką.

Zza okna napływały głosy. Strażnicy śmiali się i robili zakłady, w jaki sposób Hector zabije Lane'a.

Nikt nie postawił na zwykłą egzekucję.

## Rozdział 50

San Diego

Poniedziałek, 1.33

**K**olejny helikopter patrolu granicznego podniósł się z asfaltowego pasa Brown Field i gwałtownie skręcił w ciemność nad Spring Canyon. Reflektory przeczesywały zarośla - kryjówkę kojotów, dzikich psów, szmuglerów, bandytów i spoconych nielegalnych imigrantów. Półtora kilometra dalej, wzdłuż południowej krawędzi Spring Canyon, światła Colonia Libertad Tijuany tworzyły błyszczący strumień na tle stalowego muru granicy. Noc była przepojona strachem i nadzieją.

Grace i Faroe wyjrzeli przez szybę, czekając, aż wylądje samolot ze Steele'em na pokładzie. Lotnisko przed nimi było skąpane w ciemności i tylko gdzieś tam przecinane pasami światła. Mgła oplatała cienkimi palcami lampy na brzegach placów.

Grupa ludzi wynurzyła się z nocy i pobiegła asfaltowym pasem, a potem zniknęła w mroku po drugiej stronie.

- Co to było? - zapytała przestraszona Grace.

- Nielegalni imigranci - wyjaśnił Faroe. - Nocne duchy. Znikają, a potem pojawiają się tysiąc metrów albo tysiąc kilometrów dalej. Wieczorem ci biegać będą już pewnie w Chicago, Nowym Jorku albo Atlancie.

- Ty naprawdę lubisz cienie, co? - zagadnęła Grace.

- To jedyne miejsce, w którym czułem, że żyję.

Zareagowała dziwnym śmiechem.

- Ach tak? W innych okolicznościach poczułabym się urażona albo przynajmniej rozczarowana.

- W innych okolicznościach powiedziałbym ci, że poznaliśmy się i kocha-  
liśmy w świecie cienia. Najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała.

- I najgorsza - wyszeptała Grace.

- To też. Ustaliłaś już, co boli najbardziej?

Znowu wydała dziwny odgłos, ni to smutny śmiech, ni to westchnienie.

- Nie.

- Ja też nie.

Na wschodzie, nad Otay Mesa, w ciemności zabłysły dwa potężne światła.  
Był to samolot podchodzący do lądowania.

- Steele - stwierdził Faroe.

Kierowca minibusa stojącego na odizolowanym terenie uruchomił dieslow-  
ski silnik. Zapaliły się reflektory i światła wewnątrz samochodu.

Prawie w tej samej chwili inny wóz przejechał przez bramę i ruszył w stronę  
minibusa. Kiedy przejeżdżał pod światłem na przedzie małego hangaru, Faroe  
dobrze mu się przyjrzał. Pojazd miał wszelkie cechy opancerzonej furgonet-  
ki. Faroe nacisnął klawisz szybkiego wybierania i po kilku sekundach mówił  
z łącznikiem z St. Kildy.

- Czy ktoś ma wyjść na spotkanie Steele'owi? - spytał.

Grace słyszała odległy głos rozmówcy. Wyczuwało się w nim rozbawienie.

- OK. - Faroe bezceremonialnie przerwał rozmowę.

- No i co? - zagadnęła Grace.

- Wygląda na to, że Steele nabierał sporą grupę podejrzanych - mruknął.

Uruchomił silnik mercedesa i dołączył do osobliwej karawany, która zebrała  
się na placyku.

Ambasador James Steele opuścił rampę niesiony przez Harleya, ochronia-  
rza o posturze amerykańskiego futbolisty. Steele obejmował jego szyję ra-  
mieniem. Miał na sobie świeżo wyprasowany garnitur, czystą białą koszulę  
i idealnie zawiązany krawat.

Faroe i Grace przywitani się ze Steele'em. Trzech mężczyzn wysiadło z mi-  
nibusa, który służył nie tylko jako środek transportu, ale i ośrodek dowodze-  
nia. Faroe nie znał żadnego z mężczyzn, ale poruszali się jak agenci specjalni  
albo byli komandosi piechoty morskiej.

Jeden z nich wyciągnął z przedziału bagażowego błyszczący, nafaszerowany  
gadżetami wózek inwalidzki. Kilka szybkich ruchów wystarczyło, żeby posta-  
wić wózek i aktywować jego elektronikę. W blasku światła lądującej maszyny  
Steele przyglądał się przez dłuższą chwilę niekonwencjonalnemu urządzeniu,  
rurkom i kółkom ze stopów.

- Czy wspominałem, że nie przepadam za wyścigami? - zapytał zgryźliwie  
Harleya.

Ochroniarz posadził Steele'a na fotelu, ułożył mu nogi i pozmieniał niektóre ustawienia wózka.

- Od miesiący marzyłem, żeby usadzić cię w tym pojeździe. Więc przestań się dąsać i patrz uważnie. To jest joystick.

- O mój Boże - wycedził Steele przez zęby.

- Do przodu znaczy do przodu, do tyłu znaczy do tyłu, a w bok, to w bok - wyjaśniał olbrzym.

- I tak nie zamierzam się z nikim ścigać - burknął ambasador.

Ale manipulując joystickiem, nie potrafił ukryć zadowolenia z tego, jak szybko wózek reagował. Może nie był tak dobry, jak nogi, ale z pewnością lepszy niż inne znane Steele'owi urządzenia.

- Jeśli tylko zdołam nauczyć tę maszynę, żeby mówiła do mnie grzecznie, będę mógł cię zwolnić - powiedział Steele do Harleya.

- Ale najpierw musisz ją przeszkolić, jak podcierać ci tyłek.

Steele wybuchnął śmiechem, potem spojrzął na Faroego i Grace.

- Sędzio, wygląda pani na osobę, której przydałoby się trochę snu. W razie czego mam przy sobie legalne środki nasenne.

- Nieżle - stwierdziła.

- Proszę się nie wstydzić. To część wyposażenia każdego agenta, a ci ludzie są przygotowywani do działania w ekstremalnych warunkach. Pani nie ma takiego przygotowania i na pewno nie chce pani paść ze zmęczenia, kiedy trzeba będzie zachowywać czujność.

- Pomyśli o tym - poradził Faroe, zanim Grace zdążyła się odezwać.

- Ty też - powiedział Steele do Faroego, a jego słowa nie zabrzmiały jak sugestia. - Zanim zrobię wam odprawę - ciągnął - chcę, żebyście kogoś poznali.

Patrzyli, jak Steele sprawnie wykręca wózkiem i jedzie po asfalcie do miejsca, w którym stał zaparkowany opancerzony wóz. Kiedy ambasador zbliżył się do furgonetki, przez boczne drzwi wysiadł drobny, siwowłosy Meksykanin w garniturze biznesmena. Kuśtykał, jakby miał płafusa, a od pasa w górę wydawał się usztywniony, co świadczyło o dawnych obrażeniach.

Kiedy ci dwaj mężczyźni spotkali się na placu i uściśnili sobie ręce, Meksykanin ukłonił się sztywno, po staroświecku, ale najzupełniej naturalnie. Prowadzili rozmowę w cieniach między ostrym blaskiem przednich reflektorów i świateł samolotu. Dochodził od nich zapach dymu z papierosów.

- Kto to? - zapytała cicho Grace.

- Jeśli to osoba, o której myślę, szanse Lane'a właśnie wzrosły. Chętnie posiedziałbym nawet w zadymionym pokoju, żeby posłuchać, co ten człowiek ma do powiedzenia.

Steele i Meksykanin pokonali wyasfaltowany odcinek i zatrzymali się w cieniach blisko Grace i Faroe.

- Pozwólcie, że przedstawię Dimasa Quintanę Blanco - odezwał się Steele - jednego z czołowych dziennikarzy dokumentujących poczynania *narcotraficantes* w Tijuanie. Senor Quintana zgodził się nam nieoficjalnie doradzać.

Faroe wyciągnął rękę.

- To prawdziwy zaszczyt, senor.

- Nawzajem. - Quintana uśmiechnął się lekko. - Nie zapytam o pana imię, bo już i tak znam pana pod zbyt wieloma.

Faroe błysnął uśmiechem w cienie nocy.

Quintana ujął Grace za rękę i się uklonił.

- Sędzio Silva, jest mi niezmiernie przykro słyszeć o pani kłopotach.

- Nie spodziewałam się, że będę je omawiać z dziennikarzem - wypaliła prosto z mostu Grace.

- Nie przejmuj się - uspokoił ją Faroe. - Gang Rivas już zaoferował senorowi Quintanie srebro albo ołów. Wybrał ołów. Dziesięć lat temu ROG zamordowała jego współpracownika. Trzy lata temu zrobiła zamach na niego.

Grace poczuła ucisk w żołądku. Słyszała już pogłoski o meksykańskich dziennikarzach, gliniarzach i sędziach zastrzelonych za odmowę współpracy z ROG. Ale patrzenie w ciemne oczy człowieka, któremu grożono egzekucją, to coś zupełnie innego.

- W Tijuanie każdy uczciwy dziennikarz ma na plecach tarczę strzelniczą - wyjaśnił spokojnie Quintana, upuszczając papierosa na ziemię i rozgniatając popiół obcasem buta. - Na szczęście snajperzy ROG są nie tylko tchórzami, ale i kiepskimi strzelcami. Przeżywamy... owszem, dzięki dużej ostrożności, ale przeżywamy. Wszelkie informacje przekażę panu z największą przyjemnością.

## Rozdział 51

All Saints

Poniedziałek, 1.32

Niebo raz po raz przecinały błyskawice, sprawiając, że noc przypominała oślepiającą sieć bieli i czerni. Towarzyszyły im grzmoty, których ciągłe eksplozje wstrząsały nocą. Deszcz tak lał, jakby zapowiadał koniec świata.

- Super! - Lane zaśmiał się głośno, kiedy strażnicy rozpierzchli się w poszukiwaniu kryjówki. - Więcej czadu! Niech *cabróns* zwiewają.

Najbliższe schronienie było kilkanaście metrów dalej, w innym domku, więc nie musiał się martwić, że strażnicy będą zaglądali w jego okna i zastanawiali się, co robi pod kołdrą albo w zamkniętej na klucz łazience.

Przez kilka następnych sekund Lane rozkoszował się dziką, słodką ulewą, która obmywała mu twarz.

Ten deszcz był jak wolność. W końcu Lane zamknął okna, zaciągnął zasłony i zabrał komputer do łazienki, gdzie mógł liczyć na prywatność i gniazdko. Nie chciał, żeby zasilanie padło akurat w chwili, gdy uda mu się włamać do pliku.

Jeśli się uda.

Nie jeśli, tylko kiedy. Zdarzało mu się włamywać przy większych zabezpieczeniach.

Ale wtedy był młodszy. Nie wierzył w śmierć. Teraz realne zagrożenie życia i obecność strażników nie pomogły w koncentracji.

Program Pretty Good Privacy okazał się rzeczywiście całkiem niezły. Pierwszy użyty klucz nie przydał się na zbyt wiele. Lane miał wrażenie, że wali głową w mur: ciągle coś się zawieszało, musiał znów ładować system i próbować jeszcze raz. I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Dym z papierosów, kawały i pogwizdywania dochodzące wcześniej przez otwarte okna też nie pomagały. Ale teraz miał cudowną burzę i komputer. Czuł się świetnie.

Naprawdę dobrze się znał na informatycznych sztuczkach.

Poza tym mógł przez chwilę nie myśleć, że o dwunastej trzydzieści tego popołudnia zostanie zabity.

## Rozdział 52

Brown Field  
Poniedziałek, 2.10

**A** więc - powiedział Steele, podsumowując odprawę - w niespełna czterdzieści osiem godzin udało ci się stanąć po niewłaściwej stronie obu lordów tijańskiego podziemia i rządu amerykańskiego. Nawet jak na ciebie, Joseph, to niezły wyczyn. I co dalej?

senor Quintana ukrył uśmiech za starannie przystrzyżonym wąsem i kozią bródką.

- Potrzebujemy trochę mięśni na wszelki wypadek - powiedział Faroe.
- Trzech agentów już mam, nie licząc Harleya. - Steele wskazał minibus.

- Wood to nasz spec od uzbrojenia, były komandos z oddziału SEAL, z dobrymi źródłami zaopatrzenia i mówiący biegle po hiszpańsku. Jarrett i Murchison zajmują się łącznością i też znają świetnie hiszpański, a Murchison ma wykształcenie medyczne. Dwayne dowodzi helikopterem i pilotem.

- Problemy? - zapytał Faroe.
- Tylko ten, że chciałeś Aerospatiale.

Wood uśmiechnął się z aprobatą.

- Ten to jest szybki helikopter.

Faroe popatrzył na tych dwóch mężczyzn i jedną kobietę - Murchison. Stali zrelaksowani, ale w pełnej gotowości ludzi nawykłych do tego, że wysyła się ich w dziwne miejsca, o dziwnych porach, żeby wykonywali prace nie zawsze zgodne z prawem. W dodatku dyskretnie.

- W porządku - zwrócił się Faroe do agentów. - Wy troje zabieracie choppera do Ali Saints z samego rana. Nieważne, co wam powiem, albo jakie macie zdjęcia satelitarne lub materiały z Internetu: musicie zobaczyć teren na własne oczy.

Wszyscy troje skinęli głowami.

- Miło pracować z kimś, kto to rozumie - powiedział Wood.
- Nauczyło mnie tego doświadczenie - odparł sucho Faroe.
- Przynajmniej nauczyło - skomentowała Murchison. - To dlatego przeszłam na prywatną działalność. Niektórzy szefowie nie potrafią pewnych rzeczy załapać.

Grace popatrzyła na agentkę i powiedziała sobie, że Murchison wcale nie flirtuje z Faroem - co zresztą było prawdą. Potem wmawiała sobie, że ta rozmowa w ogóle jej nie obchodzi - co z kolei mijało się z prawdą.

Może jednak przydałyby mi się tabletki na rozbudzenie. Ciągłe zapominam, dlaczego powinnam trzymać Faroego na dystans.

Faroe znowu odwrócił się do Steele'a, odpowiadając na pytanie, którego szef nie zdążył zadać.

- Potrzebuję Aerospatiale nie tylko dlatego, że jest szybki. Amerykańska straż przybrzeżna używa tych helikopterów do poszukiwań i ratownictwa. Być może meksykańska marynarka wojenna nie otworzy do nas ognia, jeśli pomyśli, że w ten sposób rozpętałyby trzecią wojnę światową.

- A więc zdecydowałaś się na użycie siły? - zagadnął Steele.

Grace znieruchomiała. Wiedziała na temat St. Ki Idy dostatecznie dużo: użycie siły w sprawach związanych z kidnapingiem było ostatecznością.



- Nie - odparł Faroe. - Ale byłbym głupcem, gdybym nie przewidział takiej ewentualności.

- Jakie są inne opcje - dopytywał Steele.

Faroe zerknął na Grace.

- Musisz być w gotowości. Harley pokaże ci miejsce, gdzie będziesz mogła trochę się zdrzemnąć.

Długo wpatrywała się w Faroego. Potem pokręciła głową.

- Wezmę lekarstwa Steele'a.

- Im więcej ci powiem, tym bardziej na tym ucierpisz.

- A ty?

- Przyzwyczaiałem się. Chcę, żebyś miała siłę. Zaufaj mi.

- Ostatnim razem kiedy ci zaufałam, kazałeś mi się wynosić ze swojego życia.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, leki na rozbudzenie nie uratują ci posady - powiedział bezceremonialnie. - Niewiedza, owszem.

- Niewiedza? - Grace wybuchnęła śmiechem. - Jestem zamieszana w podłożenie bomby w Ensenadzie. Widziałam, jak mordują mężczyznę w gabinecie grozy Hectora Rivasa. Wielokrotnie i z wielką przyjemnością okłamałam agentów amerykańskiego rządu. A więc teraz, twoim zdaniem, jak duża jest moja niewiedza?

- No dobrze. Masz rację. Ale będzie coraz gorzej - uprzedził Faroe. - Wolałbym, żebyś nie cierpiała.

- Za późno. - Zdjęła buty. Skape światło w samochodzie wydobyło ciemne plamki na opalanej skórze. - Wciąż mam na stopach krew zamordowanego mężczyzny.

Harley natychmiast się poderwał, podszedł do zlewu, wrócił z mokrą szmatką i ukląkł przed Grace.

- Dziękuję, ale to niczego nie zmieni. - Spojrzała na Faroego. - Prawda?

Otworzył usta, zamknął je i powiódł kciukiem po policzku Grace.

- Przepraszam.

Odwróciła głowę, musnęła wargami jego palec.

- Dlaczego? Ty przecież tego nie zrobiłeś.

Steele obserwował ich zmrużonymi oczami. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Grace zwróciła się do ambasadora.

- Niepotrzebnie pan się fatygował. Joe i ja nie zamierzamy się nawzajem niszczyć. - Jeszcze nie. Ale jutro? No cóż, jutro to zupełnie inny dzień. - Poza tym jest już za późno, żeby nas rozdzielić. Potrzebuje pan Joego. I mnie. Jeżeli

łamiemy reguły, bo jesteśmy razem, to będziemy dla pana wyjątkiem od reguły, prawda?

Steele prawie przytaknął.

I prawie się uśmiechnął.

Wyraz twarzy ambasadora sprawił, że Faroe zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem czegoś ważnego nie przegapił.

## Rozdział 53

Szkoła Ali Saints  
Poniedziałek, 2.25

Lane otarł oczy, wmawiając sobie, że to pot, a nie łzy, zamazuje mu widok na ekranie komputera. Żałował, że nie potrafi w to uwierzyć.

Domek zatrzęsł się od kolejnego grzmotu.

Lane zwrócił uwagę na huk tylko dlatego, że to oznaczało, że wyszczekani strażnicy nie będą na niego pogwizdywali z okien. Ściśnięty głodem żołądek mocno zaburczał.

Chłopak wcale się tym nie przejął.

Nie mógł ryzykować i jeść dań nafaszerowanych narkotykami. Kiedy będzie wolny, zafunduje sobie pizzę z podwójną porcją kiełbasy, wielką jak stół i kawę. Wsadzi nos w pikantny sos i...

Potem.

Na razie musiał odkodować plik ojca.

Drugi klucz wcale nie był lepszy od pierwszego.

Na pewno coś robię źle. Zawroty głowy, głód i strach.

Skup się, powtarzał sobie zawzięcie. Przecież z zamkniętymi oczami łamałeś nie takie zabezpieczenia. To tylko kwestia koncentracji i czasu.

Na koncentrację nie mógł liczyć.

Czas mijał.

Weź się w garść.

Po prostu. Weź się w garść.

W małym oknie łazienki zajaśniała błyskawica. Lane nawet jej nie spostrzegł. Gapił się na ekran monitora, z palcami zawieszonymi nad klawiaturą.

Był roztrzęsiony.

# Rozdział 54

Brown Field  
Poniedziałek, 2.30

Grace i Steele usiedli w mikrobusowym barku. Naprzeciwko nich Faroe i Quintana konferowali nad mapą Baja California del Norte; dziennikarz zdobywał informacje na temat szkoły All Saints.

W głębi trzech operatorów sprawdzało broń i amunicję, ustawienia na komórkach i pagerach. Inwentaryzowali wyposażenie, które już leżało wokół samochodu. Pracowali efektywnie, szybko i spokojnie. Prześlizgiwali się przez małą przestrzeń między wózkiem inwalidzkim Steele'a i szafkami ze swobodą i wdziękiem, jak przystało na osoby wysportowane. Za każdym razem gdy przechodzili, zerkali na mapę, zwracając uwagę na wszelkie poprawki nanoszone przez Quintanę czy Faroego.

Grace odczuwała coraz większe zdenerwowanie. Wszyscy za bardzo interesowali się opcją, która powszechnie była uznawana za najniebezpieczniejszą.

Brutalna siła.

Grace położyła rękę na mapie. Obaj mężczyźni podnieśli głowy.

- Wiem, że powinnam się zamknąć, żebyście spokojnie wykonywali swoje zadania - powiedziała. - Ale nie mogę. Muszę mieć pewność, że nie przeoczyliśmy jakiegoś innego sposobu na uwolnienie Lane'a.

Faroe położył dłoń na jej ręce i splótł palce.

- Co, twoim zdaniem, pominęliśmy?
- Politykę.
- Czyją?
- Zaczniij od Hec torą - powiedziała, patrząc na Quintanę.
- Facet pali tyle cracku, że mógłby wysłać słonia na księżyc - stwierdził Faroe.
- Quintana elegancko wzruszył chudymi ramionami.
- Oby wypalił za dużo i szybko zdechł.
- Na jego miejsce znajdzie się ktoś inny - zauważył Faroe.
- To przekleństwo amerykańskiego rynku narkotykowego, który umacnia korupcję polityczną w Meksyku - odparł Quintana.
- Jakoś nie wyobrażam sobie, że Hector będzie się ubiegał o prezydenturę.
- Grace prychnęła z pogardą. - A właśnie taką politykę mam na myśli.
- Bardzo nieliczni *traficantes* przejmują się polityką - stwierdził Quintana.
- Myślą o niej tylko pod kątem: kogo trzeba kupić, żeby mieć święty spokój. *Traficantes* nie interesują się dyrektorem robót publicznych czy sekretarzem

edukacji na prowincji. Dla nich ważni są tylko gliniarze. Czują się bezpieczni, dopóki kontrolują policję.

- Nie zapominaj o wysoko postawionych urzędnikach, którzy wyznaczają ludzi na stanowiska kierownicze w policji - odezwał się Steele.

Quintana westchnął. Wyglądał jak ktoś, kto ma ochotę zapalić papierosa.

- Obsadzanie ważnych funkcji odbywa się w Mexico City. Dlatego tacy ludzie, jak Hector Rivas są właścicielami odrzutowców, które odlatują co tydzień z milionami dolarów gringo do skorumpowanych bossów w naszej stolicy. Kiedyś struktura władzy kraju była równie uzależniona od tych cotygodniowych wypłat, jak Hector od kokainy. I jeden prezydent skończył na wygnaniu, a jego brat w więzieniu.

- Ale teraz jest lepiej? - zagadnęła Grace.

Quintana się zawahał.

- Na najwyższych szczeblach jest lepiej, albo przynajmniej dyskretniej. Ale stróże porządku publicznego ciągle biorą łapówki. Szefem przemytników jest Hector Rivas. Czterech z jego kuzynów codziennie opłaca policję. Mówi się, że włączył w to też kilka swoich kuzynek.

- A co z dziećmi samego Hectora? - zapytała. - Ma dzieci?

- *Si*. Ale mało kto o tym wie. Mieszkają w Stanach Zjednoczonych ze swoją matką. On bardzo je kocha i często odwiedza. Nikt go jednak nie widzi przy przekraczaniu granicy.

- Są w Stanach, więc nie można ich wziąć jako zakładników - stwierdziła Grace z goryczą.

- To styl życia - powiedział Quintana.

- Na pewno - odparła. - Carlos Calderon zachowywał się tak, jakby to, że jego syn jest zapisany do All Saints, nie miało najmniejszego znaczenia.

- Och, to ma znaczenie. Ogromne. - Quintana ściągnął wargi. - Wyobraźcie sobie, że narkodolary to rzeka. Wpływa na pustynię i znika w ziemi. Ale niżej, pod powierzchnią nadal płynie, prawda?

Grace skinęła głową.

- Potem, setki kilometrów dalej, woda znówu wypływa. Carlos Calderon to właśnie miejsce, gdzie dolary pojawiają się ponownie. On nie należy do grupy *traficante*, on tylko ułatwia przepływ; jest jednym z głównych łączników między *traficantes i politicos*.

- Możemy to udowodnić? - zapytała Grace.

Faroe pokręcił głową.

- Nie mamy czasu na zbieranie dowodów sądowych.

- Ale mamy czas na przygotowanie ataku, który może doprowadzić do zastrzelenia Lane'a?

- Musimy brać pod uwagę wszystkie warianty. - Puścił jej rękę, oparł się na fotelu i ze zmęczeniem potarł twarz.

- Nie możemy jakoś wykorzystać politycznej potrzeby Carlosa, który chce zachować nieskalany wizerunek w oczach opinii publicznej? - nalegała.

Faroe sięgnął po filiżankę z kawą i opróżnił ją trzema dużymi haustami.

- Nie starczy nam czasu, żeby przekonać kogokolwiek, kto się liczy.

- Ale...

- Twój były mąż próbuje ocalić tyłek, dając federalnym z grupy zadaniowej prezent w postaci sprawy o pranie pieniędzy na wysokim szczeblu - powiedział zniecierpliwiony Faroe. - Cokolwiek mówi o Calderonie, jest niewiarygodne. Lane próbuje odkodować dane, które mogą się okazać najważniejszym dowodem współudziału Calderona. Chodzi o szlak, jakim przepływają pieniądze. Właśnie tego chce Hector, tak bardzo, że gotów jest zabić.

Steele bawił się joystickiem na wózku i zatrzymał wzrok na filiżance z kawą.

- Po co Ted Franklin miałby umieszczać takie informacje na komputerze nastolatka?

- Bo nie ufał własnym księgowym - odparł Faroe. - Ale przecież potrzebował zapisu przelewów pieniężnych, haseł, numerów kont i adresów banków. Setek, tysięcy szczegółów, dzięki którym można wyprać worki forsy.

- Gdzie te pieniądze wypłyną? - zapytał Steele.

- Jako fundusze na nabycie banku. Ted upchnął go Carlosowi, a ten Jaime'owi, który namówił wuja na zakup osobistej pralni pieniędzy - odparł Faroe.

Grace zerknęła na Quintanę.

- Masz jakiś atut do wykorzystania w rozmowach z Hectorem?

- Oprócz dubeltówki? - mruknął Faroe.

Quintana uśmiechnął się ponuro i skupił uwagę na Grace.

- Nie marnuj życia syna, próbując się spierać z ROG. Oni zabijają, bo mogą.

- Posłuchaj go, Grace - doradził Faroe. - Ilu zabójstw w związku z narkotykami dokonują rocznie w Tijuanie? - zapytał Quintanę.

- Pięćset, *mas o menos*. To bestie. Z nimi nie można się targować. Powstrzymasz ich tylko, jeśli dysponujesz przytłaczającą przewagą.

- A zanim przyjdzie ci do głowy, żeby odwiedzić senatora, kolegę Teda - powiedział Faroe do Grace - przemyśl następującą rzecz. Pod koniec XX wieku Amerykanie prowadzili śledztwo w sprawie prania meksykańskich pieniędzy. Detektywi udawali handlarzy narkotyków i wrobili pewną

liczbę meksykańskich bankierów. Klasyczna zasadzka. Meksykańscy bankierzy zostali zwabieni do Las Vegas i aresztowani. Chcesz zgadnąć, co się stało?

- Nie. Tak. Powiedz.

- W ciągu trzech dni cały meksykański establishment zwarł szyki. Amerykańskim agentom służb antynarkotykowych grożono aresztowaniami albo i gorszymi rzeczami. Nasz ambasador został odwołany. Amerykański prokurator generalny publicznie przeprosił za skandaliczne zachowanie.

- Dlaczego? - zapytała Grace obojętnym głosem.

Tym razem odpowiedział jej Steele.

- Meksyk potraktował całą sprawę jako atak na swoją narodową dumę. Administracja w Waszyngtonie ustąpiła, usiłując nie zaszkodzić kruchej strukturze finansowej w Meksyku. Nie trzeba geniusza, żeby sobie wyobrazić, co mógłby zrobić taki ustosunkowany człowiek jak Calderon, gdyby poczuł się zagrożony przez amerykańskiego senatora.

Grace zerknęła na Quintanę.

- A gdybyś zagroził Calderonowi zdemaskowaniem?

- Mogę zaatakować znanego *traficante*, na przykład Hectora Rivasa, i przeżyć. W moich relacjach są fragmenty pod publiczność, które ROG rozumie i często nieźle się nimi bawi. - Quintana uśmiechnął się lekko. - Ale nawet opancerzony wóz i kilkunastu ochroniarzy nie zagwarantuje bezpieczeństwa mnie, mojej rodzinie albo współpracownikom, jeżeli zaatakują ród Calderonów. Przykro mi.

Grace popatrzyła na Steele'a.

- Nie ma żadnych polityków, którzy przysliby z pomocą?

- To była moja pierwsza myśl - powiedział Steele.

- I?

- Szybko ją odrzuciłem.

- Za mało czasu, za dużo hałasu - wyjaśnił Faroe. - Właśnie dlatego przyjechałaś do St. Kildy, Grace.

Steele skinął głową.

- Czasami, żeby pozbyć się wężła, trzeba przeciąć go mieczem.

- Chociaż... - zaczął Faroe. Popatrzył na Quintanę. - Wiesz, gdzie w Stanach przebywa rodzina Hectora?

- Jedna osoba. Cóрка. Tak.

- Powinniśmy to wykorzystać - zasugerował cicho Faroe.

Przez chwilę słychać było tylko burczenie dieslowskiego generatora zasilającego światła samochodu.

- Nie - odparła z naciskiem Grace. - Poszukajmy innej drogi. Może Hector Rivas ma wroga, który chce wyrównać z nim rachunki, kogoś, kto chętnie by nam pomógł?

- Hector pozabijał wszystkich swoich wrogów i wielu przyjaciół - odparł Quintana.

- Twierdzisz, że w północnym Meksyku nie ma ani jednej osoby, która udzieliłaby nam wsparcia w walce z Hectorem i jego gangiem? - spytała z rozpaczą Grace.

Quintana zastanawiał się przez chwilę.

- Może... Ascencio Beltran.

- Beltran? - zapytał Faroe. - El Tiberón?

Rekin.

- Znasz go? - zapytał Quintana.

- Szesnaście lat temu był ważnym przemytnikiem marihuany. Potem gdzieś zniknął. Niektórzy twierdzą, że został zabity. Inni mówią, że siedział w więzieniu.

- On żyje - powiedział Quintana. - Mieszka w jedynym miejscu w Tijuanie, którego nie kontroluje Hector Rivas. Ani nikt inny. La Ciudadita.

Faroe uśmiechnął się dziwnie.

- Miasteczko w mieście. A niech mnie.

- Co to La Ciudadita? - zapytał Steele.

- Potoczna nazwa więzienia federalnego La Mesa, w południowej Tijuanie.

- Czy El Tiberón nam pomoże? - zapytał Faroe.

Quintana wzruszył ramionami.

- Najpierw musiałbyś przekonać do tego siostrę Maude.

- Kim ona jest? - zapytała Grace.

- Nieoficjalna święta La Mesa - wyjaśnił Faroe. - Zobaczysz się ze mną?

- Z nami - dodała natychmiast Grace.

- Nie chcesz oglądać więzienia La Mesa - stwierdził beznamyślnie.

- Czy my nie rozmawialiśmy już na ten temat? Co ochota ma wspólnego z tym wszystkim? Siostra Maude może lepiej potraktować twoje zamiary, jeśli przyjdiesz z kobietą.

- Racja - skomentował Steele. - Niektórych zadań mężczyźni nie są w stanie wykonać w pojedynkę.

Quintana dorzucił:

- Zadzwoń do siostry Maude.

Grace skrzywiła się, słysząc słowa Faroego.

# Rozdział 55

Brown Field  
Poniedziałek, 6.10

**D**o komputera Steele'a napływały kolejne obrazy, przekazywane z helikoptera do satelity i z powrotem, do San Diego. Steele zerknęła na zdjęcia i sięgnął po kodowaną komórkę.

Grace odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

- Joe jedź szybko i potrzebuje obu rąk, żeby prowadzić i pokazywać środkowy palec ludziom, którzy wchodzą mu w drogę. Mogę w czymś pomóc?

Steele się uśmiechnął. Im więcej widywał Grace, tym bardziej mu się podobała. Trudno nie darzyć sympatią kogoś, kto ma inteligencję i jaja.

- Przekaż Faroemu, że sytuacja w Ali Saints uległa zmianie.

- Lane? - zapytała schrypniętym głosem.

- Nie bezpośrednio.

Grace opadła na fotel z ulgą.

- Co? - krzyknął Faroe, żeby Steele go usłyszała.

Grace przystawiła mu telefon do ucha.

- Wood przesyła mi cyfrowe zdjęcia z helikoptera - poinformował Steele.

- Przez noc na boisku wyrosło miasteczko namiotowe. Aż się roi od uzbrojonych facetów; jest ich tyle, ile pszczoł w pasiece.

- A więc Hector posiada też armię, tak?

- Wierzysz w zbiegi okoliczności? - zapytał ironicznie Steele.

- Nie w ten. Ilu żołnierzy?

- Zbyt wielu. Wyrwanie stamtąd Lane'a musiałyby się odbyć bardzo spokojnie. Powolutku, cicho sza, bez wystawiania kłów i pazurów.

- Chopper jest za głośny - stwierdził Faroe. - Moglibyśmy markować lądowanie awaryjne, ale musielibyśmy się ostrzeliwać w drodze powrotnej. Aero-spaciale nie nadaje się do tego.

- Wood i Murchison badają wyciągi wodne. Jarrett i ty przeniknęlibyście do sił wroga, nosząc takie same mundury. My zapewnilibyśmy oczywiście wsparcie snajperów, ale gdybyśmy go użyli...

- To z cukru błyskawicznie zrobiłoby się psie gówno - dokończył Faroe. Zahamował, wcisnął klakson i odsunął się od idioty jadącego osiemdziesiątką po pasie szybkiego ruchu, który jednocześnie golił się i czyścił zęby nitką.

- Możesz pokazać te zdjęcia satelitarne w czasie rzeczywistym? - zapytał Faroe.



- Jeśli nie masz nic przeciwko wydaniu tysięcy...
- Wyдай je - przerwał Steele'owi. - Na mój koszt. Uzyskasz wystarczającą rozdzielczość, żebym rozpoznał poszczególne osoby?
- Nie, chyba że spojrzą w górę i pomachają na rozkaz.
- Czy satelitarne urządzenie lokacyjne Lane'a wciąż działa?
- Tak - powiedział Steele. - On się nie przemieścił.
- Daj mi znać, jeśli to się zmieni. Coś jeszcze?
- Twoja ostateczna opcja w zasadzie już nie wchodzi w grę.

## Rozdział 56

Wieżenie La Mesa  
Poniedziałek, 6.15

**S**trażnik na parkingu dla gości miał pistolet i policzył Grace i Faroemu dziesięć dolarów, bo przyjechali mercedesem. Strażnik przy bramce miał karabin maszynowy i policzył im dwadzieścia dolarów, bo byli gringo.

Kurier czekający na nich w bramie był bez broni i w ogóle nie chciał napiwku.

- *Por El Senor* ~ powiedział.

Niech będzie pochwalony.

Kurier miał czapkę Oakland Raiders i koszulkę z napisem Metallica, a jego postawa, wyrażająca nieśmiałość i godność, nasuwała skojarzenia z zachowaniem ministranta.

Poprowadził ich długim, wąskim korytarzem z drzwiami ze stalowych krat po obu stronach. Ukryci w cieniu więźniowie patrzyli na nich błyszczącymi oczami. Kilku zaczęło cmokać na widok Grace.

Zignorowała zaczepki.

- *Mucho peligroso* - ostrzegł kurier.

Bardzo niebezpieczni.

- Tylko jeśli się ich wypuści - powiedział Faroe.

Jakiś więzień syknął coś w jego kierunku.

Powietrze cuchnęło ściekami.

- Oddychaj przez usta - doradził cicho Grace.

- Żebym mogła rozkoszować się smakiem? W porównaniu z tym miejscem Terminal Island i Lompoc wyglądają jak uzdrowiska.

- Sama tego chciałaś.

Obeszła kałużę, która utworzyła się przy uszkodzonej linii kanalizacyjnej.

- Nauczę się czegoś.

- Tylko za pierwszym razem. Cokolwiek się dzieje, patrz do przodu i cały czas idź, jakbyś widziała takie rzeczy wiele razy i nic nie robiło na tobie wrażenia.

- Jak na tobie?

- Właśnie tak.

Kurier wyprowadził ich na główny dziedziniec wielkości dużej miejskiej ulicy. Nawet o tak wczesnej porze było tu tłoczno. Mężczyźni stali w grupkach, oparli o ściany albo palmy, palili papierosy, rozmawiali i czekali, że coś się zdarzy. Cokolwiek.

Betonowe ściany wokół dziedzińca były wysokie na trzy piętra. Po wybiegach krążyli strażnicy z karabinami i pistoletami szturmowymi, ubrani w brązowe mundury, w okularach przeciwsłonecznych i czapeczkach baseballowych.

Głównego dziedzińca nie pilnowali żadni strażnicy. Więźniowie byli pozostawieni samym sobie.

Grupa dzieci wybierała strony w jakiejś podwórkowej grze, ale na terenie więzienia La Mesa nie było żadnej szkoły. Najwyższy z dzieciaków dumnie ścisnął piłkę futbolową, bardzo sfatygowaną, brudną jak nawierzchnia dziedzińca.

Jeden z dzieciaków zauważył obcych i gwizdnął, żeby zaalarmować resztę. Grupa rozpadła się i dzieci pobiegły w stronę gringo, przepychając się łokciami. Krzyczały po hiszpańsku i wyciągały wysoko ręce, żądając pieniędzy albo błagając o nie.

Grace się zawahała.

- Nie. - Faroe wzięła ją za ramię. - Nic.

- Ale...

- Pamiętaj, ty już takie rzeczy widziałaś.

- To dzieci - wycodziła szeptem, cały czas patrząc przed siebie. - Dlaczego one są w więzieniu?

- Tutaj się urodziły.

Kurier obejrzał się na nich przez ramię.

- Szybciej - ponaglił Faroe.

Skierowali się do małego budynku przy głównym dziedzińcu. Prowizoryczny kościół był zbudowany z surowych betonowych bloków. Zardzewiały krzyż z pręta zbrojeniowego przywiązano drutem do drewnianych drzwi frontowych.

Kiedy dotarli do małego kościoła, Faroe rozluźnił uścisk na ramieniu Grace i zniżył głos, tak żeby tylko ona mogła słyszeć.

- Pamiętaj, *amada*, jesteś w więzieniu, ale z dala od cywilizacji. Tijuana to indiańska kraina San Diego. La Mesa to indiańska kraina Tijuany.

- Dziwne miejsce na kościół.

- Poczekaj, aż zobaczysz matkę przełożoną.

Kurier cicho zapukał do drewnianych drzwi, otworzył je i dał znak, żeby Faroe i Grace weszli. W środku przed rzędami zniszczonych drewnianych ławek stał ołtarz zdominowany przez ciemnoskórego gipsowego Chrystusa z rysami *indio*, w wielkiej koronie cierniowej, z torsem ociekającym krwią. Z boku, w niszy betonowej ściany, uśmiechała się pogodna, niezwykle piękna Matka Boska. Otaczały ją dziesiątki palących się świec. Powietrze było gęste od pełnego sadzy dymu.

Siwa kobieta w prostej spódnicy do kostek i niebieskiej bluzie z suwakiem kłęczała przy balustradzie ołtarza. Po kilku chwilach wstała i zwróciła się do przybyszów. Była wysoka, zgrabna i bardzo przyciągała uwagę mimo skromnego ubioru. Miała wystające kości policzkowe i duże oczy w kształcie migdałów, jak modelka z okładki. Niebieskie oczy wyraźnie kontrastowały z białymi włosami, które kiedyś były blond.

Grace jeszcze raz zerknęła na relikwiarz. Zakonnica była inspiracją dla artysty, który namalował Matkę Boską.

- Dzień dobry, niech Bóg was błogosławi - powiedziała kobieta czystą angielszczyzną. Pełnym wdzięku krokiem przeszła między ławkami. - Jestem siostra Maude.

Stanowczo uściśnęła dłoń Grace i miło się uśmiechnęła. Dała kurierowi znak, żeby odszedł, i zaprosiła gości do swojego mieszkania na tyłach kaplicy. Czajnik stał na fajerce kuchenki gazowej. Siostra Maude nalała wrzątku do trzech popękanych, wyszczerbionych kubków i wspaniała sproszkowaną kawę. Postawiła kubki na stole, wskazała krzesła z różnych kompletów i usiadła.

- Dimas Quintana uprzedził mnie, że nie macie dużo czasu - zaczęła. - Jak wam pomóc? Tu możecie mówić spokojnie. Tu jest dom boży.

Faroe rozejrzał się dookoła jak człowiek, który nie ufał znanym rzeczom ani na ziemi, ani w niebie.

- Proszę wybaczyć - powiedział - ale mieliśmy różne doświadczenia, jeśli chodzi o pośredników Boga na ziemi.

Siostra Maude przyglądała się gościom znad brzegu filiżanki.

- Kościół to instytucja ludzka, a zarazem święta. Zdarzają się błędy. Grzechy. Są sytuacje, kiedy nawet najgorliwsi chrześcijanie muszą ukrywać swoje zamiary przed siłami doczesnymi, które dążą do tego, żeby Bóg i jego wyznawcy ponieśli klęskę.

Przez kilka chwil Faroe przyglądał się siostrze Maude, a ona jemu.

- Musimy komuś zaufać - powiedziała Grace.

Uśmiechnięta siostra Maude wyglądała o dziesięć lat młodziej.

- O co chodzi, senora?

- Mój syn jest przetrzymywany jako więzień.

- Tutaj? - zapytała siostra Maude zaskoczona.

- Nie. Blisko Ensenady, w szkole All Saints.

- Przetrzymuje go Hector Rivas Osuna - dodał Faroe, uważnie obserwując zakonnice.

Na wzmiankę o Hectorze siostra Maude przestała się uśmiechać.

- On - powiedziała takim tonem, jakby rzuciła przekleństwo. - Często zastanawiam się, dlaczego Bóg nie uznał za słuszne, żeby Hector Rivas dołączył do naszej więziennej kongregacji. On ma tutaj wielu wrogów. Wątpię, żeby przetrwał choć jedną noc. A wtedy chętnie umyłabym jego ciało, jak umyłam wiele innych. - Westchnęła. - I zmówię różaniec sto razy za tę pozbawioną miłosierdzia myśl.

- Znam kapłana, który traktuje Hectora Rivas z wielkim szacunkiem - powiedział Faroe. - Zgodził się nawet być dozorcą Lane'a Franklina. To ojciec Rafael Magón.

Zakonnica odwróciła głowę, jakby chciała splunąć na podłogę.

- Niech się stanie wola boża. Ojciec Rafael Magón służy potworom. Dopóki szmuglerzy dają odpowiednie sumy na Kościół, pozwala im wznosić sanktuaria na cześć świętego *traficantes*, Jesusa Malverde, i Santa Muerte, świętego demona.

- Magón nie jest pierwszy - zauważył Faroe.

- Nie. Niezbadane są wyroki boskie. - Siostra Maude na moment skłoniła głowę. - Ale to, co robi ojciec Magón, przekracza wszelkie pojęcie. Służy mordercom wielkiego sługi bożego, kardynała Ocampo.

Grace zmarszczyła brwi.

- Słyszałam to nazwisko.

- Był kapłanem terenów pogranicznych; wszystkich: od morza do morza - powiedziała siostra Maude. - Został zamordowany na lotnisku Guadalajara w 1993 roku.

- Dlaczego? - zapytała Grace zszokowana.

- Kardynał Ocampo zaczął ujawniać *traficantes*, zwłaszcza ROG. Hector Rivas zaaranżował jego zamordowanie.

- Pamiętam ten... incydent - powiedziała ostrożnie Grace.

- Przeprowadzono gruntowne śledztwo - wtrącił Faroe. - Zarówno rząd w Mexico City, jak i Kościół w Rzymie oczyścili ROG z wszelkich zarzutów.

Policja federalna ustaliła nawet, że kardynał zginął przypadkowo, bo zabójcy pomylili tożsamość ofiary.

Ręce zakonnicy zadrżały z gniewu.

- Kardynał w limuzynie wzięty za konkurencyjnego przemytnika? Otwierają drzwi i przez pomyłkę pakują czternaście kul w czerwone szaty dostojnika kościelnego? - Wyprostowała się i spojrzała Faroemu w oczy. - Ale czasami Kościół musi ulec presji rządu. Hector Rivas jest na wolności i przyjmuje komunię. - Szybko się przeżegnała.

Faroe znał historię dostatecznie dobrze, żeby mieć pewność, że Kościół nie uległ presji ławo.

Ani na długo.

Siostra Maude ujęła ręce Grace.

- Jeśli Hector Rivas ma twojego syna, będę się za ciebie modliła. Poza tym nie mogę pomóc.

- Może nas siostra przedstawić Ascencio Beltranowi - powiedział Faroe.

- Na pewno tego chcecie? - Pokręciła głową. - Jeśli Hector Rivas jest diabłem, to Ascencio Beltran jest jego głównym rywalem w piekle.

Faroe się uśmiechnął.

- Oby wróg mojego wroga wiódł długie i owocne życie.

## Rozdział 57

Więzienie La Mesa

Poniedziałek, 6.25

**K**iedy Grace znów szła więzienną aleją, była przygotowana na gwizdy i pokrzykiwania.

Nie usłyszała ani jednej niegrzecznej odzywki.

Bez względu na to, za co zostali skazani, więźniowie szanowali siostrę Maude. Zdejmowali czapki, kiedy obok nich przechodziła. Niektórzy nieśmiało klękali przy kratkach i prosili o błogosławieństwo.

Faroe i Grace wyszli z głównego dziedzińca przez bramę pilnowaną przez dwóch tęgich mężczyzn w specjalnych uniformach do ćwiczeń i wysokich stetsonach.

- Witaj w rajku na ziemi - szepnął Faroe do Grace. - Prywatne apartamenty dla tych, których na to stać, albo mają dostatecznie dużą władzę fizyczną, żeby dysponować nieruchomością i nie płacić za nią czynszu.

Udali się za siostrą Maude do innej alei, z której było widać kilkanaście par drewnianych drzwi. Przypominało to trochę plac dla samochodów, ale bez miejsc parkingowych. Prymitywne budynki zrobione były z falistego plastiku i sklejki. Z prowizorycznych rur kapała woda i ścieki. Przewody elektryczne wiły się między apartamentami jak pomarańczowo-żółte spaghetti. Na drugim końcu alei, na trójnożnym stołku siedział mężczyzna.

Na kolanach trzymał karabin szturmowy.

- Pierwszy strażnik La Mesa, jakiego tu widziałam - powiedziała Grace.  
- To więzień - poprawił ją Faro. - Strażnicy rządzą na górze, dziedzinie to terytorium więźniów.

- Takiej formy zarządzania więzieniem jeszcze w Stanach nie wypróbowa-  
liśmy.

- Zdziwiłabyś się.

Siostra Maude poprowadziła ich do frontowych drzwi dwupoziomowej klitki z anteną telewizyjną na rogu. Zapukała i czekała. Po chwili do drzwi podszedł mężczyzna o ponurym wejrzeniu. Miał rudawe włosy i szeroką bliznę, która biegła od kącika ust do czoła.

Zakonnica zwróciła się do niego po hiszpańsku, pokazując Faroego i Grace.

Powiedział, że zapyta jefe i zamknął drzwi.

Otworzyły się po minucie. Rudy mężczyzna zaprosił ich do środka. Wnętrze było schludne i ładnie umeblowane, co zaskakiwało, biorąc pod uwagę niechlujny wygląd z zewnątrz. Na ścianie wisiał duży telewizor plazmowy. Właśnie leciała meksykańska opera mydlana; głównej bohaterce groziło wypadnięcie z obcisłego topu i złamanie nogi na kilkunastocentymetrowych szpilkach.

Siwy, brzuchaty mężczyzna z płaską twarzą siedział na skórzanej kanapie i gapił się w telewizor.

Rudy zniknął w krótkim korytarzu, który prowadził do innego pokoju.

- *Jefe* Ascencio - zaczęła siostra Maude.

Mężczyzna na kanapie podniósł rękę. Po kilku chwilach na ekranie pojawiła się reklama.

- Proszę wybaczyć, siostró, ale muszę zobaczyć, w jaki to piekielny problem wpakowała się moja słodka Amelia - powiedział z przekąsem Beltran.  
- Te biedne seksowne lalunie zawsze mają wielki kłopot pod koniec odcinka, jakby sądziły, że chcemy je oglądać nie tylko dlatego, że czasem zdejmą bluzkę.

Popatrzył na dwójkę Amerykanów. Zerknął na Grace bez cienia zainteresowania. Potem spojrzął na Faroego i chrząknął.

- Niektórzy gringo są bardzo odważni - zauważył. - A może myślałeś, że o tobie zapomnę, sukinsynu.

Faroe się uśmiechnął.

- Mało prawdopodobne, 7ę/e.

- Wy się znacie? - zapytała siostra Maude.

Beltran zacisnął grube wargi i skinął głową.

- To przez niego tutaj jestem.

- Hej, zaproponowaliśmy ci Terminal Island, a ty uciekłeś na południe - odparł Faroe.

Beltran ryknął śmiechem.

- To prawda, tam więzienia dla gringo są znacznie czystsze, ale dyrektor tutaj jest bardzo wyrozumiały. Strażnicy też. Płacę, a oni pozwalają mi żyć i pracować tak, jak chcę.

- Pracować? - zagadnął Faroe. - Myślałem, że Hector Rivas wykoślił cię ze świata przemytu.

- Rivas! - Stary człowiek splunął w stronę kosza na śmieci. - Ten drań próbował mnie zabić trzy razy. Mam jedną z jego kulek w głowie, a drugą w lewej nerce.

- Hector Rivas jest także naszym wrogiem - powiedział Faroe. - Zabrał tej kobiecie syna i grozi, że go zabije. Prosimy cię o pomoc.

Beltran podrapał się po brzuchu przez otwór w niedopiętej koszuli.

- Dlaczego miałbym wam pomóc? Nie jesteście moimi przyjaciółmi.

- Jestem wrogiem twojego wroga, a to czasami wystarczy - odparował Faroe.

Nachmurzony Beltran wskazał ręką skórzaną sofę, która stała prostopadle do jego kanapy.

- Wysłucham was, ale nie oczekujcie niczego więcej.

Grace i siostra Maude usiadły na sofie, a między nimi Faroe, który streścił okoliczności porwania, specjalnie pomijając szczegóły na temat tego, co miał Franklin, a czego chciał Hector.

- *Aiee, chingón.* Hector Rivas. Chłopaka zabije tak szybko, jak dorosłego. Wiele straciłem przez tego sukinsyna. On ma w kieszeni policję, *políticos*, armię, ciężarówki i tunele, i całą *plazę* do dyspozycji. A przede wszystkim Jaime'a, prawdziwego mózgowca. Brakuje chłopakowi jaj, ale... - Beltran wzruszył ramionami.

- Tunele? - zagadnął niedbale Faroe. - Te chińskie?

Beltran uśmiechnął się jak kot.

- Ósmy cud świata przestępczego, największa tajemnica ROG.

- Chińskie tunele zostały zamknięte dawno temu - powiedział Faroe.

- *Si*, ale Jaime je odbudował.

- Te zamknięte przez agencję do zwalczania narkotyków? - dopytywał z niedowierzaniem Faroe. - Te, którymi przerzucono czterdzieści ton kokainy?

- Jeden z tych tuneli, tak. Długi prawie na kilometr. Prowadzi z hurtowni wyrobów garncarskich w Meksyku do stajni rolnika w Campo, po drugiej stronie granicy.

Jeden z tych tuneli.

Faroe był zadowolony, że potrafi kontrolować swoją mimikę.

- Cóż, zablokowane tunele ani mi nie pomogą zabić Hectora, ani tobie wy dostać się z La Mesa i przeżyć.

- Jest jeszcze jeden - powiedział Beltran.

Grace popatrzyła na swoje ręce i modliła się tak, jak nigdy od czasu, gdy była trzynastoletnią dziewczynką.

- Otwarty? - zapytał Faroe.

- Jak *plaza*. Tak. - Beltran wyszczerzył zęby w uśmiechu; niektóre z nich, zrobione z nierdzewnej stali, błyszcząły. To był uśmiech bogatego człowieka, bo tylko zamożni mieszkańcy Tijuany mogli sobie pozwolić na dentystę.

- Gdzie on jest? - zapytał Faroe.

- Ach, to tajemnica.

- Ludzie, którzy go zbudowali, wiedzą, gdzie jest.

Tym razem uśmiech Beltrana był mroczny, z odrobiną szacunku.

- Jaki szybki. Byłby z ciebie dobry *jefe*.

Faroe czekał.

- ROG znalazł małą wioskę zamieszkaną przez górników, sprowadził pod strażą osiemnastu i wykorzystał do budowy dwóch tuneli - powiedział Beltran. - Potem ich zabił.

Siostra Maude przeżegnała się i mruknęła:

- Osiemnaście dusz.

- Niewinnych - dodał Beltran.

- Nawet jak na Hectora, to dużo ciał, które trzeba za jednym zamachem ukryć na pustyni - stwierdził Faroe.

- Pamiętasz masakrę sprzed trzech lat, mężczyzn w górach na wschód od Ensenady? - zagadnął Beltran.

- Byli członkami małego *ejido*, komunalnej osady - wyjaśniała siostra Maude Grace. - Uzbrojeni ludzie napadli na wioskę w nocy, zwołali wszystkich mężczyzn i wymordowali maczetami i karabinami maszynowymi. Nikt nie wiedział dlaczego. Założono tylko, że byli to przemytnicy albo hodowcy marihuany.

Beltran pokręcił głową.

- Wszyscy byli górnikami.

- Ludźmi, którzy wykopali te dwa tunele - dodał Faroe. - Ma to sens, jeśli jesteś Hectorem Rivasem.



Beltran znów uśmiechnął się z aprobatą.

- Kiedy odkryto pierwszy tunel, Hector myślał, że ktoś puścił parę z gęby. Żeby ochronić drugi, wysłał ludzi do wioski. Pluton egzekucyjny odwalił robotę. Jeden górnik przeżył.

- Niezła historia - przyznał Faroe. - Szkoda, że nie mogę jej zweryfikować, dopóki nie pogadam z facetem, który ocalał.

Beltran wybuchnął śmiechem.

- Potrzebuję dużo pieniędzy, żeby cię z nim skontaktować. Dla siebie, dla mojego kuriera, i dla biednego górnika, sam rozumiesz.

- Zrób to - powiedziała cicho Grace.

- Ile *jefe*? - zapytał Faroe.

- Milion dolarów, amerykańskich, oczywiście - rzucił Beltran. - Gotówką, ma się rozumieć.

- Milion dolarów? - Grace zaśmiała się ostro. - To szaleństwo.

- To niedużo za życie, jeśli to twoje własne życie... albo syna.

- Tylko handlarze narkotyków dysponują taką gotówką - powiedziała Grace.

- Albo spece od prania forsy - dorzucił Faroe.

- Nie mam dostępu do kont Teda. - Spojrzała na zegarek i próbowała przełknąć gorycz. - Nawet gdybym miała, nie dałabym rady zgromadzić takiej gotówki w niecałe sześć godzin.

Faroe ujął zaciśniętą rękę Grace i delikatnie wyprostował jej palce.

- Spotkanie z górnikiem musi być zaaranżowane natychmiast - zwrócił się Faroe do Beltrana. - Mam dostać kompletne i szczegółowe informacje o tunelu. Na osłode, jeśli dam radę, dorzucę do umowy Hectora Rivasa. Martwego.

Beltran przemyślał te warunki, potem skinął głową. Nawet jeśli Hector zabił chłopca, wciąż zostawały pieniądze z zaliczki, które Beltran mógłby zachować.

Dużo pieniędzy.

- *Si* - zgodził się siwowłosy starzec.

Faroe sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął złożony pakiet. Zręcznie rozprostował papier i podsunął go Beltranowi.

Brylanty bajecznie błyszcząły i lśniły.

- *Hijo de la chingada* - powiedział Beltran łagodnie, wręcz z szacunkiem. Potem, nie odrywając wzroku od mieniących się kamieni, zawołał: - Cesar, *andale!* Przynies tu lupę.

Beltran wziął zawiniątko z brylantami ze swobodą, która sugerowała, że przywykł do trzymania kamieni luzem. Wpatrywał się w lśniącą wstęgę białego ognia, który zebrał się jak drogocenne grudki na brzegu sita poszukiwacza drogocennych kruszców.

Rudy z blizną podszedł do drzwi salonu.

- *Sijefel*

- Prawdziwe? - zapytał Beltran.

Cesar popatrzył na kilkanaście kamieni w papierze i wytrzeszczył oczy. Nieświadomie oblizał wargi, potem spojrzął na Beltrana, na Faroego.

- Wow! - zawołał jak rodowity Amerykanin.

- Zapłaciłem ponad milion za ten pakiet w Ciudad del Este - powiedział Faroee. - Znam się na brylantach. A ty?

- Och, on się zna - odparł Beltran. - Był kiedyś kocim złodziejem, włamywaczem, czy jak ich się tam nazywa. W każdym razie, jubilerem.

Cesar podszedł z brylantami pod okno, podniósł roletę i ostrożnie położył papier na parapet. Podniósł jeden z kamieni i przysunął go do światła. Brylant był tak duży, że Cesar bez trudu obracał go w grubych palcach, które nadawały się raczej do duszenia.

- Masz dobre oko - stwierdził, oglądając kolejne kamienie z wprawą profesjonalisty. - Jeżeli pochodzą z Ciudad del Este, to pewno zostały wykopane w Brazylii albo przesz mugłowane z jakiegoś innego miejsca.

- Ile są warte? - Beltrana tylko to interesowało.

Cesar wzruszył ramionami.

- Zależy od popytu. - Podał pakiet Faroemu. - Ale musiałybyś być całkowitym *burro*, żeby nie dostać za nie milion dolców w Hongkongu.

Beltran zaczął coś mówić, ale przypomniał sobie o obecności siostry Maude i postanowił wyrazić tę samą myśl innymi słowami.

- Jestem w więzieniu w Meksyku. Jak mam zamienić tę śliczną kupkę błyskotek na pieniądze w Hongkongu?

- Skoro potrafisz ekspediować stąd wielokilogramowe przesyłki z haszyszem, to na pewno dasz radę zamienić brylanty na gotówkę - odparł spokojnie Faroee.

Beltran ściągnął usta i powiódł palcem po wąsach.

Faroee postukał w paczkę i czekał.

Starzec znowu dotknął wąsów.

Faroee zaczął wypychać pakiecik z powrotem do kieszeni.

- Zadzwońię do tego górnika. - Beltran wyciągnął rękę, żeby powstrzymać Joego. - Ale nie daję żadnej gwarancji.

Faroee spodziewał się takiej zagrywki. Otworzył pakiet, wybrał trzy kamienie i położył je sobie na dłoni.

- Oto warunki, jefe - powiedział. - Wynagrodzenie dostajesz ratami. Jedna część teraz, druga po doprowadzeniu górnika, a trzecia kiedy zlokalizujemy tunel. Górnik dostaje trzy najmniejsze kamienie; dwa, jeśli powie mi o tunelu,

i jeden, kiedy namierzymy oba końce przejścia. Ponieważ on wie, że ty jesteś w to zaangażowany, na pewno nie będzie mnie okłamywał.

Beltran zasznurował usta, popukał palcami w swój brzuch i w końcu sięgnął po brylanty na dłoni Faroego.

- Facet mieszka w górach - powiedział. - Mogę mu przekazać wiadomość, ale najbliższy telefon jest trzy kilometry od wioski. Jeśli górnik się zgodzi, dam ci znać.

## Rozdział 58

San Ysidro

Poniedziałek, 7.15

Faroe i Grace znowu przekroczyli granicę i wjechali do San Ysidro, a potem skierowali się na zachód. Jechali drogą Dairy Mart do błotnistych nizin Tia Juana River. Milczenie w samochodzie nie stanowiło dla nich problemu.

Grace wyprostowała się i pokręciła głową.

- Co? - zapytał Faroe.

- Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Co stoi na przeszkodzie Beltrano-  
wi, żeby zatrzymać brylanty i wystawić cię do wiatru?

- Chciwość - odparł Faroe. - Beltran chce reszty pieniędzy. Nie dostanie ich, jeśli nie sprowadzi górnika.

- Może cię wykiwać.

- Beltran?

- Tak.

- Nie jestem głupcem, Grace. Beltran też nie. - Faroe uśmiechnął się zimno. - On ma łeb na karku. I tak bardzo chce śmierci Hectora, że aż się ślini na samą myśl o tym.

- Naprawdę zamierzasz zabić Hectora dla Beltrana?

- Nie, chyba że będę musiał. - Faroe odruchowo spojrzął w lusterka. Nie zauważył nikogo. Pora zacząć się martwić. - Ale wiem, jak ten sprytny sukinyś Hector działa - dorzucił. - Więc raczej nie da mi wyboru. To skuteczny twardziel.

- Mówisz, jakbyś podziwiał takich ludzi, jak Hector.

- Podziwiam? Nie. To syf i malaria. Ale szacunek? Proszę bardzo. Hector i jemu podobni to współcześni wodzowie wojenni. Najpierw muszę przetrwać, potem zmiażdżyć przeciwników.

Grace się skrzywiła.

- Cywilizacja polega właśnie na tym, że nie trzeba codziennie stawiać czoło wodzom wojennym - dodał Faroe. - Ale fakt pozostaje faktem, że przeżywają tylko silni, szybcy i podli.

Chciała się kłócić.

Nie była w stanie. W ciągu ostatniego dnia napatrzyła się na zbyt wiele rzeczy, które potwierdzały jego słowa.

Półtora kilometra na północ od miejsca, gdzie cuchnący mały kanał Rio Ti Juana wpadał do oceanu, Faroe skręcił na mały, zadbane parking dla przyczep kempingowych, w którym więcej było miejsc wolnych niż zajętych. Ogrodzenie miało dziury, przez które mogłby wejść nawet słoń.

- Co to jest? - zapytała Grace.

- Parking dla przyczep.

Spojrzała na niego tak, jakby chciała go spalić żywcem.

- Własność St. Kildy - dodał z uśmiechem.

- Nie wygląda na zyskowne przedsięwzięcie.

- Bo nie jest. Poprzedni właściciel zbankrutował, ponieważ nocne przepływy szmuglerów i nielegalnych imigrantów odstraszały lokatorów. Nieliczni ludzie, którzy tu mieszkają, są mistrzami niezauważania niczego. I kropka.

- Wygodne.

- St. Kilda ma dużo takich małych, obskurnych posiadłości na całym świecie w miejscach, gdzie stykają się granice: albo oficjalne między krajami, albo mniej oficjalne, między chaosem i cywilizacją.

- Dzisiaj to posterunek - powiedziała, rozglądając się dookoła - a jutro pole, które trzeba będzie skosić.

- Prawdę mówiąc, nielegalni dbają, żeby było skoszone.

- Moglibyście naprawić ogrodzenie.

- Łatamy je regularnie.

Grace spojrzała na dziury i zrobiła powątpiewającą minę.

- Jesteś pewien, że to południowa Kalifornia, Stany Zjednoczone Ameryki?

- Całkowicie.

Używany wóz Quintany Blanco i dwa busy były zaparkowane w pobliżu samochodu Steele'a.

W rogu terenu stał helikopter. Obok niego znajdowała się jednostka startu naziemnego, której akumulatory właśnie się ładowały przez kable ze stanowisk użytkowych RV.

- Goście? - zagadnęła Grace nerwowo.

- Dowództwo i sterowanie w samochodzie Steele'a, arsenał i kwatera dla obsługi w jednym z busów, wywiad w drugim.

- Wywiad?
- Poprosiłem o kogoś, kto będzie monitorował co ciekawsze częstotliwości po obu stronach granicy, używane przez *federales*, policję stanową, operatorów ROG, FBI, DEA i strażników granicznych.
- Znasz częstotliwości radiowe, z których korzysta ROG?
- Faroe zaparkował mercedesa i zgasił silnik.
- Opisałem sprzęt, jaki widziałem w kryjówce, a technik z St. Kildy wyczął pasmo, na którym się porozumiewają.
- Oni tego nie kodują? FBI na pewno to robi.
- Jasne, ale kodowanie nie powstrzymuje takich gości, jak Randy, tylko ich spowalnia. A nawet zakodowany ruch może być pożyteczny. Mówi nam, że coś się dzieje, nawet jeśli nie wiemy dokładnie, co takiego.
- Garstka prywatnych operatorów podsłuchuje cały świat - podsumowała.
- Powinno mnie to niepokoić.
- Ale nie niepokoi, prawda? Już nie.
- Nie wiem czy to dobrze, czy źle.
- Daj mi znać, kiedy będziesz wiedziała. - Faroe rozłożył ręce na kierownicy i rozprostował ramiona. -A przy okazji pamiętaj, że St. Kilda Consulting nie jest w stanie toczyć wojny z siłami obywatelskimi. Po prostu możemy robić to, czego nie mogą robić rządy albo nie chcą z nieznanых powodów.
- Masz na myśli na przykład to, że mój eksmąż kpi ze stróżów porządku publicznego oraz wymiaru sprawiedliwości?
- Tak.
- Westchnęła.
- Czy to jest naprawdę aż tak proste?
- Zawsze jest takie proste i nigdy nie jest takie łatwe. Jak myślisz, dlaczego Stanom Zjednoczonym trudno ukrócić handel narkotykami?
- Według świra, którego miałam na rozprawie kilka miesięcy temu, dlatego że CIA i FBI zdobywają część swojego rocznego budżetu, spychając heroinę i crack do *gett* i *barrios*.
- Czy miał na głowie hełm z cynfolii, żeby trzymać obcych z dala od swojego mózgu?
- To była kobieta. I nie miała hełmu, chociaż z pewnością wyglądałby lepiej niż jej fryzura.
- Faroe pokręcił głową.
- Gangsterzy i politycy uwielbiają teorie spiskowe. Pozwalają one zabawiać masy i odwracać uwagę od tego, co naprawdę ważne.
- To znaczy?

- Jeżeli ukróćmy działalność *traficantes*, ryzykujemy przeobrażenie Meksyku w kraj upadły, jak Afganistan czy Somalia, tyle że te państwa są daleko stąd, a nasza granica z Meksykiem ciągnie się w nieskończoność.

- Skoro już mowa o cynfaliowych hełmach i wariackich pomysłach... - mruknęła Grace.

- Żałuję, że cynfolia nie wystarczy. Widziałem wiarygodne szacunki, że ponad połowa meksykańskiej gospodarki opiera się, bezpośrednio lub pośrednio, na pieniądzach z narkotyków. Bez forsy przemytników i nielegalnych pracowników na północy meksykańska gospodarka załamałaby się. A załamanie ekonomiczne równa się załamaniu kraju. - Faroe popatrzył na Grace, próbując odgadnąć, o czym ona tak bardzo intensywnie myśli. - Przymknięcie przemytników - podjął po chwili - doprowadziłoby do upadku meksykańskiego systemu bankowego, politycznego, gospodarczego. Kolesie, którzy rządzą w Waszyngtonie, znają się na makropolityce, a to jest makropolityka do trzeciej lub czwartej potęgi.

Grace westchnęła głęboko.

- Mów dalej. Tym razem słucham. Naprawdę.

- Pomyśl, administracja Clintona umorzyła dwa różne śledztwa, które prowadziły do samego centrum meksykańskiego systemu bankowego. Jedno dotyczyło prania brudnych pieniędzy przez kilkanaście największych banków Meksyku. Drugie było długie i miało udokumentować związki między elitami władzy Meksyku i narkotykowymi bossami.

Grace pomyślała o Calderonie.

- Co zrobił Meksyk?

- Zagroził, że jeśli Stany Zjednoczone nie wycofają się z tego śledztwa, będzie strzelać do amerykańskich śledczych jak do terrorystów intruzów. Zamknęliśmy akta naprawdę szybko. Od tamtego czasu wszyscy prezydenci dokonywali tych samych wyborów, tylko o wiele dyskretniej. Nikt, ani na północy, ani na południu, nie zamierza wykołajać meksykańskiej gospodarki, a każdy polityk, któremu podsuniesz mikrofon, potępia narkotyki i jest cholernie oburzony, jeśli ktokolwiek to zakwestionuje. Widziałas pokoje z pieniędzmi Hectora. Policz sobie.

- Na sali sądowej mówi się na to „współdział”. - Wpatrywała się w Farogo. - Ty nie zgodziłbyś się na współdziałanie w przestępstwie.

- Nie jestem rządem i nie mam rządowych problemów. Podobnie jak St. Kilda Consulting. I dlatego nie musimy nazywać porażki „odroczonego sukcesem”.

Zaśmiała się cicho, ochryple, wzięła kilka nerwowych oddechów i zmusiała się do tego, żeby nie patrzeć na zegarek.

- Gotowa? - zapytał szeptem Faroe.
- Jak mus, to mus.
- Właśnie to w tobie kocham - powiedział Faroe.
- Odpowiedzialność? Obowiązkowość?
- Odwagę.
- Odwagę! - Zniosła się śmiechem. - Jestem tak przerażona, że muszę zaciskać ręce, żeby mi się nie trzęsły.
- A mimo to wciąż robisz, co trzeba. I to, *amada*, jest moją definicją odwagi-

## Rozdział 59

San Ysidro  
Poniedziałek, 7.26

**B**us był bardziej zatłoczony niż o świcie. Quintana Blanco został posadzony przy stoliku i mówił cicho po hiszpańsku przez komórkę, robiąc notatki. Harley siedział naprzeciwko niego i też rozmawiał przez telefon.

Nowy agent przejął inicjatywę w ciasnej i małej kuchni. Ustawił stertę kilkunastu kanapek na długiej ladzie, która wyglądała jak miejsce pracy kucharza. Był szczupły, spalony słońcem, miał wygląd myśliwego albo kowboja. Jego wychudzoną twarz pokrywał siwo-czarny zarost. Mężczyzna otwierał paczki z mięsem, serem i chlebem za pomocą sztyletu z podwójnym ostrzem. Jego ruchy były oszczędne i precyzyjne, jak u innych pracowników St. Kildy.

- Są jacyś niezdarni ludzie w St. Kildzie? - zapytała Faroego.
- Niezdarni agenci nie przetrwają dostatecznie długo, żeby rozczarować się służbą dla rządu, zrezygnować z posady i dołączyć do St. Kildy.

Steele prowadził odprawę na tyłach samochodu. Na małej przestrzeni wcisnęło się jeszcze trzech agentów. Dwaj byli wysokimi, muskularnymi facetami z wyraźnie zarysowanymi mięśniami brzucha i klatki piersiowej pod koszulkami. Trzecim agentem była kobieta, na oko niespełna trzydziestoletnia, z długimi brązowymi włosami spiętymi w kucyk. Koledzy odnosili się do niej jak do przełożonej.

To jej Steele przekazywał informacje.

Kiedy podniosła głowę i zobaczyła Faroego, jej twarz złagodniała. Ale na krótko, potem znowu emanował z niej chłód profesjonalistki.

- Hej, Joe. Jak tam? - zagadnęła cicho.
- Cześć, Mary. Cieszę się, że tu jesteś. I wy też, Ciro, Jake. Grace, to Mary. Najbardziej opanowany snajper w branży. Ciro i Jake są zwiadowcami i osłaniają Mary.

Agentka wyróciła oczami.

- W twoich ustach to komplement, jak sędzę.
- Uścisnęła rękę Grace, energicznie, ale z rezerwą.
- Dotychczas nigdy nie poznałam żadnego snajpera, ani mężczyzny, ani kobiety - przyznała Grace.
- Może wcześniej kogoś takiego nie potrzebowałaś. - Uśmiech Mary był równie spokojny i zdecydowany, jak uścisk jej ręki.

Do rozmowy wtrącił się Steele:

- Joe zapomniał dodać, że Mary ukończyła z wyróżnieniem fizykę i literaturę na UCLA, i odeszła z amerykańskiej armii, kiedy nie pozwolono jej szkolić się w wybranej specjalności.
- Snajperami przeważnie są faceci - wyjaśniła Mary.
- Kiedyś tak samo było z prawnikami - zauważyła Grace.
- Krok po kroku, jeszcze ich załatwimy. - Mary uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Powodzenia, siostrzo!

Tym razem Faroe wyrócił oczami.

Steele złożył mapę topograficzną którą posługiwał się na odprawie.

- Jakież wieści?
- Nic. Wciąż czekamy na telefon od Beltrana - odparł Faroe.
- Dał temu rzezimieszkowi jedną trzecią miliona dolców w brylantach - powiedziała Grace - i obiecał dwa razy tyle, jeśli zostaną spełnione warunki.
- Nie martw się - odparował Faroe. - Twój rachunek nie będzie obciążony.
- Nie o to się martwiłam.
- Właśnie. Pytanie: czy to była mądra inwestycja? - zagadnął Steele.
- Nasza ostateczna opcja jest zdrowo popieprzona - powiedział Faroe.
- Beltran to jedyny pies w wyścigu, którego Hłector nie ma na własność, więc stawiam na niego.
- Prawdziwy pies - skomentowała Grace.
- Masz lepszy pomysł? - Steele uprzedził pytanie Faroego.
- Nie - odparła ponuro. Zamknęła oczy. - Ja... nie. Przepraszam. Och, Beltran już powinien zadzwonić.

Faroe wsunął rękę w jej włosy i delikatnie przyciągnął do siebie.

- Nie przepraszaj, *amada*. - Przecież miała rację. - Tak, powinien już zadzwonić. Do tej pory nawet utykający pies zdążyłby dojść od budki telefo-



nicznej do wioski i z powrotem. - Zerknął na Steele'a. - A ty? Masz lepszego psa do wyścigu?

Steele uśmiechnął się dziwnie do obojga. U kogoś innego wyglądałoby to czule. Steele'a trudno było rozgryźć.

- Monitory wywiadu odnotowały zwiększoną aktywność - poinformował Steele. - Wszystko kodowane, na pasmach używanych przez satelitarne komórki Rivas. Randy jest pod dużym wrażeniem ich programu szyfrującego. My znamy trzy poziomy. On pracuje nad czwartym. Sądząc po języku, jakiego Randy używa, idzie mu ciężko.

Faroe wymamrotał jakieś hiszpańskie przekleństwo.

- Niedobrze - burknął.
- Fakt. Gdybyśmy mieli więcej czasu...
- Ale nie mamy - uciął Faroe.

Steele skinął głową.

- Coś się zmieniło w ciągu ostatniej godziny. Tylko co? Jeśli zamierzasz wykorzystać informacje od tego górnika, to lepiej się pośpiesz.

- Coś w pasmach używanych przez funkcjonariuszy porządku publicznego? - zapytał Faroe.

- FBI i DEA są zakodowane - powiedział Harvey. - Natężenie ruchu wydaje się w normie, ale kto wie? Jest kilka lokalnych agencji, których częstotliwości są poza podejrzeniem. Cahill słyszał coś, co brzmiało tak, jakby konwój inwigilacyjny chciał zdobyć współrzędne siatki ulic w Chula Vista. Coś się święci, ale nie wiemy, czy złapaliśmy słonia za ogon czy za trąbę.

Grace odwróciła się w objęciach Faroego i spojrzała na pozostałych. Nikt nie mówił o śladach łez na jej twarzy.

- Spróbujcie wy badać, jakiej częstotliwości używaj *federales* w Tijuanie - powiedział Faroe. - To oni są kluczem. Hector ma ich na własność.

- Pracujemy nad tym - odparł Harley. - Gdybyśmy znaleźli coś istotnego, już byś o tym wiedział.

- Dobra, w porządku, zapomnij, że coś mówiłem. - Faroe powstrzymał swoją frustrację, świadomość, że upływają ostatnie godziny życia Lane'a, a on sam może co najwyżej zabrać karabin szturmowy do Ali Saints i umrzeć razem z chłopakiem. - Jeśli jest ruch, to coś się dzieje. Daj mi znać, jak się dowiesz.

Grace położyła rękę na rękę Joego i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Doskonale wiedziała, o czym myślał.

Ona myślała o tym samym.

Lane.

Sekundy pędzące na oślep.

Minuty, które już upłynęły.  
Zostało mniej niż pięć godzin, a czas mijał.  
Za szybko.  
Za mało czasu.

## Rozdział 60

Szkoła Al! Saints  
Poniedziałek, 7.31

Lane usłyszał kroki nowych strażników i po ich rozmowach zorientował się, że będą go wywozili. Szybko schylił się po telefon satelitarny i nacisnął klawisz szybkiego łączenia z Faroem.

Jeden dzwonek.

Odbierz.

Chwycił komputer i pobiegł do łazienki.

Dwa dzwonki.

Bądź tam. Boże, proszę, bądź tam!

Zamknął drzwi na klucz.

Trzy dzwonki.

Odkręcił prysznic.

Jak zawsze. Mogę się zwrócić tylko do mamy...

- Faroe - odezwał się głos.

- Przenoszą mnie - szepnął Lane.

- Nie słyszę cię, coś szumi. Zniź głos i nie szepcz.

- Przenoszą mnie - powtórzył Lane, walcząc z własnym głosem i strachem.

- Kiedy? Dokąd?

- Jak tylko skończę brać prysznic. Nie wiem dokąd, ale mam plik! Złamałem to gówno. Miałem stary klucz kodowy, beta tester, a oni użyli go prawie słowo w słowo w wersji 8.0.

W San Ysidro Faroe zdołał wyłowić z potoku słów wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że Lane odkodował plik.

- Dobra robota! Co jest w pliku?

- Dużo numerów, nazw banków i kwot w dolarach. Nic z tego nie kapuje.

Posłuchaj, przeczytam ci kilka. Jest data ósmy stycznia, potem Bank Vanuatu, dziesięciocyfrowa liczba i kwota dwa miliony trzysta tysięcy, na *Sparbuch...*

Faroe zamknął oczy i wizualizował dane. Ted Frankin użył zamorskiego konta, żeby przelać dużą sumę pieniędzy, potem przekonwertował ją i wpłacił na austriackie konto oszczędnościowe.

- ...i jeszcze jedna sześciocyfrowa liczba - dorzucił Lane - przeczytać?

*Sparbuchen* były anonimowe. Konta świetnie chroniono przed śledztwami związanymi z praniem brudnych pieniędzy.

- Nie, nie czytaj. Ile jest tam wpisów?

Lane starał się utrzymać telefon między uchem i ramieniem. Co chwila wycierał zaparowany ekran komputera.

- Z sześćdziesiąt. Nie, raczej ponad siedemdziesiąt. Niektóre wyglądają jak kopie.

Obejrzał się przez ramię. Strażnicy krzyczeli, żeby wyszedł.

- Jeszcze minuta. Muszę się wytrzeć! - wrzasnął po hiszpańsku.

Potem wcisnął klawisz na klawiaturze.

- Lane, co się dzieje? - zapytał Faroe.

Klawisz lekko podskoczył.

- Niecierpliwą się.

Ktoś zaczął walić do drzwi czymś twardszym niż pięść.

Chłopak chwycił twardy dysk komputera.

Drewno zostało rozłupane.

Wrzucił twardy dysk do jednej z głębokich kieszeni szortów cargo i zapiął rzep.

Drewno trzeszczało, aż zupełnie pękło.

Lane wepchnął wypatroszony komputer pod stertę mokrych ręczników. Kabel zasilacza sterczał jak flaga. Lane wyrwał przewód z gniazdka i schował go razem z komputerem.

Drzwi zadygotały na zawiasach.

- Idę! - wykrzyknął Lane, zakręcając prysznic jedną ręką, a drugą sięgając do zamka łazienki.

Drzwi zostały pchnięte tak mocno, że chłopak zatoczył się do tyłu. Potknął się i upadł. Telefon satelitarny wyrznął o sedes, odbił się od zasłonki prysznicza i wpadł do wanny.

Kopiąc, klnąc i wymierzając ciosy, Lane próbował się uwolnić od wyciągniętych ku niemu rąk. Dostał w twarz. Poczuł dudnienie w głowie, potem miał mgłę przed oczami.

Czyjś gruby męski głos wykrzykiwał komendy. Ten mężczyzna podniósł telefon.

- *Digame!* - zarządził.

Faroe nie zastosował się do rozkazu.

- Do kogo gadasz? - wrzasnął strażnik do Lane'a po angielsku.

- On się nazywa Ivegot Thedrive\* - krzyknął Lane w kierunku komórki. Coś huknęło go w głowę.

Świat rozbrzmiało odrażającym odcieniem czerwieni, potem przyblakł. Tu-  
kiej czerni Lane nie widział nigdy w życiu.

## Rozdział 61

San Ysidro

Poniedziałek, 7.34

**F**aroe wpatrywał się w telefon. Tylko wewnętrzna dyscyplina pozwoliła mu  
zwalczyć chęć rzucenia nim w ścianę.

Grace czuła, jak wielka wściekłość ogarnia Faroego. Odwróciła się do niego  
szybko.

- Lane? Chodzi o Lane'a?

- Nic mu nie jest - odparł szybko Faroe, mimo że wcześniej słyszał od-  
głosy walki i zdawał sobie sprawę, że chłopak jest okładany pięściami. Lanc  
był twardym młodym człowiekiem, już prawie mężczyzną. - Strażnicy gdzieś  
przenoszą Lane'a.

- Ma telefon przy sobie? - zapytał Steele.

- A ty zostawiłbyś mu telefon? - zapytał sarkastycznie Faroe.

Steele nawet nie raczył odpowiedzieć.

Ktoś z tyłu busa zawołał:

- Telefon satelitarny został na miejscu.

Faroe miał morderczy wyraz twarzy.

- Daj kogoś do zdjęć satelitarnych w czasie rzeczywistym.

- Po terenie kręci się za dużo ludzi, żeby uchwycić Lane'a - powiedział  
Steele. - Rozdzielczość jest kiepska.

- Mimo wszystko zrób to.

Grace obserwowała Faroego. Sprawiał wrażenie spokojnego, ale wyczuwa-  
ła w nim narastającą furję i frustrację. Nagle okręcił się na pięcie i wyrzucił  
pięścią w ścianę. Ciężki bus aż zadygotał.

Nikt się nie odezwał.

\* *I've got the drive* (ang.) - Mam twardy dysk (przyp. red.).

Wszyscy oprócz Steele'a i Grace cofnęli się na drugi koniec samochodu, dając Faroemu trochę miejsca.

- Mów do mnie, Joseph - powiedział cicho Steele.

- Jeśli zabiorą Lane'a z Ali Saints, pojedą do tej dziury Tijuany, a my w życiu go nie znajdziemy.

Nie dodał, że jeśli w ogóle go znajdą, Lane będzie martwy.

Ale nie musiał. Cisza, która nastąpiła, była aż nadto wymowna.

- Mamy jeden helikopter, jednego snajpera i dwóch lekko uzbrojonych strzelców - odezwał się w końcu Steele. - Nawet gdybyśmy dysponowali (rzy razy większą siłą rażenia, nie pozwoliłbym na atak powietrzny na szkołę, gdzie biwakują żołnierze.

Mina Faroego wskazywała, że to, co mówi Steele, jest dla niego oczywiste.

- Lane złamał zabezpieczenia pliku „Plaza” - powiedział. - Miałem rację. Ted przepuścił od pięćdziesięciu do stu milionów brudnych dolarów przez zamorskie konta firmowe, a potem sprytnie „zaparkował” forszę na austriackim rachunku oszczędnościowym. Nikt jej nie znajdzie bez tego pliku, nawet Ted.

- Innymi słowy, komputer jest kluczem do ogromnej ilości narkodolarów zawyrokował Steele.

- Był - poprawił go Faroe.

- A teraz?

- Przyszła pora, żeby odsłonić zakrytą kartę.

- Czyli? - zagadnął Steele.

- Ojciec Magón.

- A więc mu ufasz - wtrąciła się Grace.

Faroe uśmiechnął się niepewnie i odwrócił.

- Joe? - zagadnęła.

- Kiedy musisz korzystać z zakrytej karty, zaufanie staje się najmniejszym problemem - odparł.

## Rozdział 62

Ali Saints

Poniedziałek, 7.36

Ojciec Magón był ubrany raczej na boisko niż do konfesjonału. Luźne szorty, czarna koszulka i sportowe obuwie.

Może właśnie dlatego żołnierze nie zwracali na niego uwagi.

- Co wy wyrabiacie? - zapytał kolokwialną hiszpańszczyzną. Ten chłopak uczy się tutaj. Nie macie prawa.

- Z drogi! - krzyknął jeden z żołnierzy.

Lane był przewieszony przez ramię zwalistego żołnierza jak worek i przytrzymywany wielką łapą. W drugiej ręce mężczyzna niośł szkolną teczkę z pośpiesznie upchniętymi ubraniami.

Chłopak miał szeroko otwarte, wściekłe oczy. Rozcięty policzek zaczął puchnąć.

Magón stanął przed żołnierzem, który niośł zakładnika, i głośno zapytał

- Lane, jesteś ranny?

Chłopak wymamrotał coś, co brzmiało jak „nie, do cholery... pieprzone dupki Dwaj żołnierze chwycili Magóna i brutalnie odciaęli.

- Dokąd go zabieracie? - zapytał.

Żołnierze nie przerwali marszu.

Magón zaczął iść za nimi.

Jeden ze strażników odwrócił się i wycelował w niego z karabinu szturmowego.

- Trzymaj się z daleka. To nie ma nic wspólnego z Kościołem.

Magón zaczekał, aż żołnierze znikną z pola widzenia, potem odwrócił i wbiegł do domku. Część ubrań Lane'a leżała porozrzucana. Pościel na łóżku była w nieładzie. Roztrzaskane drzwi od łazienki zwiślały z jednego zawiniąt

Ksiądz zamknął frontowe drzwi i poszedł do łazienki. Zobaczył stertę mokrych ręczników, częściowo rozbite lustro, zerwaną zasłonkę prysznica.

W zasłonkę zaplątał się telefon komórkowy.

Magón podniósł go, obejrzał i nacisnął klawisz ponownego wybieraniu numeru.

- Kto mówi? - zapytał natychmiast jakiś mężczyzna.

- Sługa boży - odparł Magón. Rozpoznał głos Faroego, ale nie wiedział czy może swobodnie rozmawiać.

- Ojciec Magón? - zagadnął Faroe.

- Tak.

- Powinien ojciec nosić komórkę przy sobie. Właśnie łączy mnie z pocztą głosową. Z Lane'em wszystko w porządku?

- Trochę go poturbowali, ale to nic poważnego. Ostro kłął na żołnierzy kiedy go nieśli.

Faroe oparł się o ladę i omal nie wybuchnął śmiechem.

- Mam nadzieję, że nie rozumieją angielskiego slangu. Wiesz, dokąd go zabierają?

Pytałem. Zignorowali mnie. Nalegałem. Wycelowali we mnie karabin maszynowy. Wiem tylko, że żadne helikoptery nie odlatywały spod szkoły.

Pojazdy?

*Momentito*. - Podeszedł do frontowej części domku, która wychodziła na szeroką drogę prowadzącą do szkoły. - Właśnie wyjeżdżają trzy samochody poinformował. - Domyślam się, że w jednym z nich jest Lane.

Możesz się dostać do domku Lane'a tak, żeby nikt cię nie widział?

Właśnie jestem w środku.

Idź do łazienki. Lane korzystał z komputera, kiedy stamtąd do mnie dzwonił.

Magon szybko wrócił do łazienki. Potrząsnął zasłonką od prysznicza.

Natrafił na coś twardego i gwałtownie rozsunął rącz-

Mam - zawołał do telefonu.

Faroe uśmiechnął się drapieżnie.

Podłączony?

Nie, ekran jest ciemny.

Możesz go włączyć?

Magon nacisnął klawisz „start”. Komputer nie zareagował.

Nic działa - powiedział. - Chwilę. Widzę kabel.

Faroe niecierpliwie czekał, podczas gdy ksiądz zmagął się z zasilaczem.

Nic chce się uruchomić - warknął Magon. - Wsadziłem kabel do gniazda komputera, naciskam „start”, ale nic się nie dzieje,

On się nazywa Ivegot Thedrive.

-Spójrz na klawiaturę - powiedział Faroe. - W pierwszym rzędzie klawiszy funkcyjnych, nad numerycznymi, dokładnie pośrodku, jest taki przezroczysty klawisz.

-Widzę.

On zwalnia blokadę klawiatury. Naciśnij go teraz.

Magon wykonał polecenie.

Klawiatura została odblokowana.

Podnieś klawiaturę i zajrzyj do środka - instruował dalej Faroe. - Widzisz jakieś luźne kable albo brakujące elementy?

Magon podniósł klawiaturę i przyglądał się temu, co zostało.

Nie znam się na komputerach.

Faroe czekał, zmuszając się do regularnego oddychania.

W dolnym prawym rogu jest jakiś przewód luzem - poinformował Magon. To może być część modułu, który został wyjęty.

Cholera.

- Hm, to przydaje blasku tej aferze - zauważył Faroe. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale dla Lane'a to dobrze. Pozwolili mu zabrać bagaż?

- Małą torbę.

Faroe wypuścił powietrze z ust. Będzie musiał założyć, że Lane nadal ma twardego dyska.

Założenie jest matką wszystkich porażek, a matka ma wiele dzieci.

Musiał tylko mieć nadzieję, że żaden z tych bękartów nie jest jego.

- Pamiętasz pewien incydent sprzed kilku lat - zagadnął Faroe - kiedy w górach na południe od twojego domu dokonano egzekucji mężczyzn?

- Niestety, pamiętam kilka takich incydentów.

- Zabici mężczyźni pochodzili z miejsca, w którym się urodziłeś, albo z okolic. Byli górnikami, a nie *narcotraficantes*.

- Znam tę sprawę. Chodzi o członków plemienia Pai-Pai. Uprawiali tam ziemię. Wielu z nich prowadziło swoje własne, małe kopalnie złota. Siedemnastu ustawiono w szeregu i zamordowano. Nikt nie wie dlaczego.

- Hector Rivas, twój ulubiony parafianin, zamordował ich, żeby uchronić pewną tajemnicę. - Usłyszał, jak Magón spluwa na podłogę. - Tak myślałem

- stwierdził. - Jesteś tam w cywilu. Szpiegujesz dla Kościoła.

- Szpiegujesz i księża nie żyją w tym samym świecie.

- Niektórzy z nich tak. Na przykład ty. Założę się, że zbierasz dowody przeciwko ROG jako mordercom kardynała Ocampo.

- Bóg nie potrzebuje mojej pomocy. On już wie, która ze stron ponosi winę. Zapłacą za swoje grzechy w dniu Sądu Ostatecznego.

- Ale Kościół ziemski to inna sprawa - zauważył Faroe. - Musi przetrwać w okrutnym, wstrętnym, brutalnym świecie. A przetrwanie dane jest szybkim, silnym i podłym. Kościół ziemski uchwalił się dzięki wszystkim tym cechom.

- Do czego zmierzasz?

- Mógłbym zadzwonić do Hectora i twoje śledztwo diabli by wzięli.

- Dlaczego miałbyś pomagać Hectorowi Rivasowi Osunie?

- Nie pożyłby dość długo, żeby się tą pomocą nacieszyć. Podobnie jak Calderon i Ted Franklin. Słuchasz mnie, sługo boży? Jeśli Lane zginie, żaden z was nie będzie musiał czekać na Sąd Ostateczny. Ja wymierzę karę za grzechy popełnione i za grzech zaniechania. Rozumiesz?

- Zrozumiałem to już za pierwszym razem, kiedy zobaczyłem cię z Lane'em - odparł ojciec Magón. - Pomógłbym, ale nie mogę. Chłopak jest jedynie w zasięgu moich modlitw.



- Mam dla ciebie coś do zrobienia.
- Co?
- Przeleć się ze mną helikopterem do krainy Pai-Pai. Jeśli nie, zacznę się dogadywać z Hectorem.

Magón westchnął głośno.

- Zdaje się, że nie mam wyboru. Ale proszę, żebyś w miarę możliwości nie mieszał mnie w tę sprawę. Śmierć kardynała nie jest tu bez znaczenia.

- Tak samo jak śmierć Lane'a. Postaram się nie ubrudzić ci sutanny. Jedź do misji San Ysidro.

- To kościół tuż przy autostradzie Transpeninsular?

- Nie. Chodzi mi o ruiny. Miejsce, gdzie stał pierwszy kościół, a duchowni przez sto pięćdziesiąt lat usiłowali tam odseparować członków Pai-Pai od ich plemiennych wierzeń. Bądź tam za pół godziny.

Telefon umilkł, zanim Magón zdążył zapytać o cel spotkania.

## Rozdział 63

San Ysidro  
Poniedziałek, 7.39

Jak tylko Faroe przerwał rozmowę z Magónem, Steele powiedział:  
- Ascencio Beltran dzwonił na twoją komórkę. Rozmowa została przekierowana na moją.

Faroe chętnie by zapytał, od jak dawna funkcjonuje takie połączenie, ale miał na głowie pilniejsze sprawy.

- Numer?

Steele nacisnął klawisz POŁĄCZ.

- Kiedy ja będę rozmawiał - zwrócił się Faroe do Grace - każ Sturgisowi dać nam bezpośredni numer do Teda.

- Dlaczego? - zapytała.

Faroe już mówił po hiszpańsku do Beltrana.

- Kiedy spotykam się z górnikiem?

- To nie takie łatwe - odparł Beltran.

Nigdy nie jest łatwe.

- Jak bardzo będzie trudno?

- Górnik jest w miasteczku El Alamo - powiedział Beltran.

Dobrze, że nie w Cottonwood. Cudownie. Nie może być więcej niż tysiąc miejscowości o takiej nazwie.

- Gdzie to jest? - zapytał Faroe.
- W Trinity Valley.

Lepiej.

- Byłem tam. To właściwe miejsce, żeby znaleźć górników.
- Pod warunkiem, że chcą, żeby ich znajdowano. Mężczyzna, o którym mówiłem, nie życzy sobie zostać znalezionym, nawet przeze mnie.

- Nastraszyłeś go?

- Nie. Działiałem przez kuzynów kuzynów. On już jest bardzo wystraszony. Większość czasu modli się w rozmaitych wiejskich kościołach.

- A więc jest pobożny.

- *Aiee*, mógłby uczyć zakonnice, jak się kłęka.

Faroe był prawie uśmiechnięty.

- Mam helikopter. Potrzebuję łącznika, który spotkałby się z nami w pobliżu miasteczka i zabrał nas bezpośrednio do górnika.

- Na małym wzgórzu, kilometr na południe od miasta jest nieutwardzony pas startowy.

- Transport marihuany? - zagadnął Faroe.

- Jasne. Mieszkańcy wioski są przyzwyczajeni do hałasu helikopterów, awionetek i tak dalej. Nic sobie z tego nie robią. Mój człowiek będzie oczekiwał dużego wynagrodzenia.

- Nie wątpię. Nikt w Trinity Valley nie chce być widziany w towarzystwie gringo, który może być członkiem agencji do zwalczania narkotyków.

Beltran wybuchnął śmiechem.

- Dobrze pracować z kimś, kto rozumie pewne rzeczy.

- Twój człowiek dostanie porządne pieniądze. Górnik też. - Faroe zerknął na zegarek i dokonał w myślach szybkich obliczeń. Aerospatiale musiałyby lecieć na pełnych obrotach. - Przekaż swojemu człowiekowi, że będziemy za godzinę.

- Zgoda. Obyśmy wznieśli toast na grobie Hectora.

- Dla mnie super. - Faroe się rozłączył. - Coś się działo na telefonie satelitarnym, który dałem Lane'owi?

- Nic - padła odpowiedź z tyłu busa.

Faroe zerknął na Steele'a.

- Każ rozgrzać choppera.

Steele się zawahał.

- Nie mieliśmy czasu, żeby zapewnić zwyczajową osłonę dla helikoptera. Będziesz musiał cały czas lecieć tak, żeby nie wychwycił cię radar.

Faroe skinął głową. Niczego innego się nie spodziewał. Nacisnął klawisz PONOWNE WYBIERANIE na telefonie Steele'a, zapamiętał numer Beltrana i wpisał go do własnego telefonu, na wszelki wypadek. Robiąc to, usłyszał głos Grace. Instynkt podpowiadał mu, że Sturgis będzie grał na zwłokę.

- ...mamy coś, na czym Tedowi zależy bardziej niż na przeżyciu kolejnego roku - powiedziała.

- To już ja ocenię - stwierdził Sturgis.

- To ja jestem sędzią, pamiętasz? Dałam ci numer, na który miałeś zadzwonić. Teraz chcę bezpośredniego numeru do Teda...

- Niemożliwe.

- ...albo wyjaśnisz Tedowi, dlaczego zaprzepaściłeś szansę zdobycia komputera Lane'a - dokończyła, zagłuszając słowa prawnika.

- Legalnie działający członkowie grupy zadaniowej nie będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą, że przeszkadzasz im w śledztwie. Zdziwiłbym się, jeśli nie postawią ci zarzutów na szczeblu federalnym. Jeśli nie będziesz się ze mną konsultowała, zadbam, żeby żaden członek federalnej obrony w San Diego nie tknął twojej sprawy.

- Ale mnie przestraszyłeś - odparła zgryźliwie. - Chcesz udokumentowanej historii transferów pieniężnych Teda czy nie? Biorąc pod uwagę tempo, w jakim Ted wypala swoje komórki mózgowie alkoholem, wątpię, czy pamięta choćby połowę przeprowadzonych przez siebie transakcji.

- To nie twój problem.

- Ani twój. To problem Teda. Jeśli nie jest w stanie dostarczyć narkodolców kontrahentowi, to federalni nie odczepią się od niego.

- Masz te pliki?

- Tak - odparła bez wahania. - One interesują nie tylko ciebie i federalnych. *Traficantes*, którzy wyłożyli tyle pieniędzy, chcą mieć je z powrotem.

- Ted im odda.

- Nie odda, jeśli zostaną przejęte przez federalnych.

Faroe wstał i stanął blisko Grace. Przechyliła słuchawkę, żeby mógł słyszeć, co mówi prawnik.

- Zrozum, to nie pieniądze są tutaj problemem - stwierdził Sturgis. - Ted mógłby skombinować pięćdziesiąt milionów w mgnieniu oka.

- *Traficantes* też - odcięła się Grace. - Ale Hector nie może wyjść na *bur-ro* przed swoimi kumplami, dlatego musi mieć z powrotem bardzo określone pięćdziesiąt milionów dolców. Federalni chcą wszcząć proces o pranie pieniędzy na wysokim szczeblu tak samo, jak chcą tych pieniędzy. Nie ma zapisów transakcji, nie ma sprawy. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odparł nieszczęśliwym tonem prawnik.

- Dlatego Ted powinien nam pomóc w odzyskaniu tego komputera. Pomiń fakt, że Lane nadal myśli dobrze o Tedzie, kocha go i nie wie, dlaczego został opuszczony. - Wyras twarzy Grace sugerował, że ona sama niczego nie pominie, że Ted zapłaci za swoje. - Wszyscy dostajemy jedną jedyną szansę naprawienia tego, co spaliliśmy. Ted też. Dlatego daj mi jego numer, do cholery.

- Alternatywa?

Faroe wziął telefon.

- Jeśli Ted zdecyduje się zawrzeć układ z tą stroną, która pominie Lane'a, to już nie żyje. Podobnie jak ty.

- Grozisz mi? Myślałem, że jako spec od ochrony jesteś zimny i beznamietny - mruknął Sturgis.

- Jestem. Dlatego żyję, a ty będziesz się oglądał przez ramię.

- Chryste, facet, wyluzuj. W innych okolicznościach może bym cię polubił. Na pewno mógłbym ci znaleźć jakąś robotę.

- Numer do Franklina - warknął Faroe. - Szybko.

- Nie mogę. Tajemnica zawodowa i takie tam...

- Przywitaj się już z piekłem.

- Poczekaj. Zadzwoń do Teda. Przekażę, że macie pliki. Od niego zależy, czy zadzwoni pod numer, który dała mi Grace.

- Albo Ted kontaktuje się w ciągu najbliższych pięciu minut, albo wypada z gry.

- Ale...

Faroe zakończył rozmowę.

- No cóż, sędzio - powiedział szorstko do Grace. - Masz, czego chciałaś. Wreszcie jesteś w pełni stroną w sprawie, która może zahaczyć o spisek i morderstwo pierwszego stopnia. Co czujesz?

Bez słowa wstała i zniknęła na tyłach busa. Faroe poszedł za nią, po drodze chwycił kanapkę z tacy na ladzie i zjadł błyskawicznie.

Kiedy przeżuwał ostatni kęs, Grace wracała już z torbą. Podniosła ciężką skórzaną klapę i wyciągnęła czysty pistolet półautomatyczny z czarnej stali. Upewniła się, że broń nie jest odbezpieczona, potem ją odwróciła kolbą i podała Faroemu.

- Jest naładowany - powiedziała.

# Rozdział 64

San Ysidro

Poniedziałek, 7.44

Faroe odbezpieczył browninga Grace i pociągnął stopkę magazynka, żeby sprawdzić słowa Grace. Nastawił bezpiecznik i wysunął magazynek z kolby pistoletu. Okrągłe, mosiężne łuski dwunastu nabojów lśniły przez boczny otwór.

- Nie powinnaś ich tak przechowywać - powiedział. - Sprężyna magazynka przy pełnym załadowaniu mocno się nadwiera. Dwa ostatnie naboje mogą się nie wepchnąć do zamka.

- Ilu kul wymaga dobry strzał?

Faroe skrzywił się mocno.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli przekażę tę broń Harleyowi do wyregulowania?

- Nie, pod warunkiem, że w *zamian* dasz mi coś mniejszego. Browning zawsze był dla mnie za ciężki.

Faroe nacisnął intercom i poprosił Harleya. Łysy ochroniarz wynurzył się z części pojazdu zarezerwowanej dla Steele'a.

- Przyjrzyj się tej broni. - Faroe wręczył mu browninga. - Grace trzymała w nim pełny magazynek. Ona potrzebuje czegoś mniejszego.

Harley szybko na nią spojrział.

- Umie się pani posługiwać browningiem?

- Przeszkolono mnie w FBI - odparła. - Skoro miałam trzymać broń w domu, to chciałam znać instrukcję obsługi.

- Szkoda, że więcej ludzi nie ma takiego podejścia - mruknął Harley. - Proszę mi pokazać swoje ręce.

Wyciągnęła dłonie, rozstawiając palce.

- Mam dokładnie, co trzeba. Zaraz wracam.

- Co? - zapytał Faroe, patrząc na minę Grace.

- Jestem zaskoczona, że zgodziłeś się nosić broń.

- A ja jestem zaskoczony, że pozwalam Harleyowi przynieść ci nową.

- Wygląda na to, że ciągle się nawzajem zaskakujemy.

- Tak. - Faroe delikatnie potarł palcem jej podbródek. - Jeśli... kiedy Ted zadzwoni, chcę, żebyś z nim porozmawiała.

- Nie jestem pewna, czy potrafię go potraktować uprzejmie.

- Przynajmniej nie jesteś pewna. Ja na sto procent nie byłbym uprzejmy.

Prawie się uśmiechnęła.

- Co mu powiedzieć?

- Że jeśli chce plików komputerowych, będzie musiał spojrzeć w oczy Lane'owi. Ustalimy miejsce i czas, i damy znać. Zdobądź też numer dla wywołania zwrotnego, w razie gdyby nasze namierzenie zawiodło.

Zadzwonił satelitarny telefon komórkowy. Faroe zerknął na wyświetlacz i zawołał przez ramię:

- Harley, każ łączności to namierzyć. Natychmiast.

- Już się robi!

Faroe włączył tryb głośnomówiący.

- Domyślam się, że to Ted - mruknął do Grace. - Spróbuję trzymać się od tej rozmowy z daleka.

Telefon zadzwonił trzeci raz.

- Podtrzymuj gadkę, dopóki go nie namierzymy - dorzucił Faroe.

Wcisnął odpowiedni klawisz na telefonie i oparł się wygodnie, zachęcając Grace, żeby się odezwała.

- Halo - wymamrotała.

- Grace? - zagadnął Franklin. - Myślałem, że ten numer należy do gościa, który nazywa się Joseph Faroe. Pozwól mi z nim pogadać.

- Jeśli chodzi o Lane'a, Joe i ja mówimy jednym głosem.

Po drugiej stronie przez chwilę było cicho, potem rozległ się nieprzyjemny śmiech.

- Więc to z nim się pieprzyłaś, zanim wzięliśmy ślub - wycedził Franklin.

- Podziękuj mu, że zostawił tego kretyna pod moją...

- Już o tym rozmawialiśmy - przerwała mu Grace. - Byłam wierna po ślubie, w przeciwieństwie do ciebie.

- I to ma zrekompensować mi wszystkie te lata, pomoc, pieniądze, którymi cię obsypywałem?

- Na początku wносиłam swoją część, a o późniejsze finansowanie nie prosiłam. Ani o polityczną dywidendę, którą musiałeś wypłacić, żeby mi załatwić nominację. To był twój pomysł, nie mój. - Uśmiechnęła się lekko. - I wiesz co? Nawet nie będziesz już mógł wykorzystywać mojego stanowiska, bo złożyłam rezygnację.

- Co takiego?

Faroe miał ochotę zadać to samo pytanie.

- Złożyłam rezygnację, odeszłam, rzuciłam tę posadę, *adiós muchacho*. Należę już do historii - powiedziała. - Przekazałam podanie do prezesa sądu godzinę temu.

Zerknęła na Faroe'go, żeby zobaczyć jego reakcję. Wyglądał jak człowiek, który dostał pięścią w brzuch. Miała wrażenie, że upłynie sporo czasu, zanim

Joe pozwoli jej zejść z pola widzenia - zwłaszcza do łazienki, która znajdowała się obok faksu.

- Czy to dlatego, że wciąż zwlekają z nominacją dla ciebie w sądzie okręgowym? - zapytał Franklin. - To tylko tymczasowe...

- Nie - przerwała. - Kiedy Lane został porwany, przypomniałam sobie, co jest złotem, a co gównem. Być sędzią, bo ktoś skorumpowany pociągał za sznurki, to właśnie gówno.

- Pomyśl realnie - wysapał nerwowo Franklin. - Całe życie to polityka, włącznie z tą kryminalną sprawą. Nowy dyrektor FBI należy do Partii Dinozaurów. Nie przyjmuje żadnych wskazówek z Białego Domu. Ale wkrótce spuści z tonu. Możesz mi wierzyć. A wtedy cała chryja się skończy. Nawet Meksykanie podpiszą się na układzie, który przygotowujemy ze Sturgisem.

- Meksykanie? - zapytała Grace. - Masz na myśli Carlosa Calderona i Hectora Rivasa Osunę?

Franklin wybuchnął śmiechem.

- Mam na myśli Mexico City, Gracie, moja mała: najwyższy szczebel rządu. Oni nie mogą sobie pozwolić na międzynarodowe pranie brudów ich najbardziej wpływowych bankierów. Carlos ma wielkie wpływy w Mexico City i prawie takie same w Waszyngtonie, D.C.

- W Waszyngtonie? O czym ty mówisz?

- O byłym senatorze, Benie Carsonie. Zdecydował nie ubiegać się ponownie o wejście do Senatu, bo miał zostać oficjalnie zarejestrowanym lobbystą na rzecz Grupa Calderon. Płacą mu za to milion zielonych rocznie. Bardzo dobrze dogląda biznesu Calderona.

- A co z Hectorem? - zapytała Grace. - To on przystawia broń do głowy Lane'a.

- Hector Rivas Osuną? Cóż, nie mam dobrych wieści. On jest prawdziwym ciężarem. Kilku jego własnych ludzi chce go sprzątnąć.

- Czy to będzie przed czy po egzekucji Lane'a? - zapytała ironicznie.

Faroe się skrzywił. Jej głos mógłby zedrzyć skórę słoniowi.

- Nie histeryzuj, Gracie, moja mała - prychnął Franklin. - Hector nie zamierza zabić chłopaka. To by mu popsuło interesy. Jaime jest biznesmenem.

Grace zerknęła na Faroe i pokazała telefon. Wargi jej zbieleły, a palce były zaciśnięte jak szpony.

Faroe potrząsnął głową i poruszył ustami w niemym: Jeszcze nie".

- Tak, Jaime jest biznesmenem - odparła - ale Hector wydaje rozkazy. Może zabić tylko dlatego, że go znieważyłś. To nieodpowiedzialny narkoman i najpotężniejszy człowiek w Tijuanie.

- To tak jak być największą kupą w szambie - odparł Franklin. - On jest nikim.

- Król szamba przetrzymuje naszego syna. Hector to rodzinny człowiek. On nie umie sobie wyobrazić ojca, który nie poruszyłby nieba i ziemi, żeby uratować syna.

Przez głośnik dało się słyszeć grzechotanie kostek lodu w szklance. Franklin przełknął jeden łyk, potem drugi. Towarzyszyło temu lekkie, dzwiczne dzwonienie lodu o kryształ. Franklin wypił do dna, głośno wyssał kostkę, wypłuł ją do szklanki i westchnął.

- Cholernie mi przykro, że Lane jest w takiej sytuacji - powiedział w końcu. - To całkiem miły dzieciak, ale nawet gdyby miał moje DNA, i tak nie mógłbym mu pomóc. Może jego prawdziwy ojciec coś wykombinuje. Wyglądał na niezłego zabijakę.

Grace usiłowała wydobyć z siebie głos. Bez skutku.

To całkiem miły dzieciak, ale nawet gdyby miał moje DNA, i tak nie mógłbym mu pomóc.

Faroe pochylił się do głośnika.

- Tak. Na pewno jest ci przykro. W życiu nie zeskrobywałem sobie z butów takiego śmierdzącego gówna, jakim ty jesteś.

Franklin wydał taki odgłos, jakby się zadławił. Na chwilę stracił oddech i zaczął kaszleć.

- Faroe? Słuchałeś?

- Tchórza spisującego na straty dziecko? Jasne, słyszałem każde słowo.

- Myślisz, że będę przepraszał za prawdę, dupku?

- Przeprosiny od tchórza są nic niewarte. Nie użyłbym ich nawet do podarcia sobie tyłka.

- Hej, ty... - zaczął rozszłoszczony Franklin.

- Zamknij się - rozkazał Faroe głosem mordercy.

Zapadła cisza.

- Teraz słuchaj, bo od tego zależy twoje żałosne życie - powiedział Faroe.

- Mam wszystkie dane, które ukryłeś na komputerze Lane'a. Chłopak jest dobry. Zaoszczędził FBI trudu, sam włamał się do plików.

Franklin był zszokowany. Z trudem łapał oddech.

- Kłamiesz.

- Numery kont w Vanuatu i *Sparbuchen* w Wiedniu.

Milczenie.

Długie przełykanie.

„Cholera” wypowiedziane szeptem.



- Jeżeli nie damy rady zawrzeć układu - ciągnął Faroe - wszystkie informacje powędrują prosto do federalnych, a my weźmiemy dziesięć procent za znalezienie wypranych pieniędzy za narkotyki.

- To moje pliki!

- Myślisz, że federalni się tym przejmą? Gdy tylko dostaną dane, ty nie będziesz im potrzebny. Ani się obejrzyś, a już jakiś byczek w Lompos będzie do ciebie mówił „kochanie” i obrabiał twoją tłustą dupę.

Znowu zrobiło się cicho.

Szczęk kostek lodu.

Siorbnięcie.

- Za dużo pijesz - skomentowała złośliwie Grace. - Ale przy okazji pomyśl o jeszcze jednej rzeczy. Jeżeli Lane'owi coś się stanie, powiem Hectorowi Rivasowi Osunie, że prowadzisz rozmowy z federalnymi.

Faroe się uśmiechnął.

- Dobry pomysł, *amada*. Ted nie będzie musiał się martwić, że w więzieniu zostanie dziwką. Hector ma strzelców w Logan Heights. Jeśli ja nie dopadnę Teda pierwszy, oni to zrobią. Tak czy owak, jest trupem.

Znowu przełykanie.

Znowu szczęk kostek lodu.

- Przestań chlać. Zrób coś użytecznego - syknęła zimno Grace. - Weź się w garść.

- Pieprz się - odparował Franklin.

- Już to robiła - warknęła Faroe.

Znowu chwila milczenia.

- Dobra, dobra - mruknął Franklin. - Była przydatna, ale to już koniec. Czego ode mnie chcesz?

- Bądź w każdej chwili gotowy do podróży na południe - powiedział Faroe.

- O nie. Nie ma mowy. Mogę współpracować, ale do Meksyku nie wyjadę.

- Zrobisz, co ci każemy - oznajmił Faroe. - Jeśli dopisze nam szczęście, żadne z nas nie będzie musiało opuszczać Stanów.

- A co z FBI? - zagadnął z niepokojem Franklin.

- Zwódcz ich jeszcze przez kilka godzin.

- Ale...

- Zrób to, bo inaczej zginiesz - odparł bezlitośnie Faroe. - Wybór należy do ciebie.

- Ja... Boże... OK. Dobra.

# Rozdział 65

Tereny na północ od Ensenady

Poniedziałek. 8.30

Helikopter leciał wprost do zielono-brązowego zagłębienia na wzgórzu, potem gwałtownie się przechylił i jego światła błysnęły nad płaskim łądowiskiem tuż za prostokątem walących się murów. Wyblakła od słońca trawa w ruinach pochylała się od gwałtownych podmuchów powietrza. W końcu pilot zawiesił maszynę osiem metrów nad ziemią i zaczął sztywno opadać na ziemię.

Faroe odetchnął. Był zadowolony, że Steele namówił Grace, żeby została w San Ysidro na wypadek, gdyby znów zadzwonił Franklin albo nawet Lane. Cały lot odbywał się szybko i w szalonych warunkach.

I nisko.

Naprawdę nisko.

Lecieli tuż nad ziemią, żeby uniknąć radarów meksykańskiej kontroli powietrznej.

Na razie wszystko szło dobrze.

Czarna toyota forerunner stała w cieniu karłowatego dębu w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się frontowe drzwi kościoła misyjnego. Ubrany w dzinsy, guayaberę i kapelusz panama z szerokimi kresami, ojciec Magón opierał się o przedni zderzak wozu. Przytrzymując kapelusz jedną ręką, pomachał drugą w kierunku wirujących śmigieł.

- Przypomina raczej *campesino* niż księdza - stwierdził pilot.

- Powinienem mu powiedzieć, żeby założył sutannę. Ale on wie, czego chce, i zna Indian Pai-Pai. Najwyraźniej uznał, że szybciej załatwi sprawę w cywilnym ubraniu.

Pilot zmniejszył moc silnika. Ciężkie śmigło zwolniło obroty.

Faroe odpiął pasy, odłożył tłumiące hałas słuchawki z mikrofonem, dzięki którym pilot i pasażerowie mogli się komunikować. Otworzył drzwi. Chwilę później był na suchej ziemi i uciekał spod wirującego, śmiercionośnego parasola choppera.

- Cieszę się, że jesteś. - Ucisnął rękę Magónowi. - Chodźmy. Mamy mało czasu.

Jak tylko obaj przypięli się pasami, chopper znów wzbił się w powietrze.

Faroe postukał w swój zestaw słuchawkowy i dał Magónowi znak, żeby on założył drugi.

- Spotka się z nami kurier Beltrana, kuzyn kuzyna kuzyna - powiedział Faroe. - On zna miejscowy dialekt.

- Ja też - odparł Magón. - Jak się domyśliłeś, urodziłem się w tej wiosce. Ale Hector o tym nie wie. Myśli, że jestem *chilango*, który wkurzył kardynała.

Faroe się uśmiechnął.

- Naprawdę myślisz, że ten górnik będzie ryzykował życie, żeby ci pomóc? - zapytał Magón. - Bo jeśli Hector dowie się o naszym spotkaniu, wszyscy zginiemy.

- Fakt - odparł sucho Faroe.

Wepchnął rękę do kieszeni dżinsów i wyjął irchowy woreczek wielkości dłoni. Delikatnie, chroniąc zawartość przed wstrząsami, rozsunął sznurki.

Wysypał na dłoń drogocenne klejnoty, które przypominały cieniutki strumień białego ognia i zabłyśły w świetle popołudniowego słońca, zanim Faroe zamknął je w pięści. Wyciągnął rękę w kierunku księdza. Magón od razu nadstawił dłoń.

Faroe wsypał mu dwanaście brylantów. Większość z nich była w kształcie ziaren grochu albo fasoli. Jeden brylant miał rozmiary męskiego kciuka.

- Prawdziwe? - zapytał Magón.

- Prawdziwe jak śmierć. Pięćset tysięcy jankeskich dolarów w postaci łątwoj do przeniesienia. Masz tu woreczek. Będziesz musiał w czymś przechowywać te kamienie.

- Ale dlaczego dajesz brylanty mnie?

- Ubogiego górnika wystraszyłyby jeszcze bardziej niż perspektywa śmierci. Ciebie bogactwo nie onieśmiela. Weź je, zamień na gotówkę i pomóż rodzinom tych siedemnastu zabitych, i temu, który przeżył.

- A w zamian za to?

- Tunel.

Magón zmrużył oczy i przeniósł wzrok z brylantów na Faroego.

- Nie martw się, *padre*. Nikogo dla tych brylantów nie zabiłem.

- Taka myśl przyszła mi do głowy.

- Na nich nie ma na razie krwi. - Faroe uśmiechnął się blade. - Nie żeby kościelne klejnoty zawsze były czyste...

Magón smutno pokręcił głową.

- Jesteś cynikiem.

- Realistą. No, więc jak? Przekonasz górnika, żeby nam pomógł?

Magón długo wpatrywał się w brylanty.

- El Alamo nie ma studni. Od tego można by zacząć. - Popatrzył na Faroego. - Bardzo szczodra zapłata. Górnika na pewno dałoby się przekonać za wiele mniej. Może nie jesteś aż takim realistą, za jakiego się uważasz.

Faroe nic nie powiedział.

Kapłan przechylił rękę, tak że poranne słońce oświetliło brylanty, zamieniając je w ogniasty blask. Powoli wsypał kamienie do irchowego woreczka, starannie go zawiązał i wepchnął głęboko do kieszeni dżinsów.

- Zrobię, co będę mógł - zadeklarował.

- I tyle chcemy. Nawet Bóg nie mógłby domagać się więcej. Przywiozłeś obrozę dla psa? Mogłaby pocieszyć biednego drania, którego prosimy, żeby narażał swoje życie?

- Nie. Tylko to.

Magón włożył rękę pod bawełnianą koszulkę i chwycił ciężki, złoty łańcuch, który nosił na szyi. Z łańcucha zwisał wspaniały, barokowy krucyfiks ze złota, prawie tak samo duży, jak dłoń księdza.

- Złoto, z którego zrobiono ten krzyż, wykopano w El Carrizo sto lat temu. Jest dobrze znany wśród członków plemienia Pai-Pai. Nosił go jeden z ich umęczonych przywódców. Mój prapradziadek.

Faroe spojrział na zabytkowy krucyfiks i miał nadzieję, że okaże się wystarczającym argumentem.

## Rozdział 66

El Alamo  
Poniedziałek, 8.58

**B**eltranowski kuzyn kuzyna kuzyna okazał się chudym mężczyzną o imieniu Refugio. Wyjechał im na spotkanie na nieutwardzony tor w czarnym dodge'u pikapie, który lśnił mimo warstwy kurzu.

Faroe rozpoznał w nim typowego przemytnika. Refugio miał typowe ostre rysy Indianina. Dwie połówki jego wąsów, które nie spotykały się nad górną wargą, opadały wstęgami na kąciaki ust. Był ubrany w stylu *jalisqueno* - kowbojskie buty, dżinsy, koszula marki Wrangler i przepocony stetson z kitką na tylnym skrzydle.

Miał przy sobie półautomatycznego colta, naładowanego i zablokowanego.

Lufa tkwiła zatknięta za ozdobny, skórzany pas. Pistolet był równie ważną częścią Refugia, jak jego kapelusz, noszony w równie zawadiacki sposób.

Faroe uściśnił mu rękę delikatnie, po meksykańsku, a nie stanowczo jak wyluzowani gringo. Jednak kiedy przemówił po hiszpańsku, był bezpośredni jak każdy jankes.

- Mamy bardzo mało czasu, żeby uratować życie chłopca. - Dał wszystkim znak, żeby szli w kierunku wozu. - Co możesz mi powiedzieć o górniku?

- Nazywa się Paulino Galindo - odparł Refugio. - Jest bardzo przerażony. Przeżył większość ostatniego roku w starym szybie kopalnianym. Przynosiłem mu jedzenie, ale dopiero niedawno go przekonałem, że przeprowadzka do domu, do którego cię zabieram, będzie bezpieczna.

- A więc ty i Beltran trzymacie tego asa w rękawie od jakiegoś czasu - zauważył Faroe.

Refugio się uśmiechnął.

- Oczywiście. Paulino jest dla tutejszych ludzi symbolem. Wiedzą, ile wycierpiał. Uważamy, że przyda nam się wsparcie wioski, bo wielu mieszkańców uprawia świetną marihuanę sinsemilla.

- Taa - mruknął Faroe. - Rozumiem, dlaczego Beltran chce, żeby jego informatorzy byli zadowoleni.

Refugio spojrział z ukosa na Magóna.

- Naprawdę jesteś ojcem Magónem? Czy powinienem mówić o tych rzeczach poza konfesjonałem?

- Tak, jestem ojcem Magónem. I nie osądzam surowo żadnego z tych ludzi. Oni po prostu próbują przetrwać na terenach posiadanych przez moźnych tego świata. Biedakom zawsze tylko to pozostaje.

- Co za szczęście, że przyjechałeś - powiedział Refugio. - Paulino ufa tylko Kościołowi, nikomu innemu, nawet mnie. Ty będziesz kluczem do jego zamka.

Faroe miał taką nadzieję.

Kiedy Magón wsiadł do samochodu, dotknął złotego krzyża na szyi. Przed nim nosili go inni ludzie i krzyż pokrył się patyną ich potu. I jego potem.

Jazda była krótka, droga wyboista. Dom Galinda stał ukryty sto metrów od ścieżki, w zagajniku zakurzonych zielonych dębów. Wyglądał jak forteca, zbudowany z okrągłych głazów z koryta pobliskiego strumienia. Kamienie tworzyły grube ściany. Okien było tu niewiele i przypominały raczej szczeliny strzelnicze.

Zaparkowali w odległości kilkudziesięciu metrów i dalej ruszyli na piechotę. Faroe zauważył, że Refugio robi tyle zgiełku, ile maszerująca orkiestra *mariachi*. Najwyraźniej chciał uprzedzić Galinda, że do jego kamiennej fortecy zbliżają się przyjaciele, nie wrogowie.

Mimo to każdy ich krok na ścieżce śledziła lufa długiej dubeltówki.

- Paulino, tu Refugio! - zawołał w lokalnym dialekcie, kreolskiej mieszance Pai-Pai i hiszpańskiego. - Przyprawiam ci księdza. Widzisz jego krzyż? Magón wyciągnął krucyfiks.

Lufa przesunęła się, potem zniknęła.

Po kilku chwilach grube drewniane drzwi otworzyły się i stanął w nich mały, przygarbiony człowiek w przybrudzonych dżinsach i T-shircie z logo mundialu. Na głowie miał szopę pokrytych kurzem czarnych włosów, a w rękach kurczowo ścisnął dubeltówkę. Długo przyglądał się nieznanym, a w szczególności krzyżowi Magóna.

W końcu Galindo odłożył dubeltówkę.

Refugio kordialnie uściśnął filigranowego górnika, potem przedstawił mu Faroeo i Magóna, w stosunku do którego użył grzecznościowego tytułu *el padre*. Galindo nie odrywał wzroku od krucyfiksu na szyi księdza.

Widząc niedowierzanie i podziw w oczach starca, Faroe zrozumiał, że dla górnika ten krzyż stanowi coś więcej niż symbol chrześcijańskiej wiary.

Galindo szybko zagadał do Refugia.

Zanim Refugio zdążył przetłumaczyć dialekt na bardziej zrozumiałą odmianę hiszpańskiego, Magón zdjął ciężki łańcuch z szyi i wręczył górnikowi. Galindo z wahaniem wziął krucyfiks. Oglądał go w porannym świetle, potem powoli odwrócił, żeby zobaczyć próbę.

Galindo wyszeptał kilka słów, przeżegnał się i spojrzał na Refugia.

- Słyszałem o tym krucyfixie.

Magón skinął głową, nie czekając na tłumaczenie. Dawno nie używał tego dialektu, ale nie zapomina się języka dzieciństwa.

- Pochodzę z tutejszych gór. Prawdopodobnie twój dziadek znalazł złoto, z którego wykuto ten krzyż.

Faroe był wdzięczny Refugiowi za ciągły komentarz po hiszpańsku. Przynajmniej jeśli chodziło o tłumaczenie, wiedział, że może ufać człowiekowi Beltrana.

Górnik z czcią ucałował krucyfiks. Potem zwrócił go Magónowi i wylał potok słów.

- On mówi, że skoro pochodzę z gór, to wiem, jakie są niebezpieczne - przetłumaczył Magón. - Jeśli wy, ludzie z zewnątrz, znacie jego tajemnicę, to reszta świata też może wkrótce ją poznać. A wtedy on będzie musiał wyjechać, może do jakiegoś bezbożnego miejsca, na przykład do Chile, gdzie ludzie umierają w kopalniach miedzi od kwasu w powietrzu.

- Przekaż, że rozumiem jego obawy - odparł Faroe. - I powiedz, że boję się o mojego syna, któremu zostało tylko kilka godzin życia.

Magón położył rękę na ramieniu Galinda i rozmawiał z nim szczerze przez kilka minut. Faroe rozumiał tylko fragmenty. Refugio pomógł mu zrozumieć resztę.

Wszystko stało się jasne, kiedy Magón wyciągnął irchowy woreczek i wysypał brylanty na rękę Galinda.

Refugio aż zasapał, jakby się modlił albo składał przysięgę.

- Powiedziałem Paulinowi, że będą należały do niego i do siedemnastu rodzin, które straciły bliskich - oznajmił Magón Faroemu po angielsku. - Obiecałem, że pomogę im stworzyć dzięki tym kamieniom nowe życie, pozbawione strachu.

- Uwierzył?

Magón wzruszył ramionami.

- Być może.

- A ty? - zapytał Faroe.

- Przynajmniej tak samo, jak on.

- W takim razie powiedz mu, że jeżeli pokaże nam oba końce tunelu, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby Hector Rivas Osuna nie przeżył i nie mógł go dopaść.

- *Aquí?* - Galindo zapytał po hiszpańsku. Potem zaskoczył Faroego dodatkowym komentarzem w prymitywnej odmianie Spanglish. - Tutaj? *En Mexico? Nunca.* Nie, nie, *hombre.* Nie ma szans.

- Właśnie dlatego potrzebujemy tego tunelu - wyjaśnił Faroe. - Żeby wyciągnąć Hectora z Meksyku.

Galindo wyglądał na oszołomionego.

Magón przetłumaczył słowa Faroego.

Górnik otrząsnął się z szoku, potem roześmiał zachwycony.

- *Hijo de la chinga. Aíee, lo siento, padre.* Mam niewyparzony język.

Magón prawie się uśmiechnął.

- Możemy razem modlić się o wybaczenie, Paulino. Ja też uważam, że Hector to kawał sukinsyna.

Refugio parsknął.

Galindo popatrzył na brylanty, potem na Faroego, i zaczął mówić z wielkim zapałem. Magón tłumaczył.

- Senor, pomogę. Nawet zapłaciłbym ci tymi brylantami, byle tylko Meksyk pozbył się tego diabła Hectora.

Faroe z uśmiechem potrząsnął ręką górnika.

- Jak tylko znajdziemy tunel, brylanty są twoje i rodzin mężczyzn, którzy go zbudowali.

Galindo szybko powiedział coś do Magóna, a ten zwrócił się do Faroego.

- On mówi, że jest tylko biednym górnikiem. Nie potrafi rysować ani czytać map, więc jak ma ci pomóc znaleźć tę kopalnię?

- Zapytaj go, czy kiedyś leciał helikopterem.

Po chwili Magón odpowiedział:

- Nie leciał.

Faroe uśmiechnął się lekko.

- No, to będzie miał niezłą historię do opowiedzenia.

## Rozdział 67

San Yskdio

Poniedziałek, 9.10

Harley dotknął małego elektronicznego urządzenia w swoim uchu i odwrócił się do Steele'a.

- To Mary. Mamy kłopot.

- Jaki i gdzie?

- Tutaj. FBI robi obławę.

Grace odsunęła swoją komórkę. Ostatnie dziesięć minut poświęciła na znepewnianie swojego szefa i jego szefa, że na serio składa rezygnację.

- Przepraszam - mruknęła. - Muszę iść.

Skończyła rozmowę akurat w chwili, gdy ktoś zapukał do drzwi busa.

- FBI - odezwał się męski głos. - Możemy zrobić to delikatnie albo się nie patyczkować. Otwieraj, Steele.

- Macie nakaz? - krzyknął Harley.

- A chcecie, żebyśmy mieli?

Harley popatrzył na przełożonego.

Steele kategoryzował w myślach wyposażenie busa. Nie było niczego nielegalnego. Ale mimo to...

- Pochowaj dokumenty. Pozamykaj na klucz wszystkie drzwi, szuflady i szafki - rozkazał Steele. - Powiedz ludziom w innych wozach, żeby zrobili to samo i nie otwierali nikomu bez mojego bezpośredniego rozkazu albo nakazu rewizji.

Grace zsunęła rzeczy z lady do szafki i zatrasnęła drzwiczki. Zamek szcęknał - nawet przyjeździe po wyboistej drodze szafka pozostanie zamknięta.

Harley mówił do swojego pajęczego zestawu, a jednocześnie chował wszystko oprócz jedzenia. Agenci na tyłach busa zamykali drzwi od wewnątrz. Zasuwali kolejne rygle, aż w końcu na widoku zostało główne pomieszczenie.

- Chce pani poczekać gdzieś w zaciszu? - Steele zagadnął Grace.

Uśmiechnęła się błado.

- Nie. Znam prawną wykładnię. Dopilnuję, żeby zachowywali się przyzwoicie.



Steele zaśmiał się cicho.

Naprawdę mi się pani podoba, pani Silva.

Grace, i z wzajemnością.

Ktoś znowu walnął pięścią w drzwi.

Otwieraj, Steele, bo wrócę z takimi nakazami, że wylądujesz w ciupie.

Harley otworzył drzwi i stanął w przejściu, wypełniając je całkowicie.

Dzień dobry panom i pani. Proszę się wylegitymować.

Prośba została wypowiedziana grzecznie.

A Harley przypominał górę, która gotowa się zawalić na trzech agentów, jeśli nie będą się grzecznie zachowywali.

Jeden po drugim wyciągali legitymacje.

Harley obejrzał wszystkie.

Agent specjalny Cook, agentka Gonzalez, agent Daily. Fajne kurtki szturmowe. Nieźle leżą na waszych garniturach.

Cook włożył legitymację do kieszeni i ruszył po schodkach.

Dwoje kompanów czekało.

Harley ani drgnął.

- Z drogi - rzucił niecierpliwie Cook.

- Ambasadorze Steele - odezwał się Harley, nie spuszczać wzroku z niskiego agenta. - Zapraszamy ich do środka?

- Jeśli wejdą tu jeszcze trzy osoby, zrobi się tłoczno - stwierdził Steele za plecami Harleya. - Czy to konieczne, agencie Cook? A nawet - dodał cicho, tak że nie słyszało go dwoje pozostałych agentów - czy w tej fazie to rozropne?

Cook zmrużył oczy. Nie pierwszy raz zmagął się z St. Kilda Consulting. Nie pokochał tej firmy, ale szybko zrozumiał, że jej pracownicy potrafią być bardzo nieprzyjemni.

Władza to władza, czy się miało odznakę czy nie.

- Zaczekajcie w samochodzie - polecił Cook swoim agentom. - Nie ma sensu robić tłoku. W razie czego dam znać.

- A co z innymi? - zapytała Gonzalez.

Cook rozejrzał się po parkingu. Agenci grupy zadaniowej, ubrani w kurtki szturmowe, czekali w samochodach, blokując wyjazd.

- Każcie im wrócić na swoje miejsca. Na razie. Zawiadom mnie, kiedy dostaniemy nakazy.

Gonzalez nic nie powiedziała. Tak jak przełożony, zdawała sobie sprawę, że słowo „jeśli” byłoby w tym przypadku sensowniejsze niż „kiedy”. Nawet jeśli sędzia sprzyjałby grupie zadaniowej, mieli marne podstawy do rewizji.

W zasadzie, żadne.

Harley przestąpił na bok.

Talon Cook wszedł do busa. I od razu zobaczył Grace Silvē, kobietę, z którą nikt nie ważył się zadzierać. Wpatrywała się w niego oczami jastrzębia.

Cudownie.

- Przykro mi, że tu panią widzę - oświadczył.

- Nie wątpię - odparła Grace, uśmiechając się szeroko do agenta pięknego jak amant filmowy. Niestety, był niski, co ujmowało mu ze czterdzieści punktów z dość imponującego ilorazu inteligencji. - Proszę mi powiedzieć, agencje Cook, jaka podstawa prawna pozwala panu grozić ambasadorowi Steele'owi nakazem rewizji i aresztowaniem po to, żeby wejść na teren jego prywatnego, zmotoryzowanego domu?

- Mamy nakaz aresztowania Josepha Faroego.

Grace nawet nie drgnęła powieka.

- Za?

- Utrudnianie śledztwa grupie zadaniowej.

Wyciągnęła rękę po dokument.

- Sędzia jeszcze nie podpisał - tłumaczył Cook. - Spodziewamy się nakazu lada moment.

- A jaka jest podstawa wydania tego rzekomego nakazu? - zapytała spokojnie Grace.

Cook nic nie odpowiedział.

- Tak też myślałam. - Zerknęła na Steele'a.

Steele tylko się uśmiechnął.

- Najwyraźniej mamy coś, czego chcecie - zauważyła Grace. - A wy macie coś, czego my potrzebujemy. To zazwyczaj podstawa negocjacji. Proszę usiąść, agencje Cook.

## Rozdział 68

Niebo nad Tijuana

Poniedziałek, 9.33

**H**elikopter nadleciał z północy i okrążył wschodnią część Tijuany jak amerykański samolot patrolowy, który lekko zboczył z kursu. Pilot zataczał małe kręgi nad slumsami i miastami-budami Colonia Libertad na wzgórzach.

Galindo siedział na przedzie, obok pilota, i widać było, że jest trochę oszołomiony jego manewrami. Faroe patrzył przez ramię i wyjaśniał górnikowi szcze-

góły widziane z lotu ptaka, korzystając z tłumaczenia Magóna. Galindo nigdy przedtem nie był na pokładzie samolotu, a tym bardziej helikoptera wykonującego podniebne ewolucje. Nie potrafił przyjąć odpowiedniej perspektywy.

Wreszcie wypatrzył zatłoczone skrzyżowanie autostrad.

- Tam, pamiętam - zawołał przez interkom prymitywną hiszpańszczyzną.  
- Podróżujemy tędy, kiedy przywożą nas do magazynu.

Przed ich oczami rozciągały się światła lotniska w Tijuanie. Wyglądały dość ponuro, bo przesłaniała je mgiełka spalin z odrzutowców i wilgoci znad Pacyfiku, nad którym zbierała się burza. Za lotniskiem znajdowała się ogrodzona i zaorana granica.

Faroe dotknął ramienia pilota i pokazał mu przemysłowe zabudowania za ogrodzeniem lotniska.

- To tam? - zapytał Faroe po hiszpańsku.

Galindo pośpiesznie skinął głową.

- Tak. Tak. Pamiętam hałas. Wielkie odrzutowce wstrząsają ziemią, a my robimy głęboki wykop.

- Przyjrzyjmy się tym budynkom - zaproponował Faroe. - Może przypominni ci się kształt drzwi czy okien.

- Tej przestrzeni powietrznej nie można naruszać - poinformował po angielsku pilot przez intercom. - Bliżej już nie podlecimy, chyba że chcesz się bić z meksykańskimi siłami powietrznymi.

- Wydaje mi się, że jedno światło na kontrolce pulsuje na czerwono - powiedział Faroe.

Pilot popatrzył na wskaźniki. Były zielone. Pochylił głowę i zmierzył Faroe go uważnym wzrokiem spod lotniczych gogli. Potem wzruszył ramionami.

- Jasne. Czemu nie? To nie mój ptaszek.

Ustawił pokręta radia i złapał częstotliwość wieży kontrolnej.

Po chwili już kłócił się z kontrolerem ruchu powietrznego o to, jak ważna musi być przyczyna, żeby helikopter dostał pozwolenie na lądowanie. W tym czasie Galindo usiłował rozpoznać na ziemi jakiś szczegół, cokolwiek, co pomogłoby stwierdzić, w którym budynku kryje się wejście do tunelu.

- Proszę posłuchać - odezwał się pilot do kontrolera na wieży. - Moje światło statusu pulsuje na czerwono za każdym razem, gdy wznoszę się powyżej dwudziestu metrów. Nie wiem, czy dam radę dolecieć do granicy. Mogę zadeklarować sytuację awaryjną w locie i wylądować, a potem przez resztę dnia będziemy wypełniać papierki, albo niech pan po prostu da mi pozwolenie na lot prosto na Brown Field.

Kontroler wezwał swojego przełożonego i w końcu pozwolił pilotowi dotrzeć do granicy na skróty.

- Schodzę - poinformował pilot przez intercom. - Patrzcie uważnie. Drugi raz nie będę mógł wyciąć takiego numeru.

Helikopter przeleciał nad polem, potem obniżył lot do dziesięciu metrów nad drogą kołowania, która prowadziła do magazynów.

- Zwolnij, żeby Galindo mógł dobrze się rozejrzeć - polecił Faroe. - To musi być po tej stronie lotniska, gdzieś w pobliżu ogrodzenia granicy.

Pilot zwolnił.

Magón ponaglał górnika, a ten ciągle kręcił głową i spoglądał z niepokojem na hangary i przemysłowe budynki. W końcu Galindo zaczął szybko mówić po kreolsku, pokazując jeden z magazynów.

- To ten - przetłumaczył Magón. - Rozpoznał litery na dachu.

Helikopter wolno przeleciał nad dużym hangarem z blachy, przed którym stały zaparkowane cztery odrzutowce z podwójnymi silnikami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że część hangaru służy również jako skład towarowy.

Faroe przeczytał napis na dachu.

- Aeronautico Grupo Calderon. Jestem w szoku, chłopie. No, po prostu w szoku. Kto by pomyślał?

Pilot zaśmiał się szyderczo.

- Czy on jest pewien? - zagadnął Faroe.

- Transportowali go w furgonetkach z zasłonami - tłumaczył Magón - ale pamięta, że taka sama nazwa była z boku na wozach.

- Nie ma to jak reklama - stwierdził Faroe. - A oto jak pozbywali się brudu.

- Pokazał sztucznie usypane wzgórze wokół budynku.

Magón milczał.

Był podejrzanie cichy.

- Nie wiedziałeś o wstrętym układziku między handlarzami narkotyków i Grupo Calderon? - zagadnął Faroe.

- Orientowałem się, że jest jakieś powiązanie - odparł Magón z obrzydzeniem. - Nie myślałem, że tak ściśle.

- Oj, ściśle. Aż nie wiadomo kto rzuca, a kto łapie. Zapytaj Galinda o wejście po tej stronie.

- Jest na tyłach, po lewej stronie, w dużym pomieszczeniu z zapasami - przetłumaczył szybko Magón.

- A drugi koniec?

Magón nie musiał o to pytać. Górnik już pokazywał palcem inny magazyn z blachy, z pół kilometra dalej, po drugiej stronie granicy.

- To tamten budynek - tłumaczył Magón. - Galindo może ci podać odległości i kierunki z pamięci. Musieli zachować dużą precyzję, skoro pojawili się we właściwym miejscu po drugiej stronie.

Faroe znowu dotknął ramienia pilota i podniósł kciuk na znak uznania.

- Zabierz nas do domu.

Magón wciąż tłumaczył.

- Drugie wejście jest w łazience w biurze kierownika w tamtym budynku. Galindo zajmował się obliczeniami. Pomylił się tylko o jeden metr na odcinku liczącym sześćset metrów.

Faroe uniósł brwi.

- W takim razie może znów odnaleźć oba wejścia, tak?

Galindo gorliwie pokiwał głową. Rozumiał hiszpański o wiele lepiej, niż mówił.

Faroe zadzwonił do Steele'a, żeby poinformować o przełomie.

Nikt nie podniósł słuchawki.

Faroe zmarszczył brwi i ponowił próbę.

Wciąż brak reakcji.

Helikopter przyspieszył i gdy tylko pozwoliło na to ukształtowanie terenu, ukrył się przed radarem. W dole, bardzo blisko od maszyny, zaczynały się burzyć fale. Pilot zatoczył koło i wleciał z powrotem w amerykańską przestrzeń powietrzną, na minimalnej wysokości. Wylądował na piaszczystym terenie na północ od Imperial Beach.

Faroe zaczął kłąć pod nosem. Mimo rozpylanego przez śmigła piasku dostrzegł dodatkowe pojazdy. Może powinien kazać wszystkim zostać na pokładzie i zarządzić odwrót.

Nie zrobił tego.

Nie było czasu ani na ucieczkę, ani miejsca dobrego na kryjówkę.

- Wysiadać - rozkazał.

Galindo i ojciec Magón wygramolili się na ziemię, zasłaniając oczy przed piaskiem.

- To tyle - mruknął pilot do zeskakującego Faroego. - Taki numer ujdzie mi na sucho raz. Ale jeśli nie uporządkujesz spraw z celnikami i urzędnikami imigracyjnymi, będzie na ciebie czekał F14 z Miramar, gotowy do ostrzału.

- Tysiące meksykańskich wieśniaków przekraczają granice co noc - odparł Faroe.

- Nie latają helikopterami.

Faroe zatrzasnęła drzwi kabiny.

Chopper natychmiast wzbił się w powietrze i poleciał w kierunku morza, znowu umykając radarowi. Wszyscy odwrócili się plecami do piaskowej zawiei. Kurzawa jeszcze nie opadła, a już do grupy podjechał czarny suburban. Dwie osoby, które z niego wyskoczyły, miały wypisane na czołach, że są z FBI.

Nic dziwnego, że Steele nie odpowiadał na telefony.

# Rozdział 69

San Ysidro  
Poniedziałek, 9.40

Miło, że nas podwozicie do busa - powiedział Faroe.  
Agentka Gonzalez i agent Daily się nie uśmiechnęli.

- Dowód - powiedział krótko Daily.
- Zdaje się, że jesteśmy na terenie Stanów Zjednoczonych - odparł Faroe.
- Więc może najpierw ty pokażesz mi identyfikator?
- Przeczytaj sobie napis na mojej kurtce - odparował Daily.
- Chcesz przeczytać mój? - zagadnął Faroe. - Mam całkiem sporą kolekcję. eBay to świetna sprawa.

Magón przygryzł wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

Agentka Gonzalez wyciągnęła odznakę.

- Kim jesteś i skąd się wzięłeś?
- Posłuchaj, mamy naprawdę mało czasu - wycedził Faroe. Pokazał samochody zaparkowane przy wyjeździe. - Kto dowodzi tymi chłopcami i dziewczętami?

- Agent Talon Cook - odparła.

- A, poczciwy stary Niski Poziom. Zabierz nas do niego.

Agent Daily zakaszłał.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś Joe Faroe?

- A to co?

Gonzalez wyjęła krótkofalówkę. Kiedy Cook odebrał połączenie, powiedziała:

- Mamy trzech niezidentyfikowanych mężczyzn; dwóch prawdopodobnie meksykańskiej narodowości...

- Ja bym nie był taki pewien - wtrącił z uśmiechem Magón.

- ...i jednego wysokiego, ciemnowłosego, zielonookiego Amerykanina, który się stawia i wymądrza.

- Faroe - stwierdził Cook wyraźnie zdegustowany.

- Hej, Niski Poziom! - zawołał Joe tak głośno, żeby było słychać przez radio. - Nadal wysoko mierzysz?

Daily znowu zakaszłał.

- Sprowadź tego sukinsyna do busa Steele'a - rozkazał Cook.

- A co z dwoma pozostałymi?

- Przeszukaj i przetrzymaj. Jeśli znajdziesz broń, skuj ich.

- A co z helikopterem? - zapytała Gonzalez.
  - Widzisz na nim jakieś numery?
  - Nie.
  - To o jakim helikopterze mówisz? - zapytał zgryźliwie Cook. - Dawaj tu Faroego.
  - Przeszukać?
  - O tak. Mam nadzieję, że ma przy sobie broń. Wtedy będę go mógł wpakować do mamra.
  - Wstrzymaj oddech, kochanie - zawołał Faroe.
- To, co odpowiedział Cook, było nielegalne na krótkich falach w Stanach Zjednoczonych.
- Daily znowu zaniósł się kaszlem.
- Lepiej weź coś na to. - Faroe wyciągnął ręce i stanął w rozkroku. - Jeszcze kogoś zarazisz.
  - Mądrała - burknął Daily.
- Faroe puścił do niego oko.
- W myślach gratulował sobie, że zostawił browninga Grace w busie u Harleya. Czasami broń mogła przynieść więcej kłopotów niż pożytku.
- Tak jak w tej sytuacji.
- Daily przeszukał pozostałych dwóch mężczyzn. Znalazł stary złoty krucyfiks i popatrzył na Magóna z zaciekawieniem.
- Czyści - zameldowała Daily do krótkofalówki.
  - Przeprowadź Faroego.

## Rozdział 70

San Ysidro  
Poniedziałek, 9.50

**A**gent Cook otworzył drzwi, kiedy Faroe stał jeszcze o stopień niżej, więc chwilowo byli niemal równi wzrostem.

- No, no - zaczął Cook. - Któż to wraca do więzienia?
- Faroe pokonał ostatni schodek.
- Cook z całej siły go popchnął.
- Faroe spodziewał się tego, więc nawet nie drgnął.

Agent FBI się uśmiechnął. Miał idealne, białutkie zęby, czarne, kręjące się włosy i wysportowane, muskularne ciało. Całkiem niezły facet, gdyby nie oczy zimne jak lód.

Faroe wiedział, że ten agent jest śmiertelnie niebezpieczny w walce wręcz.

Szkoda, że Cook nie może przeboleć swojego niskiego wzrostu. Wszyscy, którzy się z nim kontaktują, a mierzą ponad metr sześćdziesiąt, mają przerabane.

- Bawisz się dzisiaj w przytrzymywanie drzwi? - zagadnął Faroe.

Cook obrócił się lekko, żeby wpuścić Faroe do środka.

Grace wstała i podeszła do Joego; patrzyła pytającym wzrokiem.

Lekko skinął głową.

Ogarnięta ogromną ulgą przywarła do niego bezwładnie. Mocno objął ją ramieniem i posadził na ławie. Sam też usiadł. Wiedział, że Cook poczuje się lepiej, kiedy będzie patrzył z góry.

- Odkąd to zadaje się pani z przestępcami, pani sędzio? - zagadnął Cook.

- Ciągłe pojawiają się na jej rozprawach - odparł Faroe. Pochylił się nad Grace i szepnął do ucha: - Udało się nam. - Spojrzał na Steele'a. - Jakież nakazy?

- Pracują nad tym - odparł Steele z ironią.

- A nad czym my pracujemy? - zapytał Faroe.

- Och, wy zajmujecie się głównie kwestiami prawnymi - powiedział Cook.

- Wasi prawnicy rozmawiają z naszymi, a my rozmawiamy tutaj. Ale co tam, akurat nie wziąłem słownika prawniczego i nie pamiętam paragrafów kodeksu, które dotyczą przeszkadzania oficerowi federalnemu w wykonywaniu obowiązków, utrudniania śledztwa federalnego i... o tak, pogwałcenia aktu o neutralności. Ten paragraf szczególnie mi się podoba. Czy to najcięższe przestępstwo?

- Ponieważ wezwałem już radcę korporacji - zwrócił się Steele do Faroe - zasugerowałem tylko agentowi Cookowi, żeby z nim przedyskutował te sprawy.

- Ja nie rozmawiam z prawnikami - oświadczył Cook. - Zostawiam to prokuratorowi generalnemu.

- Nie rozmawiasz z prawnikami? - zagadnął Faroe. - To jakim cudem zawierasz układ z osobnikami pokroju Teda Franklina?

- Franklin nie jest o nic oskarżony, a więc jego sytuacja jest o niebo lepsza niż twoja. Pograżasz się tak samo, jak ostatnio. Tylko że tym razem nie wypłyniesz na powierzchnię.

- Niech pan tak się nie rzuca - wtrąciła się Grace. - Nie ma pan żadnego nakazu. Ani wiarygodnego pretekstu. Tylko odznakę, która jest tak ciężka, że nie może pan ustać prosto.

Zarówno Faroe, jak i Cook popatrzyli na nią zdumieni.



- Dość tych głupot - oświadczyła, wpatrując się w Cooka. - My nie mamy czasu, ja cierpliwości, a pan władzy. Albo zaczniesz pan mówić na temat albo niech się pan wynosi z busa St. Kildy i z tej posiadłości.

Steele otarł usta i zrobił nieodgadnioną minę, ale w jego oczach pojawiły się iskierki ożywienia.

Faroe popatrzył na Grace tak, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. I rzeczywiście, przemiana była szokująca. Dawna Grace robiłaby dokładnie to, co agent specjalny, i starała się rozszarpać ofiarę.

- A tematem na dzisiaj jest...? - zagadnął Faroe, przerywając nabrzmiałą ciszę.

- Sfabrykowana sprawa FBI przeciwko St. Kildzie - oświadczyła Grace.  
- Ale już ukreśliśmy łeb hydrze. Właśnie mówiliśmy o komputerowych plikach Teda, bez których nie można postawić żadnych zarzutów Hectorowi Rivasowi Osunie i Carlosowi Calderonowi. Brak plików oznacza, że nikt nie przechwyci pięćdziesięciu milionów i nie pojawi się na pierwszych stronach gazet, co tak sprzyja awansom.

- Pięćdziesiąt milionów? - zdziwił się Faroe.

Grace kiwnęła głową.

- Dużo pieniędzy - stwierdził lakonicznie.

Najwyraźniej grupa zadaniowa nie miała pojęcia, że pieniądze może być dwa razy więcej. A Faroe nie widział powodu, żeby o tym wspominać.

- Doszedłeś już do omawiania sytuacji, w której niewłaściwe postępowanie grupy zadaniowej wobec informatora może doprowadzić do śmierci obywatela amerykańskiego, Lane'a Franklina, obecnie więzionego w Meksyku? - zapytał Faroe.

Cook patrzył na niego, nie mrugając. Nie był zaskoczony.

- Tak, ale dopiero zaczynałam, kiedy wylądował chopper - odparła Grace.  
- Wyraz twarzy agenta Cooka mówi mi jednak, że FBI już wie o sprawie i w ogóle się nią nie przejmuje.

- To się przejmie - stwierdził Faroe.

Cook wzruszył ramionami.

- Będziecie współpracowali, załatwicie mi pliki, to zadzwonię do szkoły. Dzieciak wróci do domu najbliższym samolotem.

Grace zamarła.

- Czy ja dobrze słyszałam? FBI jest skłonne wykorzystać dziecko jako...

- Tego nie powiedziałem - przerwał jej Cook.

Zwróciła się do Steele'a.

- Słyszałeś, że agent specjalny Cook zaproponował przehandlowanie wolności Lane'a na pliki komputerowe?

- Rzeczywiście - odparł Steele. - Szokujące, że amerykański rząd przykłada rękę do porwania amerykańskiego dziecka.

- My nikogo nie porwaliśmy - odparł niecierpliwie Cook. - Meksykanie też nie. Chłopak jest nieudacznikiem. Zostanie w szkole w Meksyku, dopóki jego ojciec go stamtąd nie wypisze. To nie żaden kidnaping, to staroświecka dyscyplina.

- Miła historyjka - mruknął Faroe. - Tylko że Lane nie jest już w szkole. Meksykańscy *federales* wywlekli go stamtąd i gdzieś zabrali. Chcesz popatrzeć na zdjęcia satelitarne?

- Zgubiliśmy chłopaka w Tijuanie - wtrącił cicho Steele.

- Tak też myślałem - odparł Faroe, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z agenta FBI.

Cook wyraźnie nie wierzył własnym uszom.

- Tak. - Faroe pokiwał głową. - Twój kapuś Ted cię okłamał. Chcesz chusteczkę?

- Udowodnij to - odparł beznamyślnie Cook.

Faroe zerknął na zegarek.

- Za niespełna trzy godziny Hector zabije chłopca. Co powiesz na głowę dzieciaka w pudełku? Czy to dla ciebie dość dobry dowód? Ale, hm, jeśli do tego dojdzie, możesz pocałować te pliki, swoją karierę i swój zgrabny tyłek na pożegnanie. Lane jest moim biologicznym synem.

Cook wytrzeszczył oczy. Popatrzył na Grace, potem na Faroego i znowu na Grace.

- Tak - potwierdziła. - Ted jest prawnym ojcem Lane'a. Joe biologicznym.

- On wie? - zagadnął Cook.

- Lane? Nie - odparła. - Ted tak. Od lat.

- Judasz. - Cook zmierzwił palcami swoje czarne loki. — Czyli że Ted kłamie w sprawie szkoły?

- Umieścił Lane'a w Ali Saints jako zakładnika ROG. Wtedy do głowy mi to nie przyszło. - Grace miała nadzieję, że z jej oczu nie płyną łzy, ale w głębi duszy czuła, że je widać.

I co z tego? Mogę płakać, a mimo to wykonać zadanie.

- Kurczę, myślałem, że przez dwa lata dowodzenia grupą zadaniową nasłuchiwałem się już wszystkiego. - Cook westchnął ciężko. - Sam mam dzieci. Zabiłbym każdego, kto... - Głos uwiązał mu w gardle.

- Gdyby twój dzieciak był w Meksyku, gównem byś zdziałał - odezwał się Faroe. - Ile razy pojechałeś na południe ze świadomością, że ROG nie wie, co i gdzie robisz? A skoro już o tym mowa, ile razy byłeś w stanie przekroczyć granicę, mając za pasem własny pistolet?

Cook zrobił minę pełną ubolewania.

- Znasz odpowiedź.
- Pewnie, że znam. Tuż za drutem kolczastym Spring Canyon tracisz pięćdziesiąt pięć procent swojej władzy. I tak jest od pięćdziesięciu lat. Ale ja mam sposób, żeby zmienić ten układ, a z ciebie zrobić bohatera.
- Bohater to facet, który jest tak zapatrzony we własny tyłek, że nie zauważy nadjeżdżającego pociągu.
- Mówisz jak prawdziwy urzędnik z FBI — zauważył Faroe. - Słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: „Słabeusz nigdy nie zerznie nadobnej dziewczeczki”?
- Słyszałem je od facetów, którzy myśleli, że potrafią złapać błyskawicę do butelki.
- A więc nie interesuje cię Hector Rivas Osuna? - zapytał Faroe.
- Cholera, jasne, że tak. Chcę wyeliminować Hectora z gry - powiedział szorstko Cook. - Widzisz plakaty, jakimi oblepiony jest punkt graniczny? Pięć milionów dolarów. Żaden agent federalny nie może zdobyć tej nagrody, ale co tam. Zależy mi tylko, żeby ten narkodupek znalazł się w amerykańskim więzieniu.
- Nawet jeśli dostarczysz pliki, to wcale nie znaczy, że będziesz miał w garści Hectora - wtrąciła się Grace.
- Dopadniemy go - warknął z przekonaniem Cook.
- W którym stuleciu? - prychnął Faroe. - W Stanach Zjednoczonych jest postawiony w stan oskarżenia od sześciu lat. I nadal pozostaje królem gnojowiska na południu. Jakie znaczenie ma jeszcze jeden świstek, który nazywa go Superprzestępcą? Pewno oprawia te papierki w ramki i wiesza je sobie w łazience.
- A więc jedyne, co Ted może panu dać, to pięćdziesiąt milionów dolarów w jego plikach? - odezwała się Grace.
- Patrząc na to w dłuższej perspektywie - odparł Cook.
- Moja perspektywa nie wykracza poza dwunastą trzydzieści dziś - odparł zimno Faroe. - Pracuj z nami, to dostaniesz pliki, pięćdziesiąt milionów i pozyciwego starego Hectora po tej stronie granicy.
- Poczekaj, niech zgadnę - zaczął ironicznie Cook. - Zamierzasz założyć obcisły błękitny kombinezon z literą S, czerwoną pelerynę, porwać Hectora i przepchnąć go przez dziurę w tym ogrodzeniu.
- Coś w tym stylu - odparł Faroe.
- Kiedy aresztowaliśmy w ten sposób facetów, którzy zabili Kiki Camarenę, amerykańscy sędziowie ze strachu robili pod togi - powiedział Cook.
- Przykro mi, pani sędzio.

Wzruszyła ramionami.

- Zrezygnowałam z zasiadania w sądzie dziś rano.
- Cook już miał o coś zapytać, ale się rozmyślił.
- To, co zamierzam zrobić - odezwał się Faroe - nie zmierzwi piórek nikomu oprócz najbardziej nierozsądnych sędziów federalnych.
- Jaki masz plan? - drążył Cook.
- Złapię Hectora po tej stronie granicy, gdzie będzie można mu zarzucić popełnienia przestępstwa federalnego.
- Może i jesteś Supermenem, ale nie Świętym Mikołajem - mruknął Cook.
- Ja znam Świętego Mikołaja. To gruby gość w czerwonym stroju.
- Faroe czekał.
- Nie chodzi o dziurę w ogrodzeniu? - ciągnął Cook.
- Nie, o dziurę w ziemi. Tunel Hectora.
- Cook szeroko otworzył oczy.
- Kto ci powiedział o tunelu? Kto? Rozwalę mu tyłek.
- Słyszałem co nieco na południe od granicy.
- Gdzie on jest?
- Tunel? - zapytał Faroe.
- Cholera, tak, tunel!
- Mamy układ?
- Jaki układ?
- Ty dostarczasz nam Teda Franklina. My dajemy ci Hectora Rivasa Osunę i jego tunel.

## Rozdział 71

San Ysidro  
Poniedziałek, 10.05

**F**aroe chwycił telefon satelitarny i skinał głową na Grace.  
- Przepraszam panów - zwróciła się do Steele'a i Cooka. - Do ustalania szczegółów nie jestem potrzebna.

Wstała. Nie chciała już brać udziału w zawieraniu nieformalnej umowy z Cookiem. Kiedy dotarła do Faroego, on pukał do drzwi pokoju szefa.

- Harley, tu Joe - zawołał. - Zamieńmy się miejscami.

W chwilę później Harley opuścił pomieszczenie, a Grace i Faroe weszli do środka i zamknęli drzwi na zamek.

- Nie do wiary, że udało ci się skłonić federalnych, żeby przekazali St. Kildzie wszystko ponad pięćdziesiąt milionów dolarów, które zamierzają przejąć - powiedział cicho Faroe.

- Może nie być żadnych nadwyżek. Ted to kłamliwa świnia. Hector jest jeszcze gorszy. Ale bez względu na wartość funduszu, St. Kilda dostanie nagrodę za Hectora, a ty rekompensatę...

- Nie chcę.

Spojrzała na Faroego ponuro, spokojnie.

- Dostaniesz, tak czy owak. Przynajmniej tyle mogę zrobić za to, że ściągnęłam cię z powrotem do świata, od którego pragnąłeś uciec.

Wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się to już ważne.

- To co jest ważne?

- Lane. - Faroe przytulił Grace. - Ty. My. Musimy uporządkować wiele spraw, *amada*. Kiedy Lane będzie bezpieczny, chcę się przekonać, czy mamy szansę być razem.

- Tak.

Spojrzał na Grace.

- Tak po prostu?

- Po prostu? W naszym przypadku? Ugryź się w język. Zresztą, nieważne. Spróbujemy.

Pocałował ją najpierw lekko, żartobliwie, potem mocno, namiętnie.

- Nie zapominaj o tamtym miejscu - powiedział ochryplym głosem. - Wrócimy tam, jak tylko będzie to możliwe.

Oblizwała wargi.

- A już myślałam, że znowu pozwolisz mi się pobawić swoim telefonem komórkowym.

Faroe zaśmiał się, uściśnął ją z całej siły i puścił, chociaż wcale nie miał na to ochoty.

- Na razie musimy się uporać z Hectorem.

- Jak?

- Ojciec Magón dał mi kilka numerów do bossa. Wykręcę pierwszy, a ty przejmiesz słuchawkę.

- Dlaczego?

- Hector nie docenia kobiet. To typowa dla tej kultury postawa, bardzo głęboko zakorzeniona. Daje nam przewagę.

Grace popatrzyła na telefon, jak na węża.

- O czym mam mówić?

- Po pierwsze, o Tedzie gotowym do pogawędki na temat brakujących milionów.

- To powinno zainteresować Hectora.

- Po drugie - ciągnął Faroe - ceną tej rozmowy jest Lane, zdrowy i cały, po tej stronie granicy. Nie pojedziemy na południe, żeby zawrzeć umowę. Jeśli Hector chce pieniędzy, musi ruszyć się na północ.

- To mu się nie spodoba.

- Będzie musiał przyjąć takie warunki. Nie ma wyboru. Po trzecie, wszystko odbędzie się natychmiast. Robimy spotkanie rewolwerowców. Hector wybierze miejsce.

- Rozumiem. O której części planu mi nie mówisz?

Faroe westchnął ciężko. Wadą inteligentnej kobiety jest właśnie inteligencja.

- Hectorowi zależy na spotkaniu z oczywistych względów - powiedział.

- Pieniądze.

- Tak, ale chce też zabić Teda.

Grace drgnęły powieki, ale spytała tylko:

- Czy jest w stanie zabić Teda, nie zabijając innych osób, które tam się znajdują, włącznie z Lane'em?

Uśmiech Faroego nie wyglądał szczególnie uspokajająco.

- Szybko się uczysz, *amada*. Zakładam, że Hector spróbuje zabić wszystkich, włącznie z agentami FBI, którzy jako eskorta pójdą z nim do tunelu.

- Co zrobisz, żeby Hector nie wystrzelał wszystkich w zasięgu swojego wzroku?

- Dowiesz się o tym druga.

- To mi nie wystarczy.

- Zaplanowałem pułapkę, w którą Hector na pewno wpadnie. Użyje tunelu, żeby sprowadzić Lane'a na północ i zabić Teda. Ale nie wie tego, co my wiemy.

- A mianowicie?

- Wódz paranoik na haju pomyśli, że może dokonać wymiany w swoim magazynie przy Otay Mesa, zabić wszystkich, którzy niepotrzebnie się tam pojawiają, i uciec z powrotem na południe, jak szczur.

- Plan Hectora wydaje się dobry - powiedziała Grace bezceremonialnie.

- Ale go zrealizuje po moim trupie.

- To nie jest śmieszne.

- Przynajmniej jeśli zginę, to w imię słusznej sprawy. Chyba nie dałoby się tego powiedzieć o innych sytuacjach, w których omal nie zginąłem.

Grace długo mu się przyglądała. Potem zamknęła oczy i wmawiała sobie, że jeśli potrafiła zagrać w pokera z dowódcą federalnej grupy zadaniowej

o pięćdziesiąt milionów dolarów, może zrobić to samo z Rzeźnikiem z Tijuany o życie syna.

Prawda, że może?

Faroe policzył w myślach do dziesięciu. Jeszcze nigdy w życiu czas nie dłużył mu się tak, jak teraz. W końcu nie wytrzymał.

- *Amada*. Dobrze się czujesz?

- Nie. Dzwon do Hectora.

- Jesteś pewna?

- No, już!

Faroe wybrał numer i podał Grace telefon.

Zaczęła liczyć dzwonki.

W trakcie czwartego odezwał się męski głos.

- *Bueno*.

~ Muszę rozmawiać z Hectorem Rivasem - powiedziała po angielsku.

- *Quien habla?* - zapytał mężczyzna.

- Grace Silva.

- Czego chcesz?

- Hector wie, czego chcę. Jeśli będzie chciał, żebyś ty też wiedział, to ci powie. Daj go.

Faroe czekał.

Czekał i czekał.

Już zaczął podejrzewać, że Hector jednak nie da się złapać na przynętę, kiedy Grace podjęła rozmowę.

- Halo, Hector?

- A, pani sędzia, ale pani zasadnicza - powiedział po hiszpańsku. - Biedny Fernando ma przesrane. A tak dobrze opiekuje się twoim synem.

- Ja myślę. Jeśli Lane nie będzie cały i zdrowy, już nigdy nie zobaczysz swoich stu milionów.

Hector przez chwilę mlaskał rytmicznie.

- Daj do telefonu Lane'a - zażądała Grace.

- To nie być możliwe - powiedział Hector w *Spanglish* donośnym głosem, jakby chciał coś wytłumaczyć bardzo tępej osobie.

Skrzywiła się. Mówił trochę bełkotliwie, szeleszczące Nie tylko palił, ale i pił alkohol.

- To jest bardzo możliwe. Jeśli nie dasz mi dowodu, że Lane żyje, nie dostaniesz plików Teda.

- Chłopakowi nic nie jest. Masz moje słowo.

- A ja mam sto milionów. Zabierz swoje słowo do banku.

Hector wybuchnął śmiechem.

- *Aiee*, twarda sztuka.  
Wykrzyknął komendę po hiszpańsku.  
Grace nacisnęła klawisz WYCISZ.
- Powiedział, że jestem twarda. Właśnie kazał komuś przyprowadzić Lane'a.
- Faroe wyszczerzył zęby w uśmiechu.  
Puściła klawisz i usłyszała głos Lane'a.
- Mama?
- Nic ci nie jest? - zapytała szybko.
- Chyba nie. Przynieśli mi nawet hamburgera na kolację. Hurra.
- Masz wszystko, czego potrzebujesz? - zagadnęła ostrożnie.
- Hm - zawahał się, ale zaraz zrozumiał, o co pytała. - Tak, mam wszystko. Jestem... Hej, no, jeszcze nie skończyłem!
- No i co? - odezwał się Hector po hiszpańsku. - Syn czuje się dobrze. A gdzie twój mąż?
- Masz na myśli mojego byłego męża? Kiedy widziałam Teda ostatni raz, leżał skulony w bagażniku, w kajdankach, z łańcuchami na nogach i zakneblowany. Joe Faroe to bardzo staranny człowiek.
- Faroe zaśmiał się cicho.
- *Que bueno*. - Hector zaśmiał się chrapliwie. - Ty mi go sprowadzisz, a ja ci dam Lane'a.
- Nie.
- *Que?* - zapytał ostro.
- Nie będę robiła z tobą żadnych interesów w Meksyku. Nie ma mowy.
- Ja być smutny. Ty nie ufać Hectorowi.
- Tak, to smutne, i już ustalone - odparła szorstko Grace. Wbijała paznokcie w dłoń. - Wybierzesz miejsce na wymianę po amerykańskiej stronie granicy. Masz dwie godziny, żeby je przygotować.
- A, martwisz się, że zabiję chłopaka po południu.
- Jesteś zbyt inteligentny, żeby popełnić taką głupotę - odparła. Zwłaszcza jeśli odstawisz alkohol i crack. - Problemem jest Ted. Nie możemy w nieskończoność przetrzymywać go w bagażniku.
- Hector zaśmiał się tak głośno, aż zaczął się dławić.
- *Aiee*. Co za kobieta! Ale granicy to ja nie mogę przekroczyć.
- Skoro mogą tony marihuany, ty też możesz. Z miliona powodów.
- Masz te informacje? - zapytał po hiszpańsku szybko jak karabin maszynowy. - O bankach, transakcjach, wszystkich członkach? Rozumiesz?
- Rozumiem. Mamy to, czego potrzebujesz. Faroe... hm, przekonał Teda, żeby ten zaczął gadać.



- Naprawdę macie rejestry?  
- Pojawia się podczas wymiany. - Poczęstowała Faroe chłodnym, prawniczym uśmiechem.

W ciszy było słycać tylko lekkie buczenie.

Grace jeszcze mocniej wbiła paznokcie w swoje dłonie.

Faroe rozwarł jej lewą rękę i rozmasował szkarłatne wgłębienia w kształcie półksiężyca.

- Znasz przejście w Otay Mesa? - zapytał Hector.

- Tak, znam przejście w Otay - powtórzyła na użytek Faroe.

Zamknął oczy, jakby się modlił albo poczuł wielką ulgę.

- Tam się wymieniamy - powiedział po hiszpańsku Hector. - Przywieźcie Teda Franklina. Usłyszę od niego samego prawdę o tych rejestrach. Rozumiesz?

- Tak. Ted będzie ze mną. Gdzie dokładnie?

- Zadzwonię do ciebie. I jeszcze jedno, senora.

Serce Grace na chwilę się zatrzymało, potem załomotało.

- Tak?

- Joe Faroe będzie z tobą i z Tedem. Nikt inny.

- Joe? Nie planowałam...

Hector zagadał ją prymitywną angielszczyzną.

- Faroe przyjeżdża albo koniec układu. Ten sprytny gringo ma być tam, gdzie ja chcę. *Claro?*

- Jasne. Będzie ze mną.

Hector zakończył rozmowę.

Grace zrobiła to samo.

- Dobrze słyszałem? Obiecałaś mu, że będę z tobą? - zapytał Faroe.

- Tak. To problem? Hector oczywiście wykorzysta magazyn dokładnie tak, jak zakładałeś.

- Nie planowałem być tam z tobą.

- A gdzie zamierzałeś być? - spytała zaskoczona.

- Na meksykańskim końcu tunelu, czatując na Hectora.

Zapadło milczenie.

- Jaki jest plan B? - zapytała.

- Właśnie nad nim pracuję.

Faroe poszedł odszukać ojca Magóna. Jeśli ktokolwiek miał bezpośredni kontakt z Carlosem Calderonem, to tylko watykański szpieg.

# Rozdział 72

Tijuana  
Poniedziałek, 10.15

Lane siedział w komórce na miotły i myślał o grze w piłkę nożną- gdzie piłkę zastępowały głowy rozmaitych osób. Ostatnio miał ochotę kopać głowę Fernanda Diaza, jednego z niezliczonych kuzynów Hectora. A może wszyscy ci kuzyni byli bękartami bossa.

Zasłużyliby sobie na taki los. Myśl o wkopaniu ich między słupki bramki pozwalała Lane'owi zapomnieć choć na moment o pulsującym bólu posiniaczonej twarzy i parciu na pęcherz.

I o mijających minutach, które prowadziły do...

Nie myśl o tym.

Nie wolno ci.

Pomyśl lepiej o skopaniu Fernandowi jaj.

Lane miał serdecznie dosyć szeptów Fernanda w drzwiach o tym, jak to biedny zakładnik zostanie rzucony na pożarcie psom o dwunastej trzydzieści.

Tata nie dopuści do tego.

Czyżby?

Lane żałował, że nie wierzy dość mocno w możliwości ojca. Ale miał powody. Tata po raz kolejny go zawiódł.

I, na szczęście, po raz ostatni.

Lane próbował się roześmiać.

Przypominało to szloch.

Znowu zaczął wodzić palcami po mopach, miotłach, przewodach odkurzaczy i śmietniczkach, które czekały, aż ktoś z nich skorzysta. Gdyby był dzielnym ninja, oderwałby rączkę od miotły i rozprawił się z tymi *vatos*.

Ale nie był ninja i miał dość rozsądku, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

Po co umierać wcześniej, niż musi.

- *Hola, niño.* - Hector otworzył drzwi do komórki.

Lane zmrzążył oczy pod wpływem nagle zapalonego światła. Serce podchodziło mu do gardła, miotało się jak ptak na uwięzi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Hector.

Jasne. Fantastycznie, uwięziony w komórce, czekając na śmierć. A twój oddech, narkodraniu, mógłby zabić skorpiona z odległości sześciu metrów.

- Chciałbym skorzystać z łazienki - burknął chłopak.

Ze zdumiewającą siłą Hector dźwignął Lane'a na nogi i pokazał mu drzwi na drugim końcu korytarza.

- Tylko nie siedź tam za długo - wymamrotał z papierosem przyklepionym do kącika ust. - Twój tata, on czeka.

- Tata? Przyjeżdża tu po mnie?

- Idź już. Potem się zbieramy. *Andale, niño.*

Lane czuł taką ulgę, że omal się nie posikał. Nie mógł uwierzyć, że ojciec naprawdę po niego przyjedzie.

- Tata?

- *Si, si-* odparł zniecierpliwiony Hector. - *Andale!*

Lane puścił się pędem przez korytarz. Z każdym krokiem czuł ciężar twardego dysku w kieszeni.

## Rozdział 73

San Ysidro

Poniedziałek, 10.15

**F**aroe i Grace wrócili do głównego pomieszczenia. Steele i agent FBI akurat ostrożnie podawali sobie ręce.

- Agent specjalny Cook zgodził się na umowę, która gwarantuje całkowitą kontrolę FBI nad wydarzeniami objętymi jego jurysdykcją- oświadczył Steele, ważąc słowa z ostrożnością dyplomaty. - Ekipy inwigilacyjne i szturmowe będą zabezpieczały wymianę i mają prawo zakończyć operację, jeśli Cook, jako dowódca, uzna, że jest zbyt niebezpieczna.

Faroe znieruchomiał z wściekłości.

- Zakończyć operację? Niebezpieczna? On przejmuje się tylko tym, żeby Franklin nie dostał kulki w tłusty tyłek.

- W tej chwili sam chętnie wpakowałbym w niego kulkę - odparował Cook. - Kapusie. Jezu. Nienawidzę oślizgłych skał, pod którymi mieszkają. Już powiedziałem Tedowi i jego adwokatowi, że albo idą na współpracę, albo nici z ewentualnego układu o nietykalności. - Popatrzył na Grace. - Szkoda, że nie przysłała pani do mnie, tylko do St. Kildy. Sprawa byłaby czystsza.

- Nawet nie wiedziałam, że ktoś u was zajmuje się tą sprawą - odparła Grace. - Ale nawet gdybym pana znała z imienia i nazwiska, zgłosiłabym się do St. Kilda Consulting. Oni reprezentują moje i tylko moje interesy.

Cookowi opadła szczęka.

- Po dwóch latach pracy w grupie zadaniowej, gdyby ktoś uprowadził mojego syna, też bym pomyślał o usługach St. Kildy. I olał swoją karierę.

Faroe nalał sobie kawy i zwrócił się do Cooka.

- Ale ty wciąż musisz prowadzić tę grę, jakby twoja odznaka liczyła się najbardziej.

- Kontrola operacyjna? To tak cię wkurza? - zapytał Cook. - Wiesz, że muszę iść do szefów z czystymi rękami. Taki mam obowiązek po tej stronie granicy.

Faroe napił się kawy i czekał na to, co chciał usłyszeć, albo na coś nieprzewidywalnego.

- Ale to nie znaczy, że obchodzi mnie, co dzieje się na drugim końcu tunelu - dodał Cook. - Jeśli chcesz strzelić Hectorowi między oczy i zawlec go do Stanów za szelki, proszę bardzo. Tylko nie uprzedzaj mnie o takiej akcji.

Faroe czekał właśnie na takie słowa.

- Możliwość wyparcia się wszystkiego. - Zasalutował Cookowi. - To główny powód istnienia St. Kildy. Dobrze to ująłeś. Ale mamy problem.

- Tylko jeden? - zapytał ironicznie Cook.

- Hector chce mnie tutaj mieć na widoku - wyjaśnił Faroe.

- Myślisz, że podejrzewa pułapkę? - zapytał Steele.

- Nie. Po prostu mi nie ufa.

- Mądry facet - skomentował Cook. Zerknął na Steele'a. - Masz ludzi, którzy mogliby wykonać robotę na południu?

- Nie - odparł natychmiast Faroe.

- Co? - Cook wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Teraz, kiedy to oficjalna sprawa na szczeblu federalnym, nie będę stawiał pracowników St. Kildy w sytuacji, w której mogliby stracić życie albo wolność.

- Posłuchaj no - powiedział Cook. - Mówiłem, że nie zamierzam pytać, co twoi współpracownicy robią po drugiej stronie. To nie moja jurysdykcja. Nie mój problem.

- Możesz sobie obiecywać nietykalność, ale dotrzymanie tej obietnicy zależy od szefa FBI, prokuratora generalnego i rozmaitych sędziów.

Cook nie wyglądał na szczęśliwego, ale się nie sprzeczał.

- Ambasador mówił mi, co ci się przydarzyło szesnaście lat temu.

- W takim razie wiesz, dlaczego nie ufam systemowi i nie chcę angażować w twoją akcję innych pracowników St. Kildy.

- A więc planujesz odwołać operację na południowym końcu? - zapytał Cook.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Od ciebie chcę tylko trzymetrową drabinę i buty do biegania.

Cook zerknął na Steele'a.

- On mówi poważnie?

- W college'u biegał na tysiąc pięćset metrów - odparł Steele. - Nadal biega.

Grace położyła rękę na ramieniu Faroego.

- Co zamierzasz zrobić?

- Na pewno nie opowiem o tym w obecności Cooka, bo całkiem możliwe, że mój pomysł będzie się wiązał z nielegalnym przekroczeniem granicy.

Zamrugła.

- Co?

- Przeskoczeniem ogrodzenia. Z północy na południe - powiedział Faroe.

Grace czuła ból w płucach - tak bardzo musiała się powstrzymać, żeby nie krzyknąć.

Wstrzymywanie oddechu nikomu nie pomoże.

Oddychaj.

- W porządku - wymamrotała. - Co mam zrobić?

Uśmiechnął się powoli.

- Rzeczy, które nadal są nielegalne w niektórych krajach.

Grace nie wiedziała, że jeszcze potrafi się śmiać, dopóki nie usłyszała swojego śmiechu. Trochę się rozluźniła.

Ale to minęło, kiedy spojrzała na zegarek.

Oddychaj.

## Rozdział 74

San Ysidro

Poniedziałek, 11.15

Faroe, Grace i Steele siedzieli w cieniu obok centrum dowodzenia St. Kildy i obserwowali rozwój wydarzeń. W przeciwieństwie do fali *chubasco*, które zmoczyły Ensenadę i rozbijały się o całe wybrzeże, burza jeszcze się tutaj nie rozpełtała.

Faroe nie wiedział, kto pierwszy wybuchnie: burzowe chmury czy grupa zadaniowa.

Do busów St. Kildy na małym parkingu dołączyły dwa ciemnoniebieskie vany FBI, przenośne centrum dowodzenia i co najmniej dwanaście sedanów

i ciężarówek bez oznakowań rządowych. Uzbrojone ekipy w hełmach z kevlaru i niebieskich kombinezonach obchodziły teren razem z cywilnymi detektywami z grupy zadaniowej i oficerami z kilku lokalnych, stanowych i federalnych agencji.

Przeświadczeni o własnej ważności mężczyźni i kilka małomównych kobiet krążyły sztywno, oczekując sygnału do zabijania albo umierania.

- Masz przed sobą definicję mongolskiej rozpierduchy - stwierdził Faroe.  
- To mi przypomina, dlaczego opuściłem służby rządowe. Za dużo cholernych służących.

Steele się uśmiechnął.

- Bądź dumny. Roznieciłeś pożar, który pali tyłki aż do samego Waszyngtonu. Ostatni telefon miałem od głównego doradcy prokuratora generalnego, który zastanawiał się, co my wyrabiamy, pakując się w priorytetowe śledztwo na szczeblu federalnym. •

- I co odpowiedziałeś? - zapytała Grace.

- Że kilku agentów St. Kildy zgodziło się pracować jako tajni informatorzy dla grupy zadaniowej zajmującej się aresztowaniem obywatela narodowości meksykańskiej, który jest trzecim spośród dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców na liście FBI. Wskazałem również, że Ministerstwo Sprawiedliwości często polega na dowodach zebranych przez prywatnych detektywów.

- Czy to sprawiło, że zrobiło mu się ciepło i przytulnie? - zagadnął Faroe.

- Nie pytałem o stan jego bielizny - odparł Steele.

- Chciał tylko, żeby prokuratura generalna mogła wszystkiego się wyprzeć, gdyby coś poszło nie tak - odparła Grace.

- Otóż to - potwierdził Steele. - Przypomniał mi też, że tajnym informatorom nie wolno wykonywać obowiązków związanych z ochroną porządku publicznego.

- Czyli? - zagadnęła Grace.

- Żadnej broni - wyjaśnił Faroe, podrzucając telefon satelitarny. - Żadnych rekrutów ani odznak. Te zabawki są zastrzeżone dla zaprzysiężonych agentów Stanów Zjednoczonych.

- Żadnej broni? - powtórzyła.

- Zabij mnie, jeśli nie mówię prawdy.

- To ponure powiedzonko - mruknęła.

- A więc obiecuję do nikogo nie strzelać na terenie Stanów Zjednoczonych - Faroe znów uruchomił telefon satelitarny. - Poza Stanami to zupełnie inna historia. - Popatrzyła na Steele'a. - Naprawdę określiłeś mnie jako TI?

- Tajny informator. To tylko taki opis.

- Gówno też można opisać. A właśnie tak myślą agenci o kapusiach.  
O, przepraszam, o TI.

Faroe znowu podrzucił telefon.

I w tym momencie aparat zadzwonił.

Joe chwycił go w locie i wcisnął klawisz.

- Tu Faroe.

- *Hola*, dupku - odparł Hector. - Znasz hurtownię El Rey Mexican Foods w Otay?

- Znajdę.

- Przywieź Franklina, twardzielkę i siebie. Masz godzinę.

- Będziemy. Ale przed wymianą musimy zobaczyć Lane'a i porozmawiać z chłopakiem.

- Przecież ona dopiero co...

- Pogadamy z Lane'em, zanim damy ci pliki, bo jak nie, to koniec umowy. *Claro?* I wręczamy ci pliki osobiście. Nie powierzę informacji żadnemu z twoich ludzi. Ty też nie powinieneś tego robić.

Hector się zaśmiał.

- *Si*, gringo. Słuchaj no.

- Słucham.

Faroe skoncentrował się, powtórzył siedem cyfr i czekał na potwierdzenie.

Cisza na linii.

Hector zakończył połączenie.

- Wymiana ma się odbyć w hurtowni El Rey Mexican Foods, tak jak oczekiwaliśmy. Mam kod do frontowych drzwi.

- Kiedy? - zapytała Grace.

- Za godzinę. - Popatrzył na Steele'a. - Gdzie dzieciaki?

- Tam, gdzie chciałeś, w zaroślach przy granicy - odparł Steele. - Mary wciąż naciska, żeby przeskoczyć ogrodzenie razem z tobą.

Faroe pokręcił głową.

- Nie tym razem. - Gwizdnął przez zęby. - No, Cook! Masz niecałą godzinę, żeby dotrzeć do hurtowni Otay i przerzucić tam swoich strzelców.

Agent wykrzyknął kilka komend. Ludzie zaczęli biegać, jakby ziemia paliła im się pod stopami.

Faroe wstał i ruszył na plażę.

- Dokąd? - zapytał Steele.

- Potrzebuję kilku minut z dala od tego ula.

# Rozdział 75

San Ysidro  
Poniedziałek, 1 1.20

Grace poszła za Faroem. Wiatr smagał jej policzki kurzem. Na plaży stanęła tuż za Joem. Grzmoty w oddali mieszały się z nieustannym szumem fal. Słonawy wodny pył i pierwsze krople deszczu sprawiały, że powietrze nie było przejrzyste, a poranek przypominał wieczór. Linie horyzontu zastępowały zwariowany melanż morza, nieba i burzy.

- Czy ja jestem częścią ula? - zapytała Grace.

Nie odwracając się od morza, Faroec wyciągnął rękę.

- Myślę o Lanie.

Spletli palce.

- Myślę o czasie, którego z nim nie spędziłem. - Ścisnął jej dłoń. - O jego pierwszych krokach, słowach. Zastanawiam się, czy był podobny do dziecka, jakiego widziałem w Peru. Pokazywał falę i mówił: „śmiejąca się woda”, a potem sam się śmiał. Radość. Niewinność. Otwartość. Lane musiał utracić to wszystko, żeby przeżyć.

Grace milczała. Tylko trzymała Faroego za rękę.

- I myślę jeszcze o tych innych pierwszych razach, przy których mnie nie było - powiedział. - Pierwszy raz, kiedy Lane został zraniony, broniąc kogoś słabszego. Kiedy wziął się w garść i nie rozplakał, bo samym płakaniem niczego nie mógłby zdziałać. Kiedy wystąpiła u niego mutacja. Pierwszy raz, kiedy spojrzał na dziewczynę i czuł się jak ostatnia niedzara.

Grace wmawiała sobie, że to przez słoną wodę ma wilgotną twarz.

- Teraz Lane osiągnął wiek, w jakim jest wielu żołnierzy w regularnych i nieregularnych armiach na całym świecie - powiedział Faroec. - Może zachował choć część niewinności.

Przyłożyła sobie do policzka jego rękę.

- Przywykłem do przemocy, do śmierci - ciągnął. - Nie zubożyłem. Po prostu mnie nie zaskakują. Mogę pogodzić się z tym, że nie obejrzę następnego zachodu słońca, ale nie mogę tego zaakceptować w przypadku Lane'a. I niewiele jestem w stanie zrobić, żeby temu zapobiec. Cholernie mało. Więc muszę wierzyć w chciwość i przemoc, bo to skuteczna broń, a niewinność nią nie jest. - Jego palce zeszywniały, potem wyslizgnęły się z uścisku Grace. -I niech tak będzie.

- Wybaczysz mi? - zapytała Grace, patrząc na nadciągającą burzę niewidzącymi oczami.



Faroe muskał palcami jej policzki, łązy, splątane wiatrem włosy.

- Te „zaszczyty” rozłożyły się po równo - stwierdził. - A więc tak, wybaczam, że wiele lat temu uznałaś, że nie jestem ci potrzebny. A ty mi wybaczyłaś?

- Tak.

Na moment zacisnął palce.

- Teraz muszę tylko wybaczyć samemu sobie.

Zaśmiała się ponuro.

- Czuję to samo.

Jego ręka zsunęła się z włosów Grace do paska, przy którym nosiła telefon satelitarny. Zaczął wystukiwać numer, ale przestał.

- Idź porozmawiać ze Steele'em, *amada*. Za kilka minut przyjdę.

~ To ma coś wspólnego z Lane'em?

- Tak.

Grace nie odeszła.

Faroe nie prosił drugi raz.

## Rozdział 76

Tijuana

Poniedziałek, 11.22

**C**arlos Calderon trzymał swój kodowany telefon komórkowy tak, jakby spodziewał się, że aparat urwie mu rękę.

W pewnym sensie, wcale się nie mylił. Każda rzecz miała swoje dobre i złe strony.

Telefon zadzwonił.

Carlos przeżegnał się i odebrał połączenie.

- *Bueno*.

~ Mówi Faroe. Rozmawiam z Carlosem Calderonem?

- Tak, spodziewałem się telefonu od ciebie.

- Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. Ty i Jaime chcecie wyeliminować z gry Hectora Rivasę Osunę. Podjąłem działania, żeby to się mogło stać.

- Jak? - Carlos prawie bał się w to uwierzyć. - To nie może do mnie wrócić.

- Nie wróci. Musisz tylko powiedzieć Jaime'owi, żeby zabrał Hectora do magazynu w Tijuanie. Zaczekasz, aż będzie poza zasięgiem fal radiowych,

i wszystkich stamtąd wyciągniesz. Potem po prostu zostawisz Hectora. Nie zamykaj za nim drzwi na klucz. Ja zrobię resztę. I jak? Umowa stoi?

- To wszystko? Mam go tylko zostawić?

- Wystarczy.

W satelitarnym połączeniu coś zaszumiało.

Faroe czekał.

I się modlił.

- Stoi - powiedział Carlos.

## Rozdział 77

San Ysidro

Poniedziałek, 11.30

**T**ed Franklin powoli zaczynał trzeźwieć, więc jego nastrój oscylował między pyszałkowatością i strachem.

Kiedy Cook podszedł z kajdankami, Ted dostał pietra.

- Nie dam się skuć! Mowy nie ma! Odbiło ci?

- Uspokój się - mruknął Cook. - To część planu. Masz być przecież więźniem Faroego.

- Powiedziałem, że z nim pojedę. Nie było mowy o kajdankach!

- To nie jest kwestia wyboru - odparł Cook.

Zanim Franklin zdążył zasapać, agent skuł mu ręce na plecach, i to ciasno.

Franklin zaczął szlochać.

Jezu, pomyślał Faroe. Zupełnie się rozklei, jeszcze zanim zobaczy Hectora.

Przepchnął się łokciami do stojących wokół Franklina agentów.

- Daj mi kluczyk - zwrócił się do Cooka.

Agent zawahał się, potem podał kluczyk.

- Osobiście wolałbym go zdzielić po mordzie, żeby wrócił mu rozum.

- Weź bilet i ustaw się w kolejce. - Faroe rozkuł Franklina, ale jedną obręcz zostawił mu na nadgarstku. - Ted. Hej, Ted!

Franklin zamrugał i skupił uwagę na Faroem.

- Odgrywamy przedstawienie - wycodził dobitnie Joe. -A to są rekwizyty.

- Podsunął Franklinowi pod nos łańcuch kajdanków. - Widzisz to ogniwo? Jest słabe. Wystarczy porządnie szarpnąć, a łańcuch pęknie.

Cook odwrócił się, żeby Faroe nie zobaczył jego uśmiechu.

Inni agenci też tak zrobili.

Franklin próbował się skupić na łańcuchu, ale nic nie widział przez łyż.

Faroe liczył na to.

- Na pewno pęknie? - zapytał Franklin.

- Tak. Pokazałbym ci, ale mamy tylko jedną parę sztucznych kajdanek. Więc odpręż się i pamiętaj, że to tylko udawanie.

- Udawanie - powtórzył Franklin. Wziął kilka nerwowych oddechów i otarł twarz rękawem. - A muszę udawać?

- Hector spodziewa się zobaczyć ciebie w kajdankach, więc właśnie to mu pokażemy - wyjaśnił cierpliwie Faroe. - Ale my wiemy swoje. Że możesz się z nich uwolnić, kiedy tylko zechcesz, tak?

Jeszcze kilka urywanych oddechów i kolejne otarcie nosa ręką.

- Hm, no tak - wymamrotał w końcu Franklin.

- Jesteś gotowy do odegrania swojej roli? - zapytał Faroe.

- Tak. Chyba tak.

- Dobrze. Zaraz cię skuję, ale tym razem będziesz miał ręce z przodu. Gotowy?

Franklin przełknął ślinę i trochę się wyprostował.

- OK.

Faroe z powrotem założył mu kajdanki. Franklin nawet nie zdążył mrugnąć okiem.

Ani zmienić zdania.

- Co dalej? - zapytał Franklin podniesionym głosem. - Powinienem wiedzieć. Muszę wiedzieć.

Cook zaklął pod nosem.

- Już ci mówiłem dwadzieścia razy. Ty, Grace i Faroe spotykacie się z Hectorem w hurtowni w Otay Mesa za czterdzieści pięć minut. Czy tym razem słuchasz, co do ciebie mówię?

Franklin kiwnął głową.

- Hurtownia ma tunel, który biegnie do innego składu na południe od granicy - ciągnął Cook monotonnym głosem. - Właśnie tamtędy Hector przyprowadzi Lane'a na północ. Tylko tą drogą może przedostać się na północ bez ryzyka, że zostanie zdemaskowany.

- Tunel? - zagadnął Franklin. - Dlaczego ty nie możesz jechać? I grupa uzbrojonych ludzi. Tak byłoby bezpieczniej.

- Ponieważ Hector nie jest głupi - odparł Faroe. - Jego ludzie będą obserwowali hurtownię. Jeśli za dużo osób wejdzie do środka, umowa zostanie zerwana, Lane zginie, a ty, jeśli dopisze ci szczęście, pójdziesz siedzieć za pranie brudnych pieniędzy. Jeśli nie będziesz miał szczęścia, Hector zabije cię

jeszcze przed rozprawą. - Zakładając, że ja wcześniej cię nie kropnę. - Jakies pytania?

Franklin zadrżał. Szybko pokręcił głową.

- Żeby wszyscy przeżyli - kontynuował Faroe tonem pozornej cierpliwości - musimy stworzyć wrażenie, że ja cię złapałem i chcę wymienić na Lane'a. Właśnie dlatego uzbrojone ekipy z FBI będą musiały zostać w zaroślach i czekać na nasz sygnał.

- Ale kiedy Hector zorientuje się, że to pułapka, czy nie będzie próbował wszystkich pozabijać? - zapytał Franklin.

Cook wyrócił oczami. To pytanie już padło.

I to niejedyn raz.

- Nie da rady - odparł krótko Cook i niecierpliwie zerknął na zegarek. - Mamy coraz mniej czasu.

Faroe zaczął się odwracać, ale przystanął.

- Słuchaj, pomogę ci wczuć się w rolę.

- Co? - zapytał Franklin.

Faroe przyłożył mu w twarz najpierw prawą, potem lewą ręką.

Cook nawet nie zdążył zareagować.

Z lewego kąca ust i z nosa Franklina zaczęła kapać krew, a na policzku wykwitła odrażająca pręga. Franklin odruchowo próbował dotknąć zranionych miejsc.

- Ja krwawię! - zawołał z rozpaczą.

- Właśnie o to chodzi - odparł Faroe. - Rozsmaruj krew na swojej białej koszuli. Jakbyś wziął udział w solidnej bójce i zaliczył kilka ciosów. To musi wyglądać autentycznie, włącznie z prerażeniem w oczach. Hector doskonale wie, jak wygląda pobity facet.

Franklin zmierzył Faroego wzrokiem, dotknął krwawiącej twarzy i wytarł ręce w koszulę.

Faroe poklepał go po ramieniu.

- W porządku. Niech nadal krwawi, bo znowu będę musiał cię palnąć. - Popatrzył na agentów i zauważył wśród nich Grace. Ruszyli do busa.

Dogoniła go, gdy dotarł do drzwi.

- Skłamałeś o tych kajdankach, prawda? - zapytała.

- Tak.

- Naprawdę musiałeś go uderzyć?

- Tak.

- Sprawilo ci to przyjemność.

- Tak. Masz z tym problem?

Westchnęła.

- Niespecjalnie, a powinnam.

Ta sama ręka, która rozcięła Franklinowi policzek, teraz delikatnie gładziła twarz Grace.

- Jakoś przez to przebrniemy, *amada*. Ale najpierw musimy ci założyć urządzenie podsłuchowe.

Otworzyła drzwi busa.

- Kajdanki dla Franklina i pluskwa dla mnie. Chryste Panie.

- Dzięki temu ekipa szturmowa się zorientuje, kiedy forsować drzwi od frontu. Chętnie bym ją sobie zamontował, ale będę w innym kraju.

- Kiedy ją przypnę, usłyszą wszystko, co powiem?

- Takie jest założenie.

- Więc lepiej powiem to teraz.

Grace przyciągnęła Faroego do siebie i wyszeptwała:

- Wróć do mnie. Obiecay mi to, do diabła.

Faroe odwzajemnił pocałunek. Czuł ulgę, że ma pretekst, żeby nie robić obietnic, których nie jest w stanie dotrzymać.

## Rozdział 78

Otay Mesa

Poniedziałek, południe

**D**eszcz padał gęstymi strugami, które zmieniały kierunek pod wpływem silnego wiatru. Wycieraczki zawzięcie zgarniały wodę z szyby.

Serce Grace biło jak szalone.

Miała wrażenie, że płynie przez ciemny od burzy pejzaż; światła fabryk i firm przypominały matowe brylanty przebijające się przez opary rtęci.

Franklin siedział z tyłu. Nic nie mówił.

Faroe powoli jechał mercedesem po gładkiej nawierzchni ulic, na których znajdowały się rzędy pozbawionych okien magazynów importowo-eksportowych i place z używanymi samochodami, okolone siatkowym ogrodzeniem z pętlami drutu kolczastego. Jeśli byli tu pracownicy, to pewnie pochowali się przed deszczem.

- Widok jak ze strefy wojennej - zauważyła Grace. - Fortece bez okien i ostrokoły bez więźniów.

- Trafne porównanie - stwierdził Faroe. - Kiedyś rosły tu łąny żyta i krzaki, ale nawet wtedy były upstrzone lisimi norami i poprzecinane ścieżkami

dla szmuglerów. Patrol graniczny musiał przyjeżdżać raz na miesiąc, żeby wystrzelać hordy zdziczałych psów, które przybiegały co noc z Meksyku na polowanie.

- Strzelali do psów?

- Wścieklizna. Nosówka. Dzikie psy miały wszelkie możliwe choroby. Zabijanie było jedyną metodą, żeby trzymać je z dala od San Diego.

Grace trudno było się z tym nie zgodzić, ale i ciężko zaakceptować.

- O, jest - zawołał Faroe.

Wychyliła się i zauważyła znak na ulicy: EL REY MEXICAN FOODS. Tablica stała przed dużym, pochylonym, kamiennym budynkiem, który sąsiadował z ogrodzeniem granicy. W środku było ciemno, z wyjątkiem skromnego oświetlenia w jednej z sal.

Hurtownia mieściła się tuż na zachód od zabudowań posterunku granicznego Otay.

Grace patrzyła na frontową stronę, gdzie miały być pomieszczenia biurowe.

Żadnego ruchu.

- Wygląda na opuszczony - stwierdziła niepewnie.

- Bo pewnie jest opuszczony. Galindo robił trochę wykończeniówki po zbudowaniu tunelu. Mówił, że Hector zawsze pilnował, żeby żaden z pracowników nie kręcił się w pobliżu, kiedy tunel był używany. Nawet członkowie rodziny, którzy przerzucali narkotyki, znali tylko jeden koniec.

Faroe zwolnił i skręcił na pograżony w cieniu parking obok hurtowni.

- Galindo powinien się domyślić, co Hector zaplanował dla tunelowych szczurów. Martwi ludzie nie mogą niczego zdradzić.

- Więc zabił górników. - Grace pokręciła głową. - Przy Hectorze nawet dzikie psy wydają się słodkie.

- To znaczy, że spróbuje zabić nas - powiedział Franklin podniesionym głosem. - Na pewno!

- Uspokój się - rzucił Faroe. - To miejsce już zostało otoczone przez kilkunastu strzelców wyborowych i brygady szturmowe.

Szybko zahamował i wyłączył światła samochodu.

- Nie widzę ich - wyszeptał roztrzęsiony Franklin. - Nie widzę nikogo!

- Hector też ich nie widzi. Kiedy zobaczy, będzie za późno. - Faroe rozejrzał się dookoła. - Założę się, że co najmniej dwóch schowało się w śmietniku przy tylnych drzwiach, a dwóch innych pod oleandrowym żywopłotem na tyłach posiadłości.

Franklin jęknął.

- Ale nie będą nas widzieli, kiedy wejdziemy do środka.

- Przez nadajnik, który Grace ma przypięty do stanika, FBI będzie słyszało wszystko w promieniu kilkudziesięciu metrów - wyjaśnił Faroe.

Przez głośnik małego radioodbiornika na konsoli obok Faroego rozległ się trzask.

- Co to było? - zapytał ostro Franklin.

- Jeden z członków grupy szturmowej puknął w mikrofon. To standardowy sygnał, potwierdzający sprawną transmisję. - Wziął odbiornik i przypiął go do paska obok komórki. Kiedy ruszę na południe, będziecie mieli łączność ze wsparciem za pośrednictwem stanika Grace.

Spojrzała na Joego z ukosa.

Uśmiechnął się.

- Gdyby coś poszło nie tak, po prostu krzycz, a spece z FBI rozwalą wszystkie drzwi w tym pudle i spadną na Hectora jak kwaśny deszcz. Oni naprawdę chcą zaleźć za skórę temu draniowi.

- A ja myślałem, że im chodzi o pieniądze - wtrącił z przekąsem Franklin.

- Wezmą z przyjemnością- odparł Faroe. - Może pokryją swoje wydatki i wysupłajeszczę nagrodę za schwytanie Hectora.

- Naprawdę myślisz, że coś dostaną? - zapytał Franklin.

- St. Kilda na pewno. Steele będzie zadowolony cały tydzień.

- Ale... - zaczął Franklin.

- Później - przerwał Faroe. - Teraz ma być cisza.

Powoli objechał kwadratowy magazyn, sprawdzając punkty, gdzie można byłoby się ukryć albo prowadzić działania zapobiegające inwigilacji. Miejsce wydawało się opuszczone, ale w promieniu kilkudziesięciu metrów znajdowało się ponad dwudziestu agentów federalnych.

A gdzieś w brzdach pola truskawkowego, między hurtownią i ogrodzeniem granicy, leżało trzech operatorów St. Kildy.

Jedyną oznaką prowadzonej obserwacji była lekko połyskująca sterta pobitego szkła tuż przed tylnymi drzwiami hurtowni. Ktoś użył śrutu, żeby zbić szklaną osłonę na lampie z czujnikiem ruchu. Faroe sam wiele razy tak robił.

Zatrzymał się w cieniu kilkumetrowego oleandrowego żywopłotu i patrzył, jak suburban patrolu granicznego powoli krąży po nieutwardzonej drodze, przylegającej do czterometrowego ogrodzenia granicy. Pojazd zwolnił jeszcze bardziej, potem się zatrzymał. Kierowca opuścił szybę i wyjrzał na pole skałpane w deszczu.

Cholera, zaklął w duchu Faroe. Na pewno zobaczył jakiś ruch.

Pochylił się nad piersiami Grace.

- Który to baran zapomniał poinformować patrol graniczny o przeprowadzanej tu operacji?

Z odbiornika na pasku dobiegł trzask.

Wiadomość została odebrana.

Agent służby granicznej wysiadł z wozu. Widać było, że chce dobrze obejrzeć teren. Zszedł z drogi, jak przystało na strażnika zaprawionego w bojach z nielegalnymi imigrantami.

Po chwili zatrzymał się i sięgnął do krótkofalówki przy pasku.

- Tak, Cook - szepnął Faroe wtulony w koszulę Grace. - Prawdopodobnie Hector postawił kogoś na czatach z drugiej strony, więc powiedz temu z patrolu, żeby w te pędy zabierał stąd swoją dupę i pojechał gdzieś indziej.

Agent służb granicznych potwierdził odbiór komunikatu. Potem cisnął odbiornik do wozu i wszedł. Na dachu zabłyśły czerwono-niebieskie światła. Zielono-biały samochód zostawił za sobą błotnisty szlak i szybko pojechał graniczną drogą w kierunku Chula Vista.

- Dobra robota - pochwalił Faroe. Wtulił nos w strategicznie ulokowany nadajnik. - Dzięki.

Grace z wrażenia na chwilę przestała oddychać. Potem się uśmiechnęła.

- OK, Central - powiedział Faroe, wciąż trzymając usta tuż przy jej koszuli. - Teraz ruszamy do hurtowni. Wejdziemy do środka za trzydzieści sekund. Będę to rozgrywał spokojnie, dopóki nie upewnię się, że nikt nie czeka. I potrzebujemy próby, czy nadajnik zadziała w środku. Jak mnie słyszysz? Potwierdź raz.

Pojedyncze puknięcie w odbiorniku na biodrze.

- Sprawdziłeś, czy nie zainstalowali podsłuchu w środku? - zapytał.

Kolejny trzask.

- Pamiętajcie - zwrócił się Faroe do Grace i Franklina. - Na terenie hurtowni są kamery telewizyjne, więc Hector raczej będzie nas obserwował.

- Podsłuchiwał też? - zagadnęła.

- Galindo nic nie wiedział o mikrofonach, ale nie mamy pewności. Grupa zadaniowa będzie prowadziła nasłuch, nawet jeśli ty stracisz łączność. - Faroe wyciągnął rękę w kierunku magazynu. - Przejście jest w łazience obok biur. Znając Hectora, wysmarował je gównem, żeby zmylić psy celników.

- Słodkie - zauważyła Grace.

- Cały nasz Hector.

Faroe powoli podjechał do bocznych drzwi. Zgasił silnik. Wokół zapadła cisza.

- Masz tę rzecz od Harleya? - zapytał cicho Grace.

- Tak.

- Pamiętaj, kiedy jej używać?

- O czym wy gadacie? - dopytywał się Franklin.



- O pistolecie w mojej torebce - odparła.
  - Dali ci broń? Dlaczego ja żadnej nie dostałem?
  - Nie pasowała do kajdanek - odparowała Grace.
- Franklin osunął się na fotel.
- Przestań się zamartwiać o wszystkie rzeczy, które mogę zrobić nie tak, jak trzeba - Grace zwróciła się do Faroego. - Znam przepisy włączania się do akcji. Nie wtrącam się, chyba że komuś grozi natychmiastowa śmierć. Ale jeśli plan się posypie i zrobi się gorąco, nie zamierzam stać i wrzeszczeć. Zacznę strzelać.
- W radioodbiorniku rozległ się pojedynczy trzask. Faroe się uśmiechnął.
- Żywy lub martwy... jak to kiedyś pisali na plakatach?
  - Właśnie tak.
- Poczuła na karku oddech Faroego.
- Nie mów niczego, co twoim zdaniem nie powinno się znaleźć w końcowym raporcie z akcji.
  - Ja tylko przedstawiam swój tok myślenia - odparła Grace. - Hector to staroświecki głupiec. On nie uważa, że kobiety mogą stanowić zagrożenie. Będę miała większą szansę strzelenia do niego niż wszyscy ninjas na parkingu.
  - Dobrze strzelasz? - zapytał Faroe.
  - Kto by dobrze nie strzelił z odległości kilkunastu centymetrów?
  - Nie rób niczego, co mogłoby rozwścieczyć Hectora - dorzucił nerwowo Franklin.
  - Myślałam, że chodzi ci o to, co mogłoby go zabić.
  - Hm, Cook, lepiej skopij tu taśmę i zacznij od nowa - powiedział Faroe i wyciągnął koszulę, żeby zasłonić odbiornik.
- Jeden trzask.
- Faroe położył rękę na klamce auta.
- Pora na przedstawienie.

## Rozdział 79

Otay Mesa  
Poniedziałek, 12.05

**N**ie zwracając uwagi na deszcz, Faroe wysiadł z mercedesa, otworzył tylne drzwi i brutalnie wywłókł przez nie zakładnika.

- Hej, uważaj no! - obruszył się Franklin.

W odpowiedzi otrzymał szybki cios w twarz.

Grace mruknęła coś pod nosem, zamknęła za sobą drzwi i czekała w deszczu na rozwój wydarzeń.

- Niech to krwawi - syknął Faroe do Franklina.

- Dość już, bo się...

- Masz szczęście, że ci nie wyrwałem flaków za to, co zrobiłeś Lane'owi - przerwał mu Faroe. - Zamknij się i pomyśl, ile dobrego w życiu cię spotkało.

W deszczowym mroku widać było białka oczu Franklina.

Faroe pchnął go mocno do przodu.

Franklin potknął się i zachwiał, ale ruszył przed siebie, do betonowej płyty, która tworzyła próg hurtowni. Stanął odepiały na szkle z kolejnej rozbitej lampy. Nawet nie zauważał deszczu.

Krew spływała czerwoną, potem różową strużką na koszulę, która już dawno nie była biała.

Grace nie próbowała osłaniać się przed ulewą. Czekała, aż Faroe wstuka siedmiocyfrową sekwencję do elektronicznego zamka.

Rygiel odsunął się z ostrym metalicznym szczękiem.

Faroe pchnął drzwi, wszedł pochyłony i po omacku odszukał kontakt. Na suficie, z dziesięć metrów nad ich głowami, zapaliły się jaskrawe halogeny, dzieląc hurtownię na obszary światła i ciemności.

Nie było widać żadnego ruchu.

Faroe rozejrzał się dookoła powoli, potem machnął ręką, żeby Franklin i Grace weszli do środka. Zamknął drzwi.

W wielkim, pustym magazynie każdy krok odbijał się echem. Blisko frontu stało kilka drewnianych palet z popularnym gatunkiem puszkowanego meksykańskiego chili. Na tyłach hurtowni, tam gdzie drzwi były pozamykane na klucz i połączone do systemu alarmowego, przed kolejną grupą pokoiów biurowych, piętrzyły się palety, tym razem z brezentowymi workami z fasolką *pinto* i ryżem. Pośrodku było trzydzieści metrów betonowej podłogi.

Faroe naliczył na ścianach cztery kamery telewizyjne w zamkniętym obiegu; obejmowały swoim zasięgiem całą powierzchnię hurtowni. Na każdej paliło się czerwone światełko, co znaczyło, że transmitują obraz do centrum kontrolnego.

Kamera zamontowana nad drzwiami obróciła się, śledząc ruchy Faroego. Przyciągnął do siebie Grace i zaczął szeptać w jej bluzkę.

- Sprawdzanie nadajnika.

Radio na pasku pod koszulą zatrzeszczało.

- Schodzę z eteru - mruknął w stanik Grace.

Kolejny trzask.

Faroe szybko pocałował Grace. Mocno i namiętnie. Ona odwzajemniła pocałunek.

Potem Faroe odwrócił się plecami do najbliższej kamery, sięgnął pod koszulę i wyłączył radio. Podszedł do pozycji obronnej, którą utworzyły palety z fasolą i ryżem.

Z wyjątkiem cichego bębnienia kropli deszczu o dach, panowała cisza.

Biura były puste.

Drzwi do łazienki zamknięte na klucz.

Poza trójką przybyszów, w hurtowni, ani żywej duszy. Chyba że ktoś chował się w łazience.

- Jest tam ktoś? - zawołał Faroe.

Cisza.

Ściągnął komórkę z paska i wstukiwiał kolejne numery, wracając do Grace i Franklina.

- Żadnego hałasu - mruknął do nich.

Nacisnął klawisz POŁĄCZ i nasłuchiwał sygnału innego telefonu dzwoniącego na terenie hurtowni.

Cisza.

Hector odebrał po dwóch dzwoneczkach. Głos miał bełkotliwy.

To dobry i zły sygnał, pomyślał ponuro Faroe.

- Przyszliśmy do hurtowni - poinformował. - Nikogo tu nie ma.

- Jesteśmy blisko, *pendejo*. - Hector zarechotał.

- Daj Lane'a do telefonu.

- Ty daj mi Franklina z plikami.

Powiedział to bardzo stanowczo.

- Z moim błogosławieństwem - oświadczył Faroe.

- Masz go?

- A nie widzisz w kamerach? - odparł zniecierpliwiony Faroe. Potem zwrócił się do Franklina. - Pomachaj.

Franklin z posepną miną podniósł skute kajdankami ręce w stronę najbliższej kamery.

- Teraz daj Lane'a - powtórzył Faroe.

- Ja nie lubię rozkazy. Ja jestem *eljefe*.

- Będziesz szefem dopiero, gdy zobaczę cię z dzieciakiem - odparował Faroe. - Do tego czasu jesteśmy tylko dwoma facetami wciskającymi sobie kit przez telefon.

Za pośrednictwem niewidzialnego łącza, którego przekaz wędrował do satelity komunikacyjnego w kosmosie i wracał do miejsca sto metrów dalej,

na południe, Faroe usłyszał charakterystyczny odgłos: to Hector zaciągał się meksykańskim papierosem, a kokainowy dym przedostawał się do jego płuc.

Rozkoszuj się nim, pomyślał Faroe. Bo jak nam dopisze szczęście, to będzie twój ostatni papieros.

- No, dobra - wymamrotał Hector nabrzmiałym językiem. - Ty gadasz do Lane'a. Potem ja wysyłam Jaime'a. Jeśli jemu spodobać się, co widzi, robimy następny krok.

Przez chwilę na łączu było słuchać głucho szczerkanie, potem odezwał się Lane.

- Mamo, tato?

- Tu Joe - odparł Faroe. - Dobrze się czujesz?

- Chyba tak. - Lane wydawał się roztrzęsiony. - Przynajmniej, hm, mam wszystko, z czym wyjechałem.

- Rozumiem. Hector mnie słyszy?

- Raczej nie.

- Obserwuj swoją mamę. Nie spuszczaaj z niej oczu, dobrze?

- Tak.

- Rób, co ona ci każe - instruował dalej Faroe. - Nie zwracaj uwagi na tatę. Tylko na mamę. Rozumiesz?

Lane zaczął coś mówić, ale zaraz krzyknął z bólu.

- Ty się nie martw, gringo - warknął Hector. - Nic chłopakowi nie jest. Tylko mu pokazałem, jak ma się zachowywać, to wszystko.

Faroe ścisnął komórkę tak mocno, że pobieleły mu kostki palców.

- Przyślij swojego człowieka.

Popatrzył na zegarek i zaczął odliczanie.

## Rozdział 80

Otay Mesa  
Poniedziałek, 12.!!

**F**aroe, Grace i Franklin stali w blasku światła. Faroe miał wrażenie, że czekają całą wieczność, chociaż minęły niecałe dwie minuty.

Usłyszał ciche odgłosy, jakby stłumione szczerknięcie metalu o metal.

Piętnaście sekund.

Ktoś spuścił wodę w toalecie.

- Kto ma przyjść? - zapytała cicho Grace.

- Jaime - odparł Faroe. - Hector musi przysłać kogoś, komu ufa, kto już zna oba końce tunelu. Czyli członka rodziny. Dla ludzi takich, jak Hector liczą się tylko więzy krwi.

I właśnie przez te więzy ciągle nawalają.

Faroe pewnie współczułby Hectorowi, gdyby nie to, że okrutny boss po sto-  
kroć zasłużył sobie na śmierć.

Gałka u drzwi toalety przekreśliła się, lekko skrzypiąc.

Drzwi łazienki się otworzyły. Jaime Rivas, w pięknym włoskim garnitu-  
rze i eleganckich butach, ale bez skarpetek, z nienagannie ułożonymi włosami,  
wynurzył się z ciemnego pomieszczenia, zasuwając zamek spodni, jakby  
właśnie skończył sikać. W lewej ręce trzymał wysadzany srebrem pistolet pół-  
automatyczny.

Cały czas wpatrywał się w Faroego.

- *Hola*, Jaime - zawołał Faroe. - *Quepaso?*

- Zamknij się - warknął młodzieniec. - Ja nie lubię gadać, jak mój wuj.

Kiedy Jaime był w odległości trzech metrów, błyskawicznie podniósł pisto-  
let na wysokość oczu i zaczął się wpatrywać w twarz Teda Franklina.

- Ty głupi sukinsynu - warknął. - Powiniennem ci teraz przyłożyć.

Franklin krzyknął przerażony.

- Jak go zabijesz, nikogo to nie uszczęśliwi - zauważył Faroe. - Zwłaszcza  
Carlosa Calderona.

Jaime spoglądał przez celownik pistoletu na miejsce między oczami Fran-  
klina.

- Gdzie plik?

- Na twardym dysku, *pendejo* - odparł Faroe. - Odkodowany i gotowy do  
użytku.

- Pokaż.

- Nie.

- Co? - Jaime aż się zaczerwienił.

- Słyszałeś - powiedział Faroe. - Hector dostanie plik, a nie ty. Jak ci się to  
nie podoba, idź do niego na skargę.

Jaime opuścił pistolet o kilka centymetrów. Teraz lufa była skierowana na  
blade, drżące usta Franklina.

- Gdzie ten twardy dysk?

- Kiedy zobaczymy Lane'a, wy zobaczycie twardy dysk - powiedział Fa-  
roe. - Taka jest umowa.

Jaime odwrócił głowę i patrzył na Faroego. Miał takie spojrzenie, że Grace  
omal się nie cofnęła.

- Przekaż Hectorowi, że umowa wisi na włosku - powiedział Faroe. Jaime wycelował teraz w jego twarz.
- Hector nie będzie miał nic przeciwko temu, że cię zastrzelę. Faroe sprawiał wrażenie znudzonego.
- Ale Calderon będzie miał. On chce tego twardego dysku. Jak zaczniesz strzelać, to go nie dostaniesz? *Claro*, koleś?
- Jaime wziął na muszkę Grace.
- Daj plik, to ona przeżyje.
- Zastrzelisz ją, to sam zginiesz - odparł Faroe. -A teraz przestań już szaleć i każ Hectorowi przeprowadzić Lane'a.
- Na usta Jaime'a powoli wypełził lekki uśmiech.
- Bystrzak z ciebie, gringo. Trzeba ci przyznać.
- Jaime opuścił pistolet. Długo wpatrywał się w Grace, usiłując ją rozszyfrować. Nie drgnęła, kiedy w nią wycelował, ani teraz, kiedy bacznie ją obserwował.
- Podobasz się Hectorowi - oznajmił. - Najpierw cię zerżnie, potem zabije. Będzie tu za kilka minut. - Odwrócił się i przeszedł przez magazyn do łazienki. Spojrzał przez ramię na Farogo. - Do zobaczenia, gringo. Wypatruj mnie.
- Drzwi łazienki zatrzasnęły się za nim.
- Faroe głośno odetchnął.
- Trzymaj broń w pogotowiu, *amada*.
- Odwrócił się i szybko poszedł do frontowych drzwi. Sunął cicho przez światło i cień, cień i światło, aż w końcu wtopił się w ciemność.
- Co mam powiedzieć Hectorowi? - zawołała Grace.
- Że wyszedłem zapalić.

## Rozdział 81

Otay Mesa  
Poniedziałek, 12.14

**K**iedy Faroe przebiegł przez parking, był już cały mokry. Nie zważał na to. Cook wyszedł zza żywoplotu, w zielono-brązowym kombinezonie, z matowczarnym pistoletem maszynowym w ręku. Inny agent leżał zakamuflowany na ziemi, przy odbiorniku. Słuchał tego, co się działo w magazynie.

Grace mówiła coś do Franklina. Faroe rozpoznał jej głos, chociaż nie rozumiał poszczególnych słów.

- Brzmi niewyraźnie - powiedział do Cooka.

- Przez słuchawki jest lepiej. - Agent wyciągnął płaski zestaw odbiorczy z kieszeni spodni. - Ten Jaime to niezły numer. Przez chwilę myślałem, że będziemy musieli wkroczyć, jeszcze zanim zjawi się Hector.

- Jaime tylko nas testował. Życie byłoby dla niego o wiele łatwiejsze, gdyby to on, a nie Hector lub Wuj Sam, miał te pliki.

Cook stanął za Faroem, wsunął zaczepek odbiornika za jego skórzany pasek i podłączył kabel ze słuchawką, którą Faroe wsadził sobie w ucho.

- Głośność masz po prawej stronie, blokadę szumów w środku - poinstruował Cook.

- Wiem. St. Kilda testowała ten sprzęt, jeszcze zanim dostarczono go do FBI.

Nastawił głośność i po sekundzie usłyszał Teda, a raczej jego sapanie. Każdy nerwowy oddech zdradzał, jak bardzo Ted był przerażony.

- Uspokój się - powiedziała Grace. - Joe wie, co robi.

Faroe postukał w słuchawkę i skinął głową do Cooka.

- W porządku. A jak będzie w tunelu?

- Nie powinieneś mieć kłopotu z odbiorem po tej stronie ogrodzenia, ale po tamtej... nie wiem.

Faroe kiwnął głową.

- Jeśli będziemy musieli wysadzić drzwi, nikomu nie gwarantuję bezpieczeństwa - uprzedził.

- Coś ty, naprawdę?

Odliczając sekundy, Faroe pognał w kierunku ogrodzenia na granicy.

## Rozdział 82

Otay Mesa

Poniedziałek, 12.15

Faroe brnął przez truskawkowe zagony i przeskoczył płytki rów, oddzielający pole od nieutwardzonej drogi, która biegła wzdłuż ogrodzenia. W strugach deszczu wypatrzył upiorne sylwetki. Pobiegł w ich stronę. Głuchy, metaliczny szcęk aluminiowej drabinki, którą rozsuwano na grubym siatkowym ogrodzeniu, świadczył o tym, że Faroe biegnie we właściwym kierunku.

Mary i dwaj inni pracownicy St. Kildy próbowali umocować dolną część długiej drabinki, która ledwo sięgała do końca ogrodzenia granicznego. Na plecach Mary wisiał karabin szturmowy bolt z teleskopowym celownikiem na długiej lufie. To była broń snajpera, kaliber 50, zdolna powalić słonia, zanim zwierzę usłyszałoby dźwięk wystrzału.

Wszyscy z wyjątkiem Faroego byli ubrani w kombinezony.

- Mówiłem wam, że idę na południe sam. - Faroego sięgnął ręką do drabinki.

- Zaczekaj - powiedział jeden z agentów. - Jest cholernie ślisko.

Mary posłała Faroemu anielski uśmiech.

- Użyję ogrodzenia jako podpórki. Będę cię osłaniać.

Faroe patrzył, jak jego koledzy z St. Kildy usiłują postawić drabinę na błotnistej, śliskiej ziemi.

- Pocisk kaliber 50 pokona prawie połowę drogi do Ensenady.

- Nie pokona, jeśli nie będę celowała w kierunku Ensenady - odparła. - Zaczę strzelać tylko wtedy, kiedy wyraźnie zobaczę cel, i stwierdzę, że tego potrzebujesz.

Faroe się poddał. Mary nie chciała zostać wykluczona z gry.

- Widziałś Lane'a?

- Tylko przez chwilę, kiedy zabierali go do środka. Przystojny dzieciak, mimo siniaków.

Faroe uśmiechnął się nerwowo.

- A co z długowłosym Meksykaninem we włoskim garniturze?

- Pół godziny temu przysłał oddział strzelców do magazynu w Tijuanie - odparła Mary. - Potem wsiedli do SUV-ów i się rozdzielili.

- Jak na razie, wszystko idzie dobrze. - Faroego uśmiechnął się złowrogo.

- Kiedy to wszystko się zacznie i będziesz miała na celowniku Jaime'a, załatw go. Nie jest tak wredny, jak Hector, ale o wiele inteligentniejszy.

- Jasne. Jaime wciąż tam tkwi. Siedzi w czarnym murano z jakimś gościem.

- Mary wyciągnęła pistolet z nylonowej, balistycznej kabury i wręczyła go Faroemu kolbą do przodu. - Jest zimny.

Skinął głową, sprawdził naboje w komorze i wepchnął broń za pasek.

Jak Hector.

Pokonał dwa stopnie.

Drabinka się osunęła.

Agenci kłęli w żywy kamień i z całych sił przytrzymywali drabinkę. Faroego szedł dalej.

Ostatni stopień wpadł w drut kolczasty z żyłkami, który tworzył pętlę na górze ogrodzenia.



- Skórzane rękawiczki - krzyknął w dół Faroe.

Po kilku sekundach drabinka zadygotała pod ciężarem dodatkowych sześćdziesięciu kilogramów kobiety strzelca wyborowego.

- Masz. - Mary podała mu parę rękawic. Potem zobaczyła górną część drabiny. - Zaczekaj! Zdobędę brezent; przerzucisz go na ostrokoły, inaczej strasznie się pokaleczysz.

- Nie ma czasu.

Faroe szybko włożył rękawice. Podobnie jak pożyczone buty, były trochę za małe. Rozsunął dwie pętle, potem puścił drabinkę i przeszedł przez druty z ostrymi jak żyłotka krawędziami i kolcami.

- Joe, nie możesz...

- Muszę.

Idź do przodu, podeprzyj się o zwoje, jedną nogę postaw na ogrodzeniu, potem skacz.

Poszło szybko.

Tylko że kolczasty drut odgiął się i trzasnął w Faroego w czasie jego skoku. Joe zrobił obrót w powietrzu i zaliczył twarde lądowanie w błocie. Mimo bolesnego upadku zmusił się do oddychania, poruszenia nogami i rękami, do wstania.

Wiedział, co jest przyczyną kłującego bólu. Nie odgiął dostatecznie długiego odcinka drutu kolczastego. Jego prawy rękaw był mokry nie tylko od deszczu.

- O rany - sapnęła Mary. - Aleś się zaciął. - Zostań, dopóki ja...

- Nie! To rozkaz.

Na szczęście drut nie przeciął tętnicy.

Faroe puścił się pędem przed siebie.

## Rozdział 83

Otay Mesa

Poniedziałek, 12.18

**N**ie podoba mi się to - mruknął Franklin.

- Nie musi - odparła Grace.

- Wynoszę się stąd. Jestem jak kaczka do odstrzału!

- Będziesz martwą kaczką, jeśli zaczniesz biec.

Słyszac wrogi ton, Franklin odwrócił się i spojrzal na Grace. Stała odwrócona plecami do najbliższej kamery. W rękę trzymała pistolet.

I celowała w niego.

- Żartujesz sobie - prychnął.

- To ty stoisz między Lane'em i śmiercią. - Odbezpieczyła broń i dotknęła spustu. - Wydałeś go Rzeźnikowi z Tijuany jak zakładnika. Dlaczego uważasz, że powinieneś żyć, a Lane może umrzeć?

- Nigdy nie zamierzałem...

- Nie obchodzi mnie, co zamierzałeś - przerwała mu bezlitośnie. - Ja muszę się mierzyć z rzeczywistością, a rzeczywistość jest taka, że pierzesz pieniądze dla morderców i jesteś tchórzem, który posłużył się dzieckiem jak żywą tarczą, byle tylko ocalić własny tyłek. Więcej współczucia miałabym dla psa chorego na wściekliznę, ale i tak bym go zabiła.

Franklin popatrzył na oczy Grace, na jej zacięte usta i sińce wywołane stresem i brakiem snu.

Poruszyła lekko broń.

- Siadaj na podłodze za workami i przestań jęczeć. Kiedy przyjdzie Hector, nie pokazuj się i nie odzywaj, chyba że ci każe. Zrozumiałeś?

- Zwariowałaś.

- Uważaj, mam spluwę.

Franklin bez słowa przeszedł po zimnym betonie i usiadł w cieniu za jutowymi workami z ryżem.

Grace ukryła broń za torebką i odwróciła się twarzą do kamery.

## Rozdział 84

Tijuana

Poniedziałek, 12.20

Faroe uśmiechał się, mimo bólu w prawym ramieniu. Krew ciekąca z rany zbierała się w skórzanej rękawicy.

Ty mu powiedz, *amada*. Już nigdy nie odważy się nie doceniać twojej siły.

Ja też.

Zacisnął palcami lewej ręki najgłębszą ranę na prawym ramieniu i wciąż biegł na południe. Światła pasa startowego na lotnisku lśniły w deszczu jak światła latarni morskiej. Faroe gnał po cementowej nawierzchni między samo-

lotami. Po chwili schował się pod okapem jakiegoś budynku. Oddychał miarowo i głęboko, a jednocześnie usiłował wypatrzeć w deszczu wartowników wokół magazynu i hangaru Grupo Calderon.

Zobaczył czarny samochód przed budynkiem Grupo Calderon; silnik pracował na wolnych obrotach. W takim samym SUV-ie Mary widziała Jaime'a.

Światła błysnęły raz.

Do zobaczenia, gringo. Wypatruj mnie.

Przednie reflektory wozu znowu zamrugały.

Faroe wyciągnął pistolet i pobiegł w kierunku samochodu. Elektryczna szyba po stronie kierowcy została opuszczona. Na fotelu pasażera siedział jakiś mężczyzna.

- A więc zjawileś się sam. - Jaime nie przejął się wycelowaną w niego bronią.

- Jeden problem, jeden ranger - odparł Faroe. - Ilu ludzi ma ze sobą Hector?

- Nikogo. Nie chce żadnych świadków. Nawet mnie.

Faroe miał nadzieję, że Jaime nie kłamie, ale nie liczył na to.

Pasażer pochylił się do przodu. Był to Carlos Calderon.

- Chcę tych pieniędzy!

- Procesuj się z amerykańskim rządem - odparł Faroe. - Ja obiecałem ci tylko Hectora.

- Hangar jest otwarty - powiedział Jaime. - Łazienka...

Faroe już biegł. Wiedział, gdzie znajduje się wejście do tunelu.

Zanim Jaime opuścił parking, Faroe zdążył dotrzeć do hangaru.

Na tyłach drewniane drzwi łazienki stały otworem. Podłoga i ubikacja były okropnie brudne. Z kabiny śmierdziało. Lustro nad małą umywalką, upstrzone przez muchy, lepiło się z brudu. Faroe wyglądał w nim jak mężczyzna, którego użyto do uprzątnięcia podłogi po morderstwie.

Odepchnął cuchnącą toaletę na bok. Jej podnózek był połączony z betonową rurą kanalizacyjną za pomocą dziurawego i przeciekającego gumowego węża. U wlotu tunelu zebrała się kałuża nieczystości. Metalowe stopnie drabiny błyszcząły od cuchnącej wilgoci.

Nie ma sensu przejmować się, że za kilka dni zachoruję na gangrenę, skoro pewnie zostanę zabity za kilka minut.

Jak tylko znalazł się poniżej poziomu podłogi, stracił kontakt radiowy.

# Rozdział 85

Otay Mesa

Poniedziałek, 12.21

Grace stała obok drzwi łazienki i nasłuchiwała hałasów dochodzących z otwartego luku. Wszystko było wyraźne, czyste, wręcz zbyt głośne. Usłyszała zbliżające się kroki, potem stłumiony krzyk.

Lane!

I głos Hectora. Zdumiewająco blisko, zimny.

Głos mordercy.

- Stań tutaj - rozkazał boss. - Zamknij się. Jak ty dobry, to i ja dobry. Ty zły, ja załatwię twoją matkę, ojciec i ciebie. A potem zabiję *todo el mundo*. *Claro?*

Lane sapnął, ze strachu i wściekłości.

Grace zacisnęła zęby, żeby powstrzymać krzyk.

Pośpiesz się, Joe. Lane cię potrzebuje.

Ja cię potrzebuję.

Nie jestem w tym ani trochę tak dobra, jak ty.

W milczeniu odsunęła się od drzwi łazienki, gdzie rozbłysło jaskrawe światło. Z pistoletem przy udzie szybko pomaszerowała przez kałuże światła i wstęgi ciemności. Zatrzymała się blisko tylnej ściany hangaru, gdzie palety rzucały mroczne cienie. Dwadzieścia kilka metrów ciemnej pustki i pionowych tuneli światła dzieliło ją od łazienki.

Odwróciła się bokiem, wciąż zakrywając broń.

Z łazienki dobiegł głuchy, dzwoniący pogłos; ktoś wchodził na metalową drabinę. Nad podłogą pojawił się czarny wylot lufy masywnego pistoletu półautomatycznego. Broń była wyposażona w urządzenie przypominające celownik. Po chwili pojawił się też cienki jak ołówek promień czerwonego światła. Gdziekolwiek padał, mógł być zapowiedzią lotu śmiertelnej kuli.

Potem Grace zobaczyła czarne włosy Hectora. Wystawił głowę powoli. Oczy mu błyszczały; przypominał szczura, który wychodzi z kanału ściekowego.

Czerwona smuga pruła ciemną pustkę, przeszywała stożki światła, a moment spoczęła na Grace jak zakrwawiony palec, a potem przesunęła się w cienie w głębi.

Grace chętnie strzeliłaby do Hectora, ale stała za daleko. Poza tym nie była przyzwyczajona do wybranej przez Harleya broni, a Hector mógł zostawić kogoś, kto trzymał Lane'owi pistolet przy skroni.

- Gdzie mój syn? - zapytała.

Głos niósł się wyraźnie po całym magazynie.

Hector wygramolił się z tunelu i wycelował w nią ciężki, czarny pistolet. Czerwone światło tańczyło w jej oczach, potem zatrzymało się na obojczyku.

- Gdzie Faroe? - zapytał Hector.

- Nie miał ochoty czekać, aż przyjdiesz go zabić.

- On cię zostawić?

- Tak.

Boss pokręcił głową.

- Ty nie mieć szczęścia do mężczyzn.

- Zauważyłam.

- Gdzie Franklin?

- Dostaniesz go, kiedy ja dostanę syna.

Hector wszedł do magazynu, lekko powłócząc nogami. Korzystając z laserowego promienia, sprawdził sterty kartonów i kamiennych naczyń. Zadowolony, że nikt się wśród nich nie ukrywa, zaczął iść w kierunku Grace.

Czerwona kropka zatrzymała się na jej piersi.

- Może zabiję cię teraz - powiedział Hector. - Potem Franklina. I chłopaka.

Czy Jaime już zastrzelił Joego? - zastanawiała się Grace. Ale zaraz odsunęła od siebie czarne myśli. Musiała zachować spokój.

Dla Lane'a.

Hector był coraz bliżej, znikając w ciemnościach i wynurzając się z nich jak duch.

Piętnaście metrów. Dwanaście. Dziesięć.

Siedem.

Grace obróciła się ku niemu i przybrała pozycję strzelecką. Odbite światło spłynęło po jej czarnym pistolecie jak woda.

- Ty zginiesz pierwszy.

Hector wyszczerzył zęby w uśmiechu i szedł dalej.

- Dobrze strzelasz?

- Tak.

Wycelowała w miejsce tuż pod błyszczącą sprzączką paska Hectora.

Zaśmiał się, zatrzymał i opuścił pistolet.

- *Basta.*

- Nie, dopóki nie pojawi się tu Lane. Nietknięty.

- Gdzie ten *burro* Franklin? Ja go widzieć na ekranie, a teraz znikł.

- Jest tutaj. Gdzie Lane?

Pistolet Grace nie drgnął ani trochę.

Hector potrząsnął głową.

- Ach, senora, sędzia. Mnie się to nie podobać. Ty za dużo wymagasz.

Trzymając pistolet z boku, zrobił krok, potem drugi. Cały czas usiłował coś wypatrzeć w ciemnościach za Grace.

Światła było dość, żeby mógł się zorientować, że jej palec poluzowuje spust.

Zatrzymał się.

- Ostra jesteś?

- Ani kroku dalej - wycodziła.

Hector przesadnie mocno wzruszył ramionami.

- Ja nie lubię, jak kobieta rozkazuje.

- To posłuchaj pistoletu - odparła Grace.

- *Aiee*, twarda sztuka. - Roześmiał się. - Ja załatwiam Lane'a. Ty załatwiasz Franklina. Ale jak coś pójdzie źle, chłopak ginie pierwszy.

- Nic nie pójdzie źle. Ty chcesz Teda. Ja chcę Lane'a. Koniec negocjacji.

Hector spuścił głowę i spojrzał na nią groźnie.

- Ja nie wierzyć, że Faroe cię zostawił. On tu jest, *escondido*, żeby mnie zabić.

- Joemu bardziej zależy na tym, żeby Lane przeżył, niż na twojej śmierci.

Hector pokręcił głową.

Grace miała wrażenie, że jej pistolet waży kilkadziesiąt kilogramów. Czuła, jak po żebrach ściekają jej strużki zimnego potu.

Joe, gdzie jesteś? Pośpiesz się.

- Joe jest biologicznym ojcem Lane'a - oznajmiła szorstkim tonem. - Dla tego Ted dał ci Lane'a jako zakładnika. Dla Teda nie miało to znaczenia.

Hectorowi zaświeciły się oczy.

- To prawda?

- Święta prawda. Joe i ja nie zdradzimy cię za żadne pieniądze. Chcemy, żeby nasz syn był cały i zdrowy.

Hector mierzył ją nieprzyjemnym wzrokiem, potem splunął z pogardą. Wolną ręką wyjął z kieszeni koszuli paczkę marlboro, wytrząsnął z niej kokainowego papierosa i wyciągnął go zębami. Odłożył paczkę, wygrzebał zapalniczkę z kieszeni dzinsów i zapalił skrzęta.

Wszystko to wyglądało jak odprawiany wiele razy rytuał. Hector głęboko zaciągnął się kokainowym dymem. Poczuł, że przesywa go fala rozkoszy i mocy.

- Zrobimy to strzeleckim sposobem - powiedział. - Tym razem.

Przeszedł z powrotem po betonowej posadzce do łazienki i zniknął w otworze.

## Rozdział 86

Tijuana  
Poniedziałek, 12.23

Nie zważając na ból, który tętnił mocniej z każdym krokiem, Faroe gnał długim tunelem. Nie przejmował się strugami krwi płynącymi z rozciętej lewej łydki i prawej ręki. Jeśli człowiekowi na czymś bardzo zależy, nic nie może mu stanąć na przeszkodzie. Nawet obfite krwawienie.

Faroemu zależało bardzo.

Co kilkadziesiąt metrów nad jego głową rozbłyskiwała goła żarówka na przewodach elektrycznych. Oświetlenie było prymitywne, ale ściany fachowo zabezpieczono drewnianymi podporami. W miejscach gdzie górnicy natrafili na luźną glebę, ściany były podparte płytami ze sklejki, które zapobiegały osypywaniu się ziemi. W nierównym podłożu zdarzały się skalne występy i błotniste doły.

Faroe słyszał tylko własny oddech - głęboki, coraz bardziej urywany. Niech to szlag. Cały czas tracił krew.

Co sto metrów mijał pomieszczenia serwisowe, wąskie i małe komory, dość wysokie, żeby mężczyzna mógł stanąć wyprostowany i naprawić dmuchawy, które wentylowały tunel. Właśnie dobiegał do ostatniego takiego pomieszczenia, kiedy usłyszał przekleństwo Hectora Rivasa schodzącego po metalowej drabinie.

Faroe przywarł do komory i zmusił się do cichego oddychania. Wysunął głowę, żeby widzieć ostatnie kilkadziesiąt metrów tunelu.

Hector.

Lane!

Przez chwilę czuł taką ulgę, że nogi ugięły mu się w kolanach.

Lane miał zakneblowane usta i ręce z przodu przykute kajdankami do metalowej drabinki.

Tak blisko.

Ale o wiele za daleko na strzał z pistoletu.

W dodatku Joemu kręciło się w głowie. No i musiałyby strzelać z lewej ręki, z broni, której wcześniej nie używał. Mógł liczyć tylko na element zaskoczenia. Gdyby podkraść się dostatecznie blisko, wpakowałby Hectorowi kulkę w łeb.

Tylko taki strzał uratowałby życie Lane'a.

A Faroe musiał być pewny, bo miał tylko ten jeden strzał. Nie mógł więc znajdować się dalej niż dziesięć metrów od Hectora.

Dlatego czekał i starał się cicho oddychać, chociaż tak strasznie bolały go płuca. Pot na jego ciele był chłodny, struga krwi ściekająca po prawej ręce i lewej nodze - gorąca.

## Rozdział 87

Otay Mesa

Poniedziałek, 12.24

Hector pchnął Lane'a tak mocno, że chłopak zatoczył się i wyrznął w nieutwardzoną ścianę tunelu. Usiadł z impetem, aż jego kajdanki otarły się ze szczękiem o drabinę.

Lane prawie nie zwrócił na to uwagi. Wciąż nie mógł dojść do siebie po rozmowie na górze, którą dopiero co usłyszał.

Joe jest biologicznym ojcem Lane'a. Dlatego Ted dał ci Lane'a jako zakładnika. Dla Teda nie miało to znaczenia.

To prawda?

Święta prawda. Joe i ja nie zdradzimy cię za żadne pieniądze. Chcemy, żeby nasz syn był cały i zdrowy.

Lane zastanawiał się, czy matka kłamała.

I obawiał się, że nie kłamała.

Ta rozmowa wyjaśniała zbyt wiele. Dawała odpowiedź na mnóstwo pytań. I znów przewracała jego świat do góry nogami.

- Nie ruszaj się - rozkazał Hector.

Lane ani drgnął.

Boss położył pistolet na przewróconej beczce i wsadził rękę do kieszeni. Potem postawił chłopaka na nogi i rozpiął jedną z obręczy kajdanek.

Lane od razu wyrwał sobie knebel i zakaszał.

- Wody.

Hector puścił to mimo uszu. Zaciśnął obręcz kajdanek na swoim lewym nadgarstku. Metal zatrzasnął się ze szczękiem, łącząc ofiarę z oprawcą. Hector podniósł broń i wepchnął za pas.



- Jak zaczniesz ze mną walczyć, zginiesz - oznajmił. Gwałtownie skinął głową w kierunku drabiny. - Idź.

Lane kroczył po stopniach, pomagając sobie jedną ręką w ciemnościach. Na gołej łydce czuł oddech Hectora. Meksykanin piął się tuż za nim.

## Rozdział 88

Otay Mesa

Poniedziałek, 12.25

Grace właśnie skończyła sprawdzać, czy Franklin nadal ukrywa się za paletami, kiedy usłyszała odgłosy szamotaniny dochodzące z łazienki. Szybko podeszła do miejsca, gdzie stała wcześniej i podniosła pistolet, przyjmując strzelecką pozycję. Znajdowała się dwadzieścia metrów od łazienki, o wiele za daleko, żeby strzelać, ale tylko stąd mogła obserwować jednocześnie Franklina i Hectora.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy dostrzegła głowę Lane'a.

Zadrzała - syn był przykuty kajdankami do Hectora.

Muszę podejść blisko, żeby strzelić. Bardzo blisko.

Piętnaście centymetrów.

Wątpiła, żeby Hector na to pozwolił.

Meksykanin wygramolił się za Lane'em tak szybko, że chłopak się potknął. Potem brutalnie pociągnął zakładnika za skutą kajdankami rękę i ustawił go na linii strzału. Grace przyglądała się temu z przerażeniem.

- Mamo!

Hector wyrznął Lane'a dłonią, która była skuta z nadgarstkiem chłopca.

- Zamknij się!

Grace z trudem opanowała drżenie rąk.

- Rób, co ci każe - odezwała się do Lane'a z niepokojem. - To już prawie koniec. Niedługo będziesz wolny.

Trzymała pistolet spokojnie, choć kosztowało ją to mnóstwo siły.

Przewróć się, Lane. Upadnij z całej siły i szybko. I tak zostań.

Proszę, Boże.

Joe, gdzie jesteś?

Czy ty w ogóle żyjesz?

Hector śmiał się, kiedy dużymi krokami oddalał się od łazienki i szedł w jej kierunku.

- Teraz to ja ci rozkazuję.

Wciągnęła powietrze i wycelowała broń gdzieś ponad głową syna, manewrując tak, żeby Hector zobaczył czarną lufę pistoletu.

Zwolnił i stanął w odległości kilku metrów od Grace.

- Rozkuj Lane'a - powiedziała.

- Daj mi Franklina.

- Nie dam, dopóki Lane nie będzie wolny.

- Skąd mam wiedzieć, że Franklin tu jest? - zagadnął Hector.

- Odezwij się, Ted.

Cisza.

Zerknęła w stronę kryjówki Franklina. Na jego twarzy malował się paniczny strach.

- Powiedz coś - warknęła - bo cię zastrzelę.

- Tata? - Lane nie mógł się powstrzymać. - Naprawdę przyszedłeś po mnie?

Franklin wybełkotał coś w odpowiedzi.

Hector wycelował pistolet w kierunku, z którego dochodził głos Franklina. Krwistoczerwony laser penetrował cienie.

Franklin zobaczył czerwone światło, wydał kolejny zduszony odgłos i uchylił się przed promieniem.

Grace nie tylko zauważyła, ale i wyczuła jakiś ruch w łazience. Cicho, powoli, jak krwawe widmo, z otworu w podłodze wynurzył się Faro. Prawą rękę miał całą we krwi. W lewej trzymał broń.

Lewą on nie umie strzelać.

Dobry Boże.

Grace utkwiała wzrok w oczach Faroego. Gwałtownie przechylił głowę na bok, ostrzegając ją, żeby go nie wydała. Natychmiast zaczęła się wpatrywać w inne miejsce.

Ciągnąc Lane'a, Hector kierował się do kryjówki Franklina; z każdym krokiem oddalał się od Grace i Faroego.

- Stój! - wrzasnęła Grace.

Zrobiła kilka kroków w stronę bossa z nadzieją, że to odwróci jego uwagę od Faroego.

Hector zaczął wymachiwać pistoletem. Czerwona kropka śmierci znalazła się między oczami Grace.

- Puść Lane'a - rozkazała, ignorując czerwony promień. - Natychmiast.

- Nie - odparł gniewnie Hector. - Franklin!

Siedem metrów dalej Grace celowała z pistoletu w twarz Hectora i przeklinała Harleya, że nie dał jej broni z laserowym celownikiem. Hector wykorzystał Lane'a jako żywą tarczę.

Piętnaście centymetrów.

Może trzydzieści.

Jak blisko musisz być, Joe?

- Kiedy tylko dostaniesz Franklina - powiedziała - pozabijasz wszystkich, żeby chronić tunel. Rozkuj Lane'a. Już!

Jedna sekunda.

Dwie.

Trzy.

Cztery.

Ted Franklin nie wytrzymał i wrzasnął z przerażenia. Zdradził swoją kryjówkę i ruszył biegiem do drzwi, po wolność.

Hector zareagował błyskawicznie. Wystrzelił raz, kiedy laserowa plamka jeszcze się ruszała.

Huk był ogłuszający.

Czerwony punkt zatrzymał się na plecach uciekającego Franklina. Hector strzelił jeszcze dwa razy. Franklin runął twarzą na podłogę i leżał nieruchomo.

Kiedy strzały jeszcze rozbrzmiewały echem, Faroe gnał, ile sił w nogach. Zerwał się do biegu w chwili, gdy laserowy wskaźnik zszedł z czoła Grace.

Teraz plamka znów przesuwała się w kierunku jej czoła.

Faroe zdawał sobie sprawę, że jest zbyt daleko, żeby mieć pewność, że nie trafi Lane'a. Wrzasnął na całe gardło.

Hector okrzyknął się na pięcie, w stronę nieoczekiwanego napastnika. Przez chwilę był zszokowany widokiem broczącego krwią mężczyzny, który biegł ku niemu. Dostrzegł pistolet w jego lewej ręce. Kiedy rozpoznał Faroe, szarpnął do siebie zakładnika. Przystawiając pistolet do głowy Lane'a, zorientował się, że Faroe jest sam.

Chłopak wyrzeczył oczy z przerażenia, widząc, że pędząca krwawa zjawą to Joe Faroe.

Lekko przekręcając nadgarstek, Hector wycelował w lewy bok napastnika.

Faroe zrobił unik przed strzałem i wciąż biegł.

Czerwona plamka utkwiała na czole Faroe.

Lane wbił zęby w przedramię Hectora, złapał za rękę, w której Meksykanin trzymał broń, i rzucił się na podłogę.

Strzał Hectora odbił się głośnym rykoszetem w hangarze.

Grace nie spuszczała. Hector zginał, jeszcze zanim runął na cementową posadzkę.

Faroe uśmiechnął się, chociaż zrobiło mu się ciemno przed oczami.  
Żegnaj, Hectorze. Do zobaczenia w piekle.

## Rozdział 89

San Diego  
Wtorek, południe

TYLKO NAJBLIŻSZA RODZINA  
NIE WIĘCEJ NIŻ DWÓCH GOŚCI NARAZ

Lane popatrzył na tablicę na grubych, drewnianych drzwiach sali intensywnej terapii, potem na swoją matkę.

- Może powinienem zaczekać tutaj - powiedział.
- Ty i Joe naprawdę nie powinniście zwlekać ze spotkaniem - odparła Grace.
- Wciąż trudno mi się z tym oswoić.
- Z czym? Że twoi biologiczni rodzice są ludźmi, a twój przybrany ojciec jest aż za bardzo człowiekiem?

- Hm, tak.

Uścisnęła Lane'a i poczuła żal na widok cieni pod jego oczami. Wyglądał, jakby w ciągu ostatniego miesiąca przybyło mu wiele lat.

- W porządku - powiedziała. - Większość dzieciaków nie musi się zmagać z człowieczeństwem swoich rodziców, dopóki nie stają się dwa razy starsze niż ty. Większość dorosłych nigdy nie musiała przechodzić przez to, co ty. A jeśli jeszcze o tym nie mówiłam, jestem z ciebie dumna.

- Ambasador Steele powiedział to samo. Cook też.
- I Joe to powtórzy, jak się obudzi.

Ted też by to powiedział, gdyby nie był palantem.

Ale był, najwyraźniej nic tego nie mogło zmienić. Nawet dwie kule w plecach. Kiedy poszła z Lane'em do pokoju obok, żeby go zobaczyć, udawał, że śpi.

- Wiem, że to niełatwe - powiedziała. - Wszyscy musimy uporządkować wiele spraw. Życie... się zmieniło.

Lane zaśmiał się dziwnie.

- Poważnie? - Mocno przytulił matkę. - Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Porzuciłaś dla mnie karierę i narażałaś życie. Kocham cię, mammo. Żałuję tylko, że nie wiedziałem.

- O Joe?
- Tak. Chyba. Nie wiem.  
Prawie się uśmiechnęła.
- Czasami Joe dla mnie też jest tajemnicą. Ale bardzo go Kocham.
- Zdażyłem się już tego domyślić. - Kiedy przebiegłaś obok taty i płakałaś nad Joem.

Lane nie chciał sobie przypominać, że zrobił to samo, gdy tylko wyjął klucz z kieszeni Hectora i rozkuł kajdanki.

Nie chodzi o to, że nie Kocham taty.

Ja go tylko nie lubię.

- Lubię Joego - powiedział. - Kurczę, przecież nie ja pierwszy mam dwóch ojców, no nie? Co on o tym myśli?

- Joe?

- Tak.

- Sam go zapytaj.

Grace otworzyła drzwi, zobaczyła, że Faroe siedzi, i szybko do niego poszła. Był błądy i miał twarz ściągniętą bólem. Kula nie uszkodziła żadnego z narządów, ale poharatała mięśnie. Grace pocałowała Joego delikatnie, potem wzięła jego lewą rękę i przytuliła ją do swojego policzka.

- Wyglądasz okropnie - wyszeptła.

- A ty nie. - Faroe objął szyję Grace i pociągnął w dół, żeby łatwiej ją pocałować. - Pachniesz jak niebo. Chcesz mnie wyrwać z tego więzienia?

Lane chrząknął.

- On wie - powiedziała Grace, gdy tylko już mogła.

- W takim razie nie powinien się dziwić, że się całujemy. - Faroe wyciągnął zdrową rękę do Lane'a.

Chłopak niezręcznie ujął nieobandażowaną dłoń Faroego.

- Dzięki za uratowanie mi życia - mruknął Faroe. Ścisnął palec syna.

Lane otworzył szeroko oczy.

- Co? Przecież ja nic nie zrobiłem.

- Szarpnąłeś Hectora, stracił równowagę i nie zdażył mnie zabić, a potem uchyliłeś się, żeby matka mogła zrobić, co trzeba. Twój refleks uratował też życie Tedowi. - Araczej tej tchórzliwej, psiej kupy. - Jak się czujesz jako bohater?

- Bałem się jak diabli... - przyznał Lane.

- Hm, ja też. Właśnie tak się bałem - stwierdził Faroe.

- Naprawdę?

- Czuję strach aż po same pięty.

- W takim razie to nic złego, że człowiek się boi - odparł Lane, na wpół pytającym tonem.

- Gdybyś się nie bał, martwiłbym się o to, co masz w głowie. - Faroe się uśmiechnął. - Ale się nie martwię.

Lane zareagował nieśmiałym, ale szczerym uśmiechem.

Po raz pierwszy od wydarzeń w magazynie, Grace pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.

- Steele przyszedł cię odwiedzić? - zapytała Faroe.

- Z tego co pamiętam, nie jesteśmy spokrewnieni. A oddziaływała to prawdziwy potwór.

- Myślisz, że to powstrzymałoby ambasadora? - zagadnął Lane. - Ten facet jest jak buldożer, mimo że porusza się na wózku.

- Słuszna uwaga. Tak, odwiedził mnie - odpowiedział Faroe Grace.

- Niczego nie podpisałeś, co?

W milczeniu podniósł grubo zabandażowaną prawicę.

- Co mu powiedziałaś? - zapytała Grace.

Zerknął na Lane'a.

- O pracę domową też cię tak wypytuje?

Chłopak prychnął szyderczo.

- Zawsze.

Faroe pokręcił głową.

- Powiedziałem, że kiedy się pobierzemy, to będzie można negocjować z tobą warunki naszego ewentualnego związku z St. Kilda Consulting. A jeśli za mnie nie wyjdiesz, moja przyszłość nie będzie warta negocjacji, więc taka dyskusja okaże się zbędna.

Lane zerknął na zarumienione policzki matki, na łzy w jej oczach i na uśmiech.

- Przejdę się do kafejki - powiedział.

- Nie musisz - odparł Faroe.

- Muszę. Chyba że potrzebujesz mojej obecności, żeby zawrzeć z mamą układ?

- No dobrze, co ty na to? - zapytał Faroe Lane'a.

- Żebyście byli razem?

Faroe wziął rękę Grace.

- Tak.

Lane objął matkę ramieniem i ruszył do drzwi.

- Mama szczęśliwa? To będzie dziwnie wyglądać. Ale jakoś się przyzwyczaję. No i przestanie się tak o mnie zamartwiać.

Zamknął za sobą drzwi.

- Niezłego dzieciaka wychowałaś - stwierdził Faroe. - Znam wielu face-tów, którzy zamieniliby się we wraki po tym, co przeszedł Lane.

- Dla niego to się jeszcze nie skończyło. Na pewno będzie miał koszmary.

- Takie, jakie ty miałaś?

- Tak.

- Mnie też dręczyły złe sny - odparł Faroe. - Ciągłe dręczą.

- Powiedz mu to kiedyś. On ciebie podziwia.

- Za to, że nawalam? - zapytał Faroe zdegustowany.

- Za to, że uratowałeś mu życie. I mnie też. Wystawiłeś się na strzał, żebyśmy mogła podejść Hectora i zastrzelić, nie narażając Lane'a.

Faroe westchnął i oparł się na spiętrzonych poduszkach.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie?

- Tylko pod warunkiem, że zaczniesz ćwiczyć strzelanie z lewej ręki.

Roześmiał się i skrzywił z bólu. Próbował się uśmiechnąć.

- Ćwiczyć strzelanie? Czy to znaczy, że zostajemy w St. Odzie?

Grace się uśmiechnęła.

- Dobrze, że już leżysz.

Zerknął na nią z ukosa.

- Dlaczego?

- Steele szykował ciebie, a teraz szykuje nas oboje, żebyśmy przejęli po nim St. Kilda Consulting, kiedy on pójdzie na emeryturę.

- Wciskasz mi kit.

- Nie.

Faroe aż zatkało z wrażenia.

- Zanim odpowiesz, pomyśl o jednej rzeczy - powiedziała. - Jeżeli podpiszemy kontrakt z St. Kildą, będzie działał z mocą wsteczną, czyli obejmie zeszyły tydzień. Innymi słowy, żadne z nas nie będzie musiało płacić St. Kildzie za koszty operacji uwalniania Lane'a.

Faroe gwizdnał cicho.

- Steele musi się czuć bardzo szczodry.

- Nie do końca. - Grace uśmiechnęła się jak prawnik. - Jest jeszcze pięć milionów nagrody za Hectora Rivasa Osunę plus wszystkie nadwyżki ponad pięćdziesiąt milionów dolarów, które można odzyskać z plików Teda. Gdybyśmy byli wolnymi strzelcami, te pieniądze dostałyby się nam.

Faroe milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu powiedział:

- To ty załatwiłaś Hectora. Tobie należy się nagroda.

- A reszta?

- Mówi się, że krew zmywa złoto, ale nie wiem, czy starczy wody na całą kuli ziemskiej, żeby oczyścić pieniądze Teda. - Faroe westchnął i przesunął się na łóżku, próbując przybrać wygodniejszą pozycję. - Pozostała forsa też należy się tobie. Ty i Lane musieliście żyć z tym baranem. Ale żałuję, cholera, że Hector nie strzelił celniej.

Grace uśmiechnęła się ponuro.

- Już podjęłam kroki, żeby pozbawić Teda prawa do opieki nad Lane'em. Talon Cook obiecał osobiście dopilnować, żeby Ted nie robił w związku z tym żadnych problemów.

- Czy Ted pójdzie siedzieć?

- Stu ma moralność gada i doskonale umie naginać prawo do potrzeb swoich klientów. Więc myślę, że po prostu trzeba żyć nadzieją, że Tedowi w końcu zabraknie forsy na prawne wybiegi.

- Lane żyje - powiedział Faroe. - To najważniejsze.

- Ty tak naprawdę masz w nosie te pieniądze, prawda?

- Wynegocjujesz dobrą pensję...

- I bonusy.

- Dla nas obojga, u Steele'a. Z głodu nie umrzemy. A jeśli nie podpiszemy kontraktu, FBI będzie próbowała wydusić z nas informacje na temat St. Kilda Consulting. Steele działa mi na nerwy tylko czasami, ale biurokracja wkurza mnie zawsze.

Grace uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Steele też cię kocha. Chce być twoim przyjacielem.

- Co?!

- Harley twierdzi, że będziesz wyglądał bajecznie w białym smokingu.

Faroe zamknął oczy.

- No nie. Uciekamy.

- Jesteś pewien? Lane sugerował, że chętnie by się mnie pozbył.

Faroe otworzył oczy.

- Ty też założysz smoking?

- Myślałam raczej o czerwonym kostiumie, który kupiłam w Meksyku.

- Tylko pod warunkiem, że uciekniemy.

Pochyliła się z uśmiechem i pocałowała Joego.

- Niech będą dwa białe smokingi.